PAPIEROWY PAŁAC

Podwójnie wspaniała w kontekście umiejętności pisarskich — Heller pięknie przedstawia naturę, jak i świat wewnętrzny bohaterów.

The New York Times

Minęły wieki, odkąd jakaś powieść tak mnie wciągnęła. Pokochałem ją.

Nick Hornby

Miranda Cowley Heller

Przełożyła Katarzyna Makaruk

PAPIEROWY PAŁAC

PAPIEROWY PAŁAC

Miranda Cowley Heller

Przełożyła Katarzyna Makaruk

CZWARTA STRONA

Tytuł oryginału: *The Paper Palace*
Copyright © by Miranda Cowley Heller, 2021
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2022
Redaktorka inicjująca: Paulina Surniak
Redaktor prowadzący: Łukasz Chmara
Marketing i promocja: Aleksandra Wróblewska
Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak
Korekta: Marta Akuszewska, Anna Nowak
Konsultacja merytoryczna elementów żeglarskich: Szymon Pastuszek, Sławomir Kulczak
Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl
Fotografia na okładce: Woman bathing © plainpicture / Leander Hopf
Oryginalny projekt okładki: Lucia Bernard
Adaptacja okładki i stron tytułowych: Magda Bloch
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki
Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.
eISBN 978-83-67054-43-0
Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.
CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Dla Lukasa i Felixa, moich dwóch miłości

A także dla Muriel Maurer Cowley, mojej babki,
której gorąca miłość nigdy nie osłabła

My – patrząc wstecz i przed siebie
Od powinności do winy
Miotamy się, w szczęścia chlebie
Znajdując kamień ruiny.
W naszych najsłodszych pieśniach jest gorycz klęski i drwiny.

Percy Bysshe Shelley, *Do skowronka*

(przeł. S. Barańczak)

Księga pierwsza

◇

ELLE

1

Czasy współczesne, 1 sierpnia, Back Woods

6.30

Rzeczy przychodzą znikąd. Umysł jest pusty, a potem w kadrze pojawia się gruszka. Idealna, zielona, skośny ogonek, pojedynczy liść. Przycupnięta między limonkami w białej kamionkowej misie pośrodku sfatygowanego piknikowego stołu na osłoniętej siatką werandzie nad stawem w głębi lasu porastającego wybrzeże. Obok misy mosiężny świecznik, pokryty zastygłymi kroplami parafiny i oblepiony kurzem, który zgromadził się na półce podczas długiej zimy. Talerze z niedojedzonym makaronem, rozłożona lniana serwetka, resztki claretu w butelce, ręcznej roboty deska do krojenia, grubo ciosana, chleb – rwany, nie krojony. Otwarty, pokryty pleśnią tomik wierszy. *Do skowronka* wznosi się ku niebu bolesny i porywający – powtarzam go w pamięci, spoglądając na martwą naturę, pozostałość po wczorajszej kolacji. „Świat posłucha – jak teraz ja ciebie w niebios wyżynie". Czytał tak pięknie. „Dla Anny". Wspominaliśmy ją, siedząc oczarowani. Mogłabym patrzeć na niego, na nic więcej, w nieskończoność i być szczęśliwa. Mogłabym go

słuchać z zamkniętymi oczami, czuć jego oddech, raz po raz zanurzać się w jego słowach. Niczego więcej nie pragnę.

Za krawędzią stołu światło przygasa, przenikając przez siatkę, i rozjaśnia się dopiero ponad cętkowanymi drzewami, czystym błękitem stawu, głębokim cieniem, który błotnie leśne rzucają na skraju wody, gdzie o tak wczesnej porze nie docierają promienie słońca. Widzę resztkę gęstego, zwietrzałego espresso w brudnej filiżance i zastanawiam się, czy go nie wypić. Chłodne powietrze sprawia, że dygocę owinięta w wyblakły lawendowy szlafrok matki, który wkładam co roku, gdy przyjeżdżam na letnisko. Pachnie nią i snem zimowym z leciutką domieszką mysich bobków. To moja ulubiona pora w Back Woods. Wczesny poranek nad stawem, zanim ktokolwiek zdąży się obudzić. Klarowne, flintowe światło, orzeźwiająca woda, nareszcie umilkły lelki krzykliwe.

Za drzwiami werandy na niewielkim podeście między listwami zgromadził się piasek i trzeba go wymieść. Miotła stoi obok, wrzynając się w siatkę, ale udaję, że jej nie widzę, i schodzę na ścieżkę prowadzącą na naszą plażę. Za moimi plecami zawiasy skrzypią na znak protestu.

Zrzucam szlafrok i staję naga nad wodą. Na dalekim drugim brzegu, gdzieś za prześwitem wśród sosen i karłowatych dębów niedźwiedzich, ocean burzy się i ryczy. Pewnie niesie w trzewiach sztorm z jakichś odległych rejonów. Tu jednak, na skraju słodkiej wody, powietrze jest miodowo nieruchome. Czekam, obserwuję, nasłuchuję… cykania, brzęczenia owadów, wiatru zbyt delikatnie poruszającego drzewami. A potem wchodzę po kolana i daję nura w lodowatą wodę. Wypływam daleko, za nenufarami, napędzana euforią, poczuciem wolności i adrenaliną, którą wywołuje nieokreślona panika. Pojawia się cień strachu przed żółwiami

jaszczurowatymi, które mogłyby wypłynąć z głębiny, żeby kąsać moje ciężkie piersi. Albo może zwabione wonią seksu rozchodzącą się, gdy rozchylam i łączę nogi. Nagle czuję nieodpartą potrzebę, żeby wrócić na bezpieczną płyciznę, gdzie widać piaszczyste dno. Żałuję, że nie jestem odważniejsza. Ale też uwielbiam ten strach, krótki oddech, serce szaleńczo trzepoczące w piersi, gdy wychodzę ze stawu.

Wykręcam, na ile to możliwe, wodę z długich włosów, ze sznurka, który matka rozwiesiła między dwiema rosochatymi sosnami, ściągam wyświecony ręcznik i kładę się na ciepłym piasku. Na moim sutku ląduje jaskrawoniebieska ważka, siedzi przez chwilę, po czym leci dalej. Mrówka mozoli się wśród saharyjskich wydm, które moje ciało utworzyło na jej drodze.

Tej nocy w końcu się pieprzyliśmy. Po tylu latach wyobrażania sobie, z niepewnością, czy wciąż mnie pragnie. A potem ta chwila, gdy już wiedziałam, co się stanie: całe to wino, cudowny głos Jonasa czytającego odę, mój mąż Peter na sofie, otumaniony grappą, trójka moich dzieci śpiąca w domku, matka przy zlewie, ignorująca gości i w jaskrawożółtych gumowych rękawiczkach zmywająca naczynia. Patrzyliśmy sobie w oczy o jedno uderzenie serca za długo. Wstałam od gwarnego stołu, zdjęłam majtki w spiżarni i schowałam je za chlebakiem. Tylnymi drzwiami wyszłam w noc. Stałam w cieniu, nasłuchując odgłosów naczyń, wody, szkła i sztućców szczękających wśród mydlin. Czekałam. Miałam nadzieję. A po chwili on już tam był, przypierał mnie do ściany domu, sięgał pod sukienkę. „Kocham cię", szeptał. Sapnęłam gwałtownie, kiedy się we mnie wbił. Pomyślałam: teraz już nie ma odwrotu. Koniec z żałowaniem, że czegoś nie zrobiłam. Odtąd mogę żałować tylko tego, co zrobiłam.

Kocham go i nienawidzę siebie; kocham siebie i nienawidzę Jonasa. To koniec długiej historii.

1966. Grudzień, Nowy Jork

Krzyczę. Krzyczę i gwałtownie łapię powietrze, aż w końcu moja matka orientuje się, że coś jest nie tak. Biegnie ze mną do lekarza, wyobrażając sobie, że jest panną Clavel, która w panice mknie Park Avenue, ściskając w ramionach trzymiesięczne niemowlę. Mój ojciec, z teczką w ręce, też rusza pędem – z Fred F. French Building w górę Madison Avenue. Jego umysł jak zwykle zacina się, porażony lękiem przed własną niemocą. Lekarz mówi, że nie ma czasu – jeśli będą zwlekać, dziecko umrze – i zabiera mnie z objęć matki. Na stole operacyjnym otwiera mój brzuch niczym dojrzałego arbuza. Guz owinął się wokół jelit i toksyny z gówna, które nawarstwiło się za jego żelazną obejmą, zatruwają małe ciałko. Gówno ma to do siebie, że zawsze się nawarstwia, rzecz w tym, żeby to przetrzymać, ale tego nie nauczę się jeszcze przez wiele lat.

W moim brzuchu nieuważny lekarz przecina jajnik, w pośpiechu wykrawając z życia śmierć. Tego też nie będę wiedziała przez wiele lat. A kiedy w końcu to odkryję, matka zapłacze po raz drugi. „Przepraszam", powie. „Powinnam była go przypilnować…" – jak gdyby mogła odmienić mój los, ale postanowiła tego nie robić.

Później leżę w szpitalnym łóżeczku ze skrępowanymi rękami. Drę się żywa i sina z wściekłości na tę niesprawiedliwość. Nie pozwolą matce mnie nakarmić. Traci pokarm. Minie prawie tydzień, zanim uwolnią z więzów moje ręce.

– Byłaś zawsze takim radosnym dzieckiem – mówi ojciec.

– Po tym wszystkim – mówi matka – płakałaś bez ustanku.

7.30

Przekręcam się na brzuch i opieram głowę na przedramionach. Uwielbiam ten słono-słodki zapach, którego nabiera moja skóra na słońcu – arachidowo-piżmowy, jakbym była zasolona. Na końcu ścieżki prowadzącej z głównego budynku do chatek słyszę ciche trzaśnięcie. Ktoś wstał. Chrzęst stóp na suchych liściach. Szum zewnętrznego prysznica. Jęk budzących się do życia rur. Wzdycham, podnoszę szlafrok i wracam do domu.

Nasze letnisko składa się z głównego budynku – Dużego Domu – i czterech jednoizbowych chatek stojących wzdłuż przysypanej igliwiem dróżki, która biegnie brzegiem stawu. Wzniesione z desek szalunkowych domki są niewielkie, mają spadziste dachy, na których nie gromadzi się śnieg, pojedynczy świetlik i długie okna poddachowe po obu stronach. Są staromodne, surowe, bez wodotrysków. Dokładnie takie, jakie powinny być domki w Nowej Anglii. Dróżkę od stawu oddziela parawan roślin – kwitnącej orszeliny, wawrzynu i jagód – chroniący nas przed wścibskim wzrokiem wędkarzy i nazbyt entuzjastycznych pływaków, którym udaje się dotrzeć na nasz kraniec stawu z niewielkiej publicznej plaży po drugiej stronie. Wprawdzie nie mogą wyjść na brzeg, ale czasami brodzą w wodzie półtora metra od linii drzew, nie zważając na to, że zakłócają nam spokój.

Na końcu drugiej ścieżki, biegnącej za chatkami, stoi stara umywalnia. Łuszcząca się farba, zardzewiały emaliowany zlew upstrzony beżowymi plamkami martwych ciem, które nocą przyciąga górne światło, wiekowa wanna na nóżkach w kształcie zwierzęcych łap, pamiętająca czasy, gdy dziadek budował letnisko, zewnętrzny prysznic z rurami przymocowanymi do drzewa błotni – woda gromadzi się tu, na ziemi, i spływa w dół piaszczystą ścieżką.

Duży Dom to jedno wielkie pomieszczenie – salon z kuchnią i wydzieloną spiżarnią – wzniesiony z pustaków i papy. Podłoga z grubych desek, ciężkie belki nośne, potężny kominek z kamienia. W deszczowe dni zamykamy drzwi i okna, siedzimy w środku, słuchamy trzaskającego ognia i zmuszamy się do gry w monopol. Miejscem, gdzie naprawdę toczy się życie – gdzie czytamy, jemy, kłócimy się i starzejemy – jest osłonięta siatką weranda, która wychodzi na staw. Nasze letnisko nie jest całoroczne. Nie miałoby to sensu. Pod koniec września, gdy robi się chłodno i wszystkie domy zamykają się na zimę, Back Woods pustoszeje – w surowym świetle wciąż jest piękne, ale przy tym poważne i grobowe. Nikt nie chce siedzieć wśród gołych drzew. Za to z nastaniem lata las gęstnieje, czaple modre wracają, żeby brodzić w jasnym stawie i budować gniazda; wtedy nie ma lepszego miejsca na ziemi.

Wchodzę na werandę i zalewa mnie fala pragnienia, tęsknota wzbiera w splocie słonecznym niczym rtęć. Wiem, że powinnam posprzątać ze stołu, zanim reszta zjawi się na śniadanie, ale chcę utrwalić ten obraz w pamięci – przeżyć jeszcze raz ostatnią noc okruch po okruchu, talerz po talerzu, wytrawić kwasem w mózgu. Przebiegam palcami po fioletowej plamie wina na białym lnianym obrusie, przytykam kieliszek Jonasa do ust, żeby poczuć jego smak. Zamykam oczy, przypominając sobie delikatny nacisk jego uda pod stołem. Jeszcze zanim zyskałam pewność, że mnie pragnie. Brak tchu i wahanie – czy to celowo, czy przez przypadek.

W salonie wszystko wygląda tak jak zawsze: wiszące nad kuchenką garnki, łopatki na haczykach do kubków, słój z drewnianymi łyżkami, wyblakły spis telefonów przypięty pinezką do półki na książki, dwa krzesełka reżyserskie przysunięte do kominka. Niby wszystko jest takie samo, a jednak kiedy idę do spiżarni, mam

wrażenie, że to inny pokój – wyraźniejszy, ostrzejszy, jakby nawet powietrze obudziło się z głębokiego snu. Wychodzę przez tylne drzwi i patrzę na ścianę z pustaków. Nic nie widać. Żadnych śladów, żadnych dowodów. Ale to tu, tu tkwiliśmy w sobie bez końca. Wiliśmy się w ciszy i desperacji. Nagle przypominam sobie o majtkach schowanych za chlebakiem i akurat kiedy je wkładam, zjawia się matka.

– Wcześnie wstałaś, Elle. Jest kawa? – Oskarżenie.

– Właśnie miałam zrobić.

– Byle nie za mocną. Nie lubię tego twojego espresso. Wiem, że twoim zdaniem jest lepsze… – mówi tym sztucznym, żartobliwym tonem, który doprowadza mnie do szału.

– Dobrze. – Dziś rano nie mam ochoty na kłótnie.

Matka sadowi się na sofie. To wprawdzie tylko twardy materac z końskiego włosia pokryty starą szarą tkaniną, ale przy tym ulubione miejsce wszystkich letników. Można stąd patrzeć na staw, można pić kawę lub czytać książkę, opierając się o wiekowe poduszki w bawełnianych powłoczkach upstrzonych plamami rdzy. Kto by pomyślał, że nawet tkanina z czasem pokryje się rdzą?

To takie typowe dla mojej matki, żeby zawłaszczyć najlepsze miejsce.

Włosy w kolorze słomy, teraz przetykane siwizną, zwinęła w niedbały, niechlujny kok. Starą kraciastą koszulę nocną ma wystrzępioną. A mimo to wciąż wygląda imponująco – niczym galion na dziobie osiemnastowiecznego szkunera, piękna i surowa, w wieńcu z wawrzynu i pereł, wskazująca drogę.

– Napiję się kawy, a potem posprzątam ze stołu – oznajmiam.

– W takim razie ja pozmywam naczynia. Mmmm, dziękuję – mówi, kiedy podaję jej filiżankę. – Jak woda?

– Idealna. Zimna.

To najlepsza lekcja, jakiej mi udzieliła – że dwóch rzeczy nigdy nie żałuje się w życiu: dziecka i pływania. Nawet w najchłodniejsze wczesnoczerwcowe dni, kiedy spoglądam na słonawy Atlantyk, zła na foki, które wystawiają obrzydliwie bezkształtne łby, ściągając żarłacze, słyszę w głowie głos namawiający, żebym wskoczyła do wody.

– Mam nadzieję, że powiesiłaś ręcznik. Nie chcę oglądać znowu sterty mokrych szmat. Powiedz to dzieciom.

– Powiesiłam.

– Bo jeśli ty im nie powiesz, ja to zrobię.

– Powiem.

– I niech pozamiatają w chatce. Mają tam istny chlew. Tylko nie waż się sama tego robić, Elle. Są rozpuszczone jak dziadowski bicz. Najwyższa pora, żeby…

Z workiem śmieci w jednej i kubkiem kawy w drugiej ręce wychodzę tylnymi drzwiami, pozwalając jej litanii ulecieć z wiatrem.

Jej najgorsza lekcja: „Myśl jak Botticelli". Bądź jak Wenus stojąca na połówce muszli, buzia w ciup, skromna mimo nagości. Taką radę dostałam, kiedy zamieszkaliśmy razem z Peterem. Przyszła na wyblakłej pocztówce, którą wiele lat wcześniej matka kupiła w sklepiku z pamiątkami w Galerii Uffizi: „Droga Eleanoro, bardzo lubię Twojego Petera. Proszę, zdobądź się na odrobinę wysiłku i nie bądź taka trudna. Nie mów za wiele i sprawiaj wrażenie tajemniczej. Myśl jak Botticelli. Kochająca mama".

Wrzucam śmieci do kosza, zatrzaskuję klapę i mocno zaciągam elastyczną linkę, żeby szopy nie dobrały się do jego zawartości. To sprytne stworzenia o długich, zręcznych palcach. Małe

człekopodobne niedźwiadki, bystrzejsze i paskudniejsze, niż mogłoby się wydawać. Od lat prowadzimy ze sobą wojnę.

– Pamiętałaś, żeby zaciągnąć linkę, Elle? – pyta matka.

– Oczywiście – uśmiecham się skromnie i zaczynam zbierać naczynia.

1969. Nowy Jork

Wkrótce przyjdzie ojciec. Chowam się – przykucnęłam za bufetem modułowym, który odgradza nasz salon od przedpokoju. Bufet jest podzielony na kwadratowe segmenty. W jednym stoją trunki, w innym adapter, w jeszcze innym kolekcja płyt ojca, kilka ogromnych albumów o sztuce, kieliszki do martini, srebrny shaker. Moduł z alkoholem, który otwiera się na dwie strony, przypomina okno. Wyglądam przez butelki, zahipnotyzowana niewyraźną plamą topazu – szkockiej, burbonu i rumu. Mam trzy lata. Obok stoją cenne longplaye i siedemdziesiątki ósemki. Przejeżdżam palcem po ich grzbietach, bo lubię ten dźwięk, wdycham zapach starej tektury i czekam na dzwonek u drzwi. Wreszcie ojciec się pojawia, a ja nie mam dość cierpliwości, żeby pozostać w ukryciu. Siedziałam tam przecież wieczność! Pędzę przez przedpokój i rzucam się w jego niedźwiedzie objęcia.

Do rozwodu jeszcze nie doszło, ale niewiele brakuje. Żeby go przeprowadzić, rodzice będą musieli pojechać do Juárez po drugiej stronie granicy. Koniec nadejdzie, gdy razem z moją starszą siostrą Anną będziemy siedziały w hotelowym holu na krawędzi ośmiokątnej fontanny wyłożonej meksykańskimi płytkami, wpatrując się nieruchomo w złotą rybkę – karasia pływającego wokół wyspy ciemnych tropikalnych roślin. Wiele lat później matka powie mi, że tego ranka zadzwoniła do ojca z papierami rozwodowymi w ręce i powiedziała: „Zmieniłam zdanie. Nie róbmy tego”. A choć rozwód

był w całości jej pomysłem i ojciec miał złamane serce, odparł: „Nie, Wallace. Zaszliśmy tak daleko, że równie dobrze możemy to zakończyć". Równie dobrze – dwa słowa, które zmieniły wszystko. Ale w tamtej chwili, gdy karmiłam złotą rybkę okruchami bułki, uderzając piętami o płytki fontanny, nie miałam pojęcia, że zawisł nade mną miecz Damoklesa. Że wszystko mogło potoczyć się inaczej.

Na razie jednak Meksyk jeszcze się nie wydarzył. Ojciec udaje radość i wciąż jest zakochany w matce.

– Eleanor! – Chwyta mnie w ramiona. – Jak się miewa mój króliczek?

Śmieję się i wczepiam w niego z czymś na kształt desperacji; moje rozpuszczone jasne loki oślepiają go, gdy przyciskam twarz do jego policzka.

– Tatuś! – Anna pędzi niczym byk i wściekła, że ją wyprzedziłam, wypycha mnie z ojcowskich objęć. Jest ode mnie dwa lata starsza i ma do niego większe prawo. Ale ojciec sprawia wrażenie, jakby tego nie widział. Obchodzi go tylko własna potrzeba bycia kochanym. Wpycham się z powrotem.

Z głębi naszego wyblakłego mieszkania w przedwojennym apartamentowcu matka woła:

– Henry? Chcesz drinka? Robię schabowe.

– Z przyjemnością – grzmi w odpowiedzi, jakby nic się między nimi nie zmieniło. Ale oczy ma smutne.

8.15

– No więc moim zdaniem wczorajszy wieczór był bardzo udany – mówi matka znad podniszczonej powieści Dumasa.

– Stanowczo.

– Jonas dobrze wyglądał.

Zaciskam dłonie na stercie talerzy.

– Mamo, Jonas zawsze wygląda dobrze. – Gęste czarne włosy, które można chwycić w pięści, jasnozielone oczy, skóra połyskująca sosnową żywicą, dzikie stworzenie, najpiękniejszy mężczyzna na ziemi.

Matka ziewa. To ją zdradza – robi tak zawsze, kiedy ma powiedzieć coś nieprzyjemnego.

– Do niego nic nie mam, ale jego matka jest nieznośna. Zadufana w sobie.

– To prawda.

– Jakby była jedyną osobą na świecie, która myśli o segregowaniu śmieci. A do tego ta Gina. To już tyle lat, a ja wciąż nie mogę zrozumieć, co mu strzeliło do głowy, żeby się z nią ożenić.

– Jest młoda, wygląda zachwycająco? Oboje są artystami?

– Była młoda – uściśla matka. – I ten jej dekolt. Praktycznie paraduje z cyckami na wierzchu. Pewnie uważa się za kociaka. Najwyraźniej nikt jej nigdy nie powiedział, że wdzięki chowa się pod korcem.

– To takie dziwne. – Idę do kuchni, żeby zostawić naczynia. – Poczucie własnej wartości. Pewnie miała rodziców, którzy ją wspierali.

– Moim zdaniem to bardzo nieapetyczne – stwierdza matka. – Jest sok pomarańczowy?

Biorę z suszarki czystą szklankę i podchodzę do lodówki.

– Prawdę mówiąc – wołam – pewnie dlatego Jonas się w niej zakochał. Musiała mu się wydać egzotyczna po tych wszystkich neurotycznych kobietach, wśród których dorastał. Prawdziwy paw w lesie.

– Ona pochodzi z Delaware – mówi matka, jakby to zamykało temat. – Nikt nie pochodzi z Delaware.

– Właśnie. – Podaję jej szklankę soku. – Jest egzotyczna.

Ale prawda jest taka, że patrząc na Ginę, zawsze myślałam: To ją wybrał? Tego chciał? Staje mi przed oczami jej postać: filigranowa, idealna, z talią osy. Staranna fryzura, ciemne odrosty przechodzące w tleniony blond. Najwyraźniej sprany len znów jest w modzie.

Matka ziewa po raz kolejny.

– No cóż, musisz przyznać, że do najbystrzejszych nie należy.

– Czy wśród naszych gości była choć jedna osoba, którą byś naprawdę lubiła?

– Po prostu jestem szczera.

– To nie bądź. Gina należy do rodziny.

– Tylko dlatego, że nie masz wyboru. To żona twojego najlepszego przyjaciela. Od początku byłyście jak ogień i woda.

– Ależ skąd. Zawsze lubiłam Ginę. Może nie mamy zbyt wiele wspólnego, ale ją szanuję. Poza tym Jonas ją kocha.

– Skoro tak twierdzisz – mówi matka z zadowolonym z siebie uśmieszkiem.

– Boże! – Mogłabym ją zabić.

– Czy ty przypadkiem kiedyś nie chlusnęłaś jej w twarz czerwonym winem?

– Nie, mamo. Nie chlusnęłam jej w twarz niczym. Byłyśmy na przyjęciu, a ja się potknęłam i ją oblałam.

– Gadaliście wczoraj z Jonasem cały wieczór. Ciekawe o czym.

– Nie wiem. O różnych rzeczach.

– Taki był w tobie zakochany, kiedy byliście mali. Podejrzewam, że złamałaś mu serce, wychodząc za Petera.

– Nie bądź śmieszna. Byliśmy dziećmi.

– Och, myślę, że to coś więcej. Biedaczek. – Mówi to bezmyślnie, wracając do lektury. Całe szczęście, że na mnie nie patrzy, bo wiem, że w tym momencie moja twarz zdradza wszystko.

Na zewnątrz woda w stawie jest całkowicie nieruchoma. Wyskakuje ryba i zostawia po sobie koncentryczne kręgi. Patrzę, jak się rozchodzą, dopóki staw nie wchłonie ich z powrotem, jak gdyby nic się nie stało.

2

8.45

Gdy stół jest uprzątnięty, a naczynia piętrzą się w zlewie, czekam, aż matka zrozumie aluzję, podniesie się i pójdzie popływać – zostawiając mnie samą na dziesięć minut. Muszę sobie wszystko poukładać w głowie. Potrzebuję jasności. Niedługo wstanie Peter. I dzieciaki. Łaknę czasu dla siebie. Ona jednak wyciąga w moją stronę kubek.

– Bądź aniołem, dobrze? Tylko pół filiżanki.

Koszula jej się podwinęła i z miejsca, gdzie stoję, wszystko widzę. Matka uważa, że noszenie bielizny szkodzi zdrowiu. „Nocą trzeba wpuścić trochę powietrza" – mówiła nam, kiedy byłyśmy małe. Oczywiście obie z Anną ignorowałyśmy jej słowa. Sam pomysł wydawał się żenujący, brudny. Myśl, że matka ma waginę, budziła w nas odrazę, a co dopiero wystawianie jej nocą na widok publiczny.

– Powinien ją zostawić – stwierdza.

– O kim ty mówisz?

– O Ginie, tej nudziarze. Wczoraj omal nie usnęłam, słuchając jej ględzenia przy stole. „Uprawia" sztukę? Poważnie? Co nas to

obchodzi. – Ziewa, a potem dodaje: – Nie mają dzieci, więc to nawet nie jest prawdziwe małżeństwo. Równie dobrze mógłby się z niego wymiksować.

– Bzdura. To jest prawdziwe małżeństwo – warczę, choć równocześnie zastanawiam się, czy matka czyta mi w myślach.

– Nie wiem, dlaczego tak go bronisz, Elle. To nie twój mąż.

– Co za idiotyzm. – Otwieram lodówkę, zamykam ją z trzaskiem i wlewam mleko do kawy. – Małżeństwo bez dzieci to nie małżeństwo? Kim ty jesteś, żeby o tym decydować?

– Mam prawo do własnej opinii – oznajmia spokojnie, tonem, który ma mnie wyprowadzić z równowagi.

– Mnóstwo par nie ma dzieci.

– Uhm.

– Jezu. Twoja bratowa miała radykalną masektomię. Czy to znaczy, że nie jest kobietą?

Matka patrzy na mnie wzrokiem bez wyrazu.

– Oszalałaś? – Podnosi się z sofy. – Idę popływać. A ty lepiej wróć do łóżka i wstań prawą nogą.

Mam ochotę ją walnąć, ale zamiast tego mówię:

– Chcieli mieć dzieci.

– Bóg jeden wie po co. – Puszcza siatkowe drzwi, które zamykają się z trzaskiem.

1970. Październik, Nowy Jork

Matka wysłała nas do mieszkania obok, żebyśmy pod okiem żony jej kochanka pobawiły się z jego dziećmi. Oni w tym czasie próbują zdecydować, czy kochanek powinien zostawić żonę, czy nie. Jestem teraz starsza – nie dość, żeby cokolwiek z tego zrozumieć, ale na tyle, by widok matki w objęciach pana Dancy'ego w naszym mieszkaniu po drugiej stronie podwórka wydawał mi się dziwny.

W długiej, wąskiej kuchni dwuletni syn Dancych siedzi na wysokim krzesełku, bawiąc się pojemnikiem na żywność. Pani Dancy patrzy na ciężarną samicę pluskwiaka, która przewróciła się na plecy na progu między kuchnią a jadalnią. Maleńkie pluskwiaki, które się z niej wysypują, szybko znikają w szparach parkietu. Z pokoju na tyłach wyłania się Anna w towarzystwie Blythe, córki Dancych. Anna płacze. Blythe nożycami krawieckimi obcięła jej grzywkę. Czoło mojej siostry okala teraz króciutki, nierówny półksiężyc ciemnobrązowych włosów. Blythe jest z siebie zadowolona, jej triumfalny uśmiech przywodzi mi na myśl kanapki z majonezem. Pani Dancy zdaje się niczego nie zauważać. Patrzy na pękającego insekta, a po jej policzku spływa łza.

8.50

Siadam na sofie, moszczę się w miejscu, które wygrzała matka. Na małej plaży na drugim końcu stawu zebrało się już kilka osób. Zazwyczaj są to wynajmujący domki turyści, którzy zapuścili się w głąb lasu i z zachwytem odkryli prawdziwą idyllę. „Intruzi", myślę poirytowana.

Za czasów naszej młodości wszyscy w Back Woods się znali. Imprezy przenosiły się z domku do domku: bose kobiety w luźnych kwiecistych sukienkach, przystojni mężczyźni w białych płóciennych spodniach zawiniętych na wysokość kostki, dżin z tonikiem, tanie krakersy, topiony ser, roje komarów i cutter, sprej na owady, który nareszcie działał. Piaszczyste drogi, które biegły przez las, były usiane plamami słońca przesączającego się przez gałęzie sosen i choin. Idąc na plażę, wzbijaliśmy drobny czerwony pył wypełniający powietrze zapachem lata: suchym, spieczonym, wiecznotrwałym i słodkim. Pośrodku rosły wysokie piaskownice i sumak jadowity. Wiedzieliśmy jednak, czego się strzec. Gdy mijał nas jakiś samochód,

zwalniał, a kierowca proponował, że podwiezie nas na stopniu czy na masce. Nikomu nigdy nie przyszło do głowy, że moglibyśmy się ześlizgnąć i wpaść pod koła. Nikt się nie obawiał, że jego dzieci wciągnie w głąb oceanu groźny prąd wsteczny. Puszczeni samopas pływaliśmy w słodkowodnych oczkach, których w Back Woods nie brakuje. Nazywaliśmy je stawami, choć w rzeczywistości były to jeziora – czasami głębokie i rozległe, kiedy indziej płytkie, z widocznym dnem – relikty epoki glacjalnej, czasów, gdy cofające się lodowce zostawiały po sobie ogromne bloki topniejącego lodu, dość ciężkie, by utworzyć zagłębienie w skorupie ziemskiej – głęboką nieckę w krajobrazie wypełnioną nieskazitelnie czystą wodą. W naszym lesie było dziewięć stawów. Kąpaliśmy się we wszystkich – wkraczaliśmy na cudzy teren, żeby przedostać się do małych piaszczystych zatoczek, przekradaliśmy się ponad wodą po pniach zwalonych drzew. Skakaliśmy na bombę. Nikomu to nie przeszkadzało. Wszyscy uznawali starożytne prawo do przejścia: zacienione dróżki, które prowadziły na tyły starych domów na przylądku i powstały w tym samym czasie co pierwsze drogi gruntowe, wciąż pozostawały niezarośnięte, zakonserwowane przez śnieg, morskie powietrze i upalne lata. Była też rukiew wodna wyciągana ze strumienia – cudza rukiew z cudzego strumienia.

Od strony zatoki przylądek był bardziej wiejski, bardziej cywilizowany. Niskie wzgórza zaścielały kobierce krzewów żurawiny, śliw Graves'a i wawrzynów. Tu jednak, od strony oceanu, krajobraz był dziki, brutalny, z rozbijającymi się falami przyboju i wydmami wznoszącymi się tak wysoko, że kiedy człowiek zbiegał z wysokości, by rzucić się w ciepły piach, miał wrażenie, że ziemia pędzi mu na spotkanie. W tamtych czasach żaden z przyjaciół matki nie marudził, że bawiące się dzieci niszczą wydmy – jak gdyby ich małe stópki

mogły rywalizować z gwałtownymi zimowymi sztormami, które po kawałku łapczywie pochłaniały ląd.

Wieczorami dorośli i dzieci siedzieli przy ognisku, jedząc chrzęszczące od piasku hamburgery, które czekały na stołach z wyrzuconego na brzeg drewna całe w keczupie i reliszu. Nasi rodzicie pili dżin ze słoików po dżemie i znikali w ciemności, żeby poza zasięgiem światła całować się z kochankami wśród wysokich piaskownic.

Z czasem zaczęto zamykać drzwi. Pojawiły się tabliczki z napisem „Własność prywatna". Dzieci pierwszych osadników – artystów, architektów i intelektualistów, którzy skolonizowali okolicę – zaczęły ze sobą walczyć. Pojawiły się pretensje o hałas na wodzie, o to, kto ma większe prawo, żeby kochać to miejsce. W ludziach obudziły się psy ogrodnika. Nawet plaże opanowała tabliczkoza: ogromne obszary zamknięto, by chronić gniazdujące ptaki nadbrzeżne. Jedynymi stworzeniami, którym wciąż przyznaje się prawo do przejścia, są sieweczki blade. Ale to nadal mój las, mój staw. Miejsce, gdzie przyjeżdżam od pół wieku – w każde lato. Miejsce, gdzie poznałam Jonasa.

Z sofy na werandzie patrzę na matkę, która wypływa na milę w głąb stawu. Równe pociągnięcia, ramiona tnące wodę, niemal mechaniczna doskonałość. Matka nigdy nie podnosi wzroku. Jakby szósty zmysł mówił jej, gdzie się kierować – waleń podążający prastarym szlakiem. A ja się zastanawiam, jak zdarza mi się niekiedy, czy jej sonar odbiera coś więcej niż tylko pieśni wielorybów. „Powinien ją zostawić". Czy tego właśnie chcę? Gina i Jonas to nasi najstarsi przyjaciele. Niemal każde dorosłe lato spędzamy razem: otwieramy muszle i wysysamy żywe ostrygi, patrzymy, jak księżyc wznosi się ponad oceanem, słuchając Giny, która narzeka, że pełnia

w czasie okresu nasila jej skurcze, modlimy się, żeby miejscowi rybacy zaczęli wybijać foki, rozgotowujemy indyki na Święto Dziękczynienia, kłócimy się o Woody'ego Allena. Do cholery, Gina jest matką chrzestną mojej córki Maddy. Co by się stało, gdyby Jonas faktycznie ją zostawił? Czy mogłabym ją tak zdradzić? A przecież właśnie to zrobiłam. Wczoraj wieczorem pieprzyłam się z jej mężem. I ta myśl sprawia, że mam ochotę zrobić to jeszcze raz. Znów czuję dreszcz, falę żywego srebra.

– Cześć, żono. – Peter całuje mnie w kark.

– Cześć – mówię, walcząc o powrót do normalności.

– Wyglądasz, jakbyś błądziła myślami gdzie indziej.

– Jest kawa.

– Świetnie. – Grzebie w kieszeni koszuli i wyjmuje papierosy. Zapala jednego. Siada koło mnie na sofie. Uwielbiam jego długie nogi w spranych surfingowych szortach. Takie chłopięce. – Nie wierzę, że pozwoliłaś mi tu wczoraj zasnąć.

– Byłeś wykończony.

– To pewnie *jet lag.*

– Jasne – mówię, wywracając oczami. – Godzina różnicy między Memphis a Back Woods omal mnie nie zabiła.

– Poważnie. Z trudem zwlokłem się z łóżka. Zegarek pokazywał dziewiątą, a ja czułem się, jakby była ósma.

– Bardzo śmieszne.

– Za dużo wypiłem.

– Mało powiedziane.

– Zrobiłem coś głupiego?

– Poza tym, że nie zgodziłeś się przeczytać wiersza Shelleya dla Anny i pokłóciłeś się o kwakrów?

– Wszyscy się zgodzili, że w gruncie rzeczy byli faszystami – mówi. – Krwiożercze bestie.

– Głupek z ciebie. – Całuję go w słodki, pokryty szczeciną policzek. – Musisz się ogolić.

Poprawia okulary i przeczesuje dłonią kręcone ciemnoblond włosy, teraz posiwiałe na skroniach, próbując doprowadzić je do ładu. Mój mąż jest przystojnym mężczyzną. Nie pięknym, ale przystojnym, w stylu dawnych gwiazd filmowych. Wysoki. Elegancki. Brytyjski. Poważany dziennikarz. Typ mężczyzny, który wygląda pociągająco w garniturze. Gregory Peck w roli Atticusa. Cierpliwy, ale kiedy wpadnie w złość – onieśmielający. Potrafi dochować tajemnicy. Rzadko coś mu umyka. Teraz patrzy na mnie, jakby potrafił wyczuć seks.

– Gdzie dzieci? – Bierze jedną z wielkich białych muszli, które leżą na parapecie siatkowego okna, odwraca ją i zgniata papierosa.

– Pozwoliłam im pospać dłużej. Matka nienawidzi, kiedy to robisz. – Wyjmuję mu z rąk prowizoryczną popielniczkę, zanoszę do kuchni, wyrzucam niedopałek do śmieci i opłukuję muszlę. Matka już niemal dotarła na drugi koniec stawu.

– Jezu, ta kobieta naprawdę potrafi pływać – mówi Peter.

Jedyną znaną mi osobą, która potrafiła pokonać matkę, była Anna. Anna nie pływała – ona pruła przed siebie. Zostawiała w tyle wszystkich. Śledzę rybołowa wznoszącego się ku niebu, za którym podąża mały czarny ptak. Wiatr porusza liśćmi lilii na powierzchni stawu. Wzdychają, wydychają powietrze.

9.15

Peter w kuchni robi jajecznicę. Na werandzie czuć smażoną cebulkę. Góra wędzonego bekonu ocieka z tłuszczu na złożonych papierowych ręcznikach. Nie ma nic lepszego na kaca niż jajka na

bekonie. Choć właściwie nie ma nic lepszego niż bekon. Pokarm bogów. Jak rukola, niefiltrowana oliwa i marynowany bakłażan Patak's. Składanka na bezludną wyspę. To, i jeszcze makaron. Często wyobrażam sobie, że jestem rozbitkiem. Żywię się rybami, wznoszę domek na drzewie wysoko nad ziemią, żeby nie mogły mnie dosięgnąć żadne dzikie zwierzęta, nareszcie mam upragnioną figurę. W tej mojej fantazji morze zawsze wyrzuca na brzeg *Dzieła zebrane* Szekspira, a ponieważ nie mam nic lepszego do roboty, czytam je (z zainteresowaniem) wers po wersie. Zmuszona przez okoliczności, nareszcie staję się najlepszą wersją siebie, realizuję potencjał. Inne moje fantazje rozgrywały się w więzieniu albo w wojsku – w jakimś miejscu, gdzie nie miałam wyboru, gdzie wszystko było zakazane, gdzie zbyt się bałam niepowodzenia. Samokształcenie, setka pompek i skąpe racje sucharów zapijanych czystą wodą – to były moje dziecięce marzenia. Jonas pojawił się dopiero później.

Idę do kuchni i biorę kawałek bekonu. Peter daje mi po łapach.

– Żadnego podjadania. – Dodaje do jajek starty ser i świeżo zmielony pieprz.

– Dlaczego wziąłeś rondel? – Nie znoszę, jak Brytyjczycy robią jajecznicę. Przecież wystarczy nieprzywierająca patelnia i dużo masła. Idiotyczna metoda powolnego gęstnienia sprawia, że zostaje naczynie, którego nie można domyć. Będę musiała moczyć rondel dwa dni. – Wrrr. – Szturcham go łopatką.

Koszula Petera jest upstrzona plamkami tłuszczu.

– Odwal się, śliczna. Robię jajecznicę. – Podchodzi do chlebaka i wyjmuje bochenek krojonego pieczywa. – Zajmiesz się tostami?

Czuję, że twarz oblewa mi rumieniec, płonę na wspomnienie majtek wciśniętych za pojemnik, zmiętej czarnej koronki, nagiego ciała pod sukienką, palca rysującego linię wzdłuż mojego uda.

– Halo? Ziemia do Elle.

W tosterze matki można opiec tylko dwie kromki naraz. W dodatku z jednej strony wychodzą przypalone, a z drugiej surowe. Nastawiam piecyk i zaczynam układać chleb na papierze do pieczenia. Biorę kostkę masła, niepewna, czy posmarować go najpierw, czy potem.

– Ile mamy czasu?

– Osiem minut – mówi Peter. – Góra dwanaście. Idź po dzieciaki.

– Powinniśmy zaczekać na mamę.

– Jajecznica zrobi się twarda.

Spoglądam na staw.

– Jest w połowie drogi.

– Kto daleko wypływa, sam sobie szkodzi.

– Dobra, ale ty bierzesz to na klatę.

Kiedy moja matka jest urażona, daje to odczuć wszystkim wokół. Tylko że Peter ma na to wywalone. Zwykle się śmieje, mówi, żeby przestała się wygłupiać, a ona z jakiegoś powodu go słucha.

1952. Nowy Jork

Moja matka miała osiem lat, kiedy jej matka, Nanette Saltonstall, wyszła za mąż po raz drugi. Nanette należała do nowojorskiej śmietanki – była samolubna i piękna, słynęła z pysznych ust i okrutnych docinków. Przyszła na świat w bogatej rodzinie i dorastała rozpieszczana przez ojca bankiera. Ale wielki krach zmienił wszystko. Z rezydencji przy Piątej Alei Saltonstallowie przeprowadzili się do ciemnej czynszówki w Yorkville, gdzie jedynym luksusem, na jaki pozwalał sobie mój pradziadek George, był drink o szóstej po południu – martini z wódką mieszane długą srebrną łyżką w kryształowym shakerze. Uroda najstarszej córki to był cały ich majątek: Nanette miała wyjść bogato za mąż i ocalić rodzinę.

Taki był plan. Ona tymczasem wyjechała do szkoły projektowania mody w Paryżu, gdzie zakochała się w moim dziadku, Amorym Cushingu, rzeźbiarzu, który wprawdzie pochodził z bostońskiej arystokracji, ale nie miał grosza przy duszy – jedynym jego poręczeniem był pełen zakamarków stary dom nad brzegiem ukrytego w leśnej głuszy jeziora polodowcowego w Massachusetts. Odziedziczył go wraz ze stawem po dalekim wuju.

Dziadek Amory wybudował letnisko w tym krótkim okresie, kiedy oboje z babką byli zakochani. Wybrał długi, wąski pas ziemi nad wodą, ukryty za ostrym zakrętem. Wpadł na pomysł, żeby wynajmować domki na lato, dzięki czemu mógłby utrzymać czarującą żonę i dwoje małych dzieci. Z zewnątrz chatki są solidne: szczelne, kryte dwuspadowym dachem, przetrwały niezliczone surowe, północno-wschodnie zimy i rodzinne utarczki. Ale dziadek miał ograniczone fundusze, dlatego ściany i sufity wewnątrz postanowił wykonać z prasowanej tektury Homasote, taniej i praktycznej, całość zaś przezwał Papierowym Pałacem. Nie wziął pod uwagę tego, że babka zostawi go przed ukończeniem budowy. Ani że tekturę uwielbiają myszy, które zimą wygryzają w ścianach dziury i przeżutą celulozą – jakby to było muesli – karmią młode rodzące się w komodzie. Co roku osoba otwierająca letnisko musi wynosić szuflady do lasu, żeby pozbyć się mysich gniazd. To los nie do pozazdroszczenia: zimy na Cape Cod są ciężkie, o czym przekonali się Pielgrzymi. Ale mysie siki śmierdzą, a ja zawsze nienawidziłam pisków przerażenia, które wydają młode wypadające w zarośla.

Po rozwodzie babka Nanette przez kilka miesięcy rozbijała się po Europie, opalając się topless w Cadaqués i popijając zimną sherry z żonatymi mężczyznami, podczas gdy mama i jej młodszy brat

Austin czekali w hotelowych holach. Gdy skończyły się jej pieniądze, uznała, że pora wracać do domu i zrobić to, co od początku planowali rodzice. Dlatego poślubiła bankiera. Jima. Przyzwoitego człowieka. Po Andover i Princeton. Kupił babce mieszkanie z widokiem na Central Park i długowłosego kota syjamskiego. Mamę i Austina zapisano do ekskluzywnych prywatnych szkół, w których chłopcy od pierwszej klasy nosili marynarkę i krawat, a ona uczyła się mówić po francusku i przyrządzać Baked Alaska.

Tydzień przed swoimi dziewiątymi urodzinami mama pierwszy raz w życiu zrobiła laskę. Wcześniej patrzyła, jak drżący Austin maleńkimi dłońmi sześciolatka przytrzymuje członek ojczyma, dopóki ten nie stwardnieje. Jim oznajmił, że to całkowicie naturalne i przecież chcą go uszczęśliwić, prawda? Najgorszy w tym wszystkim, stwierdziła matka, gdy w końcu opowiedziała mi tę historię, był lepki biały wytrysk. Z całą resztą może potrafiłaby sobie poradzić. Poza tym nienawidziła ciepła penisa i lekko wyczuwalnego zapachu moczu. Jim zagroził, że jeśli kiedykolwiek powiedzą o tym matce, to popamiętają. Powiedzieli i tak, Nanette jednak oskarżyła ich o kłamstwo. Nie miała dokąd pójść, nie miała żadnych pieniędzy. Gdy zastała męża posuwającego nianię w służbówce obok kuchni, warknęła, żeby nie był wulgarny, i z hukiem zamknęła drzwi.

Pewnej soboty babka wróciła wcześniej z lunchu w klubie. Jej przyjaciółka Maude miała migrenę, a ona nie chciała iść do Frick Collection sama. W domu było pusto – przy drzwiach czekał na nią tylko kot, który owinął się wokół jej nóg, uwodzicielsko wyginając grzbiet. Rzuciła futro na ławę, zdjęła szpilki i pomaszerowała prosto do swojej sypialni. Jim siedział w fotelu, spodnie miał opuszczone do kostek. Przed nim klęczała moja matka. Babka podeszła do niej i z całej siły uderzyła ją w twarz.

Matka opowiedziała mi tę historię, kiedy miałam siedemnaście lat. Byłam wściekła, bo Anna dostała pieniądze i poszła sobie kupić nowy błyszczyk w Gimbels, a ja musiałam zostać w domu i pozmywać.

– Na litość boską, Elle – powiedziała, gdy stałam przy zlewie nad stertą brudnych naczyń, gotując się z wściekłości. – Kazałam ci pozmywać… Nie dostaniesz błyszczyka. Ja musiałam robić ojczymowi laskę, a Austin go masturbować. Co mam ci powiedzieć? Życie nie jest sprawiedliwe.

9.20

Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, myślę, idąc w stronę chatki, w której śpią dzieci, że moja matka przestała szanować kobiety, ale nie mężczyzn. Perwersja ojczyma była trudna do przełknięcia, jednak to zdrada babki, słabość jej charakteru sprawiły, że stała się zimna. W jej świecie mężczyźni cieszą się poważaniem. Matka wierzy, że szklany sufit ma sens. Peter nie może zrobić nic niewłaściwego.

– Jeśli chcesz sprawić przyjemność mężowi, kiedy wraca z pracy – poradziła mi wiele lat temu – pamiętaj o świeżej bluzce, diafragmie i uśmiechu.

Myśl jak Botticelli.

3

1971. Kwiecień, Nowy Jork

Pan Dancy wpatruje się w maleńką kwadratową wannę w łazience służbówki, znajdującej się obok ciemnej kuchni w naszym mieszkaniu. Pani Dancy wyprowadziła się z budynku. Pan Dancy odwiedza nas często, pod podwiniętymi rękawami koszuli widać umięśnione ręce. Na emaliowym kranie, który właśnie zakręcił, widnieją dwie literki, C i Z. Stary mosiężny odpływ połyskuje w zimnej wodzie. W wannie pływa maleńki aligator. Pan Dancy kupił go w Chinatown z myślą o dzieciach. Powiedziano mu, że osobniki z tego gatunku nie rosną dłuższe niż na stopę. Właśnie się przekonał, że padł ofiarą oszustwa. Aligator to wciąż jeszcze maleństwo. Niedługo jednak stanie się niebezpieczny. Już teraz w wannie jego oczy błyszczą groźnie. Wkładam do wody drewnianą pałeczkę i patrzę, jak chwyta ją ze złością, przerażony, gryząc nadaremno.

– Daj mi to – mówi Anna, nachylając się niebezpiecznie nisko nad wodą. – No daj! – Jej długie czarne warkocze zostawiają na powierzchni kuszący ślad.

Podaję jej pałeczkę, a ona dźga gadzinę. Pan Dancy przygląda się temu, przygładzając gęste karmelowe wąsy. Po chwili wyciąga

aligatora za szorstki ogon i przenosi nad sedes. Zwierzę wije się w powietrzu, próbując złapać go zębami za nadgarstek. Zafascynowana patrzę, jak pan Dancy wrzuca je do muszli i spuszcza wodę.

– Nie mogliśmy go zatrzymać – mówi. – Wyrósłby z niego prawdziwy potwór.

– Carl – woła matka z głębi mieszkania – chcesz drinka? Kolacja już prawie gotowa.

1971. Czerwiec, Nowy Jork

To pierwszy tydzień, który spędzamy z Anną w nowym mieszkaniu ojca. Znajduje się przy Astor Place, w brudnej kamienicy bez windy, ale ojciec potrafi sprawić, że wydaje się egzotyczne i niepospolite. Powietrze jest tu ciężkie, gorące, nie ma klimatyzacji – nie pozwala na to stara instalacja elektryczna – ojciec jednak zamontował pod sufitem wentylator. I obiecuje, że gdy dostanie wypłatę, kupi nam po lalce w stroju narodowym. Ja chcę Holenderkę. Ojciec obiecuje wiele cudownych rzeczy i z czasem nauczymy się, żeby na nie nie czekać. „Odtąd jestem tylko ja i moje dziewczynki". Skaczemy po wysuwanym łóżku, tańczymy przy akompaniamencie Monkees i jemy jogurty Dannon z borówkami. Jeśli je wymieszacie, owoce z dna sprawią, że jogurt zmieni kolor, mówi ojciec, włączając wieczorne wiadomości.

W poniedziałek rano starannie ubiera się w prążkowany garnitur Brooks Brothers i brązowe brogsy, które czyści do połysku irchą. Pachnie Old Spice'em i pianką do golenia. Patrzy na siebie w lustrze, rozdziela włosy małym szylkretowym grzebykiem, przesuwa krawat tak, żeby znalazł się dokładnie pomiędzy rogami wykrochmalonego kołnierzyka, obciąga mankiety, poprawia złote spinki.

– Wasz ojciec w młodości uchodził za wyjątkowo przystojnego – mówi matka. – Kiedy w Yale grał w drużynie futbolowej, nazywano go Pięknym Piłkarzykiem. Ten głupi sport zrujnował mu kolana.

Trzymam się poły jego marynarki, gdy schodzimy po ciemnych skrzypiących schodach. Na głowie mam kołtun – nikt mi nie przypomniał, żeby się uczesać. Żołądek z nerwów skręcił mi się w supeł. Dziś pierwszy dzień półkolonii Triumph Day Camp. Razem z Anną pojedziemy same autokarem. Obie mamy mundurki: granatowe krótkie spodenki i białe koszulki z napisem „Triumf" od frontu. Napis na plecach głosi: „Każda dziewczynka jest czempionką".

– Bardzo niewiele dziewczynek na świecie ma takie szczęście jak wy i może nosić podobne koszulki – mówi ojciec.

Po drodze w Chock full o'Nuts kupuje nam kanapki na lunch: chleb z daktylami i orzechami z serkiem śmietankowym. Nie chcę, żeby się na mnie gniewał, ale zdradliwe łzy same płyną mi z oczu. Nie znoszę serka śmietankowego, mówię, kiedy pyta mnie, co się stało. Stwierdza, że na pewno polubię, i wręcza mi papierową torbę. Widzę, że jest poirytowany, i to mnie martwi. Gdy pakuje nas do autokaru, błagam, żeby nie kazał mi jechać. Mówi, że nie może być w dwóch miejscach naraz. Musi zarabiać na życie. Recenzje same się nie napiszą. „Time-Life" czeka. Ale będzie tu, kiedy wrócimy. I zapewnia, że półkolonie mi się spodobają.

Autokar wjeżdża w Szóstą Aleję, a ja patrzę, jak ojciec niknie w oddali. Odrywam skrawek papierowej torby z lunchem i żuję, aż zmienia się w kulkę. Co, jeśli zechce mi się siku? Skąd mam wiedzieć, dokąd iść? Chcę zdobyć odznakę pływacką, ale nie wolno mi wypuszczać się na głęboką wodę. Anna zupełnie mnie ignoruje, gawędząc z dziewczynką obok, i zjada połowę swojej kanapki, zanim autokar dociera do Westchester.

Ośrodek, do którego jedziemy, znajduje się nad jeziorem. Po drodze mijamy boiska do baseballu, pole z wielkimi tablicami do rzutek, olbrzymie tipi. Kierowca zatrzymuje się na końcu długiej kolejki żółtych autokarów. Na parkingu jest pełno dziewczynek. Wszystkie mają takie same koszulki z napisem „Triumf".

Moje opiekunki mówią, że nazywają się June i Pia. Obie noszą koszulki takie jak reszta, tylko jaskrawoczerwone.

– Witajcie, grupo pięć-siedem! Dla nowych dziewczynek: jeśli będziecie nas potrzebować, szukajcie czerwonych koszulek – mówi June. – Niech podniosą rękę te, które były na półkoloniach w zeszłym roku.

Większość mojej grupy podnosi ręce.

– Wy już jesteście czempionkami! Pójdziemy teraz do szafek, żebyście mogły zostawić prowiant. Jesteśmy w Little Arrow.

Każe nam ustawić się za sobą w rzędzie. Pochód zamyka Pia.

– Żeby nikt nie został w tyle – mówi. – Zasada numer jeden: nigdy, ale to przenigdy nie odłączajcie się od grupy. A jeśli tak się zdarzy, nigdzie się nie ruszajcie. Zostańcie na miejscu i zaczekajcie, aż ktoś po was wróci.

Na krawędzi każdej szafki znajduje się kawałek taśmy z imieniem i nazwiskiem oraz datą urodzenia wypisaną flamastrem. „Eleanor Bishop, 17 września 1966". Przygryzam palec. Teraz wszyscy będą wiedzieć, że jeszcze nie skończyłam pięciu lat, i nie zechcą się ze mną bawić. Moją sąsiadką jest Barbara Duffy. Ma siedem lat i pojemnik na lunch z Beatlesami.

– Weźcie plecaki! – woła June. Najpierw mamy przerwę na siku, a potem możemy przebrać się w kostiumy. – Kto umie pływać w miejscu? To pracownia plastyczna – mówi, kiedy mijamy salę pachnącą kartonem i klejem.

Na przebieralnię składa się rządek kabin z zasłonkami. Wchodzę do środka i zaciągam kotarę. Jestem w majtkach, kiedy orientuję się, że ojciec zapomniał spakować kostium. Zanim zdążę ubrać się z powrotem, wszyscy są już nad jeziorem. Siadam na drewnianej ławce.

June i Pia uświadamiają sobie, że mnie nie ma, dopiero w porze posiłku, kiedy liczą grupę po kąpieli. Słyszę, jak raz po raz wołają moje imię. Rozlega się ostry, spanikowany dźwięk gwizdka.

– Wszyscy z wody! – krzyczy ratownik. – Ale już!

Siedzę cichutko, czekając, aż ktoś po mnie przyjdzie.

9.22

Schodki przed domkiem dzieci – trzy stare sosnowe deski przytwierdzone blaszkami, które wyglądały, jakby były na granicy przerdzewienia, już kiedy się urodziłam – uginają się pod moim ciężarem. Walę pięścią w drzwi. Są obramowane metalem, mają siatkę i okienka, które można podnosić lub opuszczać i zamykać z miłym kliknięciem. Cała trójka moich dzieci leży bezpiecznie w ciepłych łóżkach, pomalowaną jaskrawożółtą farbą podłogę zaścielają mokre ręczniki i stroje kąpielowe. Matka ma rację. Naprawdę zrobili tu chlew.

– Halo! Śniadanie! – Łomocę. – Wstawać migiem.

Jack, najstarszy, przekręca się, patrzy na mnie z zimną pogardą i naciąga szorstki wełniany koc na głowę. Kilka nocy musi przemęczyć się z rodzeństwem, bo w jego chatce matka truje gmachówki. Siedemnaście lat to paskudny wiek.

Dwoje młodszych z zapuchniętymi oczami wyłania się ze swoich kokonów, mrugając w świetle poranka.

– Jeszcze pięć minut – jęczy Maddy. – Wcale nie jestem głodna.

Madeline ma dziesięć lat. Oszałamiająca piękność – jak moja matka. Choć w przeciwieństwie do większości kobiet w naszej rodzinie jest drobna i delikatna, ma bladoróżową angielską cerę, szare oczy Petera i gęste, ciemne włosy Anny. Za każdym razem, kiedy na nią patrzę, nie potrafię wyjść ze zdumienia, że ta istota wyszła ze mnie.

Finn wygrzebuje się z łóżka w uroczo opadających slipkach, wycierając z oczu piasek. Boże, kocham go. Na policzkach odbiły mu się zagniecenia poduszki. Ma dopiero dziewięć lat – jedną nogą jest wciąż małym chłopcem. Ale już niedługo on też zacznie traktować mnie z absolutną pogardą. Gdy urodził się Jack, popatrzyłam na niego, małego oseska w moich ramionach, ślicznego jak świnka, ucałowałam jego powieki i powiedziałam: „Tak bardzo cię kocham, a ty, bez względu na to, co zrobię, pewnego dnia mnie znienawidzisz. W każdym razie na jakiś czas". Takie jest życie.

– W porządku, rozkoszniaki. Chcecie, to chodźcie, nie chcecie, nie idźcie. Ale ojciec robi jajecznicę, a wiecie, co to znaczy?

– Absolutny koszmar i burdel na kółkach – mówi Jack.

– Otóż to. – Z tupotem schodzę po schodkach. – A ty licz się ze słowami! – wołam przez ramię, odchodząc przysypaną igłami ścieżką.

Czekam, aż drzwi do mojej chatki zamkną się z trzaskiem, i dopiero wtedy pozwalam sobie odetchnąć, wypuścić powietrze, które wstrzymywałam od momentu, kiedy Peter zaskoczył mnie na werandzie. Niewiarygodne, jak normalnie wygląda wszystko w naszym pokoju: ubrania na wiekowych metalowych wieszakach wiszące na drewnianym drążku. Dębowa komoda z dolną szufladą, która klinuje się, kiedy pada. Łóżko, w którym od tylu lat śpimy z Peterem zwinięci jak kiełki paproci, sklejeni potem, seksem

i pocałunkami, jego słodko-kwaśny zapach. Peter zostawił je niepościelone.

Odwieszam szlafrok na zardzewiały gwóźdź. Obok stoi wysokie zmatowiałe lustro – pół wieku wilgoci i mrozów odcisnęło na nim swój ślad. Jego półprzejrzysta powierzchnia i liczne blizny nieodmiennie wzbudzają moją wdzięczność. Dzięki temu mogę patrzeć na swoje odbicie przez cętkowane srebrne płótno, które skrywa wszystkie niedoskonałości: poszarpaną szramę na brodzie, pamiątkę po nocy, kiedy zastaliśmy z Peterem włamywacza w domu, długą, cienką bliznę biegnącą przez brzuch, wciąż widoczną po pięćdziesięciu latach, i małą białą poniżej.

Jack pojawił się od razu. Ale po nim – nic. Bez względu na to, jak bardzo się staraliśmy, bez względu na to, czy miałam nogi uniesione, czy opuszczone, czy byłam rozluźniona, czy spięta, na górze czy na dole. Nic. Początkowo myślałam, że to przez niego. Że coś się naderwało w trakcie porodu. Albo może kochałam go za bardzo, żeby pozwolić sobie pokochać kogoś jeszcze. Wreszcie lekarz zrobił niewielkie nacięcie ponad kością łonową i wpuścił do środka kamerę, sondując moje wnętrze w poszukiwaniu odpowiedzi.

– No cóż, młoda damo – powiedział, gdy obudziłam się po znieczuleniu – ktoś tam kiedyś narobił niezłego bałaganu. Wszystkie te bliznowate tkanki wyglądają jak ze spaghetti westernu. W dodatku chirurgowi udało się odciąć pani lewy jajnik. Ale mam też dobre wieści – dodał, kiedy zaczęłam płakać. – W zdrowym jajowodzie jest zagięcie, które przyszyto do fragmentu blizny. W tym miejscu gromadziły się jajeczka. Przeciąłem szew i uwolniłem jajowód.

Rok później przyszła na świat Maddy. Finn – jedenaście miesięcy po niej.

– Gratulacje – powiedział lekarz, kiedy siedziałam na fotelu do badań, a Peter stał obok. – Będą państwo mieli irlandzkie bliźnięta.

– Irlandzkie? – zawołał Peter. – Niemożliwe.

– Oczywiście, że możliwe – odparł lekarz.

– No cóż, jeśli się pan nie myli, to będę musiał znaleźć tego pijusa, który wydymał moją żonę, i zrzucić go z najwyższego klifu w Kilkenny.

– Kilkenny nie ma dostępu do morza – oznajmił lekarz. – Kilka lat temu byłem tam na turnieju golfa.

Staję przed największym niezmatowiałym fragmentem lustra i patrzę na swoje nagie ciało, oceniam je, szukając czegoś, co mogłoby zdradzić prawdę, panikę w moim wnętrzu, głód, żal, zapierające dech pragnienie. Ale widzę tylko kłamstwo.

– Śniadanie! – woła Peter z Dużego Domu. – Raz, raz!

Wkładam kostium kąpielowy, łapię sarong i biegnę, łomocąc po drodze do drzwi chatki dzieci. W pobliżu Dużego Domu zwalniam. Takie posłuszne wykonywanie rozkazów jest nie w moim stylu, Peter dobrze o tym wie. Przeciskam się przez zarośla na wilgotny brzeg, wbijam palce stóp w mokry piasek. Miarowe ruchy matki zostawiają na tafli stawu biały ślad. Woda powoli błękitnieje. Niedługo już nawet w przejrzystych brązowo-zielonych plamach płycizn zacznie się odbijać niebo. Przez kilka godzin karpiowate i bassy wielkogębowe unoszące się ponad kręgami gniazd w piasku będą niewidoczne. To, co poniżej, zostanie przed nami ukryte.

1972. Czerwiec, Back Woods

Pędzę przez las w bawełnianej nocnej koszulce. Wąska dróżka łącząca nasze letnisko z domem dziadka Amory'ego biegnie w górę i w dół poszarpanej linii brzegowej stawu. Ojciec wyrąbał ją w początkach znajomości z matką. Dziadek Amory nazywa ją

„ścieżką intelektualisty”, bo, jak twierdzi, kluczy dokoła, nie docierając do celu. W pobliżu jego domu znajduje się stromizna. Mknę w dół, starając się nie trafić bosymi stopami w kikuty krzaków wyciętych przez ojca. Te paskudne małe wyrostki to jego jedyna spuścizna. Mijam okno sypialni dziadka na paluszkach, żeby mu nie przeszkadzać, a potem biegnę na koniec drewnianego pomostu. Spuszczam nogi do wody, drapiąc swędzący brzuch, i staram się siedzieć nieruchomo. Mikroskopijne bąbelki okrywają moje stopy musującą powłoką.

Zaraz się zjawią. Trzeba tylko siedzieć w bezruchu. Pozwolić, by stopy stały się przynętą. Błyskawicznie wyskakują z cienia. Odwaga bierze górę nad lękiem i wreszcie czuję delikatne ssanie. Jeden po drugim bassy słoneczne całują moje stopy, zjadając martwy naskórek i drobiny poszycia leśnego, które przykleiły się do nich po drodze. Uwielbiam te maleńkie rybki. Mają kolor wody w stawie, nakrapiane grzbiety i słodkie wąziutkie wargi. Co rano przynoszę im na śniadanie swoje świeże stopy.

Matka i pan Dancy wciąż leżą w łóżku, kiedy wracam. Ich domek ma okno wychodzące na staw. Wbiegam do środka bez pukania i mokrymi, zapiaszczonymi stopami skaczę po sprężystym materacu. Moja koszulka nocna unosi się za każdym razem, gdy ląduję.

– Wynocha – warczy pan Dancy przez sen. – Jezu Chryste, Wallace.

Przez okno widzę, jak Anna i jej najlepsza wakacyjna przyjaciółka Peggy chlapią się w stawie. Peggy ma pomarańczowe włosy i piegi.

– Co to jest? – Matka wskazuje na mój brzuch. – Nie ruszaj się!

Przestaję skakać, podciągam koszulkę i pozwalam obejrzeć brzuch. Cały jest w czerwonych plamkach.

– Rany boskie – mówi matka. – Ospa wietrzna. Skąd to się wzięło? Lepiej sprawdzę, co z Anną.

– Swędzi – mówię, zeskakując z łóżka.

– Zostań tu – nakazuje matka. – Poszukam kalaminy.

– Ale ja chcę iść się kąpać.

– Nie ma mowy. Nie chcę, żebyś zaraziła Peggy.

Przepycham się koło niej i rzucam do drzwi.

Pan Dancy łapie mnie za rękę i przytrzymuje mocno.

– Słyszałaś, co mówi matka.

Próbuję się wyrwać, ale zacieśnia uchwyt.

– Carl, przestań. Robisz jej krzywdę.

– Trzeba nad nią zapanować.

– Proszę. Ona ma pięć lat.

– Nie mów mi, jak mam postępować.

– Oczywiście, że nie. – Matka próbuje go udobruchać.

Pan Dancy wstaje i zaczyna się ubierać.

– Gdybym chciał spędzać czas z zepsutymi bachorami, to byłbym teraz z własnymi dziećmi.

– Co robisz? – Głos matki brzmi ostro i piskliwie.

– Zobaczymy się w mieście. To miejsce działa mi na nerwy.

– Proszę, Carl.

Drzwi zamykają się za nim z trzaskiem.

– Nie ruszaj się stąd, zrozumiano? – mówi matka. – Jeśli zobaczę, że wyszłaś, to się z tobą porachuję. – Wybiega, żeby go zatrzymać.

Siadam na łóżku i patrzę, jak Anna wkłada maskę z rurką. Kuca na brzegu tyłem do stawu, zanurza maskę w wodzie, opróżnia ją, a potem pluje do środka. Za jej plecami Peggy wchodzi coraz głębiej. Z każdym krokiem kilka cali jej ciała znika pod powierzchnią. Słychać warkot zapuszczanego silnika. Matka woła, jej głos cichnie w oddali,

gdy biegnie podjazdem, goniąc samochód pana Dancy'ego. Patrzę, jak końcówka rudego warkoczyka Peggy znika w stawie. Teraz wystaje już sama głowa, bezcieleśnie unosi się na wodzie. Po chwili czubek, który wygląda jak grzbiet żółwia. Na koniec Peggy jest już tylko strużką bąbelków powietrza. Wyobrażam sobie, że pod wodą rybki składają na jej ciele delikatne pocałunki. Bąbelki znikają. Czekam, aż Peggy się wynurzy. Bębnię w szybę, próbując zwrócić uwagę Anny. Wiem, że mnie słyszy, ale nie chce podnieść wzroku. Walę znowu, tym razem mocniej. Anna pokazuje mi język, siada na piasku i wkłada żółte płetwy.

4

10.00

W popielniczce obok Petera jest już pięć niedopałków. Spomiędzy warg zwisa mu camel light. Mój mąż, nieświadom tego, pije kawę. Nie wyjmuje go z ust. Jakby to była jarmarczna sztuczka. Kiedy przełyka, cienka smuga dymu unosi się znad dolnej wargi. Sięga do kieszeni koszuli i wyjmuje pomarańczową zapalniczkę Bic, międli ją w dłoni jak sznur modlitewny, przewraca stronę w gazecie, po omacku szuka kawałka bekonu. Gdyby to było możliwe, paliłby przez sen. Na początku wierciłam mu o to dziurę w brzuchu, błagałam, żeby przestał. Ale to tak, jakby prosić kurę, żeby zaczęła latać. Oczywiście, że chcę mu ocalić życie, lecz tak naprawdę tylko on może to zrobić.

Dzieci rozłożyły się na sofie, przykleiły do swoich ekranów, białe ładowarki tkwią w każdym gniazdku, brudne naczynia po śniadaniu wciąż stoją na stole, sponiewierana powieść matki leży na podłodze. Cały bekon i większość jajecznicy zniknęły. Patrzę, jak matka wychodzi ze stawu i strząsa wodę, jasne krople kreślą na niebie łuki. Pozwala włosom wysunąć się z koka, wyżyma je, szybko zwija

z powrotem i spina klamerką. Sięga po stary miętowozielony ręcznik, który powiesiła na gałęzi, i owija nim ciało. Biorę ostatni kęs tostu. W wieku siedemdziesięciu trzech lat wciąż jest piękna.

Tego ranka, kiedy Peggy utonęła, stałam niemal w tym samym miejscu co teraz. Nagle zjawiła się matka, krzycząc na Annę, rozchlapując wodę, dając nura w głębinę. Kiedy się wyłoniła, trzymała Peggy za warkoczyk. Peggy była jasnosina. Matka wyciągnęła ją na brzeg, zaczęła walić w pierś i wdmuchiwać jej w usta powietrze. W końcu Peggy zakrztusiła się, zaczerpnęła gwałtownie powietrze i zwymiotowała. Mama, która jako młoda dziewczyna została ratowniczką, znała sekret: wiedziała, że niektórych topielców można przywrócić do życia. Patrzyłam. Na matkę bawiącą się w Boga. Na pana Dancy'ego znikającego z naszego życia na zawsze. Na Annę, która dźgała Peggy w stopę, próbując ją obudzić.

Teraz patrzę, jak matka wystawia twarz na ciepłą bryzę. Z tyłu na ramionach ma starcze plamy. Skórę pod kolanami i na udach znaczy pajęcza sieć popękanych naczyń krwionośnych. Rozgląda się obojętnie, lekko wzrusza ramionami w geście, który rozpoznaję jako „Aha!", i bierze korekcyjne okulary przeciwsłoneczne z dzioba kanu, gdzie je zostawiła. Widziałam to wszystko już setki razy, ale tego ranka wydaje się inna. Starsza. I to mnie smuci. Moja matka ma w sobie coś odwiecznego. Owszem, jest upierdliwa, ale emanuje godnością. Przypomina Margaret Dumont z filmów braci Marx. Nigdy się nie wywyższa, po prostu tak ma. Powinniśmy byli zaczekać na nią ze śniadaniem.

– Możesz mi podać tost czy szarańcza pożarła wszystko? – mówi mama, wchodząc na werandę i odsuwając krzesło.

Peter spogląda badawczo znad gazety.

– Dobrze się pływało, Wallace?

– Niezbyt. Pływacze wróciły. To przez tych cholernych rybaków. Przywlekają je na dnie łodzi, Bóg jeden wie skąd.

– A mimo to wyglądasz olśniewająco.

– Phi – prycha mama, sięgając po tost. – Pochlebstwo nic ci nie da. A już na pewno nie sprowadzi z powrotem bekonu.

– W takim razie wstanę i zrobię nowy.

– Twój mąż ma dziś wyjątkowo dobry humor – mówi do mnie mama.

– Istotnie – przytakuje Peter.

– Jesteś chyba jedyną osobą na świecie, której posłużyła podróż do Memphis.

– Uwielbiam cię, Wallace – śmieje się Peter.

Wstaję od stołu.

– Ja się zajmę bekonem. I jajkami. Te już całkiem wystygły.

– Mój Boże, nie! – woła mama. – Kolejna sterta brudnych naczyń? Zostało choć jedno czyste?

– Jajecznica czy na miękko? – Znów jej nienawidzę. – Jack, pozbieraj talerze i przynieś babci dżem.

– Maddy, przynieś Wallace dżem – mówi Jack do siostry, nie podnosząc wzroku.

Matka uparła się, żeby dzieci zwracały się do niej po imieniu. „Nie jestem jeszcze gotowa, żeby być babcią", oznajmiła, zanim Jack zaczął mówić. „I mam nadzieję, że nie spodziewasz się, że będę je niańczyć".

Maddy nie reaguje.

– Kochani? Halo? – Naprawdę opieram dłonie na biodrach.

– Ty już wstałaś – mówi Jack. – Więc sama możesz pozbierać.

Wstrzymuję oddech, żeby nie wybuchnąć. Jestem pod wodą, przez mroczną zieloną toń spoglądam na rybę. Zamykam oczy. Jestem Peggy. Wybieram ciszę trzcin.

Peter zapala kolejnego papierosa.

– Jack, rób, co ci każe matka. Przestań zgrywać durnia.

– Tak, Jack – przytakuje mama. – Zachowujesz się jak gówniarz. To nie przystoi.

1956. Gwatemala

Babka Nanette przeprowadziła się do Ameryki Środkowej po tym, jak zostawił ją trzeci mąż. Wprawdzie rozwiodła się w końcu z potwornym Jimem, ale nie była w stanie przetrwać w wielkim świecie bez mężczyzny. Na ratunek przyszedł jej Vince Corcoran – milioner, co w tamtych czasach miało swoją wagę. Vince zbił majątek na imporcie i eksporcie owoców i kawy. Nie grzeszył urodą, ale za to był naprawdę dobrym człowiekiem – wielkodusznym, miłym dla dzieci, szaleńczo zakochanym w ich matce. Nanette wyszła za niego dla pieniędzy. Woń jego oddechu i wielkie krople potu, które kapały z czoła na jej twarz, gdy uprawiali seks, były nie do zniesienia. Budziły w niej obrzydzenie. To, że poślubiła sprzedawcę bananów, odbierała jako upokorzenie, miała jednak dom w Gramercy Park i rolls-royce'a w kolorze caberneta. Vince rozwiódł się z żoną, gdy przeczytał o tym w jej pamiętniku, w każdym razie tak niesie wieść. W wyniku ugody babka dostała jedynie samochód, niewielką miesięczną pensję i ogromną willę w Gwatemali, której nigdy nie widziała na oczy. Kilka lat wcześniej Vince wygrał ją od kolegi w pokera. Tak więc samotna, ledwie trzydziestotrzyletnia, trzykrotnie rozwiedziona, musiała pożegnać się z życiem bywalczyni nowojorskich salonów: sprzedała futra, spakowała skórzane walizki, zapakowała Wallace i Austina – wówczas odpowiednio dwunasto-

i dziesięcioletnich – do rolce-royce'a i wyruszyła w podróż do dalekiej doliny na obrzeżach Antiguy, pięknego kolonialnego miasteczka położonego w cieniu wulkanów.

Casa Naranjal było zrujnowaną, pełną legwanów posiadłością. Na jej terenie rosły sady pomarańczowe, limonkowe i awokadowe. Wiosną lawendowym płomieniem wybuchały jakarandy. Pod klekoczącymi pierzastymi liśćmi ciężko zwieszały się kiście bananów. W porze deszczowej rzeka wzbierała, a potem występowała z brzegów. Przed wścibskim wzrokiem okolicznych mieszkańców posiadłość chronił mur. Potężnych drewnianych wrót strzegł don Ezequiel, bezzębny staruszek. Przez większość czasu siedział w cieniu chatki z suszonej cegły, jedząc *frijoles*, które nabierał nożem. Matka uwielbiała siadać obok na twardym klepisku i obserwować, jak je.

Wraz z posiadłością babka Nanette odziedziczyła niewielki zastęp służących, kucharkę i trzy konie, które, puszczone luzem, wałęsały się po terenie. Przystojny czarnowłosy ogrodnik, który nosił się wyłącznie na biało, zrywał im na śniadanie owoce mangostanu, przeganiał pancerniki z trawników i wyławiał wielkie robaki z basenu o ciemnym dnie. W ciągu dnia babka siedziała zamknięta w sypialni, bojąc się tego obcego świata, który był jej ratunkiem, i nie potrafiąc porozumieć się z nikim poza swoimi dziećmi. Jej sypialnia mieściła się na górze ośmiokątnej wieży obrośniętej fioletową bugenwillą. Na dole znajdował się ogromny salon z wysokim sufitem i potężnymi drzwiami otwierającymi się na malowniczy pejzaż. W ciągu dnia jedyną formą obecności matki był dla dzieci odgłos jej kroków na terakotowej posadzce nad ich głowami.

Do kuchni, gdzie kucharka co rano przygotowywała ciasto na tortillę i miażdżyła zielone pomidory na *salsa verde*, prowadził

z salonu taras z kolumnami. W łukach między filarami wisiały złocone klatki z mnóstwem jaskrawo upierzonych papug. Wallace i Austin jadali posiłki sami, przy długimi stole, karmiąc ptaki kawałkami smażonych platanów, papugi zaś trajkotały do nich po hiszpańsku. Mama zawsze twierdziła, że właśnie w ten sposób nauczyła się języka. Jej pierwsze słowa brzmiały: „Huevos revueltos? Huevos revueltos?", to znaczy: „Jajecznica? Jajecznica?".

Przez trzy miesiące Wallace i Austin nie chodzili do szkoły. Babka Nanette nie miała pojęcia, jak to zorganizować. (Matka uwielbia mi o tym przypominać za każdym razem, kiedy martwię się o edukację moich dzieci. „Nie bądź taka pospolita, Elle", mówi. „Tobie to nie przystoi. Sztywne zasady są dla maluczkich". Jej postawa w dużej mierze wynika stąd, że sama ledwie potrafi dodawać – co lubię jej wytykać).

Austin bał się opuszczać posiadłość, mama więc włóczyła się po okolicy samopas, ze starą leicą, którą dostała od ojca. Fotografowała białe byki wśród pustych pól, opuchnięte z głodu dzikie konie w wyschniętych korytach rzek, skorpiony ukrywające się w cieniu sterty drewna, brata popijającego lemoniadę na brzegu basenu. Najbardziej lubiła cmentarz za wioską. Ubóstwiała schowane za kratami madonny, pachnące nagietki, których wieśniacy przynosili całe naręcza, tynkowane na różowo nagrobki, które przypominały katedry dla lalek, papierowe kwiaty zdobiące krypty w ulubionym kolorze nieboszczyka – turkusowym, pomarańczowym, cytrynowożółtym. Chodziła tam czytać, zwinięta w kłębek w cieniu grobowca, dusze zmarłych dodawały jej otuchy.

Popołudniami na swoim ulubionym koniu przemierzała zwykle dolinę i po stromym zboczu wspinała się do Antiguy. Przywiązywała tam wierzchowca do słupka i włóczyła się po brukowanych uliczkach,

zwiedzając ruiny wiekowych kościołów i klasztorów, dawno temu zniszczonych przez trzęsienia ziemi, ale wciąż rozrzuconych po całym mieście. Uwielbiała *milagros*, maleńkie wota, które stare kobiety sprzedawały na rynku i które można było zawiesić na srebrnym łańcuszku – amputowane nogi i ręce, oczy, para płuc, ptak, serce. Na koniec szła do katedry i zapalała kadzidło, modląc się o nic.

Pewnego razu, gdy wracała do domu stromym szlakiem, który zwężał się między dwiema skałami, wyłonił się zza nich jakiś mężczyzna i zatarasował jej drogę. Zabrał lejce i kazał jej zsiąść z konia. Położył rękę na maczecie, drugą pogładził się po kroczu. Matka siedziała niema jak krowa. „Dość tego", pomyślała. Kopnęła mocno konia w brzuch i ruszyła prosto na nieznajomego. Mówi, że wciąż pamięta odgłos pękającej kości nogi i chlupot, który się rozległ, gdy kopyto uderzyło go w brzuch. Tamtego wieczoru podczas kolacji przy zupie z indyka opowiedziała matce, co zrobiła.

– Mam nadzieję, że go zabiłaś – odparła babka Nanette, mocząc tortillę w talerzu. – Ale Wallace, kochanie – dodała – takie zachowanie nie przystoi dziewczynce.

10.15

Szok wywołany tym, że babka nazwała go gówniarzem, podrywa Jacka z sofy. Powinnam spróbować tej metody, choć pewnie doszłoby do okropnej pyskówki, która mnie doprowadziłaby do łez, a mojego syna zostawiła w poczuciu młodzieńczego triumfu. Brakuje mi wyniosłej godności matki.

Moja komórka brzęczy. Peter sięga przez stół i podnosi ją pierwszy.

– Od Jonasa – mówi i klika na wiadomość.

Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa. Serce przestaje mi bić.

– Chcą się spotkać przy Higgins Hollow. O jedenastej. Przyniosą kanapki.

Dzięki Bogu.

– Mam paskudne wrażenie, że wczoraj wieczorem, zanim urwał mi się film, zrobiliśmy z Giną plany na dziś – mówi Peter.

– Naprawdę chcemy siedzieć z nimi na plaży? Wolałabym powylegiwać się w hamaku.

– Nie chcę być niegrzeczny. Gina mogłaby się poczuć urażona.

– Na pewno nie będzie miała nam za złe. Wszyscy leczymy kaca. – Ale brzmi to nieszczerze nawet w moich uszach.

Peter dopija kawę.

– Zawsze mnie to dziwiło. Jonas jest świetnym malarzem. Odnosi sukcesy. Wygląda jak cholerny gwiazdor filmowy. Mógłby sobie znaleźć Sophię Loren. Podejrzewam, że ożenił się z Giną, żeby wkurzyć swoją matkę.

– No cóż, to całkiem zbożny cel – zauważa moja mama.

Peter się śmieje. Uwielbia, kiedy jest złośliwa.

– Przestańcie – mówię. – Oboje.

– To co, sikoreczki? Gotowe na plażę? – woła Peter.

– O której jest odpływ? – pyta Maddy.

Peter zagląda do lokalnej gazety i przesuwa palcem w dół tabeli pływów.

– Pierwsza dwadzieścia trzy.

– Możemy wziąść ze sobą tablety? – pyta Finn.

– Wziąć – poprawia go matka.

– Ja nie idę – oznajmia Jack. – Umówiłem się z Samem w Racing Club.

– A jak zamierzasz się tam dostać?

– Wezmę twój samochód.

– Nie ma mowy. Będziesz musiał pojechać rowerem.

– Żartujesz? To jakieś piętnaście mil.

– Ostatnim razem zapomniałeś zatankować i po drodze omal nie skończyła mi się benzyna. Ledwie dowlokłam się do stacji.

– Już wszystko zaplanowane. Będzie na mnie czekał.

– To napisz, że plany się zmieniły.

– Mamo.

– Koniec tematu.

Mój telefon znowu brzęczy. Tym razem podnoszę go pierwsza. „Plaża ok?", pyta Jonas. Wyczuwam go po drugiej stronie, dotyka mnie przez komórkę, czuję jego palce stukające w ekran, każde słowo niesie ukrytą wiadomość.

– Muszę odpisać Jonasowi, Pete. Jak się umawiamy?

– Na wpół do dwunastej.

Jack wchodzi do salonu i bierze ze stołu moją torebkę. Patrzę, jak w niej grzebie. Wyjmuje kluczyki.

– Możesz mi powiedzieć, co robisz? – pytam.

– Wrócę z pełnym bakiem. Obiecuję.

– Proszę mi to oddać. – Wyciągam rękę. – Albo idziesz z nami na plażę, albo jedziesz do Racing Club na rowerze. Bez dyskusji.

– Dlaczego to robisz? Stajesz na rzęsach, żeby mi uprzykrzyć życie. – Rzuca kluczyki na podłogę i trzaska drzwiami werandy. – Jakim cudem udaje ci się wytrzymać z taką jędzą?! – woła przez ramię, wypadając na zewnątrz.

– Dobre pytanie! – woła za nim rozbawiony Peter.

– Pete, żartujesz sobie?

– Wyluzuj. To nastolatek. Z definicji niegrzeczny wobec matki. To część procesu separacji.

Całe moje jestestwo się jeży. Nic mnie tak nie spina, jak kiedy ktoś mi mówi, żebym wyluzowała.

– Niegrzeczny? Nazwał mnie jędzą. A ty go tylko zachęcasz.

– Czyli to moja wina? – Peter unosi brew.

– Oczywiście, że nie – mówię poirytowana. – Ale dajesz mu przykład.

Peter wstaje.

– Jadę do miasta po papierosy.

– W środku rozmowy?

– Potrzebujemy czegoś jeszcze? – Głos ma zimny jak lód.

– Pete, do kurwy nędzy.

Maddy i Finn nieruchomieją niczym małe zwierzątka przy wodopoju na widok warana z Komodo pełznącego w kierunku wołu domowego. Nie są przyzwyczajone do widoku wkurzonego ojca. Peter rzadko traci nad sobą panowanie. Woli raczej zbywać wszystko śmiechem. Teraz jednak spogląda na mnie zwężonymi oczami, jakby wyczuwał wokół mnie cząsteczki wibrujące w innej częstotliwości – jak gdyby przyłapał mnie na czymś, ale nie wiedział na czym.

– Możesz wziąć kilka kartonów mleka pół na pół ze śmietanką! – woła z kuchni matka. Udaje, że podgrzewa kawę, choć w rzeczywistości podsłuchuje. „Myśl jak Botticelli", słyszę w głowie jej głos. Trzeźwa część mnie wie, że ma rację: powinnam odpuścić. Zeszłej nocy pieprzyłam się w krzakach ze swoim najstarszym przyjacielem. Peter zaś tylko się roześmiał, kiedy nasz nastoletni syn wykazał się wobec mnie brakiem szacunku, co zdarza się codziennie. Ale ostrzegawczy ton w głosie męża sprawia, że połykam haczyk.

– Nie wszystko kręci się wokół ciebie, Pete.

– Wokół mnie? Jesteś pewna, że chcesz to drążyć, Eleanor?

Śniadanie podchodzi mi do gardła. Nagły atak paniki. Zerkam na Maddy i Finna, widzę ich twarze. Zdenerwowane. Słodkie. Zmartwione. Mój wczorajszy wyskok. Koszmarny błąd. Którego nie mogę cofnąć.

– Przepraszam – mówię. A potem wstrzymuję oddech i czekam na to, co nastąpi.

5

1972. Sierpień, Connecticut

Wieś w Connecticut późnym latem bywa męcząca. O ósmej rano powietrze jest już gęste od kontynentalnej wilgoci i duszącej zieleni wszystkiego. Po lunchu lubię chować się w cieniu kukurydzy, biegać z jednego końca pola na drugi, łupiny postukują o mnie leniwie. Lubię leżeć na ciemnym pasie zaoranej ziemi, niewidoczna i bezpieczna słuchać cichego szelestu. Lubię patrzeć na mrówczych żołnierzy, którzy dźwigają ciężary, gramoląc się przez koleiny i bruzdy. Późnym popołudniem nie wiadomo skąd pojawiają się chmary komarów, które obsiadają nas i zmuszają, byśmy szukali schronienia w środku, dopóki nie znikną z powrotem w cieniu cierpkich śliw.

Co wieczór na farmie dziadków czekamy, aż ochłodzi się na tyle, żeby można było po kolacji pójść na spacer. Upał sprawia, że w ciągu dnia nawierzchnia topi się i pokrywa pęcherzami. Później jednak, kiedy wciąż miękki asfalt nie lepi się już do stóp, miło jest wędrować drogą, jakby się szło po piance marshmallow, znad której unosi się słodki zapach lawy. Dziadek William, ojciec ojca, ma ze sobą laskę z hikory, fajkę i paczkę tytoniu wetkniętą w kieszeń spodni. Mijamy pole kukurydzy, stary cmentarz po drugiej stronie drogi, mały biały

kościółek z pociemniałymi oknami, drewniany domek pastora z koronkowymi firankami i światłem lampy. Wspinamy się na wzgórze, gdzie dzwonki owiec pobrzękują w mrocznych głębiach farmy sąsiadów.

Obie z Anną mamy w kieszeni kostki cukru i biegniemy, żeby podać je na wyciągniętej dłoni srokatemu koniowi Straightów. Czeka na nas na skraju łąki, po pas w pokrzywach. Ciepłe, posapujące nozdrza wyczuwają nasz zapach. Anna drapie go między oczami, a on chrząka i przebiera kopytem. Gdy wracamy do domu, babka Myrtle zawsze czeka z sokiem jabłkowym i kruchymi ciasteczkami, które sama piecze. Mówi, że chciałaby, żebyśmy mogły zostać z nią na stałe – rozwód nigdy nie jest dobry dla dzieci.

– Zawsze podziwiałam waszą matkę – dodaje. – Wallace to bardzo przystojna kobieta.

Obok kościoła jest niewielki plac zabaw dla dzieci ze szkółki niedzielnej – huśtawki i zjeżdżalnia – ale obie z Anną wolimy spędzać czas na cmentarzu, wśród wielkich cienistych drzew i skoszonych zielonych trawników. Niezliczone rzędy nagrobków znakomicie nadają się do zabawy w chowanego. Najbardziej lubimy miejsce, gdzie pochowano samobójcę, samotny grób w połowie zbocza. Ludziom, którzy odebrali sobie życie, nie wolno leżeć w pobliżu innych, bo zgrzeszyli, tłumaczy babcia Myrtle. Na grobie samobójcy stoi wysoka kamienna tablica, wyższa ode mnie, a po obu jej stronach rosną cyprysy. Babcia mówi, że zasadziła je wdowa.

– Na początku to były ledwie krzewinki. Ale od tamtej pory minął szmat czasu. Wasz dziadek pomógł wdowie wykopać doły. Potem przeprowadziła się do New Haven. – Kiedy Anna pyta, jak umarł samobójca, babcia Myrtle stwierdza: – Dziadek go odciął.

Z tyłu grobu jest szeroki marmurowy występ. Miejsce na kwiaty, mówi babcia, ale z tego, co wie, nikt tu nigdy nie bywa. W bardzo gorące dni lubimy siedzieć tam z Anną, niewidoczne z drogi, schowane w chłodnym cieniu płyty. Zaczęłyśmy robić lalki z papieru. Rysujemy je na kartce, a potem wycinamy. Lalki Anny zawsze mają piękne twarze i fantazyjne fryzury: kucyki, afro, warkocze w stylu Pippi Pończoszanki, pazia. Rysujemy też maleńkie stroje z kwadratowymi zaczepami, które zaginamy na lalce – pasiaste fioletowe dzwony i biodrówki, kuchenne fartuchy, skórzane marynarki, pokolorowane na biało kozaki w stylu go-go, długie spódnice, krawaty. Bikini.

– Każda lalka musi mieć własną garderobę – mówi Anna, starannie wycinając mikroskopijną torebkę.

Siedzimy na występie, gdy słyszymy samochód skręcający na żwirowany podjazd dziadków po drugiej stronie drogi.

– Już jest! – woła Anna.

Ojciec przyjeżdża na cały tydzień. Nie widziałyśmy go od wieków – był w delegacji. Okropnie tęskni za swoimi króliczkami, mówi, kiedy babcia pozwala nam porozmawiać z nim przez telefon. Nie może się doczekać, żeby nas zobaczyć. Zabierze nas na kiermasz w Danbury i nad jezioro Candlewood. Przywiezie też niespodziankę. Mówi, że możemy go nie poznać, zapuścił wąsy.

Pakujemy papierowe lalki i zbiegamy ze wzgórza. Wykrzykujemy jego imię, podniecone myślą o niespodziance. Jest na końcu podjazdu, wysiada z samochodu. I wtedy otwierają się drzwi po stronie pasażera.

11.00

Po naszej kłótni, gdy samochód Petera na pełnym gazie znika na podjeździe, Finn i Maddy wracają do swoich książek i urządzeń

niczym morskie ptaki po przejściu fali.

– Mogę się między was wcisnąć, rybki? – Robią mi miejsce, nie podnosząc wzroku. – Jeszcze kawałeczek.

– Mamo! – Maddy jest poirytowana, że im przeszkadzam.

Rozsiadam się między nimi i zamykam oczy, wdzięczna za ich znajomy zapach, jajeczne oddechy, chwilę wytchnienia. Jack wciąż jest w swojej chatce, nadąsany i zawzięty, nie chce wyjść. To dla niego typowe. Był uparty już w macicy. Bez względu na to, ile litrów tranu wypiłam, nie zamierzał opuścić bezpiecznego wodnego gniazdka. W końcu łaskawie zgodził się pojawić dwa tygodnie po terminie, podczas trwającego w nieskończoność, wykańczającego porodu. Pamiętam, że w pewnej chwili uznałam, że umrę, wydając go na świat. Nim nastał ranek, byłam pewna, że moje dziecko nie żyje, choć podłączono mnie do siedemnastu monitorów, które pikały miarowo w rytm pracy jego serca. Wyłonił się jednak, różowy i wrzeszczący, długie żabie stopy, fałdy i zmarszczki, mrugające rybie oczy. Wodne stworzenie. Pierwotne. Wręczono mi go wytartego i owiniętego w błękit. Miękkość w miękkości otoczona moimi ramionami, zarazem wewnątrz i na zewnątrz.

Kiedy pielęgniarki zabrały go, żebym mogła odpocząć, odesłałam Petera do domu. Oboje od wielu godzin nie zmrużyliśmy oka. Obudziłam się w półmroku. Tuż obok, przy głowie, usłyszałam oddech Jacka, cichutko popiskiwał przez sen. Pielęgniarki przywiozły go z powrotem, kiedy spałam. Wyjęłam Jacka z koszyka, żeby przystawić go do piersi. Nie miałam pojęcia, co robię, czułam się jak oszustka udająca prawdziwą matkę. Płakałam, kiedy próbowaliśmy się ze sobą połączyć. Największe szczęście i największy smutek. Wnętrze i zewnętrze.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi. Pielęgniarka, pomyślałam z ulgą. Ale to był Jonas. Jonas, którego nie widziałam od czterech lat. Z którym nie rozmawiałam. Który zniknął z mojego życia zły i zraniony, kiedy wyszłam za mąż za Petera. Który teraz miał żonę Ginę. Jonas, mój najstarszy przyjaciel, stał w drzwiach z ogromnym bukietem białych peonii owiniętych w brązowy papier i patrzył, jak płaczę nad swoim dzieckiem.

Podszedł do łóżka, wyjął Jacka z moich ramion – delikatnie, nie pytając o pozwolenie, wiedząc, że je ma. Odsunął błękitny kocyk, odsłaniając miękki policzek, pocałował Jacka w nos i powiedział:

– Czy tylko mnie się wydaje, że ta mała ma nieco męski wygląd?

– Odwal się – powiedziałam z uśmiechem. – I mnie nie rozśmieszaj. To boli.

– Krocze? – spytał z zainteresowaniem.

– O Boże! – Wybuchnęłam śmiechem przez łzy. Szczęście i strata.

Wyobrażam sobie Jacka teraz: leży na łóżku z rękami pod głową, w słuchawkach, odcięty od świata – próbuje zdecydować, czy mi wybaczyć, i zastanawia się, czy ja wybaczę jemu. „Tak i tak", mam ochotę krzyknąć. Między ludźmi, którzy się kochają, nie ma rzeczy niewybaczalnych. Choć już w chwili, gdy to myślę, wiem, że to nieprawda.

Na werandzie utknęła mucha. Lata przy siatce, bzycząc, skrzydełka i nóżki ze zgrzytem ocierają się o druciane włókna. Co jakiś czas ląduje, żeby przemyśleć sprawę, i wtedy zapada cisza, słychać tylko szelest przewracanych stron, cichutki trzask banieczki śliny Finna skoncentrowanego na swojej grze. Po drugiej stronie stawu na niedużej publicznej plaży ludzie już anektują skrawki piasku na dziś, wypakowując prowiant na bawełniane obrusy, żeby nikt nie naruszył ich przestrzeni. Nie powinnam była dać się przekonać

Peterowi na wspólny wypad nad ocean z Jonasem i Giną. Konieczność spojrzenia Jonasowi w oczy w surowym świetle dnia, jedzenia kanapek z tuńczykiem przygotowanych przez Ginę, wałkowania wczorajszej kolacji. Kłamstwo w moim uśmiechu. Nie muszę iść. To plan Petera. Może zabrać dzieci. Nikogo to nie obejdzie. Poza mną. Bo wtedy oni będą blisko Jonasa, a ja nie. Położą koło niego ręczniki na gorącym piasku. Myśl, że go nie zobaczę, przyprawia mnie o rozdzierające, cierpkie pragnienie, żeby go dotknąć, musnąć rękę pod wodą. Głód. Uzależnienie. Syrena. „Syrena z penisem", myślę i wybucham śmiechem.

– Co cię tak rozbawiło? – pyta Maddy.

– Nic. – Wycofuję się rakiem. – Zupełnie nic.

– To dość dziwne, mamo – mówi, wracając do swojej książki. – Śmiać się bez powodu. Jak jakiś upiorny klaun. – Drapie ślad po ugryzieniu komara na kostce.

– Im bardziej drapiesz, tym bardziej będzie swędzieć.

Dzieci wciąż są w piżamach. Na rękawie Finna zastygła kropla stearyny z wczorajszego wieczoru, musiała kapnąć, kiedy przyszedł powiedzieć „dobranoc" pijanym dorosłym.

– Słyszeliśmy, jak śpiewałaś – oznajmił Finn, wchodząc na werandę z szelmowską miną, która mówiła „wiem, że powinienem być w łóżku, ale oto jestem".

– Boże, już dawno powinniście spać – odparłam.

– Za bardzo hałasujecie – stwierdziła Maddy. – Jack śpi. Jak zabity.

– Wskakuj – powiedziałam, biorąc Finna na kolana. – Ale tylko na pięć minut.

Wychylił się, żeby oderwać stalaktyt stearyny ze świecznika. Kilka kropli prysnęło na jego rękaw.

– Mogę zdmuchnąć świece?

– Nie.

– Odprowadzisz nas do domku? Słyszałem coś w krzakach. Myślę, że to mógł być wilk.

– Tutaj nie ma wilków, głuptasie – oznajmiła Maddy. – Pójdę po mleko.

Finn zsunął się z moich kolan i zwinął w kłębek na sofie obok Petera, który nie przerywając rozmowy z Giną, zaczął go gładzić po plecach, jakby to był kot. Po drugiej stronie stołu John Dixon, ojciec chrzestny Anny, i moja przyszywana babka Pamela kłócili się z matką Jonasa o gniazdujące ptaki.

– To nasza plaża – stwierdziła Pamela. – Jakim prawem służba parkowa ją zamyka?

– No właśnie. Pewnie dlatego, że sami mają ptasie móżdżki – powiedział Dixon, śmiejąc się zbyt hałaśliwie z własnego żarciku.

– Plaża należy do matki natury – oznajmiła matka Jonasa. – Naprawdę uważacie, że ważniejsze jest, żeby mieć gdzie położyć ręcznik, niż to, że może wyginąć jakiś gatunek?

– Czy ktoś mógłby mi otworzyć drzwi? – Maddy wyłoniła się ze spiżarni, niosąc dwie szklanki mleka.

Peter wstał nieco chwiejnie, otworzył drzwi werandy i przyklepał jej włosy.

– Tato! Zaraz rozleję – roześmiała się Maddy, zostawiając po sobie kałużę.

Finn opadł na kolana i wychłeptał mleko z podłogi.

– Jestem kotem – oznajmił.

– Obrzydliwość. – Maddy przesłała mi buziaka. – Dobranoc, mamusiu. Kocham cię. Dobranoc wszystkim.

– Dobranoc, kotki – powiedział Peter, kładąc się z powrotem na sofie. – I żadnych więcej wizyt.

Patrzyłam, jak Jonas odrywa wosk ze świecy, tak jak wcześniej Finn, i zaczyna bezmyślnie ugniatać go palcami. Najpierw uformował kulkę, potem łabędzia, żółwia, kostkę, serce – jakby za pośrednictwem tej modelinowej animacji jego palce zdradzały, co się działo w jego głowie. Przyszło mi na myśl, że kiedy go poznałam, był mniej więcej w wieku Finna. Słodki chłopaczek. Niewyobrażalne, że mój nieopierzony malec mógłby kiedyś jak huragan przejść przez czyjeś życie. Jonas podniósł wzrok i zobaczył, że mu się przyglądam.

– Rozpuściliście te dzieciaki – stwierdziła matka, gdy Maddy i Finn zniknęli w ciemnościach. – Za moich czasów dzieci się widziało, a nie słyszało.

– Gdyby tylko ta zasada wciąż cię obowiązywała, Wallace! – zawołał Peter.

– Twój mąż jest okropny – powiedziała mama z zadowoleniem. – Nie wiem, jak ty z nim wytrzymujesz.

– Dzięki Bogu, miłość jest ślepa. Albo moja żona – roześmiał się Peter. – Oto klucz do sukcesu.

– Za moich czasów po prostu rozwodziliśmy się i żeniliśmy ponownie – stwierdziła mama. – To dużo prostsze. Wręcz odświeżające. Coś jak nowa garderoba.

– Słucham? Nie tak to zapamiętałam – powiedziałam. – A gdyby tu była Anna, mogę cię zapewnić, że by mnie poparła.

– Och, proszę cię – zbyła mnie mama. – Jakoś wyszłaś na ludzi. Gdybyśmy się z twoim ojcem nie rozwiedli, kto wie, do czego by doszło. Mogłabyś wyrosnąć na jakąś szczęśliwą, durnowatą mimozę. Mogłabyś zostać menedżerką w hotelu. Rozwód jest dobry dla

dzieci. – Wstała i zaczęła zbierać widelce. – Nieszczęśliwi ludzie zawsze są bardziej interesujący.

Poczułam, że budzi się we mnie znajoma chęć walki, ale Jonas nachylił się i szepnął:

– Nie zwracaj na nią uwagi. Kiedy jest pijana, mówi rzeczy, których wcale nie myśli. Sama wiesz.

Pokiwałam głową, nalałam sobie grappy i podałam mu butelkę. Nasze palce spotkały się, kiedy ją ode mnie brał.

– Toast. – Wzniósł kieliszek.

– Za co pijemy? – spytałam, trącając się z nim.

– Za ślepą miłość. – Wpatrywał się we mnie.

Odczekałam kilka minut, zanim się podniosłam.

Mama stała przy zlewie tyłem do mnie.

– Przydałaby mi się pomoc, Eleanor. Ciepła woda coś nie chce się nagrzać.

– Za chwilę. Idę do toalety.

– Sikaj w krzakach. Ja zawsze tak robię.

Wyślizgnęłam się tylnymi drzwiami i stanęłam w cieniu, zastanawiając się, czy dobrze go zrozumiałam. Jak się będę czuła, jeśli się okaże, że to pomyłka i sterczę tu teraz jak jakaś żałosna szesnastolatka? Skrzypnięcie drzwi, kroki na piaszczystej ścieżce. Jonas zatrzymał się, rozejrzał i mnie dostrzegł. Staliśmy tak chwilę, znad stawu niósł się szelest, słychać było rechot żab.

– Czekasz na mnie, Elle?

– Ćśś. – Położyłam mu palec na ustach.

Z domu dobiegał przyciszony szmer głosów. Jakaś muzyka z odtwarzacza.

– Odwróć się – szepnął Jonas, unosząc mi spódnicę. – Oprzyj ręce o ścianę.

– Aresztujesz mnie?

– Tak.

– Pospiesz się.

– Mamo! – Czuję szarpnięcie za koszulę. – Mamo, czy ty w ogóle słuchasz? – pyta Maddy. – Możemy iść ponurkować czy nie?

– Znaleźliśmy wczoraj rybie gniazdo – mówi Finn. – Mogą być jajeczka.

– To co? Możemy? – pyta Maddy. – Mamo!

Potrząsam głową, żeby opróżnić umysł, próbuję się z powrotem zawiesić na zawiasach.

– Maski i płetwy są w pierwszym domku – udaje mi się wykrztusić.

Czuję się obrzydliwe brudna, skażona, marzę, żeby móc wyszorować się od środka. Ogarnia mnie rozpacz. Wiem, że promieniowanie zdążyło przeniknąć przez rozdarcie w kombinezonie ochronnym mojego ciała, i nie mam pojęcia, czy uda mi się przeżyć.

1973. Maj, Briarcliff, Nowy Jork

Piękny późnowiosenny poranek. Dzień ślubu ojca. Mam na sobie koronkową sukienkę, lakierki, białe kryjące podkolanówki. Ojciec ma poślubić Joanne, swoją dziewczynę. Joanne jest powieściopisarką, autorką bestsellerów – „dobra partia", mówi ojciec, kiedy ją poznajemy.

– Nie ma nic bardziej pociągającego od silnej kobiety – stwierdza.

Jej włosy pachną Herbal Essence.

– Wasz ojciec po prostu lubi, żeby nim dyrygować – śmieje się Joanne.

A potem całują się na naszych oczach.

Joanne ma zaledwie dwadzieścia pięć lat.

– Mogłybyśmy właściwie być siostrami! – mówi do Anny.

Jest śliczna, okrągła i nosi barani kożuch – martwi mnie, że baranek musi chodzić bez skóry. Wyprowadzili się na przedmieścia i teraz ojciec codziennie dojeżdża do miasta do pracy, ale rzadko go widujemy.

Joanne ma nowego czerwonego mustanga. Matka uważa, że czerwień jest w złym guście, mówię, gdy widzę go po raz pierwszy. Powinnaś była kupić niebieski. Udaje, że się śmieje. Niebieski jest gustowny, dodaję. Nawet nie wiesz, co to znaczy, mówi Anna, szczypiąc mnie mocno w ramię.

Joanne lubi moją siostrę, natomiast jeśli o mnie chodzi, to „po prostu do siebie nie pasujemy", oznajmia Annie, która mi to przekazuje. Czasami Joanne przyjeżdża do miasta i zabiera Annę na „babski dzień": oglądanie wystaw w FAO Schwarz, lunch w Schrafft's, łyżwy na Wollman Rink. Kupuje jej w Marimekko fuksjowo-pomarańczową torebkę z lśniącymi srebrnymi guzikami, które wyglądają jak dziesięciocentówki. Uwielbia grube, ciemnokasztanowe włosy mojej siostry i uczy ją szczotkować je dziesięć minut dziennie, żeby lśniły.

Co wieczór dokładnie o szóstej Joanne pije szkocką z wodą sodową, a mój ojciec przygotowuje kolację i otwiera wino, żeby pooddychało. Ojciec lubi przyrządzać potrawy z dodatkiem szalotki, mnie zaś wolno siedzieć na wysokim stołku w kuchni i pomagać mu przy obieraniu marchewki. Do gotowania używa wielkiej czarnej żeliwnej patelni, którą przeciera oliwą. Mówi, że woda z detergentem tylko by ją zniszczyła, a oliwa ma właściwości pielęgnacyjne.

Joanne bardzo się nie podoba, że ojciec musi płacić alimenty. W sobotę wieczorem, kiedy odwozi nas na stację, wręcza nam złożoną karteczkę z listą rzeczy, które odliczyła matce z „pensji": „8

kromek chleba, 4 łyżeczki masła orzechowego, 6 jogurtów, 2 mrożone zapiekanki z kurczaka, stek Salisbury…".

Teraz patrzę, jak ojciec idzie główną nawą. Koło mnie w ławce siedzi babcia Myrtle, wyprostowana, w przekrzywionym toczku, z zaciśniętymi ustami. Ona też nie lubi Joanne. Ostatnim razem, kiedy podrzucili nas dziadkom, w naszych walizkach były brudne ubrania. „Ta kobieta jest flejtuchem", oznajmiła babcia. „W dodatku leniwym. Może i wasz ojciec skończył Yale z wyróżnieniem, ale poniżej pasa nie ma mózgu. Nie powinien był się z nią wiązać. Trzeba sprawdzić, czy nie macie robaków".

Spoglądam w dół na białą koronkę na podołku, zdrapuję strup na kolanie. Nogi mam pokryte liszajowatymi ranami i strupami po tym, jak spadłam na beton pod zjeżdżalnią na placu zabaw. Babcia Myrtle bierze mnie za rękę i ściska uspokajająco. Lubię dotyk jej sfatygowanej srebrnej obrączki. Kładzie nasze złączone ręce na moich kolanach. Śledzę cienkie niebieskie żyłki na grzbiecie jej dłoni. Tak bardzo ją kocham.

Anna jest ubrana na granatowo. Zaokrągliła się i Joanne uznała, że w tym kolorze będzie jej do twarzy. Nerwowo przytupuję. Anna kopie mnie w piszczel. Kazano mi się nie kręcić. Na ołtarz pada czerwony promień. Podążam za nim wzrokiem aż do wysokiego witrażowego okna. To krew Chrystusa wypływająca z otwartych ran. Ojciec mija nas, idzie do ołtarza. Wybiegam z ławki i rzucam mu się do nóg, obejmuję jedną i trzymam kurczowo. On próbuje się ode mnie uwolnić, wciąż uśmiechając się do zgromadzonych gości, ale ja nie odpuszczam. Jestem furią białych koronek, gilów i łez. Ojciec powoli przesuwa się do przodu, udając, że ignoruje dziecko uczepione jego nogawki. Jestem jak ryba z przyssawką.

Docieramy do ołtarza. Organista zaczyna grać marsza weselnego. Goście wstają niepewnie. Joanne szybkim krokiem zmierza w naszą stronę, suty welon skrywa jej wściekłość. Zdecydowała się na satynowe mini, z którego teraz sterczą jej tłuste nogi. Wyglądają jak kiełbaski wetknięte w małe buciki. Przestępuje nade mną, bierze ojca za rękę i skinieniem głowy daje znak księdzu. Gdy składają sobie przysięgę, leżę skulona wokół kostek ojca. „Dlaczego ona nie nosi majtek?", myślę, kiedy mówią „tak".

1973. Listopad, Tarrytown, Nowy Jork

Jeden z „weekendów" u ojca. Miałyśmy bywać u niego co drugi tydzień, ale nie widziałyśmy go od ponad miesiąca. Wciąż coś mu staje na przeszkodzie. Joanne ma wielu przyjaciół i wszyscy chcą poznać jej staruszka, mówi ojciec.

– Jakiego staruszka? – pytam. – Czy my już go znamy?

Dom jest brązowy. Na podwórku rośnie nagie drzewo, na którym kiedyś stała huśtawka, ale teraz zostały tylko liny. Dalej skalisty występ prowadzi do małego zamulonego stawu. Nie da się w nim pływać, mówi ojciec, ale zimą zamarznie i będzie można jeździć na łyżwach. Salon jest długi i wąski, z ogromnym oknem wychodzącym na „jezioro", jak je nazywa Joanne.

– Bardzo trudno znaleźć nieruchomość nad wodą – wyjaśnia.

Jedynym pomieszczeniem, gdzie nie ma włochatej wykładziny, jest kuchnia.

Sobotnie popołudnie. Siedzimy z Anną na podłodze w kuchni, grając w kamyki. Na zewnątrz deszcz chłoszcze okna, panuje nieprzerwany mrok. Dotarłam do ostatniej rundy i już mam rzucić, kiedy zjawia się Joanne, wymachując szczotką do włosów. Zdejmuje z niej kilka pasm i potrząsa mi przed nosem.

– Brałaś moją szczotkę, Eleanor. Mimo że wyraźnie mówiłam, żebyś tego nie robiła.

– Wcale nie. – Idę w zaparte, choć faktycznie brałam.

– W tej waszej fikuśnej nowej szkole była epidemia wszawicy. Będę musiała ją teraz wygotować. – Jest wściekła. – Jeśli się zniszczy, wyślę rachunek twojej matce. To włosie dzika.

– To nie ja!

– Te włosy są jasne. W tym domu nie tolerujemy kłamstwa. – Zgarnia nasze kamyki z podłogi.

– Oddawaj! – krzyczę.

Zjawia się ojciec, który był w garażu.

– Dajcie spokój. No już, podajcie sobie ręce na zgodę.

– Nie mów do mnie, jakbym była dzieckiem, Henry – warczy Joanne.

– Zabrała nam kamyki bez powodu i nie chce oddać – informuję ojca.

– Elle wzięła szczotkę Joanne bez pytania – mówi Anna.

– Nieprawda! – wołam.

– To tylko szczotka. Joanne na pewno nie ma nic przeciwko. Mówiłem wam już, że wasza babcia była mistrzynią szkoły w kamykach? – Ojciec otwiera lodówkę i zagląda do środka. – Co powiecie na zapiekankę z kurczaka na kolację? My z Jo wychodzimy wieczorem.

– Nie chcę, żebyście wychodzili – mówię. – Zawsze wychodzicie.

– Będziemy niedaleko. I znaleźliśmy świetną dziewczynę, która z wami posiedzi.

– A możemy oglądać telewizję? – pyta Anna.

– Co tylko chcecie.

– Nie podoba mi się tu. – Krzywię się. – Jest brzydko. Chcę wracać do domu.

– Zamknij się – mówi Anna. – Przestań wszystko psuć.

Wybiegam z kuchni z płaczem.

Za plecami słyszę, jak Joanne, połykając łzy złości, mówi:

– Nie zniosę tego dłużej, Henry. Nie pisałam się na matkę.

Rzucam się na łóżko i chowam twarz w poduszkę.

– Nienawidzę jej, nienawidzę, nienawidzę – powtarzam jak modlitwę. Kiedy ojciec przychodzi, żeby mnie pocieszyć, odwracam się do niego plecami i zwijam jak kulanka.

Przenosi mnie na kolana i głaszcze po włosach, dopóki nie ucichnie łkanie.

– Nigdzie nie idę, króliczku. Już dobrze. Dobrze.

– Ona jest podła.

– Nie chciała. Ta sytuacja jest trudna dla was obu. Joanne to dobra kobieta. Proszę, daj jej szansę. Zrób to dla mnie.

Wtulam się w niego mocniej i kiwam głową, wiedząc, że to kłamstwo.

– Dobra dziewczynka.

– Na litość boską, Henry – wybucha Joanne, kiedy ojciec mówi, że zostanie z nami w domu. – Od tygodni jesteśmy umówieni ze Streepsami.

– Nic się nie stanie, jak pójdziesz sama. I tak to są raczej twoi znajomi. Sheila ugotuje coś pysznego. Nie widziałem dziewczynek ponad miesiąc.

– Nie zamierzam wychodzić sama w sobotni wieczór.

– Tym lepiej. Zostań z nami. Obejrzymy film, zrobimy popcorn.

– Opiekunka jest już w drodze. Nie możemy jej teraz odwołać. – Odwraca się do niego plecami i spoglądając w lustro w holu, wkłada

kolczyki, wielkie złote koła. Wygładza brwi i mocno szczypie się w policzki.

– Zapłacimy jej za dojazd. Zrozumie.

Spoglądam na odbicie Joanne w lustrze i z fascynacją patrzę, jak jej nozdrza rozdymają się i kurczą, rozdymają i kurczą. Usta tworzą wściekłą kreskę. Gdy spostrzega mój wzrok, uśmiecham się triumfalnie.

Ale ostatecznie zwycięstwo należy do niej. Od tej pory za każdym razem, kiedy ojciec przyjeżdża po nas na stację, ładuje nas do samochodu i podrzuca rodzicom Joanne, którzy mieszkają pół godziny dalej. Nieustannie znajduje jakąś wymówkę: Joanne ma miesiączkę i źle się czuje, właśnie przeprowadzają w domu odgrzybianie, zostali zaproszeni na imprezę do Roxbury i Joanne uważa, że będziemy się nudzić, ale w przyszłym tygodniu na pewno zostanie z nami, obiecuje. Gdy macha nam na pożegnanie, zawsze sprawia wrażenie smutnego, i wiem, że to moja wina.

Ojciec Joanne, Dwight Burke, jest słynnym poetą. Ma cudownie schrypnięty głos i do śniadania siada w trzyczęściowym garniturze. Gdy rano idzie do swojego gabinetu, bierze ze sobą szklaneczkę burbona. Jego żona Nancy to duża, ciepła kobieta. Katoliczka. W kieszeni fartucha nosi różaniec i pyta mnie, czy wierzę w Boga. Piecze okrągłe maślane bułeczki i na lunch mówi „luncheon”. Zawsze ma starannie ułożone włosy. O takich rodzicach tylko czytałam w książkach. Eleganccy i mili. Nie potrafię zrozumieć, jak mogli wychować taką okropną zołzę.

Wciąż mieszka z nimi Frank, młodszy brat Joanne. Ma piętnaście lat. Był niespodzianką. „Błogosławieństwem”, mówi Nancy, kiedy Anna pyta, skąd tak duża różnica wieku. „Chciała powiedzieć »wpadką«”, stwierdza Frank. Ma jasne, obcięte na rekruta włosy

i trądzik. Kiedy pochyla się w swoich chinosach, widać mu rowek między pośladkami.

Burke'owie mieszkają w dwupiętrowym domu z białej cegły, otoczonym ostróżkami i kępami runianki japońskiej, widać z niego wstęgę rzeki Hudson. Pełno tu czekoladowych labradorów, które noszą imiona takie jak Cora czy Blue, pachnie też rosnącymi drożdżami. W niedzielę rano chodzimy do kościoła.

Anna i ja mamy dla siebie pokój na poddaszu, za kuchnią. Prowadzą do niego schody ukryte za drzwiami schowka w spiżarni. Nancy nazywa go „służbówką". Nikt więcej nie korzysta z tej części domu. Nasze okno z romboidalną kratownicą wychodzi na stromą szarą skałę, przez którą gdzieś z głębin przesącza się zimna woda.

Znów jesteśmy z Anną przyjaciółkami. Bawimy się w ogrodzie w „Raz dwa trzy, biała pani patrzy", siedzimy na drewnianych schodkach, robiąc papierowe lalki, albo zwinięte w kłębek na łóżku czytamy książki. Nikt nam nie przeszkadza. Nikt na nas nie krzyczy. Gdy przychodzi pora „luncheonu", Nancy dzwoni dzwonkiem, a my biegniemy do jadalni, gdzie w kominku zawsze płoną drwa, nawet wczesnym latem. Nancy mówi, że bardzo lubi, kiedy przyjeżdżamy. Przytula nas i zasypuje pocałunkami, rozpakowuje nasze walizki i chowa rzeczy do szuflad komody z hikory.

Frank ma na tyłach domu specjalny pokój, w którym hoduje myszy, chomiki i myszoskoczki. Ze swoich akwariów spoglądają na drugi koniec pomieszczenia, gdzie w dużej szklanej gablocie mieszka Waldo, boa dusiciel. Wieczorem, po kolacji, Frank zmusza nas, żebyśmy patrzyły, jak karmi swojego węża mysimi oseskami. Błagam, żeby mnie wypuścił, ale blokuje drzwi. W pokoju czuć cedrowymi trocinami i strachem.

– Dobrze się bawicie, dzieci? – woła Nancy z kuchni, gdzie kończy zmywać naczynia.

– Karmimy Walda – odpowiada Frank. – Weź to. – Wpycha piszczącą myszkę Annie do ręki.

– Nie chcę. – Anna próbuje oddać mu zwierzątko, ale on chowa ręce do kieszeni.

– Jeśli go nie nakarmisz, będzie w nocy głodny i może uciec. Wiesz, że nawet młody boa potrafi udusić człowieka w kilka sekund?

Anna otwiera terrarium, zamyka oczy i upuszcza myszkę. Patrzę, jak spada na miękką stertę osikowych strużyn. Przez pięć długich sekund mruga i rozgląda się dokoła z ulgą, że wciąż żyje. Waldo podpełza i uderza. Myszka znika. Zostaje po niej tylko wybrzuszenie wielkości szklanej kulki w gardle węża. Patrzymy, jak mięśnie przesuwają je w dół, w stronę żołądka, urywanym, krętym ruchem.

Frank kocha Walda, ale jeszcze bardziej kocha swoje chomiki. Rozmnaża je i sprzedaje, żeby mieć na kieszonkowe. Chomiki to jego najcenniejszy skarb. W któryś weekend Goldie, jego ulubienica, ucieka z klatki. Frank szaleje. Biega po schodach w górę i w dół, zagląda pod kanapy, wyciąga książki z półek, wciąż ją nawołując. Przekonany, że Goldie pożarł któryś z psów, kopie najstarszą sukę, Mabel, w łapę. Mabel skomli i ucieka, kuśtykając.

– Wszystko w porządku? – pyta Nancy z kuchni, gdzie dusi się wołowina.

Frank naskakuje na mnie. Twierdzi, że nakarmiłam chomikiem jego węża.

– Wiem, że myślisz, że jestem paskudny. Słyszałem, jak mówiłaś.

Przygważdża mnie na schodach do ściany. Jego oddech czuć cheetosami i mlekiem. Wpatruję się w jaskrawopomarańczową obwódkę wokół jego ust i przysięgam, że tego nie zrobiłam.

Wieczorem, kiedy Nancy wyciąga koc, żeby otulić Annę, bezwładne ciało Goldie wypada na pościel. Ktoś przygniótł ją łóżkiem do ściany. Nancy przynosi szufelkę i zmiotkę, otwiera okno i wyrzuca Goldie, która spada w krzew hortensji.

Frank patrzy na to, stojąc w drzwiach. Z jego gardła wydobywa się piskliwy gulgot. Wykrzywia twarz, krosty mu purpurowieją. Jestem przekonana, że się dławi. Wpatruję się w niego jak zahipnotyzowana, zastanawiając się, czy umrze. On jednak wydaje z siebie zduszony szloch. Spoglądamy po sobie z Anną w przerażeniu, a potem wybuchamy śmiechem. Frank ucieka zawstydzony. Słyszę tupot jego stóp na drewnianych schodach, trzask drzwi w oddali. Nancy patrzy w ciemność za oknem odwrócona do nas plecami.

Gdy zjawiamy się na stacji w następnym tygodniu, ojciec mówi, że ten weekend spędzimy z nim i Joanne. Dwight i Nancy uznali, że tak będzie najlepiej.

6

11.30

W rodzinie mojej matki rozwód to po prostu dwusylabowe słowo. Wyraz, który łatwo zastąpić stwierdzeniem „mam dość” albo „to pech”. Oboje jej rodzice trzykrotnie brali ślub. Dziadek Amory, ten, który zbudował Papierowy Pałac, mieszkał w domu nad stawem aż do śmierci, rąbiąc drzewo w traperkach, łowiąc ryby, pływając kanu, przyglądając się zmianom ekosystemu w stawie. Obserwował lilie wodne, ogromne czaple modre, liczył żółwiki malowane, wygrzewające się na pniach drzew gnijących i szarzejących na płyciźnie. Żony wprowadzały się i wyprowadzały, ale staw wciąż należał do niego. To on go odkrył, natknął się na niego jako osiemnastolatek – wyszedł z głębi lasu ze swoją strzelbą myśliwską, zobaczył czystą wodę z białym piaskiem na dnie i napił się jej. Po jego śmierci dom odziedziczyła Pamela, trzecia i ostatnia żona. Ona jedna okazała się godna tego miejsca, wiedziała, na czym polega jego czar, rozumiała jego duszę – religię Stawu. Papierowy Pałac dziadek Amory zostawił matce. Jej brat Austin, który nigdy nie

opuścił Gwatemali, nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Dla matki to był cały świat.

Na ścianie mojego gabinetu na Uniwersytecie Nowojorskim wisi czarno-biała fotografia matki jako młodej dziewczyny zrobiona w Gwatemali. Mój pokój to istna chomicza norka – książki spadające z półek, magisterki piętrzące się na biurku, ogryzki ołówków, prace zaliczeniowe z literatury porównawczej, przygnębiająco staruszkowate awokado w doniczce, którego nie mogę się pozbyć, bo Maddy „zrobiła" je na moje urodziny, kiedy miała sześć lat. Puste są jedynie białe ściany, nagie, jeśli nie liczyć tej jednej fotografii. Przedstawia matkę siedzącą okrakiem na izabelowatym koniu. Matka ma długie warkocze i haftowaną wiejską bluzkę, podwinięte błękitne dżinsy i skórzane plecione sandały. Skończyła piętnaście lat. Za nią mały chłopiec ubrany na biało idzie zakurzoną drogą, pchając drewnianą taczkę; otwarte pola ciągną się aż po klify lawy u poszarpanych podnóży niewidocznego wulkanu. W jednej ręce matka trzyma wypolerowany rożek westernowego siodła, w drugiej kolbę kukurydzy. Uśmiecha się do obiektywu rozluźniona i szczęśliwa – nigdy nie widziałam na jej twarzy takiego spokoju i pogody. Zęby ma białe i proste.

Powiedziała mi, że fotografię zrobił przystojny ogrodnik, że chłopiec to jego syn i że kilka chwil później walnął konia taczką, ten poniósł, pogalopował przez pole i zrzucił ją, łamiąc jej rękę wraz z dwoma żebrami. Nigdy więcej nie wsiadła na konia. Jesienią wyjechała do ekskluzywnej szkoły z internatem w Nowej Anglii, gdzie ubrana na biało grała w tenisa i co rano chodziła do kaplicy. Nigdy już potem nie oglądała się za siebie.

Zawsze lubiłam to zdjęcie. Przypomina mi *Dawida* Michała Anioła: ułamek sekundy wyryty w wieczności, moment tuż przed strzałem,

zanim wszystko się zmieni; przypadkowość rzeczy, które sprawiają, że skręcamy w lewo lub w prawo czy po prostu siadamy na zakurzonej drodze i nie ruszamy dalej. Ten chłopiec, taczka, ten koń, upadek, decyzja matki, żeby wyjechać z Gwatemali, wrócić do lasu – to dzięki nim mam staw.

Z werandy widzę Finna i Maddy brodzących na płyciźnie. Maddy wskazuje coś w pobliżu liści nenufarów. Finn cofa się, ale Maddy po matczynemu bierze go za rękę. Słyszę, jak mówi:

– Nie bój się. Węże wodne są niegroźne.

Obserwują małą czarną główkę, która wije się wśród trzcin niczym wahadło.

– Patrz! Rybki – mówi Finn i razem znikają pod wodą. Jasnożółte końcówki ich rurek rysują ósemki na powierzchni.

– Czy ktoś widział moje okulary przeciwsłoneczne? – Matka wyłania się z kuchni. – Wiem, że położyłam je na książce. Ktoś musiał je przełożyć.

– Są tutaj. Na stole – mówię. – Dokładnie tam, gdzie je zostawiłaś.

– Idę do Pameli. Obiecałam jej butelkę mleka i dwa jajka.

– Trzeba było poprosić Petera, żeby zrobił jej zakupy.

– W życiu. Nikomu przy zdrowych zmysłach nie przyszłoby do głowy, żeby wchodzić w drogę twojemu mężowi, kiedy dym zaczyna mu iść uszami. Tylko ty, Eleanor, upierasz się, żeby igrać z ogniem. Usuwam się stąd teraz. Wrócę, kiedy oboje przestaniecie zachowywać się jak pięciolatki, i to przy własnych dzieciach. Postaraj się nie być taka nieznośna, skarbie. To dobry człowiek. Rozsądny. Masz dużo szczęścia.

– Wiem.

– I weź coś na kaca – mówi mama. – Jesteś trupio blada. W lodówce jest piwo imbirowe.

Matka od początku ma do Petera słabość. Skądinąd słusznie. To cudowny człowiek. Strzelista hikora. Delikatny, ale nie słaby. Siła rzeki. Pewny siebie, troskliwy, pobudzający do myślenia. Seksowny brytyjski akcent. Bawi nas. Uwielbia mnie. Uwielbia dzieci. A ja uwielbiam jego, kocham miłością, której korzenie sięgają głęboko i są mocne jak u drzewa. Owszem, zdarza się, że mam ochotę rozerwać go na strzępy, ale to raczej mieści się w definicji małżeństwa. Papier toaletowy może doprowadzić do wybuchu drugiej wojny światowej.

Matka znika na końcu plaży z koszykiem jajek w jednej i butelką mleka drugiej ręce. Trzy minuty później słyszę jej „juhu!", gdy wyłania się z lasu na działce dziadka. Dziadek nie żyje od wielu lat, ale to zawsze będzie jego dom. Dobiega mnie odgłos otwierania i zamykania siatkowych drzwi, zniekształcony śmiech, głos Pameli mówiącej: „O rany!". Mimo że Pamela jest o dekadę starsza od matki, są bliskimi przyjaciółkami. „To właściwie jedyna osoba stąd, którą jestem w stanie jeszcze znieść", mówi mama. „Choć byłoby miło, gdyby bodaj raz ubrała się w coś innego niż fiolet. No i sądząc po tym, jak gotuje, można by pomyśleć, że to ona wynalazła botulizm. Pewnego razu znalazłam u niej w lodówce kawałek sera pleśniowego, który okazał się masłem. Wszyscy mówią, że tatuś umarł ze starości, ale ja podejrzewam, że mogła go otruć przez pomyłkę".

Rozlega się chrzęst żwiru i piasku, Peter zatrzymuje samochód. Szykuję się na to, co ma nastąpić. Wszystko? Nic? Coś pomiędzy? Moment bezsilności. Nie wiadomo, czego się spodziewać. Słyszę kroki na ścieżce prowadzącej na werandę i żołądek lekko mi się

ściska. Odwracam się tyłem do siatkowych drzwi, przybieram neutralną pozę i biorę książkę, żeby nie dać po sobie nic poznać. To takie judo. Peter jednak mija werandę i idzie w stronę domków.

– Jack! – Wali w drzwi chatki. – Chodź tutaj. Raz-dwa.

Odwracam się i ze swojego miejsca na kanapie próbuję odczytać wyraz jego twarzy. Jack wychodzi i siada obok ojca na schodkach. Nie słyszę ich, ale widzę, że Peter mówi coś stanowczo, a Jack słucha, spoglądając ponuro, po czym wybucha śmiechem. Całe moje ciało się rozluźnia. Mąż i wysoki, tyczkowaty syn wstają i idą w stronę domu. Obaj są uśmiechnięci.

– I jak tam moja żona? Uspokoiła się trochę? – Peter sięga po papierosa, a potem klepie kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki. – Przyprowadziłem ci zbłąkaną owieczkę. Zrozumiał, że zachował się jak gnojek i że nigdy, ale to przenigdy nie wolno mu się odzywać do matki w taki sposób. Przeproś mamę. – Mierzwi Jackowi włosy.

– Przepraszam, mamo.

– I… – podpowiada Peter.

– I już nigdy, ale to przenigdy nie odezwę się do ciebie w taki sposób – mówi Jack.

Peter bierze mnie za ręce i zmusza do wstania.

– Rozchmurz się, zrzędo. Widzisz? Twój syn cię kocha. A teraz plażing. – Podchodzi do drzwi werandy i woła do Maddy i Finna: – Hej, wy tam! Wyłazić z wody. Odjazd za pięć minut.

Dzieci chlapią i dają nura pod wodę, ignorując wołanie ojca.

– Mogę wziąć samochód? – pyta Jack.

– Chyba śnisz.

– To w takim razie może przynajmniej podrzucisz mnie do Sama?

Wystarczyły dwie sekundy, żeby Jack z powrotem zamienił się w nastolatka niesprawiedliwie pozbawionego należnych mu praw.

Powinnam się wkurzyć. Ale w chwili, gdy moje serce wypada z osi, ta jego całkowita przewidywalność jest ocaleniem. Nadstawiam policzek.

– Pocałuj matkę, bęcwale.

Cmoka mnie niechętnie, ale wiem, że mnie kocha.

Peter spogląda na zegarek.

– Choroba. Jesteśmy niewiarygodnie spóźnieni. Zgarnij dzieciaki, Elle. Ja zaniosę rzeczy do samochodu. Jack, dzwoń do Sama i powiedz, że podrzucimy cię na koniec drogi, niech cię stamtąd odbierze.

Wołam Finna i Maddy, a potem idę do łazienki. Torebka strunowa ze wszystkimi naszymi kremami do opalania tajemniczo zniknęła, choć wiem, że zostawiłam ją wczoraj w spiżarni. Szarpnięciem otwieram szeroką szufladę na dole bieliźniarki, bo tam właśnie matka wpycha wszystko, co znajdzie w domu i uzna za szpetne. Oczywiście jest, razem z japonkami Maddy, których szukałam, i wilgotnymi kąpielówkami Petera, które teraz czuć stęchlizną, jakby trzy dni leżały zapomniane w pralce. Na samym dnie widzę duży termos w czerwoną kratę, który pamiętam z czasów, kiedy byłam młodsza od Maddy. Dawno temu miał eleganckie zamknięcie w postaci beżowego kubka z plastiku. Odkręcam korek i przytykam nos. Minęło pewnie ze dwadzieścia lat, odkąd matka używała go po raz ostatni, a mimo to w środku wciąż czuć lekko zwietrzałą kawę. Płuczę go, napełniam pod kranem w wannie i biorę łyk. Woda ma metaliczny posmak rur. Będę potrzebowała lodu.

Na końcu dróżki zatrzymuję się, patrząc, jak mój wspaniały mąż skręca za róg z trzema deskami do pływania na głowie, stertą ręczników pod pachą i dzieciakami depczącymi mu po piętach. Nie zasługuję na niego.

– Peter! – wołam.
– Tak?
– Kocham cię.
– Pewnie, że mnie kochasz, głuptasku.

7

1974. Maj, Nowy Jork

Pora kwitnienia wiśni. Wzgórze za Metropolitan Museum to prawdziwe morze różu. Zjadłabym je wszystkie, gdyby tylko się dało. Wdrapuję się na nisko zwisające konary i chowam w baldachimie kwiatów. Pomiędzy nimi widzę starożytne hieroglify na obelisku Kleopatry.

Matka rozkłada kraciasty obrus na cętkowanym zboczu u stóp drzew, wyjmuje z koszyka papierowy talerz i wysypuje z torebki jajka na twardo. Rozwija kwadracik folii aluminiowej z mieszanką soli i pieprzu, zanurza koniec jajka i bierze kęs.

– Pycha – mówi głośno do siebie. Wyjmuje z koszyka termos w czerwoną kratę, odkręca plastikowy kubek i nalewa sobie kawy z mlekiem. – Eleanor, zejdź stamtąd. Nie mamy całego dnia.

Ostrożnie zsuwam się z drzewa. Pod swetrem mam nowy trykot i rajstopy, nie chcę ich rozedrzeć. Prosto z parku idziemy na moją pierwszą lekcję baletu.

– Proszę. – Matka wręcza mi brązową papierową torbę i kartonik mleka. – Z masłem orzechowym i masłem albo z pasztetową.

Jest sobota i do parku przyszło mnóstwo ludzi, ale nikomu nie chce się wdrapywać na skały, a potem schodzić do tego ukrytego

zagajnika. Znajduję na trawie suche miejsce, rozkładam sweterek i siadam obok mamy. Jest zatopiona w powieści, jemy więc lunch w milczeniu. Ponad nami niebo ma kolor najczystszego błękitu. W oddali słyszę stuk kija do baseballu i nagły wybuch radości. Skały pachną słodko i czysto. To pierwszy prawdziwy dzień wiosny, suszą się więc na słońcu po długiej zimie, podczas której spały pod czapą śniegu i psich kup.

– Są ciasteczka pekanowe – mówi mama. – Chcesz ostatnie jajko?

– Chce mi się siusiu.

– No to idź za skałę.

– Nie mogę.

– Nie bądź taka wstydliwa, Eleanor. Masz siedem lat. Kogo to obchodzi?

– Mam trykot i rajstopy.

– W takim razie będziesz musiała zaczekać, aż dotrzemy na miejsce. – Zagina róg strony, chowa książkę do torby i zaczyna zbierać rzeczy. – Pomóż mi to spakować.

Lekcje baletu są prezentem od ojca – nieproszonym. Ja chciałam chodzić na gimnastykę, tak jak wszystkie dziewczynki z mojej klasy. Przerzuty przodem i mostki. Anna mówi, że na balet mam za grube kości. A co gorsza, nie było mnie na pierwszych zajęciach, więc inne dziewczynki będą miały nade mną przewagę.

Mama patrzy na zegarek.

– Za kwadrans trzecia. Musimy się spieszyć, bo się spóźnimy.

Gdy docieramy do studia madame Rechkiny, pozostałe dziewczęta stoją już w rzędzie przed ścianą z luster, idealne małe koczki mają schowane pod czarną siateczką. Z trudem łapię oddech, rajstopy mam całe w brudnych smugach.

– Mamo, spóźniłyśmy się.

– Nonsens.

– Muszę iść do toalety.

– Dasz radę. – Otwiera drzwi do studia i popycha mnie lekko. – Do zobaczenia za godzinę.

Madame Rechkina uśmiecha się zasznurowanymi ustami i gestem wskazuje dziewczynkom, żeby się przesunęły. Zajmuję miejsce pośrodku sali. Ustawiam stopy w pozycji pierwszej. Pianistka zaczyna grać menueta.

– *Plié*, *mesdemoiselles.* – Madame chodzi po sali, korygując postawę. – *Plié encore*! Ramiona z wdziękiem!

Patrzę na dziewczynkę przede mną i staram się ją naśladować.

– *À la seconde* – woła madame.

Rozstawiam stopy szerzej, uginając kolona. I wtedy to się dzieje. Na lśniącym parkiecie pode mną formuje się wielka kałuża, która rozlewa się szybko, mocząc brzegi różowych baletek. Za plecami słyszę pisk. Muzyka cichnie. Wybiegam z sali we łzach, zostawiając mokry szlak stóp na nieskazitelnej podłodze, i zamykam się w łazience.

– Panno Josephine! – słyszę głos madame wołającej asystentkę. – Mop, *s´ il vous plaît. Vite, vite!*

W następny weekend matka zmusza mnie, żebym wróciła do studia.

– Eleanor – mówi srogo – nie jesteśmy rodziną tchórzy. Musisz stawić czoło swoim lękom. Inaczej przegrasz bitwę, zanim w ogóle się zaczęła.

Błagam, żeby pozwoliła mi zostać w domu razem z Anną, ale ona zbywa mnie machnięciem ręki.

– Nie bądź śmieszna. Myślisz, że tym dziewczynkom nie zdarzyło się zsikać?

– Nie na podłogę – mówi Anna, śmiejąc się tak, że aż musi przytrzymać brzuch.

12.30

Na parkingu przy plaży jest jak w piekarniku. Wysiadam na zapiaszczony asfalt i wydaję z siebie okrzyk.

– Ożeż! – Wskakuję z powrotem do saaba. – Zdaje się, że poparzyłam sobie podbicie stóp. – Macam po podłodze w poszukiwaniu klapek i znajduję je wciśnięte pod fotel. – Oboje powinniście włożyć skarpetki. Piasek będzie palić. – Wyciągam z torby parę białych stopek i podaję Finnowi. – Maddy?

– Ja nie potrzebuję. Mam sandały – mówi.

– Poparzysz sobie boki.

– Mamo. – Patrzy na mnie zbolałym wzrokiem. – Nie włożę skarpetek do sandałów. Ohyda.

– Co jest złego w noszeniu skarpetek do sandałów? – Peter wysiada i wyjmuje sprzęt z bagażnika. – Wszyscy Anglicy za granicą tak robią.

Czekam, aż cała trójka wyjdzie z samochodu, po czym opuszczam lusterko, żeby się przejrzeć. Przeczesuję palcami włosy, szczypię policzki, zawiązuję sarong niżej wokół bioder. Widzę zdezelowaną półciężarówkę Jonasa zaparkowaną daleko z przodu.

Peter otwiera drzwiczki z mojej strony.

– Chodź. – Bierze mnie za rękę i wyciąga na zewnątrz.

Wyjmuję z tylnego siedzenia stertę ręczników i termos z lodowatą wodą.

– Bądź miła dla Giny, kiedy nam wypomni, że spóźniliśmy się ponad godzinę. Żadnej złośliwej Eleanor. Tylko miła.

– Zawsze jestem miła. – Chcę go kopnąć w tyłek, gdy przechodzi obok, ale udaje mu się zrobić unik.

Wspinamy się na wydmę i w polu widzenia pojawiają się setki parasoli. Zbita masa. Paski. Czerwone, białe i niebieskie. Woda jest czysta, turkusowa, równy przybój. Żadnego czerwonego przypływu, żadnych wodorostów. Idealny dzień na plaży. Jak ze *Szczęk*. Dzieci bawią się frisbee, budują zamki, kopią głębokie fosy, które napełniają wodą ze źródła pod piaskiem. Olśniewające młode stworzenia paradują w bikini, udając, że nie widzą cudzych spojrzeń. Szukam wzrokiem Jonasa. Zawsze wybiera miejsce po lewej.

Peter dostrzega ich pierwszy. Rozłożyli pasiasty żółto-biały namiot. Wygląda jak osłonięty z trzech stron, ale otwarty na ocean pawilon cyrkowy. Gina stoi obok i daje nam znaki, machając fuksjowym ręcznikiem. Maddy i Fin zbiegają z wydmy, kierując się w jej stronę, Peter podąża za nimi. Ja trzymam się z tyłu, gotując się na to, co ma nastąpić. A jeśli Peter wyczuje zmianę w naszych stosunkach z Jonasem? A jeśli Gina zauważyła nasze zniknięcie? Próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądał pokój, kiedy wymykałam się z domu. Jonas przy stole rozparty na krześle, poza zasięgiem światła świec. Peter na sofie, Gina śmiejąca się z jakiegoś komentarza Dixona, moja matka nalewająca grappę do filiżanek na espresso, zbierająca naczynia, myjąca szkło w zlewie. Jestem niemal pewna, że Gina była odwrócona do mnie plecami. Jonas siedzi na piasku, wpatrując się w morze. Robię głęboki wdech. Nie jesteśmy rodziną tchórzy.

1976. Lipiec, Back Woods

Unoszę się na wodzie w niebieskim pontonie. Oczy mam zamknięte, twarz wystawiam do słońca. Pod moimi powiekami na tle matowej czerwieni tańczą czarne drobinki. Dryfuję, słucham swojego

oddechu, pozwalam, żeby słony wiatr wyniósł mnie na środek stawu. Jestem tylko ja, nic więcej. Nikogo więcej. Idealny moment. Rękę zwiesiłam za krawędź pontonu, otwieram palce, czuję opór przepływającej przez nie wody. Wyobrażam sobie, że jestem kaczką. W każdej chwili żółw jaszczurowaty może wypłynąć z zimnego dna, schwycić mnie za spiczastą żółtą łapę i wciągnąć w głębinę. W oddali słyszę odgłos drewnianych wioseł wrzucanych na dno kanu. Anna i jej przyjaciółka Peggy dotarły na drugi brzeg. Stamtąd jest już tylko kawałek na plażę. Otwieram oczy i widzę maleńkie płomyki jaskrawopomarańczowych kapoków, gdy wyciągają łódkę i znikają wśród drzew.

Mama i jej chłopak Leo pojechali do miasta, żeby z przystanku, na którym zatrzymują się autokary Greyhound, odebrać jego dzieci – mają zostać u nas dziesięć dni. Leo jest muzykiem jazzowym z Luizjany. Saksofonistą. Ma gęstą czarną brodę i dużo się śmieje. Uważa, że ruch jest dla słabeuszy. Uwielbia krewetki. Anna nie jest pewna, co o nim myśleć, ale mnie się wydaje miły.

Dzieci Leo – Rosemary i Conrad – mieszkają z matką w Memphis. Mają ciężki południowy akcent i mówią „y'all". Siedmioletnia Rosemary to cicha myszka.

– Nie liczy się – mówi Anna. – I dziwnie pachnie.

Conrad, jedenastolatek, jest rok ode mnie starszy. Niski i przysadzisty, nosi okulary ze szkłami jak denka butelek i ma wyłupiaste oczy. Staje zbyt blisko. Dotąd spotkałyśmy ich tylko raz, w małej knajpce, kiedy przyjechali do Nowego Jorku odwiedzić ojca. Rosemary zamówiła krwisty stek i opowiadała o grzechu pierworodnym.

– Jego była żona życzy mu śmierci – informuje moja matka przyjaciółkę przez telefon. – Gdyby to od niej zależało, Leo nigdy

więcej nie zobaczyłby dzieci. – Ścisza głos. – Po prawdzie przychylam się do tego pomysłu, ale nie waż się nikomu tego powtarzać. Nie są szczególnie sympatyczne. Choć podejrzewam, że niewiele osób naprawdę lubi cudze dzieci. Leo mówi, że chłopak nie znosi wody, więc pobyt z nim nad stawem w tym piekielnym upale będzie pewnie absolutnym koszmarem. Miejmy nadzieję, że przynajmniej się kąpie.

Powiedziała nam, że mamy być dla nich uprzedzająco grzeczne.

Pośrodku stawu, tam, gdzie woda jest najgłębsza, z dna wyrasta las pływaczy. Lubią się tu ukrywać ryby. Przekręcam się na brzuch i wyglądam ponad krawędzią pontonu. Mój cień tworzy soczewkę, w której wyraźnie widać wszystko pod powierzchnią. Ławica karpiowatych ryb przemieszcza się wśród łodyg lilii wodnych i gnijących traw szybkimi, urywanymi ruchami. Żółwik malowany wypływa z matowej zieleni i powoli zmierza ku powierzchni. Daleko w dole bass słoneczny, kołysząc się leniwie, pilnuje gniazda. Pochylam się, zanurzam twarz w wodzie i otwieram oczy. Cały świat staje się niewyraźną plamą o miękkich konturach. Tkwię tak, słuchając bulgotu powietrza, dopóki moje płuca dają radę. Gdybym potrafiła oddychać pod wodą, zostałabym tu na zawsze.

Na drugim końcu stawu słyszę trzask drzwiczek i tubalny śmiech Leo. Już są.

12.35

Jonas leży na plecach, wspierając się na łokciach, jego przylizane czarne włosy wyglądają jak utytłana ropą kaczka. Cienka biała bawełniana koszula przylgnęła mu do ramion. Promień słońca odbija się w obrączce. Nie odwraca głowy, kiedy się zjawiamy. Ciekawe, czy to dlatego, że nie potrafi mi spojrzeć w oczy, stawić czoła temu, co zrobiliśmy. A może przez wszystkie te lata chodziło tylko o to i teraz

jestem po prostu kimś, kogo przeleciał i kto musi sobie z tym poradzić. Albo może on też chce uniknąć tego momentu przypieczętowania – woli jeszcze przez chwilę zachować stare życie. Zanim wszystko się zmieni. Bo zmieni się tak czy owak.

Peter siada obok i wskazuje coś na horyzoncie. Jonas nachyla się, żeby odpowiedzieć. Znad piasku unoszą się przyprawiające o zawrót głowy fale gorąca.

– Hej! – woła Gina ze zmrużonymi oczami i rusza w moją stronę. Wpatruję się w jej pępek z kolczykiem, który pojawia się i znika pod tankini. Finn i Maddy rozłożyli ręczniki nieopodal i smarują się nawzajem kremem.

Jonas wciąż leży odwrócony, ale mam wrażenie, że jego przedramiona lekko się napinają.

Zerkam na dzieci, czuję przypływ obezwładniającego lęku.

– Serio? – mówi Gina, gotowa do kłótni.

– Mamo! – woła Finn. – Musisz mi mocniej ściągnąć gumkę w okularach.

Otwieram usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. „Cokolwiek masz mi do powiedzenia – myślę – proszę, zrób to po cichu".

– Czekamy na was od godziny. Kanapki pewnie całkiem rozmiękły.

Siłą woli zmuszam się, żeby nadać głosowi zwykły chłodny ton, przekonana, że i tak zdradza mnie wyraz twarzy. Pod stertą ręczników, które niosę, trzęsą mi się ręce.

– Strasznie cię przepraszam. Powinniśmy byli zadzwonić. Pokłóciliśmy się rano z Jackiem o jakąś bzdurę i trochę wymknęło się to spod kontroli. Odłożę ręczniki i pobiegnę do sklepu po świeże kanapki.

Gina patrzy na mnie, jakbym zwariowała.

– Halo, Ziemia do Elle?! Przecież ja żartuję! Naprawdę myślałaś, że mam pretensje o jakieś kanapki? – Śmieje się, ale na ułamek sekundy jej twarz przybiera dziwny wyraz, a ja zastanawiam się, czy wyczuła, że mój ściśnięty żołądek właśnie się rozluźnił.

– Nie, skąd. – Zmuszam się do śmiechu. – Już naprawdę tracę głowę. Albo to te leki nasenne, albo perimenopauza.

Gina bierze mnie pod rękę i ciągnie do reszty.

– Cieszę się, że jesteście. Jonas nie chce wchodzić do wody. W taki piękny dzień?

– Jest za gorąco.

– Chryste, nigdy nie zrozumiem ludzi z Back Woods. Żyjecie sobie jak królowie w najbardziej zachwycającym miejscu na ziemi, a jedyne, co potraficie powiedzieć, to „jest za gorąco". Jonas był trudny przez cały poranek. Pora na kąpiel, rybki! – woła do Finna i Maddy. – Kto ostatni, ten zgniłe jajo. Ruszać tyłki. – Lekko potrząsa własnym.

Maddy spogląda na mnie z wyrazem absolutnego przerażenia, ale oboje z Finnem biegną za Giną, żeby dać nura do wody.

– Ej, żono! – woła Peter. – Rzuciłabyś mi bukłak? Umieram z pragnienia.

Celuję i rzucam termos. Przez chwilę leci zakosami, po czym ląduje dokładnie u jego stóp.

– Nieźle – stwierdza Peter.

Właśnie wtedy Jonas się odwraca. Patrzy prosto na mnie. Wstaje, strzepuje piasek z dłoni, podchodzi do mnie z wyciągniętymi rękami, odbiera stertę ręczników i pochyla się, żeby pocałować mnie w policzek.

– Tęskniłem – szepcze mi do ucha.

– Cześć – mówię miękko. Nie potrafię tego znieść. To za wiele. – Ja też tęskniłam.

Przebiega czubkiem palca po moim ramieniu, a mnie przechodzi dreszcz.

– Kto idzie do wody? – woła Peter. – Cholerny skwar.

1977. Luty, Nowy Jork

Piąta klasa. Pada śnieg. Mama podrzuciła nas na tydzień z Anną do Dixona, jej chrzestnego. Tata i Joanne mieszkają w Londynie – tatę wysłano tam służbowo – a mama i Leo pojechali do Detroit na koncert. W maju biorą ślub. Dixon jest przyjacielem mamy. „Wdechowym". Wszyscy go uwielbiają. Ma długie brudnoblond włosy, które nosi związane w kucyk, i jeździ pikapem. Zna Carly Simon. Mama mówi, że nie musi pracować. Przyjaźnią się od małego – podejrzewam, że gdyby nie poznali się w wieku dwóch lat, nigdy by na nią nie zwrócił uwagi. Chodzili razem do przedszkola i wspólnie spędzali wakacje w Back Woods, gdzie kąpali się na golasa i szukali małży w szlamie podczas odpływu. „Mimo że nienawidziłam skorupiaków", mówi mama. „Ale Dixon potrafi człowieka skłonić do różnych rzeczy". Dawno temu Anna spytała mamę, dlaczego za niego nie wyszła. „Bo to niebieski ptak", odparła mama. A ja pomyślałam o pustych gniazdach.

Dixon mieszka w pełnym zakamarków mieszkaniu przy Wschodniej Dziewięćdziesiątej Czwartej, tuż obok parku. Jego córka Becky to moja najlepsza przyjaciółka. Anna i starsza siostra Becky, Julia, są w tym samym wieku, ale nigdy między nimi tak naprawdę nie zaskoczyło. Julia jest gimnastyczką. Dwa lata temu ich matka odeszła, żeby przyłączyć się do jakiejś komuny. Większość czasu spędzamy z Becky bez nadzoru – bawimy się w kocią kołyskę, chodzimy do Central Parku na wrotki, wynajdujemy obrzydliwe

przepisy kulinarne i potem zmuszamy się nawzajem do jedzenia. Tego ranka zrobiłyśmy koktajl z drożdży piwnych i puddingu truskawkowego w proszku. Dixon mówi, że ma to gdzieś, dopóki w ogóle jemy. Ostatnim razem, kiedy tu byłyśmy, zabrał nas do TransLux na *Uwolnienie*. Potem do końca weekendu biegałyśmy, krzycząc: „Kwicz jak świnia". Mama wpadła w szał, ale Dixon powiedział, żeby przestała być taka ograniczona i purytańska. Jest jedyną osobą, która może jej mówić takie rzeczy.

W mieście panuje przedziwna cisza. Za oknem widać tylko oślepiający biały tuman. Nasłuchuję gwizdu ciepłej pary w rurach, które rozszerzają się i zwężają. Duchota w mieszkaniu przyprawia mnie o klaustrofobię, a metalowa osłona kaloryfera parzy w nogi, gdy nachylam się, napierając całym ciężarem na okno, żeby uchylić je choć na cal. Ani drgnie.

– Czy ktoś mi może pomóc? Potrzebuję powietrza.

Nikt się jednak nie rusza. Gramy w monopol i Anna właśnie wylądowała w Marvin Gardens. Musi się zastanowić.

Dixon i jego nowa żona Andrea przez cały ranek nie wychodzą z pokoju, drzwi są zamknięte.

– Mają łóżko wodne – mówi Becky, jakby to wszystko tłumaczyło.

Andrea i Dixon poznali się w szałasie potu w Nowym Meksyku. Andrea jest w szóstym miesiącu ciąży. Są niemal pewni, że to jego dziecko.

– Nie przeszkadza mi – stwierdza Becky, kiedy mama pyta, co myśli o nowej macosze.

– Moim zdaniem jest miła – mówię.

– Miła? – Matka wygląda, jakby właśnie połknęła pestkę oliwki.

– A dlaczego to źle? – chcę wiedzieć.

– Bo miły to przeciwieństwo interesującego.

– Rozmawia z nami, jakbyśmy były dorosłe, i to jest w dechę – informuje Becky.

– Cóż, nie jesteście. Macie jedenaście lat – mówi mama.

– Któregoś razu przy kolacji spytała, czy cieszę się, że zaczęłam miesiączkować – oznajmia Becky.

Pierwszy raz w życiu widzę, żeby matce odjęło mowę.

– Elle – woła teraz Anna – twoja kolej.

Siadam koło niej na podłodze w salonie i rzucam kostką. Lubię zapach parkietu. Matka używa tego samego wosku do pielęgnacji drewna.

Spoglądam w głąb długiego korytarza, który prowadzi do sypialni, próbując zdecydować, czy mam sprzedać kartę wyjścia z więzienia, gdy wtem otwierają się drzwi. Na korytarz wychodzi całkiem nagi Dixon. W roztargnieniu drapie się po jądrach. Za nim z sypialni wyłania się Andrea. Wygina plecy jak kot i wyciąga do góry ręce.

– To było takie dobre rżnięcie – mówi.

Światło jest przyćmione, ale widzimy wszystko – jej gęsty rudy zarost, kręcone włosy w stylu Janis Joplin, zadowolony uśmiech.

Dixon mija nas w drodze do salonu, kuca obok adaptera i nastawia płytę. W rowku między jego pośladkami widzę czarne kosmyki.

– Posłuchaj chórków w tym kawałku – mówi. – Clapton to geniusz.

Wpatruję się w miniaturową srebrną taczkę w ręku, marząc, żeby wtopić się w podłogę.

Becky trąca mnie trochę za mocno.

– Ruszasz się czy nie?

8

12.45

– Idziesz? – pyta Peter.

– Daj mi pięć minut. Muszę odpocząć po przebyciu tej Sahary. – Biorę od niego termos i piję z gwinta.

– To bardzo pociągające – stwierdza Peter. – Moja żona wychowała się wśród wilków.

Jonas się śmieje.

– Wiem. Byłem jednym z nich.

Peter podaje mi bloker.

– Posmarujesz mi plecy?

Klękam i wyciskam balsam na rękę. Jakimś cudem Peterowi udało się już zapiaszczyć tubkę i kiedy wcieram mu mazidło, poirytowana czuję pod palcami szorstkie drobinki. Jonas patrzy, jak gładzę skórę Petera.

– Gotowe. – Klepię męża w plecy. – Jesteś oficjalnie zabalsamowany. – Wycieram ręce w ręcznik i chowam się w cieniu namiotu. – Od razu lepiej – mówię.

Peter wstaje i bierze deskę.

– Tylko nie marudź za bardzo. Nie chcę się zamienić w suszoną śliwkę.

Odchodzi, a ja w tej samej chwili żałuję, że z nim nie poszłam, bo gdy zostajemy z Jonasem sami, czuję się skrępowana jak nigdy w życiu. Tysiące razy byliśmy tu razem, spacerowaliśmy wzdłuż brzegu, szukając jeżowców i muszli, szpiegowaliśmy z wydm odrażających nagich Niemców, zastanawialiśmy się, jak by to było utonąć w morzu. Ale tu i teraz, skulona w cieniu jego namiotu, czuję się, jakbym znalazła się w towarzystwie kogoś obcego.

W ścianie namiotu jest niewielkie siatkowe okienko. Spoglądam przez nie na Jonasa, który siedzi tuż obok, a jednak całkowicie oddzielony. Jest skoncentrowany – rysuje coś na piasku krawędzią muszli. Z tej perspektywy nie potrafię stwierdzić, co to.

– Gdzie się podziewa młody Jack? – pyta, nie podnosząc wzroku.

– Protestuje.

– Przeciwko czemu?

– Przeciwko temu, że nie dałam mu samochodu.

– A dlaczego nie dałaś?

– Bo się zachował jak palant – mówię, a on się śmieje.

Spomiędzy fal przyboju macha do nas Gina. Jonas jej odpowiada. Nachyla się do okienka.

– Mogę do ciebie wejść?

– Nie.

– W takim razie wysłuchasz mojej spowiedzi?

– Nie jestem pewna, czy trzy zdrowaśki załatwią sprawę – mówię.

Przykłada dłoń do siatki.

– Elle…

– Przestań – przerywam mu. Ale też przykładam dłoń. Siedzimy tak w milczeniu z dłońmi przytkniętymi do delikatnej plecionki.

– Kocham cię, odkąd skończyłem osiem lat.

– Kłamstwo – mówię.

1977. Sierpień, Back Woods

W koronie drzewa nade mną jest okno. Leżę na omszałym brzegu strumienia, wpatrując się w niemal idealny kwadrat nieba. W jednej chwili jest jednolicie błękitny, w drugiej przepływają przez niego chmury – jak na obrazie na suficie w kościele. W obramowaniu z gałęzi pojawia się mewa. Jej tęskny, żałosny krzyk słyszę długo po tym, jak ptak znika z widoku. Sięgam do kieszeni i wyciągam cukierek Tootsie Roll. Tu właśnie przychodzę niemal codziennie. Czasami matka pyta, gdzie byłam, a ja mówię: „Niedaleko", i to zdaje jej się wystarczać. Mogłabym zabrać się do miasta samochodem z seryjnym mordercą, a ona nawet by nie zauważyła. Wszystko przesłaniają Leo i Anna. Kłócą się o byle co. Zaczęło się zaraz po ślubie. Boję się siadać z nimi do stołu. Początek wygląda niewinnie – Leo wygłasza wykład na temat Chin albo mówi, dlaczego dokumenty z Pentagonu wciąż są takie ważne. Wkrótce jednak wsiada na Annę. Nie aprobuje jej przyjaźni z Lindsay: Lindsay ubiera się jak dziwka, jest nadmiernie rozwinięta fizycznie, za to umysłowo opóźniona, myśli, że Czerwony Khmer to kolor szminki, jej rodzice głosowali na Geralda Forda. Dlaczego Anna dostała tylko dostateczny plus z matematyki? Jak może siedzieć przy stole i pozwolić, żeby matka ją obsługiwała? Ma za krótką spódniczkę.

– To po co się gapisz, zboku? – woła Anna, a kiedy Leo wstaje z krzesła, biegnie do swojego pokoju i zamyka drzwi na klucz.

– To hormony – mówi matka, próbując załagodzić sprawę. – Wszystkie nastolatki są takie. A zwłaszcza dziewczęta. Zaczekaj, aż

Rosemary wejdzie w okres dojrzewania.

Leo obiecał, że się postara. Ale odkąd przyjechaliśmy na letnisko, jest tylko gorzej. Postanowił być stanowczy. Każe Annie iść do domku za każdym razem, kiedy pyskuje, a mama się nie wtrąca.

– Przykro mi, ale nie mogę nieustannie grać roli arbitra – mówi Annie.

Anna leży na łóżku, starając się nie płakać, i wrzeszczy na mnie, kiedy próbuję wejść. Któregoś razu w lipcu tak się pokłócili z Leo przy śniadaniu, że mama rzuciła jajkiem o ścianę.

– Nie zniosę tego ani chwili dłużej. Idę do ojca i Pameli. – Wręczyła mi banana. – Radzę ci znaleźć sobie dziś jakieś zaciszne miejsce, jeśli nie chcesz ogłuchnąć.

Szłam nad ocean, zastanawiając się, jak otruć Leo – bo to ja musiałam uratować Annę, skoro mama nie chciała – gdy wtem potknęłam się o korzeń i rozerwałam japonkę. Usiadłam na ścieżce, żeby wetknąć gumowy pasek w dziurkę. Pod zwieszającymi się nisko gałęziami biegł ledwo widoczny szlak – prawdopodobnie ścieżka jelenia. Przedarłam się przez gęstwinę i pełzłam nim, dopóki nie zwęził się i nie znikł wśród kolcorośli. Właśnie zawracałam, gdy dobiegł mnie szmer wody. Co zupełnie nie miało sensu, bo wszyscy wiedzieli, że w tej części lasu nie ma żadnego cieku. To właśnie dlatego Pielgrzymi wciąż przeprawiali się do Plymouth, kiedy przybili do Cape. Za pomocą ręcznika rozsunęłam jeżyny, przedarłam się przez splątany gąszcz, starając się za bardzo nie podrapać nóg, i wyszłam z zarośli na maleńką polanę. Pośrodku znajdowało się źródło słodkiej wody, które z pluskiem wybijało z ziemi, tworząc wąski strumyk. Wyniosłe drzewa cofnęły się, robiąc miejsce dla dywanu aksamitnego mchu. Położyłam się na brzegu i zamknęłam oczy. „Trucizna jest pewnie zbyt oczywista”, uznałam. Może

powinnyśmy z Anną uciec z domu i zamieszkać tutaj. Zbudowałybyśmy chatkę na drzewie – z platformą i dachem z gałęzi. Miałybyśmy wodę pitną, mogłybyśmy łowić ryby w stawie – wcześnie, zanim ktokolwiek się obudzi – zbierać żurawinę i jagody, żeby nie dostać szkorbutu. Zaczęłam sporządzać w głowie listę rzeczy, których byśmy potrzebowały: puste puszki po kawie Medaglia d'Oro z plastikowym wieczkiem do przechowywania wody, zapałki, świece, haczyki i wędka, młotek i gwoździe, kostka mydła, dwa widelce, zmiana bielizny, śpiwory, sprej na owady. Mamie zrobiłoby się przykro, że pozwoliła Leo karać Annę i nigdy nie stanęła po jej stronie. Może nie od razu, ale w końcu zaczęłaby za nami tęsknić.

Tylko że jest już niemal Święto Pracy, a jedyny sprzęt surwiwalowy, jaki udało mi się zgromadzić, to dwie zardzewiałe puszki po kawie, para starych obcęgów i kilka ogryzków świec. Wysoko w górze stado ptaków rysuje literę V, symbol zwycięstwa, ulotna myśl przemykająca przez wyszczerbiony skrawek błękitnego nieba. Na moją twarz pada cień. Zamieram. Próbuję stać się niewidzialna.

– Cześć.

Mały chłopiec, może siedmio- albo ośmioletni, patrzy na mnie z góry. Podszedł tak cicho, że w ogóle go nie słyszałam. Ma sięgające do ramion gęste czarne włosy. Jasnozielone oczy. Jest na bosaka.

– Mam na imię Jonas – mówi. – Zgubiłem się. – Nie sprawia wrażenia zdenerwowanego ani przestraszonego.

– Elle.

Widziałam jego rodzinę na plaży. Matka, z mocno kędzierzawymi włosami, krzyczy na nas, gdy zostawiamy w piasku ogryzki jabłek. Mieszkają gdzieś w Back Woods.

– Szedłem za rybołowem – informuje, jakby to wszystko tłumaczyło. Siada obok na omszałym brzegu strumienia i spogląda w niebo. Przez długi czas żadne z nas się nie odzywa. Nasłuchuję odgłosów stroszącego się lasu, wody ciurkającej wśród skał. Wiem, że Jonas wciąż tu jest, ale jakimś sposobem zamienił się w cień.

– To okno – odzywa się po jakimś czasie.

– Wiem. – Wstaję i strzepuję drobiny ziemi z dżinsowych szortów. – Powinniśmy wracać.

– Tak – mówi z poważną miną. – Moja matka pewnie odchodzi od zmysłów.

Mam ochotę się roześmiać, ale zamiast tego biorę go za rękę, prowadzę ścieżką wśród gęstwiny i zwracam jego matce, która dziękuje mi tak, jakby miała do mnie pretensje.

12.50

– Wcale nie.

Finn, Maddy i Gina zabrnęli daleko, aż do krawędzi łachy, w miejsce, gdzie dno oceanu gwałtownie opada. Za nimi przedziera się Peter, chlapiąc i ciągnąc deskę przez grzebienie fal. Chce mi się płakać.

– Właśnie że tak. Pamiętasz tamten piknik nocą na plaży, kiedy poznałam Ginę? Bardzo wyraźnie dałeś mi do zrozumienia, że się w niej zakochałeś i „na szczęście” mnie na sto procent masz już z głowy. A to było jakieś dwadzieścia lat temu. Tak że to tak.

– Powiedziałem to tylko po to, żeby cię zranić.

– Dobrze pamiętam, gdzie wtedy stałam. W dodatku to było na tej plaży. Pamiętam nawet, co miałam na sobie. Pamiętam, w co ty byłeś ubrany. Czułam się, jakby nagle ktoś mnie wydrążył. Tak jak wtedy, kiedy człowiekowi żołądek podchodzi do gardła na rollercoasterze.

– Byłaś w dżinsach – mówi miękko Jonas. – Miałaś wilgotne podwinięte nogawki.

Maddy łapie falę i płynie aż do brzegu. Gdy deska uderza w piasek, wstaje, wykonuje taniec radości i z powrotem pędzi w głąb oceanu.

– Kurwa. Kurwa. Kurwa. Co myśmy zrobili. – Dławię się z przerażenia.

Tym, co wtedy. Co teraz. Co w ogóle.

– To, co powinniśmy byli zrobić dawno, dawno temu.

– Nie.

– Ostatnia noc była najlepsza w moim życiu. Pierwsza.

Kręcę głową, całe moje ciało jest jednym wielkim szlochem.

– Już lata temu było za późno.

Zabiera rękę. Czuję się, jakby ktoś mnie spoliczkował – rozpaczliwie pragnę, żeby wrócił. Wtem coś ociera się o moją nogę. Dłoń Jonasa przekopała tunel pod namiotem. Przesuwa się w górę, dociera do wnętrza uda.

– Lubię to miejsce – mówi.

– Przestań. – Pacnięciem odsuwam jego rękę.

– Skóra miękka jak u niemowlęcia. – Pociąga za kostium.

– Jonas. Ja nie żartuję. Widzę dzieci.

– Są sto jardów stąd. Połóż się. Zamknij oczy. Będę pilnował.

– Nie – mówię. Ale przykrywam ręcznikiem biodra i kładę się na piasku. Słyszę chrzęst kroków za namiotem. Zgrzyt rzepu przy klapie szorującego po piasku. Stukot gumowej piłki uderzającej w drewniane paletki. Zapach olejku kokosowego.

Jonas odsuwa na bok materiał kostiumu, obrysowuje moje krawędzie, czubkiem palca naciska wnętrze.

– Gina tu jest – szepczę. – I Peter.

– Ćśś… – ucisza mnie. – Oboje są daleko. Za przybojem. Właśnie patrzę na twojego męża. – Zanurza palec w moim wnętrzu, a potem wyciąga tak powoli, że ledwo mogę oddychać, otwiera mnie samymi koniuszkami. Jęczę, modląc się, żeby wiatr uniósł ze sobą ten dźwięk. Pieprzy mnie palcami mocno i szybko. Poruszam biodrami w górę i w dół, napierając, chcę, żeby cała jego dłoń znalazła się w moim wnętrzu. Jestem na zatłoczonej plaży. Moje dzieci bawią się w oceanie. Myśl o Ginie i Peterze skaczących przez fale rzut beretem od nas podnieca mnie tak, jak nigdy nic w moim życiu.

– Gina wychodzi z wody – szepcze Jonas. Ściska mocno moją łechtaczkę. Dochodzę, wstrząsana tysiącem dreszczy, połykając krzyk, gdy Gina zmierza w naszą stronę.

– Wcale nie jest za późno – mówi. Wyciera rękę w piasek, wstaje i idzie do żony.

9

1978. Wrzesień, Nowy Jork

Strefa ciszy między końcem wakacji a początkiem roku szkolnego. Dzień kupowania nowych butów w Stride Rite – dostajemy gratis solone precle i komiks. Żadnych burz z piorunami, gradobić ani ogni piekielnych – zwykły, spokojny, pochmurny dzień. Tylko że dziś Anna wyjeżdża do szkoły z internatem w New Hampshire. Autokar zabierze ją w południe z rogu Siedemdziesiątej Dziewiątej i Lex. Niedługo po przyjeździe do miasta, kiedy Leo wracał z koncertu do domu, spostrzegł Annę i Lindsay żebrzące na rogu o drobne. Wmawiały jakiemuś facetowi w garniturze, że zostały napadnięte i potrzebują pieniędzy na autobus. Facet wyciągnął z kieszeni dziesięć dolców i powiedział, żeby wzięły taksówkę. Leo zaczekał, aż sobie pójdzie, i dopiero wtedy wyłonił się z cienia.

– Anno – powiedział łagodnie – co tu robisz o tak późnej porze? Nie powinnaś być w domu?

– Odprowadzam Lindsay na przystanek – odparła Anna.

– Nie sądzę.

– To dobrze, bo nie jesteś sędzią.

– Widziałem, co robiłyście.

– Naprawdę? A co takiego?

– Kłamałyście. Wyłudzałyście pieniądze. Zachowywałyście się jak para tanich dziwek z Czternastej Ulicy.

– Ale z ciebie zbok.

Wyciągnął rękę.

– Oddaj to. Ale już. Porozmawiam z twoją matką, co dalej.

– On myśli, że może mi mówić, co mam robić – powiedziała Anna szyderczo, zwracając się do Lindsay. – Ale nie jest moim ojcem. Na całe szczęście. Zmywajmy się stąd.

– Twój ojciec się ulotnił – stwierdził Leo.

– Wcale nie. Mieszka w Londynie.

– Gdyby chciał cię widywać, toby widywał.

– Pierdol się – oparła Anna. – A nie, czekaj, przecież tego właśnie chcesz, prawda?

Leo twierdzi, że nie pamięta, żeby podniósł rękę i wymierzył jej policzek, ale Lindsay powiedziała mi, że miał taki wyraz twarzy, jakby chciał zrobić Annie krzywdę. Teraz za każdym razem, kiedy ją widzi, mówi, że czuje się jak potwór. Jedno z nich musi się wynieść. Padło na Annę. Nie żałuję, że wyjeżdża. W zeszłym tygodniu przyłapała mnie, jak mierzyłam jej stanik, i przedarła na pół moją wakacyjną pracę domową. Ale jest mi też z jej powodu smutno. Bo wiem, że się boi i już tęskni za domem, choć jeszcze nie wyjechała. I chciałaby, żeby matka wybrała ją, a nie Leo.

Siedzę na brzegu jej łóżka, patrząc, jak chowa ostatnie drobiazgi do walizki. Z gałki u drzwi zdejmuję klik-klaki.

– Nie ruszaj moich rzeczy. – Zabiera mi kulki i wrzuca do szafy. – A jeśli będziesz nosiła moje ciuchy, to cię zabiję.

– Mogę wziąć to? – wyciągam z kosza na śmieci stary numer „Tiger Beat”. Z okładki spogląda na mnie Donny Osmond.

– Możesz. – Siada na walizce, zapina suwak, a potem rozgląda się dookoła z niepokojem, jakby czegoś zapomniała. Na komodzie stoi mały flakonik Love's Fresh Lemon. Podchodzi i bierze go z blatu. – Proszę. – Wręcza mi perfumy. – Skoro nie będzie mnie na twoje urodziny.

Zdjęła plakaty, ale na ścianach i tak widać pinezki i ciemne prostokąty, które wyglądają jak cienie ramek. Za jedną główką utkwił rożek błyszczącego papieru. To wszystko, co zostało z rzeczy Anny: kawałek Sweet Baby Jamesa, reszta zmięta trafiła do kosza.

– Dlaczego nie mogę mieć twojego pokoju? – pytam. – Dlaczego on ma go dostać?

Anna wybucha płaczem.

– Nienawidzę cię.

Najgorsze jest to, że miejsce Anny ma zająć Conard. Jego matka uznała, że nie radzi sobie z trzynastolatkiem. Dziwaczna Rosemary z jej upiorną obsesją na punkcie chorałów gregoriańskich i grzechu pierworodnego zostaje, a my mamy przygarnąć Conrada. Obrzydliwego knypka z ciałem zapaśnika, który ciągle się gapi. Anna mówi, że to dlatego, że matka przyłapała go, jak walił konia w toalecie. Mamy odebrać go z lotniska, kiedy już wsadzimy Annę do autokaru. Anna boi się jechać sama i mama dobrze o tym wie, ale Leo uparł się, żeby przywitała jego syna w nowej rodzinie, dlatego nie może odwieźć Anny do New Hampshire. „Nie mogę być w dwóch miejscach naraz" – oznajmiła Annie.

– Powinnaś zamieszkać z tatą – mówię teraz.

Anna podchodzi do biurka, otwiera dolną szufladę i wyjmuje niebieską kopertę poczty lotniczej.

– Napisałam do niego latem, żeby powiedzieć, że nie dogaduję się z Leo. Pytałam, czy mogłabym przyjechać do Londynu. – Podaje

mi kopertę.

List od taty jest krótki. Pisze, że chciałby, żeby Anna mogła z nim zamieszkać, ale w tej chwili nie stać ich na większe lokum. Sytuacja jest napięta, Joanne potrzebuje zacisznych warunków do pracy. Gdyby to ode mnie zależało, pisze tata, oczywiście, że mogłabyś u nas zostać. Jest pewien, że wszystko się ułoży. Leo to dobry człowiek. Podpisano: „Kochający tatuś".

– Nie chce mnie – stwierdza Anna.

– Pisze, że gdyby to od niego zależało – mówię.

– To od niego zależy, głupia.

Gdy przychodzi pora wyjazdu, Anna zamyka się w łazience. Odkręca kran, ale ja i tak słyszę, że płacze. Leo wyszedł załatwić sprawy, które wypadły mu w ostatniej chwili, nie ma więc żadnych gniewnych słów na pożegnanie. W milczeniu zjeżdżamy windą. Piętra prześlizgują się powoli w górę, dopóki windziarz nie szarpnie za mosiężną rączkę i nie otworzy drzwi.

– *Bon voyage* – mówi Gio, żylasty portier, gdy idziemy gęsiego ze wzrokiem wbitym w czarno-białą marmurową posadzkę. – Wracaj szybko, Anno. Będzie nam ciebie brakowało.

Annie udaje się uśmiechnąć.

– Chyba tylko tobie. – Obrzuca matkę lodowatym wzrokiem.

– Potrzebna będzie taksówka?

– Nie, Gio, dziękuję. Damy sobie radę – oświadcza matka. – Gdyby zjawił się mój mąż, powiedz mu, proszę, że poszłyśmy odprowadzić Annę na autobus. Eleanor, pomóż siostrze z tą walizką.

Wleczemy się Lexington Avenue, mijamy Lamston's, drogerię, bar kawowy, w którym podają piwo korzenne z lodami, wreszcie docieramy na róg, gdzie czeka szkolny autokar.

– Może będzie jak na koloniach – pocieszam Annę. – Zawsze chciałaś jechać.

– Może. – Ujmuje mnie pod rękę. – Szkoda, że nie jedziesz ze mną. – To najmilsza rzecz, jaką kiedykolwiek od niej usłyszałam.

– Strasznie mi przykro – mówię.

Chowamy jej walizkę do bagażnika na dole i stajemy razem.

– Nie pozwól mu wygrać – prosi Anna. A potem, nie odzywając się do matki ani słowem, wsiada do autokaru i nie ogląda się za siebie.

13.15

Stoję po kolana w oceanie. Za każdym razem, kiedy rozbija się o mnie fala, stabilizuję mięśnie nóg, odwracam się bokiem i chwytam piasek stopami. Nie chcę dać się wciągnąć pod wodę.

Peter z dziećmi wciąż są daleko, unoszą się na deskach. Skanuję ocean wokół nich, wypatrując płetw. Szukając cieni. Dużo czasu minęło, odkąd ostatni raz pływałam tu niewinnie. Zawsze kiedy przychodzimy na plażę, oczami wyobraźni widzę nadpływającego rekina. To ja spostrzegam go pierwsza. Wydaję ostrzegawcze okrzyki, a oni, szaleńczo chlapiąc, na wpół biegną, na wpół płyną w moją stronę, do bezpiecznego brzegu. Wyobrażam sobie, że wołam o pomoc, a gdy nikt się nie pojawia, desperacko daję nura w głębiny. Wyciągam ich z paszczy rekina, ryzykując życie, żeby ocalić dzieci. I za każdym razem pojawia się inna myśl: czy gdyby w wodzie był tylko Peter, ruszyłabym mu na ratunek?

Teraz macha do mnie z oddali.

– Pora na lunch! – wołam, pokazując gestem, żeby zgarnął dzieciaki.

Ogląda się przez ramię na nadciągającą wielką falę i zaczyna z całych sił machać rękami. Łapie ją i płynie na jej grzbiecie. Kiedy

mnie mija, na jego twarzy maluje się czysta radość.

Gina rozłożyła prowiant w cieniu namiotu. Obok sterty kanapek z tuńczykiem na papierowym talerzu widzę wgłębienie po moim ciele.

– Jonas poszedł poszukać toalety. – Rozdaje kubki z lemoniadą. – Spójrz – mówi. – Jaki słodki. – Wskazuje na rysunek, który Jonas zrobił na piasku. Ten, którego nie mogłam dostrzec z namiotu. Serce, a w środku napis: „Kocham tylko ciebie".

Podaje dzieciom torebkę z minikarotkami.

– Wyobrażasz sobie takiego romantycznego męża? – mówi do Maddy.

– Masz wielkie szczęście – stwierdza Maddy.

– Oj, tak – przytakuję.

– A ja to co? Sroce spod ogona wypadłem?

– Coś w tym stylu – rzuca Maddy. – Ale bardzo miłej sroce.

– Nie znoszę srok – oznajmia Finn. – Okropne ptaszyska.

Patrzę na Jonasa, który idzie przez wydmę, wracając z toalety.

– Ej, stary! – woła do niego Peter. – Przegapiłeś fantastyczny przybój. Idealna fala.

– Byłem zbyt zajęty flirtowaniem z twoją żoną. – Jonas kładzie się koło mnie z rękami skrzyżowanymi pod głową. Wyczuwam ciepło jego ciała. Maleńka przestrzeń między nami jest gęsta. To nie powietrze, tylko woda. Zakazana bliskość przyprawia mnie o dreszcz.

– Możesz ją mieć, ale to kosztuje – śmieje się Peter. – Czekam na odpowiedniego kupca. – Wpycha ostatni kawałek kanapki do ust.

– Każę swoim ludziom pogadać z twoimi – mówi Jonas, pozwalając, żeby jego ramię otarło się o moje. Przez chwilę wdycham jego zapach, a potem siadam i odsuwam się.

– Ha, ha – prycham.

Peter ma policzek umazany majonezem.

– Masz coś na twarzy. – Zwilżam śliną róg ręcznika i wycieram mu plamę.

– Fuj – krzywi się Finn.

– To tylko ślina, głuptasie. I… Peter? Nigdy więcej nie mów „ej, stary”. Nigdy.

Wokół serca, które Jonas narysował dla mnie, Gina układa kamyki i kawałki czarnych wodorostów. Maddy pomaga jej zbierać otoczaki i muszelki. Przybiega z clypeasteroidą w ręku.

– Spójrz! – Wygląda, jakby znalazła skarb Sierra Madre.

– Idealna. – Gina umieszcza piaskowy dolar w środku słowa „kocham”.

Nie potrafię spojrzeć na Jonasa.

– Powinniśmy się zbierać – mówię do Petera.

– Ja chcę jeszcze zostać – jęczy Finn.

– Żadnego marudzenia.

– Ja też – popiera go Maddy.

– Spieczecie się na skwarkę.

Peter patrzy na zegarek.

– Dzieci dobrze się bawią. Możemy zostać jeszcze pół godziny.

Ma rację. Dzieciaki są szczęśliwe. To nie ich wina, że pieprzyłam się z Jonasem.

– Zostaw je z nami – proponuje Gina. – Podrzucimy je po drodze.

– Dobry pomysł – odzywa się Peter, zanim zdążę się sprzeciwić. – Będziesz mogła popływać w stawie. Zmyć z siebie sól.

– Świetnie – stwierdza Gina.

Patrzę na Jonasa w nadziei, że znajdzie jakąś wymówkę. Uśmiecha się rozbawiony.

Peter zaczyna zbierać nasze rzeczy.

– Koło trzeciej?

– Pasuje. – Jonas zwraca się do wszystkich, ale patrzy na mnie. – Elle, jeśli zaczekasz z popołudniową kąpielą, popłynę z tobą na drugi brzeg.

– Zrobię margaritę – oznajmia Peter.

– Dla mnie kieliszek z solą – prosi Gina.

W samochodzie Peter kładzie mi rękę na udzie.

– Nareszcie sami, ślicznotko.

– Żadna w tym twoja zasługa. Próbowałam się ich pozbyć. Przyjadą i będą siedzieć do kolacji.

– Ale teraz mamy kilka godzin wolnego. Pomyślałem, że moglibyśmy się wykąpać w Black Pond. – Nachyla się i trąca mnie nosem w kark. – Na golasa – mówi swoim „znaczącym" głosem. – Ten kostium kąpielowy działa na mnie podniecająco.

– Mój stary, złachany kostium kąpielowy działa na ciebie podniecająco?

– Prawdę mówiąc, raczej stara złachana żona.

Wybucham śmiechem. Na tym właśnie polega urok Petera.

– Chodź, będzie fajnie. – Wkłada mi rękę między nogi, gładzi udo w miejscu, gdzie rozchylił się sarong. – Kiedy ostatni raz uprawiałaś seks w miejscu publicznym?

Wzdragam się. Wspomnienie ręki Jonasa.

– Wiesz co? To świetny pomysł. – Próbuję to jakoś zatuszować. – Nie byliśmy tam od lat.

– Znakomicie – mówi, ale zabiera rękę.

10

1979. Czerwiec, Connecticut

Przez wielkie okno w jadalni dziadków, gdzie nakrywam do stołu przed kolacją, rozciąga się widok na niskie wzgórza aż do sąsiedniej farmy. Tamtejsze krowy stoją w zadumie w obliczu ogrodzenia z drutu kolczastego. Ostatnie złotobrązowe promienie letniego dnia błyskają na czubkach drzew. Ojciec i Joanne wzięli rozwód. Ojciec mówi, że to dlatego, że za bardzo tęsknił za swoimi dziewczynkami, a ona nie chciała wracać do Stanów. Wybrał nas. Czerwiec spędzamy razem.

Teraz ojciec z babcią Myrtle oglądają wieczorne wiadomości w salonie i kłócą się ściszonymi głosami. Na paluszkach okrążam stół, na każdej serwetce kładę srebrny widelec, a po prawej srebrny nóż i podsłuchuję, starając się nie wydawać żadnych dźwięków.

– Co za bzdury – słyszę babcię Myrtle. – Ta okropna kobieta przyprawiła ci rogi. I moim zdaniem wyszło ci to tylko na dobre. – Pogłaśnia odrobinę telewizor. – Zdaje się, że głuchnę na stare lata.

– Mylisz się, mamo – mówi ojciec. – Tęskniłem za dziewczynkami. – Ale w jego głosie jest niemrawość, która każe mi myśleć o pustych pokojach.

– Te dziewuszki to jedyne, co ci się udało osiągnąć – stwierdza babcia.

Słyszę, jak ojciec wstaje i podchodzi do barku. Słyszę stukot kostek lodu w szklance do burbona.

Anna leży na łóżku w naszym pokoju obok kuchni, wpatrując się w sufit.

– Muszę się stąd wydostać – oznajmia, kiedy wchodzę.

Jesteśmy tu zaledwie dwa dni, a ona już chce wyjeżdżać. Lily, współlokatorka z pokoju w internacie, zaprosiła Annę na trzy tygodnie do domku letniskowego, który jej rodzina ma w Newport.

– Należą do country clubu. Jej brat Leander jest profesjonalnym graczem w tenisa.

– Przecież ty nawet nie wiesz, jak się gra – mówię.

– Boże, jesteś taka irytująca.

– Jak wyjedziesz, nie będę miała co robić.

– Nie mam ochoty tkwić tu przez miesiąc tylko dlatego, że tata postanowił wrócić do domu. – Wstaje, wyciąga z torby czasopismo i z powrotem zwala się na łóżko.

Patrzę, jak czyta.

– Przestań mi się przyglądać – warczy.

– Chcesz iść jutro popływać?

– Nie.

– Chcesz się przejechać na rowerze?

Ignoruje mnie.

Siedzę na skraju łóżka, rozglądając się po pokoju.

– Gdybyś musiała wybrać jakiś napój na resztę życia, miała tylko tab albo frescę i mogłabyś wybrać jeden, to co byś wolała?

– Nie muszę wybierać.

– No wiem, ale hipotetycznie.

– Hipotetycznie to mogę cię zdzielić, jak się nie zamkniesz.

– Tacie będzie przykro, jeśli wyjedziesz.

– Błagam – parska Anna. – Nie ma prawa wzbudzać w nas poczucia winy. To on nas porzucił. A teraz, kiedy wrócił, mamy być wdzięczne?

Rozlega się ciche pukanie do drzwi. Tata wtyka głowę do pokoju.

– Tu są moje dziewczynki – mówi wesoło. – Kolacja już prawie gotowa. Babcia zrobiła duszone mięso z warzywami.

– Nie jestem głodna – oznajmia Anna.

Siada koło niej na łóżku.

– Co czytasz?

– Magazyn. – Nie raczy podnieść wzroku.

– Od Wielkanocy urosłyście chyba o głowę. Jak tam w szkole? – pyta Annę. – Twoja matka mówiła, że masz bardzo dobry z francuskiego. *Mademoiselle, tu es vraiment magnifique!*

Jego koszmarny akcent zawisa w powietrzu. Anna patrzy z pogardą.

– No dobrze – mówi ojciec. – Umyjcie ręce i pomóżcie babci nakryć do stołu.

– Zamknij za sobą drzwi! – woła Anna.

Musi być wcześnie rano. Cieniutkie smugi szarego światła sączą się przez żaluzje, kładąc się pasami na mojej pościeli. Gołębiak długostery nawołuje partnerkę. Leżę w łóżku, słuchając jego smutnego, głuchego śpiewu. Anna śpi. Z kuchni dobiegają przyciszone głosy. Wstaję i idę bezszelestnie po wyłożonej linoleum podłodze. Drzwi do kuchni są otwarte na oścież. Ojciec siedzi przy stole z głową w dłoniach. Babcia Myrtle stoi przy blacie tyłem do niego, zagniatając ciasto. Patrzę, jak sieka masło w mące, powoli dodając lodowatą wodę.

– Autobus jest w piątek, jedenasta dwadzieścia. Sprawdziłam rozkład. Ma połączenie z New Haven. – Otwiera szafkę i wyjmuje cukier.

– Anna jest na mnie taka zła.

– A czego się spodziewałeś, Henry? Anna ma piętnaście lat i prawie nie zna własnego ojca. Będzie potrzebowała spódniczki do tenisa. Możemy jutro podjechać do Danbury.

– Powiedz mi, jak to naprawić, mamo.

– Nie ma co mówić. To łóżko posłałeś sobie sam. Teraz będziesz musiał znaleźć sposób, żeby je prześcielić.

Przez okno sypialni widzę dziadka, który jest już w ogrodzie warzywnym i klęczy na wilgotnej ziemi. Pieli rabarbar, a obok stoi koszyk pełen groszku. Trzaskają siatkowe drzwi. Ojciec idzie do niego przez trawnik. Babcia Myrtle wyciąga z dolnej szuflady drewniany wałek.

Wkładam dżinsowe szorty, koszulkę i idę na śniadanie. Na stole czeka na mnie połówka grejpfruta, różowe trójkąty starannie oddzielone od skórki, warstwa brązowego cukru zastygła w słodką skorupkę. Obok na lnianej serwetce leży srebrna łyżeczka. Całuję babkę w miękki, pokryty meszkiem policzek i siadam.

– Pomyślałam, że zabiorę was nad staw Wesselmanów. – Cmoka mnie w czubek głowy. – Musisz zakładać kapelusz, Eleanor. Włosy ci spłowiały i są prawie tak białe jak moje.

– Od kapelusza swędzi mnie czoło.

– Później możemy wziąć jakieś książki z biblioteki. Na obiad będą kotlety z jagnięciny. Możesz mi pomóc nazbierać szparagów.

– Nie chcę, żeby Anna wyjeżdżała – mówię.

– Szparagi wcale nie tak łatwo wyhodować, wiesz? Dziadek martwił się na wiosnę, że jelenie i zające pozjadają wszystkie kiełki.

– Będę się nudziła.

– Nie ma powodu, żeby twoja siostra miała zepsute wakacje, bo twój ojciec postanowił poślubić tę okropną kobietę. – Babka podaje mi talerz tostów z białego chleba z masłem i słoik dżemu z dzikich jabłek. – To dobry człowiek, ale brakuje mu kręgosłupa. – Siada koło mnie. – W przeciwieństwie do ciebie. Anna ma skórę wołu, ale ty, Eleanor? Ty jesteś prawdziwą stoiczką. – Nalewa sobie szklankę maślanki. – To moja wina, że wasz ojciec jest taki słaby. Rozpieściłam go.

Za naszymi plecami skrzypi podłoga. W drzwiach stoi ojciec. Zegar ścienny nad kuchnią odmierza sekundy. Wbijam wzrok w tosta, wstydząc się za niego. Chciałabym zniknąć i oszczędzić mu zażenowania.

– Rozmawiałyśmy z Elle o pływaniu – mówi babka, jak gdyby nigdy nic. – Dzwoniłam do Wesselmanów. Joy mówi, że krzaki aż uginają się od borówek.

– Chciałbym zabrać dziś dziewczynki do kamieniołomu – oznajmia ojciec.

– Zrobiłam już spód do ciasta. – Babcia wstaje i otwiera szafki. – Wiem, że gdzieś tu miałam wiaderka na borówki.

Czekam, aż ojciec się postawi, ale on wygląda przez okno z rękami w kieszeni.

– Ten czarny orzech, który posadziliśmy z ojcem w zeszłym roku, ładnie wystrzelił – mówi.

– Babciu, wolałabym pojechać z tatą. Możemy nazbierać borówek, jak będziemy wracać.

Ojciec prostuje się i odwraca do mnie z tak szerokim uśmiechem, że aż boli.

– Oczywiście, kochanie – odpowiada babcia. – Jeśli tego chcesz, to uważam, że to znakomity plan.

Kamieniołom znajduje się w zagłębieniu między dwoma wzgórzami wznoszącymi się za farmą Straightów. Namówiłam Annę, żeby wybrała się z nami. Teraz, kiedy już wie, że w piątek wyjeżdża, ma lepszy nastrój. Z ręcznikami w dłoni wszyscy troje wspinamy się ścieżką wiodącą na pastwisko. Na płaskim szczycie wzgórza czarno-białe krowy szczypią trawę, ogonami odganiają muchy z zadów, ich wymiona zwieszają się pod ciężarem mleka. Wszędzie widać krowie placki – niektóre zdążyły wyschnąć na wiór, inne dopiero parują. Po drugiej stronie w cieniu młodnika znajduje się kamieniołom: głęboka wyrwa w ziemi wypełniona czystą wodą, granitowe zbocza śliskie od mchu, grubo ciosane występy idealne do skoków w orzeźwiająco zimną toń. Ale najpierw musimy pokonać pole minowe.

Ojciec zdejmuje mokasyny i ustawia je równo.

– Ścigamy się – mówi, szczerząc zęby, i zaczyna skakać, sprawnie pokonując przeszkody. Zna to miejsce od dziecka. – Kto ostatni, ten zgniłe jajo! – woła przez ramię.

Sprawia wrażenie tak radosnego i beztroskiego, że sama czuję się szczęśliwa. Anna kopnięciem zrzuca tenisówki i rusza za nim, dołączając do zawodów. Śmieję się, biegnąc jej śladem, wiatr dmucha mi w twarz, ręcznik powiewa z tyłu niczym sztandar. Krowy wokół przesuwają się i przeżuwają, delikatnie kołysząc grzbietami, obojętne na dwie dziewczynki przemykające obok.

14.00

Droga nad Black Pond jest niemal niewidoczna, jej środek zarósł dzikimi trawami tak, że szorujemy po nich podbrzuszem samochodu, wydając odgłos jak wiatr na prerii. Przed nami zakręt, rozwidlenie, potem następne i kolejne, wreszcie koniec przy połamanym

drewnianym ogrodzeniu. Dalej jest już tylko ledwo widoczny szlak. Wysiadam i ruszam za Peterem stromo w dół, omijając odchody kojotów, szare od zajęczego futra i ostu. Schodzimy na niewielką piaszczystą plażę. Black Pond to najmniejsze jezioro polodowcowe w lasach – miejsce, które znają tylko tutejsi. Nasz staw jest duży i przejrzysty. Jego piękno tkwi w wielkości – to długi na milę przestwór nieskazitelnego błękitu, rozległa połać nieba. Black Pond jest starszy, mądrzejszy, pomarszczony, jakby skrywał nazbyt wiele sekretów. Wodna czeluść bez dna otoczona gęstym lasem, przez pół dnia schowana w cieniu.

Dziewiczą plażę pokrywa gruba warstwa sosnowych igieł. Dawno nikt tu nie zaglądał. W czasach mojego dzieciństwa to było miejsce pikników. Wycieczek. Za każdym razem po drodze musieliśmy sobie przypominać, w którą stronę skręcić, które rozwidlenie wybrać. Łatwo się było zgubić. Któregoś razu widziałyśmy z Anną nagą parę uprawiającą seks na tutejszej plaży. Kobieta leżała na plecach, ogromne uda miała rozrzucone, a mężczyzna posuwał ją od góry. Było w tym coś obscenicznego. Nie w seksie, który przerażał mnie i fascynował, ale w rozpłaszczonym ciele, które przypominało surowe ciasto, i w tym, że kobiety zupełnie nie obchodziło, czy ktoś ją widzi. Wycofałyśmy się i popędziłyśmy do domu, chichocząc z zawstydzenia i zachwytu.

Siadamy na brzegu. Peter wyciąga z kieszeni papierosa. Zapala.

– Pamiętasz, jak mnie tu przyprowadziłaś pierwszy raz?

– Nasze pierwsze wspólne lato.

– Wciąż myślę, że to mogła być najromantyczniejsza chwila w moim życiu.

– Hm, to nie świadczy najlepiej o naszym związku.

Śmieje się, ale to prawda. Przyprowadziłam go tu, żebyśmy mogli wykąpać się przed wieczorem. Później, kiedy kochaliśmy się na plaży, nagle przypomniałam sobie tamtą nagą parę, rozrzucone nogi kobiety, cielesność tego wszystkiego, i jęknęłam, aż mój głos poniósł się echem. Właśnie wtedy Peter doszedł. Zawsze wiedziałam, że jest we mnie coś złego, perwersja, którą próbuję przed nim ukryć. I miałam nadzieję, że nigdy tego nie dostrzeże.

– Słuchaj – mówi, biorąc mnie za rękę. – Powinienem cię przeprosić.

– Za co?

– Za dziś rano. Za wczorajszy wieczór. Wiem, że byłaś zła, bo nie przeczytałem wiersza Anny.

– Byłam zła w tamtym momencie. Ale Jonas pięknie go przeczytał. Zresztą liczy się tylko to, że wciąż go czytamy.

– I tak przepraszam. Zachowałem się jak cham i bardzo tego żałuję.

– Wszyscy za dużo wypiliśmy. Nie masz za co przepraszać. Naprawdę.

– Ale w samochodzie, jak położyłem ci rękę na udzie, to się wzdrygnęłaś.

– Wcale nie – mówię, nienawidząc się za to kłamstwo. – A nawet żałuję, że nie robisz tego częściej.

Gasi papierosa w piasku i patrzy na mnie sceptycznie, jakby chciał się upewnić, że mówię prawdę.

– W takim razie w porządku. – Nachyla się, żeby mnie pocałować. Jego usta smakują dymem papierosowym i solą. Kilka kroków od nas żółw błotny ześlizguje się z kłody na płyciznę.

Wstaję i zaczynam się rozbierać.

– Co powiesz na kąpiel?

Nie mogę się z nim teraz kochać. Nie po tym, co właśnie zrobiliśmy z Jonasem. Nie mogę go w ten sposób skrzywdzić, upokorzyć. Chwyta mnie, ale uciekam – do wody, która – mam nadzieję – mnie oczyści. Peter rzuca się w pogoń, nagi, machając rękami. Odpływam zasapana w stronę zacienionej części stawu, staram się utrzymać między nami stałą odległość. Ale on jest szybszy, silniejszy, zadowolony łapie mnie od tyłu.

– Mam cię. – Przyciska członka do moich pleców.

– Przełóżmy to na później – mówię, wyswobadzając się z jego objęć. – Naprawdę musimy wracać do domu.

– Pięć minut nas nie zbawi – stwierdza Peter.

– Właśnie – śmieję się. – Potrzebuję co najmniej dziesięciu.

Daję nura, płynę w stronę plaży i ubrań, jakbym płynęła po duszę.

1979. Lipiec, Vermont

Rząd za rzędem. Morze drżącej zieleni. Nigdy nie widziałam tyle kukurydzy. Pola Williama Whitmana są bezkresne. Biegną wśród wzgórz w górę i w dół niczym zastępy wroga. Whitman to najstarszy kumpel Leo. Przyjaźnią się od podstawówki. W niedzielę ma urodziny, więc zaprosił nas na weekend do swojego studwudziestohektarowego gospodarstwa w północnym Vermoncie.

– Whit przeniósł się tu z Filadelfii kilka lat temu, po śmierci żony – mówi Leo, gdy jedziemy długą gruntową drogą, która, jak zapewnił mamę, prowadzi na farmę. Mama jest przekonana, że Leo skręcił w złym miejscu. – Zostawił wszystko: znakomitą firmę prawniczą, piękny dom w Chestnut Hill.

– Wydaje mi się, że na ostatnim rozwidleniu trzeba było skręcić w lewo – upiera się mama.

– Jak umarła? – pytam. Razem z Conradem siedzimy z tyłu, przyciśnięci do przeciwległych okien, żeby zrobić miejsce dla ogromnego poobijanego futerału na gitarę.

– No cóż, to okropna historia – mówi Leo. – Whit wybrał się ze swoim synem, Tysonem, na męski weekend. Tyson miał wtedy może z dziesięć lat.

– Męski weekend? – mówi mama, próbując wyczytać coś z mapy w gasnącym świetle dnia. – Nie brzmi zbyt zachęcająco. Wręcz wulgarnie.

Leo się śmieje.

– Niekoniecznie. Podchody. Mała i Wielka Sowa… Sprytny Wilk i Bystry Wilczek. Ognisko. Koraliki. Struganie strzał.

Matka patrzy na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Coś w rodzaju zuchów – tłumaczy Leo. – Nieważne. Wrócili z biwaku w niedzielę wieczorem. Louisa leżała w holu. Dźgnięto ją tyle razy, że sukienka zrobiła się cała czerwona. Whit mówił, że Tyson stał bez słowa. Żadnego dźwięku. Żadnej łzy. A potem położył się na marmurowej posadzce, zwinął przy jej ciele z nosem przy nosie i patrzył w otwarte martwe oczy. Jakby próbował odnaleźć duszę, powiedział Whit.

– Strasznie smutne – stwierdzam.

– Chłopak nigdy się z tego nie otrząsnął. Prawie się nie odzywa.

– Przygłup – oznajmia Conrad, nie odrywając wzroku od czasopisma „Mad”.

– Conrad. – Leo nie podnosi głosu, ale i tak wyraźnie słychać ostrzegawczą nutę.

– Kompletny debil – mówi do mnie Conrad scenicznym szeptem. – Poznałem go.

Dłonie Leo zaciskają się na kierownicy. Odkąd Conrad wprowadził się do nas w zeszłym roku, Leo bardzo się stara unikać konfliktów. Zależy mu, żeby jego syn nie czuł się z nami nieszczęśliwy. Ale choć robi, co może, wyraźnie widać, że Conrad wolałby być w Memphis i tak jak Anna żałuje, że matka nie wybrała jego. Większość czasu spędza w swoim pokoju – dawnej sypialni Anny – gdzie za zamkniętymi drzwiami słucha ABBY i Meat Loafa, podnosi ciężarki albo ogląda *M*A*S*H* na swoim telewizorze z antenką, która przypomina królicze uszy. Unosi się tam przyprawiający o mdłości wilgotno-kwaśny smród stóp.

Docieramy do farmy o zmroku. Whitman i Tyson czekają na nas na podjeździe, z trzema psami skaczącymi obok.

– Tego twojego gruchota słychać milę stąd. Mogliśmy wyjść wam na spotkanie. – Whitman mocno obejmuje przyjaciela. – A ty, Wallace, wciąż wyglądasz tak, że człowiek ma ochotę cię schrupać.

– Kopę lat, stary – mówi Leo, klepiąc go po plecach.

Tyson jest zaskakująco przystojny. Wysoki, z delikatną twarzą, ma na sobie znoszony kombinezon.

– Elle… – Wyciągam rękę.

Odwraca wzrok zawstydzony. Kopie butem ziemię.

– Conrad, zdaje się, że Tyson jest w twoim wieku. – Whitman bierze nasze walizki i niesie do domu. Wchodzimy za nim do środka. – Ty, weź resztę i zanieś na strych.

Whitman stanowi całkowite przeciwieństwo syna. Niski, energiczny, mówi bez przerwy, w dodatku z taką prędkością, że nie mam pojęcia, kiedy udaje mu się wziąć oddech. Ma skrzekliwy śmiech, południowy akcent i rusza się szybko, podskakując – przypomina mi koguta z kreskówki. Lubię go.

W starym farmerskim domu czeka na nas kolacja.

– Potrawka z królika, a do tego kukurydza z fasolą. Udało mi się osiągnąć całkowitą samowystarczalność – oznajmia z dumą. – Dziś rano sam upiekłem chleb. Wszystko, co widzicie na tym stole, pochodzi z ogrodu. Nawet króliki.

– Hodujecie króliki? – pyta Conrad, dziobiąc w potrawce.

Whitman wybucha śmiechem.

– Łapiemy. To prawdziwa zmora. Szkodniki. Jeśli chcemy, żeby jakiekolwiek warzywa przetrwały, muśmy zastawiać pułapki. Tutaj zjadamy to, co zabijemy. Choć nie jemy królików tak często, jak bym chciał. Ty chodzi dookoła i zgarnia pułapki, kiedy nie patrzę. Nie może znieść krzyków.

Jego syn siedzi na końcu długiego dębowego stołu i ze spuszczonym wzrokiem je potrawkę.

Whitman zwraca się do mnie.

– Słyszałaś kiedyś krzyk królika?

Kręcę głową, że nie.

– Niezbyt przyjemne. Nie mogę winić chłopaka. – Opiera się z powrotem na krześle. – A skoro mowa o szkodnikach, to w tym roku jelenie dają nam popalić. – Odwraca się do Conrada. – Wiesz, co to znaczy, młody człowieku, prawda?

Conrad kręci głową.

– Że jutro wieczorem będzie dziczyzna.

Na twarzy Conrada maluje się przerażenie. Whitman ryczy.

– Conrad nie przepada za nowymi smakami – mówi Leo, odrywając kolejny kawałek chleba. Jego broda wygląda jak gniazdo okruchów. – Gdyby to od niego zależało, żywiłby się tylko paluszkami rybnymi i whooperami.

Biorę wielki kęs.

– Powinieneś spróbować, Conrad.

– Spróbowałem – mówi. – Bardzo dobre.

– Wcale nie. Tylko grzebiesz widelcem w talerzu.

– Skarżypyta – syczy Conrad.

– Kłamczuch – prycham. – Koniował.

Tyson nieruchomieje, wygląda, jakby próbował stać się niewidzialny.

– Nie ma się czym przejmować – przerywa napięcie Whitman. – Ja do dwunastego roku życia jadłem tylko jajka zapiekane w śmietanie. Jutro zrobię spaghetti z klopsikami. I nie, młody człowieku, nie zabiłem w tym celu krowy. Właśnie, jeśli któreś z was będzie się chciało przejść po lesie, niech założy coś czerwonego. Mam problem z myśliwymi, którzy polują na mojej ziemi poza sezonem.

– Nienawidzę myśliwych – mówię.

– No więc mnie nie przeszkadza, jeśli ktoś poluje, żeby mieć co włożyć do garnka – oznajmia Whitman. – Ale oni strzelają dla sportu. Żadnego kompasu moralnego. Zostawiają przeklęte zwierzaki, żeby się wykrwawiły na śmierć. Nawet nie palną im w łeb. Wstyd. Potem moje psy znajdują je w lesie. I wracają z pyskami umazanymi zakrzepłą krwią.

– Niedobrze mi – oznajmia Conrad.

– Conrad! – Leo wygląda, jakby miał wybuchnąć.

– Kiedy w młodości mieszkałam w Gwatemali – mówi mama – mieliśmy psa, który włamał się do kurnika i odgryzł kurom głowy. Ogrodnik go zastrzelił.

– W Gwatemali? – Whitman unosi brew, napełniając jej kieliszek.

– Matka przeprowadziła się tam z nami, kiedy miałam dwanaście lat.

– Ale dlaczego do Gwatemali?

– Rezultat niefortunnego rozwodu. I tania pomoc domowa. W tamtych czasach prywatna kucharka kosztowała osiem centów za godzinę. Nanette przywykła do wytwornego życia. Ale nienawidziła Gwatemali z całego serca. Była przekonana, że zaatakuje ją jakiś wieśniak z maczetą.

– Wciąż tam mieszka?

– Zmarła kilka lat temu. Nie od maczety. Został tam mój brat Austin. Ożenił się z miejscową dziewczyną. Nienawidzi Stanów. Uważa nas za bandę dzikusów. – Śmieje się i opróżnia kieliszek. – Jest ornitologiem. Specjalistą od papug, jakby nie było czegoś ciekawszego.

– Uwielbiam papugi – mówi cicho Tyson.

Po kolacji Whitman prowadzi nas niemal pionowymi schodami na strych, który wygląda jak loft – wysoki sufit, widoczne krokwie. Na podłodze leżą pościelone trzy materace.

– Zostawię zapalone światło w łazience na dole – oznajmia. – Nie chciałbym, żeby ktoś potknął się po ciemku. Mam nadzieję, że nie przeszkadzają wam nietoperze.

– Rany, tato – jęczy Conrad, gdy Whitman znika. – Mamy spać wszyscy razem?

– Będzie wesoło. Jak na kempingu – mówi mama, choć ona też wygląda, jakby miała wątpliwości.

Kiedy budzę się w nocy, w ciemnościach słyszę szept. Przyciszone schrypnięte głosy. Potrzebuję chwili, żeby mój słuch się dostosował. Mama kłóci się z Leo. Sprawia wrażenie nieszczęśliwej.

– Przestań, Wallace. Wystarczy. – Słyszę szelest pościeli, kiedy Leo się odsuwa.

– Nie kochaliśmy się od tygodni.

– Do cholery! – syczy Leo. – Nie przy dzieciach.

– Będę cicho. Obiecuję.

Chce mi się siku, ale jeśli teraz wstanę, domyśli się, że wszystko słyszałam. Będzie się czuła zażenowana. A tego nie zniosę.

– Jesteś pijana – mówi zimno Leo.

– Proszę.

Zakrywam uszy, naciągam koc na głowę, żeby nie słyszeć jej błagania. W jej głosie dźwięczy żałość, przebija z niego panika i desperacja. Może tak właśnie brzmi krzyk królika.

Musi być bardzo wcześnie, kiedy budzę się znowu. Cały dom jest pogrążony we śnie. Szary świt przesącza się przez małe mansardowe okienko. Conrad śpi na pościeli całkowicie ubrany. Nie zdjął nawet butów. Leo i matka leżą odwróceni do siebie tyłem. Mam nadzieję, że kiedy się obudzą, Leo powie matce, że ją kocha.

Na paluszkach schodzę na dół, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Na zewnątrz wciąż jest chłodno. Nie widziałam jeszcze farmy w świetle dnia – jest piękna. Dzika róża wspina się po płocie i zwiesza na drugą stronę. W ogrodzie warzywnym widać rzędy kwiatów cukinii, groszek cukrowy na palikach, plątaninę pomarańczowych nasturcji na dole. Trzy króliki posilają się sałatą.

Za ogrodem pola kukurydzy ciągną się aż do podnóża wzgórz, gdzie mroczny las wychyla się ku różowiejącemu niebu. Wkładam sweter i ruszam przez zagony ziemniaków przylegające do kukurydzy, ich piżmowo-słodki zapach wisi kilka stóp nad ziemią.

Podążam szerokim śladem traktora, który biegnie przez środek pól, rozdzielając morze kukurydzy. Jej łodygi otaczają mnie z obu stron niczym żywopłot. Nasłuchuję ich szelestu, ich szeptów. Żałuję, że nie mogę odsłyszeć tego, co mówiła matka.

Wędruję niemal godzinę, gdy za ostrym zakrętem staję jak wryta. Dziesięć metrów przede mną pośrodku drogi tkwi olbrzymi kozioł.

Ojciec Bambiego; jego dumne, strzeliste poroże przypomina nagie drzewa zimą. Patrzy na mnie, a ja nie spuszczam wzroku, nie chcę, żeby uciekł spłoszony. Nagle trzask wystrzału. Oczy zwierzęcia otwierają się szeroko. Pada. Z rany na szyi cieknie krew. Jeleń leży smutny i milczący. Jakiś ruch w kukurydzy, widać czubek lufy. Cofam się w gęstą zieleń, kryjąc przed myśliwymi. Na drodze pojawia się Tyson. Grzbietem dłoni wyciera usta. Wzrok ma pusty, zamglony, jak u lunatyka. Kładzie się obok umierającego zwierzęcia. Wydaje się przy nim mały jak dziecko. Patrzy w oczy jelenia, dopóki życie nie ujdzie z nich i nie rozpłynie się w nicości. Potem podnosi się na kolana i w geście zarazem pięknym i przyprawiającym o mdłości pochyla się, żeby pocałować martwe zwierzę w pysk. Słyszy mój gwałtowny wdech. Zrywa się na równe nogi, broń ma odbezpieczoną.

– Tyson, stój! – Wychodzę na ścieżkę.

Patrzy na mnie przez chwilę, a potem znika, nim zdążę cokolwiek powiedzieć. Widzę tylko wijące się w ślad za nim szczyty łodyg kukurydzy.

Gdy wracam na farmę, Conrad jest w ogrodzie warzywnym z Whitmanem. Miesza wodę w kuble, do którego Whitman wsypuje ciemnobrązowy proszek. Tyson stoi nieopodal, na czubku buta ma maleńką plamkę krwi.

– Dzieńdoberek, Elle! – woła Whitman, kiedy mnie widzi. – Zastanawialiśmy się, gdzie cię wywiało.

– Poszłam się przejść po polach.

Tyson uważnie mi się przygląda. W drodze powrotnej próbowałam przetrawić to, co się wydarzyło, zrozumieć, dlaczego zrobił coś tak okrutnego. Doszłam do wniosku, że pewnie wciąż strasznie cierpi i fakt, że morderca matki pozostaje bezkarny, musi

budzić w nim wściekłość. A jednak to, co widziałam, wydawało się raczej aktem miłości niż zastępczej zemsty.

Whitman wręcza mi wiadro.

– Chodź nam pomóc.

– Śmierdzi – mówię. – Co to takiego?

– Wyschnięta krowia krew. Odstrasza jelenie i króliki. One też nie lubią tego zapachu. Trzeba ją rozlać wokół roślin. To nie zajmie dużo czasu. Mam nadzieję, że jesteście głodni. W piekarniku czeka mnóstwo bekonu. Jajka w kurniku były jeszcze ciepłe, kiedy je zbierałem.

Razem z Conradem pomagamy Whitmanowi rozlać krew wokół upraw. Tyson przygląda się temu spomiędzy młodej sałaty i ogórków. Gdy kończymy, wszystko, co żyje w ogrodzie Whitmana, ma dla mnie zapach śmierci.

11

16.00

– Drinka? – Peter spryskuje sokiem z limonki kobaltowoniebieskie krawędzie szklanki z meksykańskiego szkła, a potem odwraca ją do góry nogami i zanurza w talerzu z solą koszerną.

– A już można? – Matka wchodzi do środka, zerkając na zegarek.

– No co ty. – Peter wlewa hojną porcję tequili do shakera.

– W takim razie nie powiem nie.

Boże, jak mnie to drażni – WASP-owskie[1] żarciki na temat alkoholu.

– Cholera, gdzie oni się podziewają? – mówię.

Jonas i Gina wciąż nie odstawili dzieci i moje zdenerwowanie rośnie z każdą chwilą. Od powrotu znad Black Pond nic, tylko czekam na Jonasa. Nie gram w tryktraka z Jackiem, nie robię manicure, którego bardzo już potrzebuję, tylko czytam na okrągło stary numer „New Yorkera", obgryzając paznokcie. Nie minęły dwadzieścia cztery godziny, a ja, kiedy nie jestem z nim, odliczam minuty do ponownego spotkania – jakby moje życie przestało istnieć i zamieniło się w czas pomiędzy nim a nim. To nieustanne

rozedrganie mnie wkurza. Wyobrażam sobie swój żołądek wypełniony po brzegi obgryzionymi paznokciami. Zapas bólu na całe życie, taki, którego nigdy nie zdołam strawić. Kiedy mnie rozkroją, to właśnie znajdą. Przedziwne złogi, zarazem ostre i kruche.

Jack leży zwinięty na sofie, z głową na moich kolanach, i czyta coś na telefonie. Z tej perspektywy wygląda jak słodki malec i ten widok sprawia, że pęka mi serce. Pochylam się, żeby go pocałować, ale mnie odtrąca.

– Wciąż jestem na ciebie zły – mówi.

– Niełądnie, że każą na siebie czekać. Zróbcie trochę miejsca. – Peter wciska się obok nas, starając się nie rozlać drinka. – Chcesz łyka?

– Po kąpieli.

– Ja chętnie – mówi Jack.

Peter chce podać Jackowi swoją szklankę.

– Nawet nie próbuj. – Wstaję, strząsając z siebie obu. – Idę popływać. Powiedzcie Jonasowi i Ginie, że zobaczymy się kiedy indziej.

– Nie powinniście się zacząć martwić? – pyta matka z kuchni.

– Dzięki, mamo. Tak, pewnie wszyscy utonęli. Albo zginęli w wypadku. – Trzaskam drzwiami.

– Twoja żona jest dziś od rana nie do zniesienia – mówi mama do Petera. – Czyżby była niedysponowana?

– Słyszałam cię! – wołam, pędząc jak burza w stronę wody.

Dwanaście szybkich pociągnięć i wypływam na głębinę. Odwracam się na plecy, podpieram pod boki i tylko nogi jak w żabce pchają mnie dalej. Słucham stłumionego bulgotu wody wokół.

Pośrodku stawu odwracam się i kładę jak topielec, z twarzą w dół – unoszę się z otwartymi oczami, próbując dojrzeć coś na

dnie. Ale mój wzrok nie potrafi przyzwyczaić się do zielonego mroku. Rzucona na głęboką wodę czuję, że zawodzą mnie zmysły. Wyobrażam sobie, jak by to było tonąć – zapadać się coraz niżej, walczyć o powrót na powierzchnię, łykać wodę jak powietrze.

1979. Październik, New Hampshire

Za oknem pędzącego samochodu jesienny krajobraz Nowej Anglii rozpływa się w niewyraźną plamę żółci i czerwieni od czasu do czasu przerywaną ciemnym przecinkiem sosny. W szkole Anny jest weekend odwiedzin rodziców. Dixon, mama, Becky i ja jedziemy do niej i zostaniemy na noc. Nigdy nie byłam w New Hampshire.

– To tak samo jak ja – mówi Anna, kiedy dzwonię, żeby powiedzieć, że przyjeżdżamy. – Nie wychodzimy poza kampus. Utknęłam w czasie w budynkach z czerwonej cegły z dziewczynami, które grają w hokeja na trawie i żywią się tabletkami przeczyszczającymi.

Ale tak naprawdę Anna jest teraz dużo szczęśliwsza. Prawie nigdy nie przyjeżdża do domu. Długie weekendy spędza u współlokatorki, która mieszka bliżej szkoły.

Nasza wizyta to pomysł Dixona. Mama nie zamierzała jechać, on jednak się uparł. Anna jest jego chrześniaczką. Dixon mówi mamie, że bardzo lubi Leo, ale małżeństwa się kończą, a dzieci zostają.

– Cóż, technicznie rzecz biorąc, to nieprawda – oponuje mama.

– Nie bądź zrzędą. Zaczynasz przypominać swoją matkę – oznajmia Dixon, szturchając ją pod żebro.

Dixon rozstał się z kędzierzawą Andreą. Kiedy na świat przyszło dziecko (w domu, poród odbył się w wannie), od razu było wiadomo, że nie on jest jego ojcem.

– Wiele rzeczy można o mnie powiedzieć – mówi Dixon. – Błyskotliwy. Bóg seksu. Specjalista od Walta Whitmana. Ale nie to, że

jestem Azjatą.

– Znajdziesz sobie kogoś – pociesza go mama. – Zawsze znajdujesz. W ciągu jakichś dwóch sekund.

– Masz rację – potakuje Dixon. – Tylko że to nie są trwałe związki.

– Dlatego że masz koszmarną intuicję i umawiasz się wyłącznie z idiotkami – stwierdza mama.

– To moja pięta achillesowa – zgadza się Dixon. – Gdybym miał choć trochę oleju w głowie, ożeniłbym się z tobą.

– Wiadomo.

– Ale żeby oddać sprawiedliwość Andrei, po prostu podążała za własną prawdą.

– Nie mam więcej pytań.

Dixon się śmieje.

– Nieważne. Dzieciak był słodki, prawda, Becks?

– W pewnym sensie – mówi Becky. – Miał dziwny kształt głowy.

– To chwilowe. Andrea ma bardzo wąskie drogi rodne.

Becky wydaje odgłos, jakby się krztusiła.

– Tato, możemy nie rozmawiać o waginie Andrei?

Siedzimy z Becky ściśnięte na tylnym siedzeniu między płóciennym workiem Dixona a wielką słomianą torbą mamy, pełną rzeczy, których Anna zapomniała zabrać, kiedy wyjeżdżała we wrześniu.

– Dlaczego to nie może iść do bagażnika? – pytam.

– Bo w bagażniku są skrzynki. W drodze powrotnej nazbieramy jabłek – mówi mama. – Zrobimy mus jabłkowy – oznajmia, kiedy wydaję z siebie jęk. – Przypomnij mi, żebym kupiła pektynę, Dix.

– Spoko. Mus jabłkowy. – Włącza radio i kręci gałką, przeskakując trzeszczące stacje.

– Proszę, patrz na drogę – napomina go mama.

– Żadnego pouczania kierowcy.

W jedynej lokalnej radiostacji, która odbiera bez zakłóceń, leci *Time in a Bottle*.

– Tylko nie to – mówi mama. – Nie znoszę Jima Crocego. Strasznie ckliwy.

– Daj biedakowi szansę, Wallace. Zabił go pekanowiec.

– Z pewnością nie wpłynęło to na jakość jego muzyki.

Dixon uśmiecha się szelmowsko i odkręca dźwięk na ful. Matka zatyka uszy, ale też się śmieje. Przy Dixonie zawsze jest bardziej wyluzowana.

Skręcamy na wiejską drogę obrzeżoną kamiennym murkiem i kępami klonów. Wije się wśród pastwisk, czerwonych stodół, bezkresnych sadów pełnych jabłoni przygiętych do ziemi pod ciężarem owoców. Szkoła Anny znajduje się przy wąskiej dróżce, wjazd znaczą dwa masywne granitowe filary i dyskretna tabliczka z brązu, zaśniedziała i niemal nieczytelna. Lamont Academy. Długi żwirowany podjazd wychodzi nagle na rozległy trawnik, na którym gdzieniegdzie widać drzewa o pniach tak grubych, że trzeba by trzech osób, żeby je objąć.

Lamont jest większe, niż się spodziewałam, bardziej onieśmielające. Budynki mieszkalne z czerwonej cegły i szkolne pracownie obrośnięte bluszczem, a obok biblioteki z marmurowymi kolumnami biała kaplica z deski szalunkowej. Na parkingu roi się od uczennic witających rodziców z ulgą i radością. Nigdzie nie widać Anny. Znajdujemy ją na schodach internatu, siedzi na słońcu. Na kolanach ma książkę w miękkiej oprawie. Płacze.

– Dlaczego Phineas umarł? – Zamyka ją i wstaje. – Nienawidzę tej książki.

– *Separate Peace* to najbardziej dołująca powieść dla młodzieży, wiadoma sprawa – pociesza ją Dixon.

– Był taki przystojny – mówi Anna. – Idealny.

– Tylko najlepsi umierają młodo – stwierdza sentencjonalnie Dixon.

– Bzdura – prycha mama.

Obie z Anną stoją w pewnej odległości od siebie, jak dzieci na szkolnej dyskotece – czekają, która zrobi pierwszy krok. Stosunki między nimi się zmieniły po tym, jak Anna musiała wyjechać. Mama próbowała jej to wynagrodzić, ale Anna ma w sobie teraz dystans, chłód, który nigdy nie stopnieje – jakby jej dawne życie wciąż było widoczne w tylnym lusterku, ale ona patrzyła już tylko na drogę przed sobą.

Mama łamie się pierwsza, podchodzi do Anny.

– Tak się cieszę, że cię widzę – mówi, obejmując ją. – Wyglądasz cudownie.

– Nie wierzyłam, że uda wam się przyjechać.

– Dlaczego miałoby się nie udać? – jeży się mama.

– W zeszłym roku nie przyjechaliście.

– Za to teraz jesteśmy. – Dixon otacza Annę ramieniem. – I jaki piękny dzień. Muszę znaleźć kibel, bo się zleję, ale potem chcę, żebyś nam wszystko pokazała.

– Jezu, tato – prycha Becky.

– Rodzice Lily zaprosili nas na obiad w zajeździe – mówi Anna.

– Myślałam, że zjemy rodzinny lunch. Ale to w sumie niezły pomysł. – Mama się uśmiecha, widzę jednak, że jest zawiedziona.

– Najpierw chcę pokazać Elle swój pokój. – Anna ujmuje moją rękę w dłonie, jakbyśmy zawsze były najlepszymi przyjaciółkami.

Becky idzie za nami, ale Dixon ją powstrzymuje.

– Widziałaś, jakie to drzewo jest wielkie, Beck? Musi mieć ze dwieście lat.

Anna mieszka w trójce – dużym pokoju z wysokimi oknami, sfatygowaną drewnianą podłogą i trzema pojedynczymi łóżkami dosuniętymi do ścian. Na parapecie pestka awokado wypuszcza pokryte meszkiem białe korzenie w słoiku wypełnionym mętną wodą. Łóżko Anny jest niepościelone – poznaję jej fioletową indyjską kapę. Nad nim wiszą przypięte do ściany dwie fotografie. Na jednej Anna ze swoimi współlokatorkami stoi przed basenem. Na drugiej wspinamy się we dwie na drzewo w Central Parku. Obie radośnie uśmiechnięte.

Anna sadowi się na łóżku ze skrzyżowanymi nogami. Klepie obok, żebym usiadła. Materac zapada się na brzegu, kiedy do niej dołączam.

– Zgadnij co? – mówi. – Tylko musisz obiecać, że nikomu nie powiesz.

– Dobra.

– Ale na serio. Bo inaczej umrzesz. – Nachyla się do mnie. – W zeszły weekend straciłam dziewictwo. – Sprawia wrażenie bardzo dumnej z siebie, jakby to było jakieś wielkie osiągnięcie, a ja chcę zareagować stosownie: powiedzieć coś niedbałego, dorosłego. W końcu Anna mi się zwierza. Ale przychodzą mi na myśl tylko stęchlizna, pot i błaganie matki. Pociągam za luźną nitkę na narzucie. Materiał wokół marszczy się, zwija w harmonijkę.

– Nie wiedziałam, że masz chłopaka – mówię.

– Nie mam. To przyjaciel brata Lily. Ma dziewiętnaście lat. Byliśmy razem na Dniu Kolumba.

– I jak było?

– Tak sobie. Ale przynajmniej nie jestem już dziewicą.

– A co, jeśli zajdziesz w ciążę?

– Nie zajdę. Pożyczyłam od Lily kapturek.

– Obrzydliwość.

– Weź, przecież najpierw go umyłam. Szorowałam ze dwie godziny. – Śmieje się.

– I tak to obrzydliwe – mówię.

– No i co z tego. Lepsze to niż wpadka. – Zeskakuje z łóżka i podchodzi do okna. Podnosi awokado do światła. – Muszę zmienić wodę.

– Ja mam zamiar zaczekać – mówię.

– Zaczekać na co?

– Aż się zakocham.

Odstawia słoik bez słowa, stoi plecami do mnie. Jeśli coś między nami otworzyła, teraz zostało zamknięte.

– Albo może nie zaczekam. Nie wiem. – Miotam się. – Chyba brzmię głupio.

– Nie, myślę, że to dobry pomysł – mówi, odwracając się do mnie.

– Serio?

– Tak, dla ciebie. Ale nie dla mnie. Ja się pewnie nigdy nie zakocham. To nie w moim stylu.

Wracamy do domu po ciemku. W samochodzie unosi się zapach świeżych jabłek. Siedzimy z Becky z tyłu, grając w piekło-niebo.

– Wybierz liczbę – mówi.

– Trzy.

Otwiera i zamyka papierowy dzióbek trzy razy.

– Wybierz kolor.

– Niebieski.

Unosi niebieski trójkąt, żeby odsłonić mój los.

W środku napisała: „Dojdziesz do trzeciej bazy z grubą tłustą świnią”. Ma charakter pisma ośmiolatki.

– Jesteś okropna – śmieję się. – Twoja kolej.

Biorę własne piekło-niebo i wkładam palce w trójkątne otwory. Otwieram. Zamykam. Otwieram. Zamykam. Otwieram. Wskazuje na czerwony.

Podnoszę zagięcie.

– „W twoim życiu wkrótce pojawi się tajemniczy nieznajomy” – czyta szeptem. – I włoży ci penisa.

– Tego nie napisałam, psycholko – mówię.

– Poczekaj.

Nachyla się nade mną, sięga do worka ojca i rozsuwa go ostrożnie, żeby nie usłyszał. Wyciąga białą książkę bez okładki.

– Myślisz, że ja jestem okropna?

W środku są czarno-białe rysunki. Przedstawiają parę, która to robi. Kobieta wygląda jak żona z *The Bob Newhart Show*, tylko jest naga. Mężczyzna ma długie czarne włosy i brodę. Nosi rozpiętą koszulę, nic więcej. Pod jej połami dynda penis. Jest odrażający. Myślę o Annie uprawiającej seks z tym chłopakiem z college’u. To, że zrobiła to z kimś, kogo prawie nie zna, sprawia, że robi mi się smutno. Zastanawiam się, czy w głębi duszy nie żałuje. Bo kiedy już się to zrobiło, klamka zapadła.

Becky przewraca stronę, widać inny rysunek: kobieta opiera się o ścianę. Mężczyzna klęczy z twarzą w jej kroczu.

– Błe – szepcze Becky. – Wyobrażasz sobie coś obrzydliwszego? Pewnie smakuje sikami.

– Fuj.

Obie zaczynamy się śmiać tak, że aż bolą nas boki.

– Co was tak rozbawiło? – pyta Dixon z przodu. – Też chcę się pośmiać.

Becky chowa książkę z powrotem do worka.

– Czytałyśmy – mówię.

– Elle, przecież wiesz, że od czytania w samochodzie robi ci się niedobrze – upomina mnie mama. Otwiera schowek na rękawiczki i wyjmuje plastikową torbę. – Na wszelki wypadek. – Podaje mi ją. – Ale na miłość boską, jeśli poczujesz, że zbiera ci się na torsje, postaraj się poczekać, aż się zatrzymamy. Od smrodu wymiocin mnie samej robi się niedobrze.

16.10

Czekam, aż zaczną mnie boleć płuca, i dopiero kiedy nie mogę wytrzymać ani sekundy dłużej, szarpnięciem wynurzam głowę, gwałtownie łapiąc powietrze. Coś chwyta mnie za kostkę, ostre, szybkie ugryzienie. Wpadam w panikę. Przede mną z wody wyłania się Jonas. Śmieje się, widząc wyraz zgrozy na mojej twarzy.

– Zwariowałeś? Myślałam, że to skorpucha!

Odpływam od niego wściekła, ale chwyta mnie za majtki.

– Puszczaj.

– Nic z tego.

– Palant z ciebie.

– Wcale nie. – Szarpnięciem przyciąga mnie bliżej. – Wiesz, że nie.

– Spóźniliście się.

– Te twoje dzieciaki to nie dzieciaki, tylko ryby. Za nic nie chciały wyjść z wody.

– Wiem. – Wzdycham. – Czasem mam ochotę wrzucić im deski do rozdrabniarki. Nie wiem, skąd Peter bierze cierpliwość.

Unosimy się w wodzie osobno, ale razem.

– Gina coś wyczuwa – mówię. – Był taki dziwny moment, kiedy przyszłam na plażę.

W oddali Maddy i Finn ganiają się na brzegu. Za nimi moja matka rozwiesza biały lniany obrus na sznurku. Słyszę trzask drzwi, głos śmiejącej się Giny. Jonas też ją słyszy. Odwracam wzrok.

– Wszystko w porządku – mówi.

– Nic nie jest w porządku. Jestem jakaś popsuta. Powinnam mieć straszliwe poczucie winy. A zamiast tego byłam taka zadowolona. Jakbym wygrała. To serce na piasku.

– Wygrałaś.

– To okropne, co mówisz.

– Masz rację. – Jedną z rzeczy, które zawsze kochałam w Jonasie, jest jego umiejętność przyznania się do wad, pozostawania w zgodzie z sobą. – Kocham Ginę. Ale ciebie mam we krwi. To nie jest kwestia wyboru.

– Oczywiście, że jest.

– Nie, to coś, co muszę zrobić. I okej. Na tym polega różnica między nami. Na akceptacji wyborów, których dokonaliśmy.

– Nie chcę o tym mówić. – Bez względu na tajemnicę, którą moja przyszywana siostra Rosemary wyjawiła, kiedy w zeszłym tygodniu byliśmy z Peterem w Memphis, bez względu na to, jak zmieniła ona moje postrzeganie przeszłości, Jonas i ja to zawsze będzie ofiara, pokuta. – Nie zostawię Petera.

– Więc to koniec? – pyta. Odwraca wzrok i patrzy w dzicz, na niezamieszkaną stronę stawu. Wpatruje się w trzciny, sitowie, miejsce, gdzie zostaliśmy prawdziwymi przyjaciółmi: mały chłopiec ukryty w koronie drzewa, siedzący okrakiem na niskiej gałęzi, cierpliwy, cichy jak mysz, i tyczkowata, zła dziewczynka, która tego

dnia chciała umrzeć. To drzewo wciąż tam stoi, ale teraz jego gałęzie wyciągają się w niebo.

Jonas wzdycha.

– Tyle lat.

– Tak.

– Wyrosło takie wysokie.

– Zdarza się.

Kiwa głową.

– W drzewach kocham to, że jednocześnie rosną w górę i w dół. Szkoda, że my tak nie możemy.

Chcę tylko jednego – pocałować go.

– Powinieneś wracać.

– Powiedziałem Ginie, że dopłynę na drugi koniec stawu i stamtąd pójdę piechotą.

– Nie. Płyń do niej.

Patrzy na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Dobrze – mówi. – Może zobaczymy się na brzegu.

– Może.

Nienawidzę wszystkiego: dystansu, kiedy jego ciało odsuwa się od mojego, znajomej wyrwy, którą miałam w sobie tyle lat i która teraz znów się otwiera. Ale muszę go puścić, nawet jeśli to – my – to coś, czego pragnęłam całe życie. Bo to nie ten mężczyzna. Bo to coś złego i jest już za późno. Kocham Petera. Kocham dzieci. Nie liczy się nic więcej.

Patrzę, jak odpływa, patrzę, jak odległość między nami się zwiększa. A potem płynę za nim, wciągam go pod wodę i tam, gdzie wszystko jest niewyraźne, ukryta przed światem całuję go długo i mocno, mówiąc sobie, że to po raz ostatni.

– Próbujesz mnie utopić? – pyta, gdy wynurzamy się, gwałtownie łapiąc powietrze.

– To ułatwiłoby sprawę.

– Do kurwy nędzy, Elle, całe życie czekałem na tę noc. Nie odbieraj mi jej.

– Muszę. Tylko nie potrafię tego zrobić już teraz.

– Nie rób – mówi.

Pokonujemy staw, razem rozchlapując wodę, wybijamy się do góry, wyrzucamy na maleńką plażę i siadamy ramię przy ramieniu.

[1] WASP (ang. White Anglo-Saxon Protestant), dosłownie „biały, anglosaski protestant" – określenie uprzywilejowanej warstwy w społeczeństwie amerykańskim (przyp. tłum.).

12

1980. Kwiecień, Briarcliff, Nowy Jork

Niedziela. Wiosnę mieliśmy mokrą, ale dziś pogoda jest idealna, słońce świeci mocno, wszystko wokół zielenieje i kwitnie. Joanne poprosiła ojca, żeby zabrał swoje pudła ze strychu w domu jej rodziców. Jedziemy wzdłuż rzeki Hudson z rozkręconymi oknami. Odkąd ojciec rozstał się z Joanne, dużo więcej czasu spędzamy razem. Bardzo się stara naprawić stosunki ze mną i z Anną – odwiedził ją nawet w szkole. Nie potrafię jednak przestać myśleć, że gdyby Joanne wciąż z nim była, wyglądałoby to zupełnie inaczej.

Tata spakował prowiant: kanapki z szynką i pomidorem, gruszki, słodkie pikle, dla niego butelka piwa, dla mnie yoo-hoo. Jest w znakomitym nastroju.

– Nie mogłem się doczekać, żeby rzucić w diabły Joanne, ale Dwighta i Nancy mi szkoda. Byli dla mnie tacy dobrzy. Zatrzymamy się najpierw na lunch. Nie chcę przyjeżdżać za wcześnie.

– Uwielbiałam ten dom. Miał cudowny zapach.

– Nancy się ucieszy, jak cię zobaczy. Odkąd Frank wyjechał do college'u, trochę zmarkotniała.

Ulżyło mi, że nie będzie Franka. Na myśl o jego wilgotnej górnej wardze i odrażającym tłustym wężu wciąż robi mi się niedobrze.

– Tyle czasu ich nie widziałam. Kiedyś z Anną siedziałyśmy u nich non stop.

– Nie non stop – mówi tata. Zjeżdża na parking przy stacji Tarrytown. – Po drugiej stronie torów jest całkiem przyzwoite miejsce na piknik.

Kiedy wysiadam z samochodu, czuję dreszcz niesprecyzowanego, choć wyraźnego smutku. Minęło kilka lat, odkąd tu byłam, ale właśnie na tej stacji wysiadałyśmy z Anną z pociągu Harlem–Hudson, kiedy przyjeżdżałyśmy w odwiedziny do taty i Joanne, zanim przenieśli się do Londynu. To tu nauczyłam się nie liczyć na więcej – jedyną szansą na spędzenie czasu z ojcem była podróż do domu Burke'ów i z powrotem.

Przechodzimy przez tory i znajdujemy ławkę z widokiem na Hudson. Rzeka strząsa z siebie resztki zimy, przeciąga się obudzona na wiosnę. Patrzę na wielką gałąź spływającą w dół, ciągniętą przez powolny, ciężki nurt. Ojciec wyjmuje z kieszeni stary szwajcarski scyzoryk i otwiera piwo. Zawsze uwielbiałam ten nóż, jego ukryte skarby: maleńkie nożyczki, pilnik do paznokci, piłkę jak dla lalki. Ojciec wysuwa duże ostrze i zaczyna obierać dojrzałą gruszkę, cienka skórka tworzy precyzyjną spiralę.

– Tato, dlaczego przestaliśmy jeździć do Burke'ów?

– Bo chciałem, żeby moje dziewczynki spędzały czas ze mną.

– To dlaczego nas tam zostawiałeś?

– No cóż – mówi – to był pomysł Joanne. – Odkrawa kawałek gruszki i podaje mi ją na nożu. – Ostrożnie. Ten scyzoryk jest ostrzejszy, niż wygląda. W torbie jest jeszcze kawał sera Munster.

Z moim ojcem jest tak, że winę zawsze ponosi ktoś inny.

– Mówiłem ci kiedyś, skąd mam tę bliznę? – Podnosi kciuk. Nachyla się. Dramatyczna pauza. Ojciec nie opowiada historii, on je

odgrywa. Przedstawia. Puszy się jak fregata, czerwony, z wypiętą piersią. Czeka, aż widownia się zaaklimatyzuje. Zwykle kiedy się powtarza, udaję, że słyszę tę historię pierwszy raz. Nie chcę ranić jego uczuć. Ale teraz mam ochotę przekłuć balonik. Spuścić z niego powietrze. „Tak, opowiadałeś mi ze dwadzieścia razy".

– Tato dał mi ten scyzoryk, kiedy skończyłem dziesięć lat. Powiedział, że noże są dla mężczyzn, nie dla chłopców, i że mam go szanować. Rozciąłem sobie kciuk już za pierwszym razem. Próbowałem podważyć kapsel coli ostrzem. Trzeba mi było założyć dwanaście szwów. Zalałem krwią cały sklep. Jakbym sobie przeciął żyłę szyjną. Tato zabrał mi nóż na rok. Powiedział, że popełnił poważny błąd. Że jeśli ktoś nie potrafi odróżnić otwieracza od ostrza, tylko udaje mężczyznę. To była bolesna nauczka. – Za jego plecami pociąg jadący na południe zwalnia przed stacją. – Twój dziadek nauczył mnie strugać, wiesz? I strzelać. Pamiętasz tego drewnianego żółwia, którego dla ciebie zrobiłem?

Kręcę głową, że nie, choć stoi na półce nad moim łóżkiem – tam, gdzie zawsze. Podaję ojcu ser i biorę kanapkę z torby. Zdejmuję górną kromkę. Jest poplamiona różowym sokiem z pomidorów. Po kolei wyłuskuję nasionka i pstryknięciem zrzucam w trawę. Na rzece żaglówka walczy z nurtem.

Na okrągły żwirowany podjazd przed domem Burke'ów wjeżdżamy punkt druga.

– Idealnie – mówi zadowolony z siebie tata.

Na ganku leży czekoladowy labrador, drzemie w plamie słońca. Powoli podchodzi do ojca i ociera mu się o nogi, a potem zamiera w bezruchu, jakby ten prosty gest go oszołomił.

– Witaj, staruszko – mówi tata, klepiąc psa. – Pamiętasz Corę? – zwraca się do mnie.

– Tego szczeniaka?

– Teraz to już wiekowa dama. W przeliczeniu na psie lata. – Puka do drzwi. – Halo? Nancy? Dwight? Jest tu kto? – Opowiada mu tylko cisza. – Widziałem samochód Nancy, pewnie jest w ogrodzie na tyłach. – Otwiera drzwi i wchodzimy do środka.

Wszystko wygląda dokładnie tak, jak zapamiętałam: błyszczące mosiężne szczypce i szufelka do popiołu oparte o kominek z białej cegły. Wytarte WASP-owskie fotele z uszami, sfatygowany perski dywan. Na stoliku do kawy stoją peonie z ogrodu, kilka płatków opadło na albumy o sztuce.

– Halo? Halo? – woła tata. Idę za nim do kuchni. Ekspres stoi włączony, czuć kwaśnawą woń spalonej kawy. Ojciec wyłącza urządzenie i wkłada dzbanek pod kran. Szklane naczynie syczy i paruje, gdy strumień pada na skarmelizowaną obwódkę, zabarwiając wodę na brązowo.

– Nie ma jej w ogrodzie. Musieli wyjść na spacer. Zacznę znosić pudła. Idź zajrzeć do swojego starego pokoju.

– Może powinniśmy zaczekać. Bo to trochę tak, jakbyśmy się włamali.

– Burke'owie to rodzina, z Joanne czy bez.

Ukryte drzwi prowadzące do naszego pokoju są otwarte. Zatrzymuję się w połowie schodów, na półpiętrze, gdzie z Anną bawiłyśmy się lalkami, i dopiero po chwili wchodzę na górę. Nic się nie zmieniło – te same kwieciste poszewki na poduszki, które były tu, kiedy miałam sześć lat, te same koronkowe serwetki na komodzie. Ta sama szwajcarska pościel w kropki. Przed oczami staje mi wykrzywiona cierpieniem twarz Franka tego dnia, gdy znalazłyśmy Goldie rozgniecioną za łóżkiem Anny. Jego płacz. Piskliwy gulgot. Słońce wpada do środka przez kratownicę z szyb.

Ponad posępną skalną ścianą widać jasne niebo. Rododendrony Nancy kwitną pod oknem. Nic się nie zmieniło, a jednak nasz stary pokój sprawia wrażenie smutnego i wydrążonego, jednowymiarowego – jak dekoracje do szczęśliwego dzieciństwa, które, gdy za nie zajrzeć, ukazują dyktę i pustkę. Nagle chcę już tylko znaleźć się obok ojca.

Na dole w spiżarni zatrzymuję się przed drzwiami do pokoju, w którym Frank trzymał swoje chomiki. Wciąż wisi tu pożółkła kartka z napisem zrobionym flamastrem: „Wstęp wzbroniony pod karą śmierci". Przekręcam gałkę i wchodzę do zakazanego pomieszczenia. Potrzebuję chwili, żeby mój wzrok się przyzwyczaił. Teraz to magazyn, pod ścianami stoją sterty skrzynek. Klatki Franka zniknęły. Ale w najdalszym końcu widzę terrarium rozświetlone bladym blaskiem neonówki. Jest pięć razy większe niż to, które pamiętam. Gdy do niego podchodzę, dostrzegam subtelną zmianę, ruch, kręty, gadzi. Wycofuję się za drzwi.

Nancy siedzi przy kuchennym stole, krojąc jabłka.

– Tu jesteś, skarbie! – woła radośnie. – Dzień dobry.

Czuję, że pochwyciła mnie w swój łagodny uśmiech niczym w snop reflektora.

Odkłada ogryzek i wyciera ręce w fartuch.

– Czyż Waldo nie urósł?

– Pukaliśmy – mówię. – Tato powiedział, że nic się nie stanie, jeśli zacznie znosić rzeczy.

– Oczywiście. Położyłam się na chwilkę. Ależ z ciebie wyrosła śliczna młoda kobieta. Masz już pewnie piętnaście lat.

– Trzynaście. We wrześniu zacznę czternasty rok.

– Musicie być spragnieni po podróży. Zrobiłam mrożoną herbatę. Dwight powinien wrócić lada moment. Pojechał oddać książkę

swojemu przyjacielowi Carterowi Ashemu. – Idzie do lodówki, zatrzymuje się przed nią, ale jej nie otwiera. Potrząsa głową, jakby próbowała pozbyć się jakiejś myśli. – Spóźnił się na luncheon – mówi. – Musicie być spragnieni. Zrobiłam mrożoną herbatę.

Znajduję ojca na strychu wśród pudeł i starych fotografii. Gorąco tu i duszno. Pachnie przeszłością.

– Spójrz na to. – Podaje mi grubą szarą kopertę. – Wszystkie moje stare stykówki i negatywy. Jest kilka cudownych zdjęć twojej matki.

Wyjmuję czarno-białe stykówki i przeglądam. Niezliczone fotografie matki w sukience koktajlowej i perłach, leżącej na sofie, uśmiechającej się do obiektywu. Anna w wannie, cała w mydlinach, z durszlakiem na głowie. Ja i mama na placu zabaw. Mama buja mnie na huśtawce, jeden czerwony bucik z klamerką spadł i leży na ziemi. Na samym dnie koperty znajduję serię zdjęć naszej czwórki. Stoimy na schodach przed Muzeum Historii Naturalnej, Anna i ja mamy pasujące do siebie marszczone sukienki i buty Mary Jane. Tata trzyma mnie na rękach. Nic z tego nie pamiętam.

W cieniu okapu, w trudno dostępnym miejscu stoją trzy otwarte pudła z imieniem ojca nabazgranym czarnym flamastrem. To jego kolekcja płyt. Siedemdziesiątkiósemki w brązowych kopertach, longplaye w przetartych tekturowych okładkach. Przejeżdżam palcem po grzbietach. Lubię dźwięk, który wydają. To pamiętam.

Ojciec bierze wyblakłą kolorową fotografię ze sterty przed sobą.

– Chodź, spójrz na to.

To zdjęcie jego i mamy. Wyglądają tak młodo. Są na łące. Mama leży na trawie z głową opartą na kolanach ojca. Ma żeglarskie szorty i falbaniastą białą bluzkę, górne trzy guziki są rozpięte. Zamknęła oczy. Ojciec patrzy na nią z góry. Wygląda na szczęśliwego w sposób,

którego nie rozpoznaję. Za nimi w oddali widać wulkan wznoszący się ku wyblakłemu niebu.

– Acatenango. – Wskazuje na wulkan. – Polecieliśmy z twoją matką do Gwatemali, żebym mógł poznać babkę Nanette i wujka Austina. Co to była za katastrofa. Nie widziałaś nigdy babki, prawda?

– Nie jestem pewna. Może. Jak miałam kilka miesięcy.

Ojciec kiwa głową.

– No tak. Kiedy byłaś w szpitalu, po operacji. Przyjechała na Boże Narodzenie. Przywiozła mi ludową makatkę z Marią i Józefem na osiołku. Przekonywała, że to cenna majańska pamiątka – śmieje się. – Niewykluczone, że jest gdzieś tutaj, na dnie któregoś z pudeł. Ta kobieta to była siła natury. Nie znosiła mnie. Mówiła, że twoja matka popełniła mezalians. Oczywiście miała rację. Twoja matka to inna liga. – Milknie. – Wydaje się szczęśliwa z Leo.

– Chyba tak.

Wyjmuje mi z rąk fotografię. Wpatruje się w nią przez długą chwilę.

– Byłem w niej taki zakochany.

– I co się stało? Przecież to ty odszedłeś.

– Wierz mi, że to była ostatnia rzecz, jakiej chciałem.

– No to dlaczego się rozwiedliście?

– Podejrzewam, że twoja matka ostatecznie doszła do wniosku, że Nanette miała rację. – Śmieje się, ale widzę, że w głębi ducha w to wierzy.

– Co za bzdury – mówię. – A Nanette musiała być straszną jędzą.

Uśmiecha się.

– No cóż, ma panienka Elle całkowitą rację. – Wstaje i otrzepuje spodnie. – Chodźmy spakować to wszystko i wynośmy się z tej alei wspomnień.

Nancy ściska nas na pożegnanie przy drzwiach.

– Szkoda, że już musicie jechać – mówi. – Jestem pewna, że Dwight będzie lada chwila. Pojechał tylko zwrócić książkę. – Stoi na ganku, machając.

Patrzę, jak znika w oddali.

– Nancy wydawała się taka smutna. Samotna.

– Dwight to dobry człowiek, wielki poeta, ale ma swoje demony. Małżeństwo nie zawsze jest błogosławieństwem – mówi ojciec.

Dwa dni później do ojca dzwoni spanikowana Joanne. Ciało Dwighta Burke'a wyciągnięto z rzeki Hudson. Zaginięcie zgłoszono w poniedziałek rano.

– Pojechał się zobaczyć z Carterem Ashem – mówi ojcu Joanne. – Wypili za dużo burbona. Wiesz, jaki jest. Matka nie chciała, żeby prowadził, przekonała go, żeby został na noc. Według Cartera tata pojechał nad rzekę o wschodzie słońca. „Żeby otrząsnąć się z nocy".

– Nie ma lepszego lekarstwa na kaca niż zimna kąpiel – stwierdza ojciec, kiedy mi o tym opowiada. – Ale rzeka bywa zdradliwą bestią.

16.30

Nie ma nic piękniejszego niż Jonas po kąpieli. Rozwichrzone czarne włosy przykleiły mu się do karku i ociekają wodą. Bosy, w samych starych szortach, z zaróżowioną skórą i czujnymi jasnozielonymi oczami. Zrywa liść z krzaka, ostrożnie wyjmuje żyłki i kładzie delikatny kształt na mojej dłoni. Zgniata oderwaną zieloną część i podsuwa mi pod nos.

– Mmm. – Wdycham czysty, miętowy zapach. – Sassafras.

– Wiesz, że rdzenni Amerykanie za jego pomocą leczyli trądzik?

– Bardzo romantyczne – śmieję się.

– Krótki spacer nad ocean?

Słońce wlało do oceanu rzekę roztopionego kruszcu. Kormoran daje nura w płynne złoto. Na falującej powierzchni nie widać grzebieni. Siewki dziobią łachy piasku w poszukiwaniu widłonogów i okładzinek. Zostało jeszcze kilkoro późnopopołudniowych maruderów. Siedzimy we wgłębieniu na szczycie wydm, ukryci za parawanem trawy. Jestem zakochana.

– Wcześniej na plaży leżała foka – mówi Jonas. – Poszliśmy z Finnem ją zobaczyć. Miała wielką ranę. Wyglądała, jakby rekin chciał jej wygryźć kawał sadła.

– Dlaczego ci idioci wciąż się tak ekscytują, kiedy zobaczą fokę? Wszędzie ich teraz pełno. Są jak morskie gołębie.

– Foki są niezwykłe. Mogą pić słoną wodę, którą potem destylują. Wydalają sól z moczem. W piątej klasie napisałem o tym wypracowanie. Zdaje się, że uważałem, że ktoś powinien wymyślić sposób odsalania wody morskiej za pomocą foczych pęcherzy.

– Byłeś dziwnym dzieckiem.

Jonas przesiewa ziarna piasku przez palce.

– To co porabialiście z Peterem po powrocie?

– Bo ja wiem? Nic szczególnego.

– Kiedy przyjechaliśmy, podziękował, że zajęliśmy się dziećmi, i powiedział, że mieliście trochę „czasu dla siebie”.

– Jonas.

– Przepraszam. – Wygląda jak dziesięciolatek. – Nic na to nie mogę poradzić.

– Możesz.

Umieszcza ostre źdźbło trawy między kciukami, naciąga je mocno, a potem dmucha przez dziurkę, wydając długi, przypominający syrenę dźwięk.

– Dobra – mówię. – Sam się prosiłeś. Rzuciliśmy mokre ręczniki na tył samochodu, zatrzymaliśmy się na końcu ścieżki w lesie i uprawialiśmy seks. Było miło. Trochę to trwało.

– Kłamiesz.

– Jonas, Peter to mój mąż.

– Przestań. – Wbija wzrok w ziemię, włosy opadają mu na twarz. Nie widzę jego oczu.

Wzdycham.

– Pojechaliśmy nad Black Pond, żeby się wykąpać, a potem siedziałam na werandzie i czytałam stary numer „New Yorkera" z kupki winy, czekając na ciebie. Dlaczego to tyle trwało? Myślałam, że oszaleję.

Podnosi wzrok i widzę, że się uśmiecha.

– Boże, ale jestem w tobie zakochany.

Daleko, na płaskim jak stół oceanie taflę wody przecina głowa tłustej foki. Patrzę, jak pojawia się i znika, przesuwając się wzdłuż brzegu.

– Ja też jestem w tobie zakochana – mówię. – Ale nie wiem, czy to ma znaczenie.

1980. Październik, Nowy Jork

Próba orkiestry się przedłuża. Przygotowujemy się do zimowego koncertu w gimnazjum. Jestem drugim fletem.

– Stojaki na bok – woła pani Moody, nasza nauczycielka muzyki, kiedy uczniowie ruszają w stronę drzwi. – Chór jest w tej sali na pierwszej lekcji.

Podchodzi do miejsca, gdzie siedzę, składając flet.

– Chciałabym, żebyś przez weekend popracowała nad pierwszą częścią, Eleanor. I rób te ćwiczenia, które ci dałam w zeszłym

tygodniu. Jeśli masz trafić czysto w wysokie C, musisz wzmocnić zadęcie. Nie chciałybyśmy przecież, żebyś fałszowała, prawda?

Lubię panią Moody, ale bywa taka irytująca. Zakładam puchową kurtkę i chowam flet do plecaka.

Choć jest dopiero wpół do piątej, wydaje się, jakby już zapadała noc. Nie znoszę zmiany czasu. Późnopaździernikowy wiatr kąsa przez ubranie, gdy przez Madison Avenue wlokę się samotnie do domu. Na Osiemdziesiątej Ósmej zatrzymuję się przy papierniczym, żeby kupić batonik 3 Musketeer. Gdy wychodzę, o ścianę budynku opiera się chłopak. Jest wysoki, twarz pokrywają mu blizny po trądziku, ma na sobie kurtkę bejsbolówkę St. Christopher's, katolickiego liceum w naszej dzielnicy.

– Hej. – Uśmiecha się do mnie, więc odpowiadam uśmiechem. – Fajne cycki – mówi, kiedy go mijam.

– Mam kurtkę, kretynie. – Ale garbię się i oddalam w pośpiechu ciemniejącą ulicą. Najchętniej rzuciłabym się biegiem, wiem jednak, że nie wolno dać po sobie poznać strachu. Czekam na skrzyżowaniu na zielone, gdy słyszę kroki za plecami. To on, twarz wykrzywia mu upiorny uśmiech. Rozglądam się za kimś dorosłym, ale na ulicy jest pusto. Sięga do kieszeni. Ma nóż sprężynowy.

– Kici, kici – syczy.

Wprawdzie ulicą w obie strony jadą samochody, ale wejście na jezdnię wydaje się najbezpieczniejszą opcją. Omal nie wpadam pod taksówkę – kierowca opuszcza okno, żeby na mnie nakrzyczeć. Ale ja się nie zatrzymuję, biegnę ile sił w nogach, zimne powietrze pali mi płuca. W końcu gwałtownie skręcam i wpadam do budynku z portierem.

– W czym mogę pomóc, panienko?

Nie mogę złapać tchu.

– Jakiś człowiek za mną idzie – udaje mi się wykrztusić.

Portier wychodzi na ulicę i rozgląda się na boki.

– Nikogo nie ma – mówi.

Siadam na ławeczce nad grzejnikiem.

– Może po kogoś zadzwonić?

– Nie, dziękuję. – Mama jest z Leo na próbie dźwięku w Village Gate. Dziś czwartek, więc Conrad ma trening zapaśniczy. – Mieszkam za rogiem.

Portier jeszcze raz wygląda na ulicę i daje znać, że wszystko w porządku.

– Nikogo nie widać, panienko.

Wychodzę za nim i patrzę w stronę Park Avenue. Na rogu jest kościół. Wewnątrz pali się światło.

– Dam sobie radę – mówię.

Ale w chwili, gdy słyszę, jak zamykają się za mną ciężkie drzwi, żałuję, że nie zostałam w środku. Idę, trzymając się blisko jezdni i sprawdzając wszystkie schody. Na wysepkach pośrodku Park Avenue stoją już świąteczne drzewka, kolorowe lampki tworzą świetlisty szlak, który ciągnie się aż do Grand Central. Wiosną rosną tu rzędy tulipanów. Co roku kwitną na wiśniowo. Przy naszej ulicy tulipany są jasnoczerwone. Gdy przekwitają, nagie łodygi zwieńczone czarnymi pręcikami wyglądają jak rzęsy.

Kiedy wychodzę na Park, widzę go, czeka na mnie w cieniu, oparty o ścianę kościoła. Wciąga rękę i łapie mnie za ramię.

– Kici, kici. – Machnięciem otwiera nóż.

Pokazywali nam w szkole reklamy społeczne. Krótkie czarno-białe filmiki ostrzegające przed różyczką, jedzeniem kawałków tynku, skutkami heroiny, a także poświęcone samoobronie. I teraz przypominam sobie, że powinnam stawić czoło napastnikowi.

– Nie lubię katolików – mówię. – Mają różową skórę. To odrażające.

Patrzę prosto w jego złe, blisko osadzone oczy i poznaczoną trądzikiem twarz. Z całej siły wbijam mu obcas w stopę. A potem rzucam się do ucieczki – zdyszana i przerażona biegnę szybko jak nigdy, aż docieram do bezpiecznego domu.

17.00

– Muszę wracać. – Wstaję i otrzepuję się z piasku.

– Ale najpierw chcę ci coś pokazać.

– Obiecałam Finnowi, że popływamy kanu.

– Dziesięć minut.

Idę za nim grzbietem diuny na skraj lasu. Bierze mnie za rękę i wciąga za linię drzew. Zatrzymuje się przed gęstymi zaroślami.

– To tu.

Nie widzę nic poza rozbuchaną zielenią.

– Zajrzyj pod spód.

Kładę się na ziemi i zaglądam w głąb. Tam, ukryty wśród gęstwiny, stoi stary, opuszczony dom. Dom, na który natknęliśmy się z Jonasem, kiedy byliśmy dziećmi. Teraz zostały z niego tylko fundamenty i fragmenty dwóch kamiennych ścian. Resztę pochłonęły krzewy jeżyn i kolcorośl. Po zrujnowanym murze wspina się indygowiec, dusząc kamień swym pięknem.

– Jak ci się udało go odnaleźć?

Jonas kładzie się obok. Wskazuje na dziurę w miejscu, gdzie kiedyś były drzwi.

– Pamiętasz kuchnię? I ten pokój w środku, który miał być naszą sypialnią, kiedy się pobierzemy?

– Pewnie, że pamiętam. Obiecałeś mi podwójny garnek. Właściwie czuję się oszukana.

Przetacza się na mnie, pociąga zębami za sznurek bikini, a kiedy kostium opada, liże moje piersi jak wielki, niezdarny pies.

– Przestań. – Śmieję się, próbując go odepchnąć. Ale czuję, że nabrzmiewam.

– Przepraszam. Muszę. – Patrzy mi głęboko w oczy i nie spuszczając wzroku, rozsuwa nogi. Wchodzi we mnie. Kiedy dochodzi, czuję, jak pulsując, wypełnia mnie nasieniem.

– Nie ruszaj się – szepczę. – Zostań w środku.

Sięga ręką w dół i jak leciutki oddech muska mnie, aż zaczynam łkać, krzyczeć z pragnienia bez końca.

Leżymy tak splątani, dwa ciała, jedna dusza.

Obejmuję go mocniej nogami, unieruchamiam, zmuszam, żeby wszedł jeszcze głębiej. Woda i pokarm. Żądza i żal.

– Nie powinieneś był mnie nigdy opuszczać – mówię. – Bo teraz to katastrofa.

– Mówiłaś, że chcesz Petera.

– Nie wtedy. Po tamtym lecie. Nie zjawiłeś się już.

– Ze względu na ciebie. Żebyś mogła zacząć od nowa.

– Ale nie zaczęłam. Tylko z tobą mogłam o tym rozmawiać, nie miałam jak się pozbyć tego z głowy. Nie pomogła nawet przeprowadzka do innego kraju.

Odwraca wzrok. Smutek jest z nami od zawsze. Zrywa się wiatr, targa gałęzie drzew. Rozkołysana olcha zasypuje nas maleńkimi trawiastozielonymi szyszkami. Jonas wyciąga jedną z moich włosów.

– Mówiłaś kiedyś Peterowi o Conradzie?

– No co ty. Złożyliśmy przysięgę krwi. Prawie odciąłeś mi czubek palca.

– Chciałem tylko powiedzieć… – Waha się. – Jesteście małżeństwem od tylu lat. Zrozumiałbym.

– Wolałabym, żeby wiedział. To okropne, że między nami zawsze było kłamstwo. Niesprawiedliwe wobec niego. Ale nie wie. I nigdy się nie dowie. – Nasłuchuję milczenia lasu, powolnego wyciekania dnia. Gęste światło rozlewa się na poszycie, zamieniając sosnowe igły w odłamki miedzi. Moje słowa budzą wyrzuty sumienia. Wyswobadzam się z objęć Jonasa, siadam i zawiązuję bikini. Po źdźble trawy wspina się kleszcz. Wygląda jak maleńkie nasionko arbuza. Kładę go na paznokciu kciuka i rozgniatam, patrząc, jak rozczapierza kończyny. Kopię dołek, wrzucam truchło, zasypuję, a na koniec dokładnie przyklepuję ziemię. – Tak że to tak – mówię.

Jonas siada, otaczając mnie pewnym ramieniem.

– Przykro mi.

– Muszę iść. Peter zacznie się niepokoić.

– Nie. – W jego głosie słyszę własny ból. Chwyta moje włosy w garści. Całuje mnie gwałtownie, mocno, szaleńczo. Nie chcę tego, ale odpowiadam z miłością, która przypomina tonięcie. Walkę o oddech. Światło księżyca, niezdrowe słodycze, rekiny, śmierć, żal, torsje i nadzieję – wszystko połączone razem. Za wiele tego. Muszę wracać do domu, do dzieci. Do Petera. Odrywam się i z trudem podnoszę.

– Elle, zaczekaj.

– Conrad wszystko zniszczył – mówię tylko.

Księga druga

◇

JONAS

13

1981. Czerwiec, Back Woods

W naszym stawie są żółwie jaszczurowate, skorpuchy – ogromne prehistoryczne stworzenia, które czają się na dnie. Późnym popołudniem wykopują się z zimnego mułu i podpływają pod szklistą, obsydianową powierzchnię, gdzie roje grzbietopławków kłębią się rozgorączkowane, przemykając niczym bystre katamarany. Z werandy widać, jak się wynurzają: najpierw złowroga jak pięść czarna głowa, potem szczyt skorupy. To odległość między tymi dwoma wybrzuszeniami pozwala stwierdzić, czy pojawił się Kolos – dziadek wszystkich skorpuch – czy któryś z jego potomków. Tylko kilka osób widziało wiekowego żółwia. Ludzie z Back Woods twierdzą, że jest legendą i od dawna nie żyje – w każdym razie skorpuchy są niegroźne. W ciągu ostatnich stu lat nikogo nie ugryzły. Ale ja spotkałam Kolosa. Wiem, że przesiaduje w głębinach, żywiąc się żabami i młodymi ptakami, polując na błysk pomarańczowych płetw, kęs miękkiego kaczęcia.

Gdy pierwszy raz zobaczyłam Jonasa, był zagubionym chłopcem goniącym ptaka. Miałam prawie jedenaście lat, zaledwie trzy więcej od niego, choć kiedy wzięłam go za rękę i zaprowadziłam z powrotem na ścieżkę, czułam się, jakbym mogła być jego matką.

Nie przyszłoby mi wtedy do głowy, że gdy cztery lata później zobaczę go znowu, to dziwne dziecko nieodwołalnie zmieni moje życie.

Tamtego dnia obudziłam się zaniepokojona – z uczuciem pustki, tęsknoty w piersi. Wystraszył mnie sen: jakiś mężczyzna chciał, żebym zjadła ziemniaki w mundurkach. Powiedział, że mnie zabije. Błagałam, żeby pozwolił mi po raz ostatni zobaczyć matkę. W domu muzykanci grali na banjo. Waliłam w szybę, ale nikt mnie nie słyszał.

Anna wciąż spała. Jej pamiętnik, kołonotatnik, zsunął się z łóżka i leżał otwarty na podłodze obok. Kusiło mnie, żeby go przeczytać, choć przecież i tak wszystko wiedziałam. Sięgnęłam pod materac i wyciągnęłam własny. Oprawiony w bladozielony jedwab, z maleńkim zamkiem i kluczykiem. Mama kupiła mi go w Chinatown, gdy jak zwykle wybrałyśmy się w Nowy Rok na dim sum. Anna chciała czerwoną koszulkę z czymś, co wyglądało jak chińskie znaki, ale kiedy się przechyliło głowę, widać było napis „Wal się!". Sobie mama kupiła lawendowy szlafrok. Zdążyłam gdzieś posiać kluczyk, jeszcze zanim wróciłyśmy do domu. Otworzyłam zamek za pomocą spinki, a potem go wyłamałam. I tak nie miało to znaczenia, skoro jedyną rzeczą, jaką zapisałam w swoim pamiętniku, była lista rzeczy, dzięki którym stanę się lepszą osobą. Takich jak „codziennie ćwiczyć przez godzinę grę na flecie!" albo „przeczytać *Middlemarch*!".

W nocy spadł ulewny deszcz i powietrze nasiąkło wodą. W cieple poranka wilgotne sosnowe igły parowały na ścieżkach wokół letniska. W naszej chatce już było czuć pleśnią. Chciało mi się siku.

Zamknęłam cicho drzwi i poszłam do łazienki, odkopując gołymi stopami ostre, nadgryzione przez wiewiórki szyszki. Ręczniki, które powiesiliśmy na sznurku, żeby wyschły, były całe mokre i zwisały nisko, obsypane śmieciami z pobliskich drzew.

Gdy usiadłam na sedesie, zauważyłam strużkę krwi na goleniu. Wytarłam ją kawałkiem papieru i wyjęłam plaster z apteczki. Z nogą opartą o deskę, walczyłam z irytującą osłonką, kiedy zobaczyłam krople krwi na podłodze. Uniosłam rąbek koszuli. Tył był poplamiony. Nareszcie. Tyle czasu na to czekałam, sprawdzając codziennie majtki w nadziei, że doścignę koleżanki.

Przekopałam się przez bieliźniarkę i znalazłam pudełko tamponów Anny, a kiedy usiadłam na sedesie, usłyszałam ciche kapanie krwi do wody. Wiedziałam, co robić. Już kilka razy kradłam jej playtexy, żeby poćwiczyć wkładanie. Becky uważała, że to głupie, ale ja bałam się, że jeśli zrobię to źle, tampon przerwie błonę dziewiczą. Przestudiowałam instrukcję na pudełku, łącznie z piktogramami przedstawiającymi płucopodobne drogi rodne i kolana ugięte tak, żeby można było umieścić tampon.

Właśnie rozrywałam plastikowe opakowanie, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

– Nie! – krzyknęłam. – Zajęte!

– Pospiesz się, muszę się wyszczać. – Conrad.

– Idź sikać w krzaki. Co ty jesteś, dziewczyna?

– Ale z ciebie jędza.

Słyszałam, jak potykając się, idzie w las. Były chwile, kiedy dawało się go znieść. Czasami nawet było mi go żal. Ale miał też w sobie coś odrażającego, dwuznacznego – jak ktoś, kto nieustannie myje ręce. Ostatnio zaczął mnie śledzić i kiedy szłyśmy z Anną na plażę, skradał się za nami. Czasami, gdy leżałyśmy na gorącym piasku, widziałyśmy, jak nas szpieguje ze szczytu wydmy w nadziei, że zobaczy nasze cycki.

Sprawdziłam, czy drzwi są zamknięte, a potem usiadłam na sedesie, podciągnęłam koszulę na wysokość talii i zdjęłam majtki,

żeby rozłożyć nogi. Umieściłam między nimi różowy aplikator i w chwili, kiedy popchnęłam tłok, usłyszałam jakiś hałas. W oknie po drugiej stronie toalety spostrzegłam rozpłaszczoną twarz Conrada, szeroko otwartymi oczami wpatrywał się między moje nogi. Upuściłam aplikator, który potoczył się po podłodze jak kręgiel.

– Wynoś się, pojebie! – wrzasnęłam, drżąc z wściekłości i wstydu. Usłyszałam, jak Conrad ucieka, śmiejąc się obleśnie. Do jutra będą o tym wiedzieć wszyscy jego psychiczni kumple. Siedziałam na sedesie, płacząc, i chciałam umrzeć. Gdy tylko usłyszałam trzask drzwi do jego chatki, pobiegłam do siebie, wepchnęłam zakrwawioną koszulę pod łóżko, wciągnęłam kostium kąpielowy i popędziłam nad staw. Chciałam tylko jednego – znaleźć się jak najdalej od Conrada. Bo to, że nigdy nie będę mogła spojrzeć mu w oczy, było jasne. Stos wioseł stał oparty o drzewo. Chwyciłam jedno, zepchnęłam nasze kanu z gąbczastych zielonych zarośli na wodę i położyłam się na dnie. Skrzyżowałam ręce na piersi i spojrzałam w poranne niebo. „Tak musieli wyglądać martwi wikingowie", pomyślałam, gdy łódka, dryfując, płynęła przed siebie.

Kiedy znalazłam się już dość daleko od brzegu, usiadłam i zaczęłam wiosłować najszybciej, jak potrafiłam. Nim dotarłam na środek stawu, doszłam do wniosku, że najprostszym rozwiązaniem będzie się utopić. Potrzebowałam czegoś ciężkiego, co pociągnęłoby mnie na dno. Byłam dobrą pływaczką i wiedziałam, że w końcu zaczęłabym walczyć, żeby wydostać się na powierzchnię. Gdybym miała duży kamień, mogłabym przywiązać go do falenia, owinąć linę wokół kostki i skoczyć. Conrad pewnie nigdy się nie przyzna, co zrobił, ale przez resztę swojego żałosnego życia będzie widział, że jest odpowiedzialny za moją śmierć.

Popłynęłam w stronę bezludnego, bagnistego końca stawu, gdzie skrzyp zimowy niczym karna armia szturmował głębiny, a kłąb cienkich jak włosy łodyg lilii wodnych tylko czekał, by unieruchomić wiosło. Było tu pełno polodowcowego śmiecia, prehistorycznych głazów i kamyków, które zostawił po sobie przesuwający się lód.

W pobliżu płycizny gwałtownie zanurzyłam wiosło w wodę, żeby nabrać rozpędu, a potem uniosłam je wysoko i prześlizgnęłam się nad splątaną pajęczą siecią nenufarów. Łódka z chrzęstem otarła się o piaszczyste dno. Już miałam wyskoczyć i dociągnąć kanu do brzegu, gdy usłyszałam cichy głos.

– Nie ruszaj się. Zostań w łódce.

Zaskoczona uniosłam wzrok. Na najniższej gałęzi sosny smołowej, sterczącej tuż nad moją głową, w idealnym bezruchu siedział Jonas. Niemal całkowicie niewidoczny. Bez koszuli, w spłowiałych zgniłozielonych szortach, ze zwisającymi swobodnie długimi nogami. Był szczuplejszy, niż kiedy ostatni raz go widziałam. I oczywiście wyższy – musiał mieć teraz co najmniej dwanaście lat – splątane gęste czarne włosy opadały mu na ramiona. Ale oczy patrzyły z tą samą nieprzystającą do wieku intensywnością, która uderzyła mnie tamtego dnia, gdy wpadł na mnie w lesie.

– Daj mi wiosło – szepnął.

– Dlaczego szepczesz? – odpowiedziałam cicho.

Wskazał na trzciny pod łódką.

Wychyliłam się za burtę, próbując dojrzeć to, co mi pokazywał, ale z mojej perspektywy nic nie było widać.

– Wiosło – szepnął znowu.

Wstałam ostrożnie, żeby nie rozbujać łódki, i uniosłam wiosło w stronę drzewa. Jonas wziął je, wyjął z kieszeni plastikową torebkę

z czymś, co wyglądało jak surowe mielone mięso, i posmarował nim pióro.

– Patrz. – Opuścił je dokładnie przede mną.

Ten dźwięk na zawsze wrył mi się w mózg – gwałtowny trzask pękającego drewna. Jonas całym ciężarem odchylił się do tyłu, kurczowo trzymając wiosło. I wtedy go zobaczyłam, wyłonił się z ciemności ze szczękami zaciśniętymi na piórze. Kolos, przodek wszystkich żółwi – paskudna skorpucha, szeroka jak łódź wiosłowa. Prastara. Z głową jak u kurczaka. Wściekła.

Jonas zeskoczył na brzeg, z całych sił ciągnąc wiosło. Zacisnął zęby.

– Potrzebna mi pomoc.

Omijając żółwia szerokim łukiem, przedarłam się do Jonasa i razem zaczęliśmy ciągnąć skorpuchę w stronę suchego lądu.

– Muszę odczepić faleń – powiedział. – Nie puszczaj go. – Pobiegł do kanu i odwiązał grubą linę przyczepioną do dzioba.

– Pospiesz się – poprosiłam. Kolos, kłapiąc szczęką, przesuwał się w górę wiosła.

Jonas zrobił ruchomy węzeł, zakradł się od tyłu i zarzucił linę na pokryty łuskami ogon żółwia.

– Mam go – oznajmił.

– Co teraz?

– Musimy wciągnąć go do łódki.

Żółw zasyczał i rzucił się, szarpiąc więzy. Wykręcił długą szyję w bezsilnej próbie namierzenia liny, ani na chwilę nie rozluźniając przy tym uchwytu ostrych zębów na wiośle. Upokorzony, że go złapano, wściekły, że ukazano go światu, odarty z godności, z zimną furią skupił uwagę na mnie i znów ruszył w górę wiosła. Szedł po mnie, po swój funt mięsa, a ja świetnie rozumiałam, co czuje.

– Daj mu spokój – powiedziałam.

– Nie ma mowy. – Jonas mocniej pociągnął linę.

– To jest złe – oznajmiłam. – Poza tym on chce mnie zjeść.

– Próbuję go złapać od dwóch lat. Moi bracia twierdzą, że nie istnieje.

– No to go złapałeś.

– Tak, ale mi nie uwierzą.

– W takim razie to głupki.

– Ich zdaniem to ja jestem głupkiem.

– To nie najlepszy moment, żeby się kłócić – stwierdziłam, patrząc na skorpuchę, która cal po calu przesuwała się w moją stronę. – Ale jeśli myślałeś, że uda się nam przenieść rozwścieczonego stufuntowego żółwia do mojego kanu, to może twoi bracia mają rację.

Jonas przez chwilę oceniał sytuację: ogromna bestia szarpiąca jarzmo, moja wystraszona twarz, maleńkie kanu z włókna szklanego. Z głębokim westchnieniem uwolnił zdobycz, a ja puściłam wiosło i oboje zrobiliśmy krok w tył.

Przez kilka długich chwil skorpucha wciąż sunęła w moją stronę. Wreszcie dotarło do niej, że odzyskała wolność, wypuściła pióro ze szczęk, obrzuciła nas nieufnym spojrzeniem i odwróciwszy gigantyczne cielsko, ruszyła w stronę bezpiecznej toni. Patrzyliśmy, jak rachitycznie pełznie przez płyciznę, a potem, gdy dociera na głębinę, rzuca się do panicznej ucieczki.

Z wiosła został tylko ogryzek. Przyczepiliśmy linę do dziobu i pociągnęliśmy kanu wzdłuż brzegu aż do naszego letniska. W którymś momencie Jonas wziął mnie za rękę – tak jak kilka lat wcześniej, kiedy wyprowadziłam go z lasu.

Conrad siedział nad wodą, patrząc, jak się zbliżamy, jego kluchowatą twarz przecinał wstrętny uśmieszek. Ohydny rechot, który słyszałam rano, wciąż rozbrzmiewał mi w głowie, ale miejsce bólu i wstydu zajął zimny front gniewu.

– Kto to? – spytał Jonas.

– Mój przyszywany brat. Nienawidzę go.

– Nienawiść to silne uczucie – odparł Jonas.

– I tak właśnie go nienawidzę. – Zamilkłam. – To zbok. Rano przyłapałam go, jak mnie podglądał w łazience. Mam zamiar go zabić.

– Moja matka mówi, że zawsze można znaleźć inny sposób.

– Na Conrada? Nie sądzę.

– Co się stało z wiosłem? – spytał Conrad, kiedy byliśmy już blisko.

Minęłam go bez słowa.

– Zaatakowała nas skorpucha – powiedział Jonas.

– Wow, to musiało być ekscytujące. – Na dźwięk drwiny w jego głosie miałam ochotę rzucić mu resztką wiosła w twarz. Nie zwolniłam jednak kroku.

– Było – odparł Jonas.

Wspólnie wyciągnęliśmy kanu na brzeg i odwróciliśmy do góry nogami, na wypadek gdyby znów zaczęło padać.

– Ja też miałem ekscytujący poranek – oznajmił Conrad.

Zacisnęłam zęby. Cokolwiek się wydarzy, nie zamierzałam dać się podpuścić.

– Wciąż mam ten obraz przed oczami – powiedział. – Kim jest twój mały kolega?

– Jonas, poznaj mojego przyszywanego brata Conrada. Mieszka z nami chwilowo, dopóki jego matka nie zdecyduje, czy chce go

z powrotem. Boję się, że to znaczy, że będziemy na niego skazani do końca życia.

– Chciałabyś – odparł Conrad. A choć koniec końców okazało się, że faktycznie nie było na niego innego sposobu, grymas bólu na jego twarzy był niemal wart mojego porannego upokorzenia.

– Chodź – odwróciłam się do Jonasa. – Opowiemy o wszystkim twoim braciom.

Tego lata Jonas został moim cieniem. Kiedy brałam kanu albo płynęłam wpław na drugą stronę stawu, żeby iść nad ocean, czekał na mnie na brzegu, wiedząc, że się pojawię. A kiedy szłam na plażę przez las, spotykałam go po drodze – siedział na zwalonym drzewie, rysując coś w szkicowniku, który zawsze ze sobą nosił: złamaną gałąź sosny albo jakiegoś chrząszcza. Jakby miał wewnętrzny kompas, który wykrywał prawdziwą północ. Albo może jak gołąb pocztowy potrafił wyczuć na wietrze mój zapach.

Czasami pokazywał mi odchody kojota albo trop biegnący wśród mącznicy, niskie zarośla, gdzie wciąż było widać ślady jelenia. Większość dni spędzaliśmy na bezkresnej pustej plaży nad oceanem, leżąc na gorącym piasku, rzucając sobie wyzwania, wypływając za daleko podczas przypływu, unosząc się na falach i starając się nie dać porwać prądowi wstecznemu. Często prawie się nie odzywaliśmy. Ale kiedy zaczynaliśmy mówić, gadaliśmy o wszystkim.

Zdawałam sobie sprawę, że nasza przyjaźń nie ma sensu. Nie byłam samotna. Kawałek dalej mieszkała Becky, obok była Anna. Miałam czternaście i pół roku, on – dwanaście lat. Ale z jakiegoś powodu w tamto lato, kiedy tyle rzeczy zaczęło się rozpadać, kiedy zaczęłam czuć się jak ścigane zwierzę, dzięki Jonasowi byłam bezpieczna.

Stanowiliśmy dziwaczną parę. Ja – wysoka, blada, w nieodłącznych sandałach Scholla i bikini, ukrywająca piersi i niedawno zaokrąglone kształty pod koszulami z wystrzępionym kołnierzykiem, które odziedziczyłam po ojcu. Jonas – dobrą stopę niższy, zawsze na bosaka, w tych samych brudnych zgniłozielonych szortach i koszulce Allman Brothers, którą nosił codziennie. Gdy któregoś razu zasugerowałam, że to odrażający zwyczaj i że pralka mogłaby pomóc, wzruszył ramionami i powiedział, że kąpiel w morzu i stawie działa odkażająco.

– Poza tym – stwierdził – wykazałaś się wyjątkowym brakiem taktu.

– Raczej macierzyńską troską – odparłam. – Czuję się za ciebie odpowiedzialna.

– Nie jestem niemowlęciem.

– Wiem – przytaknęłam. – Jesteś dzieciakiem.

– Tak samo jak ty – powiedział.

– Ja już nie.

– To znaczy?

W chwili, gdy to powiedziałam, miałam ochotę się walnąć.

– Nic nie znaczy. Po prostu jestem od ciebie starsza.

Jonas nie chciał odpuścić.

– Nie. Powiedziałaś, że ty już nie jesteś dzieckiem, ale ja tak. Jeśli nie chcesz, wcale nie musisz się ze mną przyjaźnić. Nie jesteś za mnie odpowiedzialna.

– Nie zachowuj się jak pięciolatek.

– Najwyraźniej nim jestem.

– Dobra. Jak sobie chcesz – powiedziałam. – Jestem już kobietą, jak wciąż powtarza moja matka. Serio, za każdym razem, kiedy to

słyszę, chce mi się rzygać. „Eleanor, możesz być dumna. Jesteś teraz kobietą”.

Jonas wpatrywał się we mnie z poważną miną. A potem wyciągnął rękę, położył mi na ramieniu i ścisnął pocieszająco.

– Przykro mi. Brzmi potwornie. Chodź, znalazłem wczoraj coś fajnego. A poza tym – powiedział, kiedy ruszyliśmy – edukacja seksualna jest od piątej klasy, więc wiem, że kobiety krwawią.

– Fuj.

– Zdolność tworzenia nowego życia to piękna sprawa.

– Boże! – Walnęłam go.

– Eleanor, powinnaś być dumna, jesteś teraz kobietą – powiedział, naśladując moją matkę, a potem pognał przed siebie, zanim zdążyłam się na niego rzucić.

Głęboko w lesie, w kępie robinii, Jonas odkrył opuszczony budynek – ściany i dach dawno już zbutwiały, został tylko kamienny zarys dwóch małych pokoi. Wszystko oplatały dzikie róże i kolcorośl. Przeskoczyliśmy niski murek i stanęliśmy pośrodku czegoś, co kiedyś było czyimś domem. Jonas znalazł patyk i zaczął grzebać wśród gruzu na piaszczystej glebie, aż wykopał szafirowo-niebieską butelkę wygładzoną jak morskie szkło. Oczyścił kawałek podłogi i położyliśmy się tam obok siebie, patrząc w górę na białe baranki. Zamknęłam oczy, nasłuchując szeptu sosen, wdychając woń solirodu i jałowca. Dobrze było tak leżeć razem w ciszy. Milczący, ale połączeni, komunikowaliśmy się bez słów, jakbyśmy potrafili czytać sobie w myślach – nie było potrzeby wypowiadać ich na głos.

– Myślisz, że tu stało łóżko małżeńskie? – spytał Jonas po chwili.

– Ale z ciebie dziwny dzieciak.

– No bo to takie urocze miejsce. Moglibyśmy odbudować ten dom i zamieszkać w nim, kiedy się pobierzemy.

– Przede wszystkim masz dwanaście lat. A po drugie, przestań się wygłupiać – odparłam.

– Jak będziemy starsi, różnica wieku będzie nieważna. Już teraz prawie się nie liczy.

– Może masz rację.

– Czyli się zgadzasz.

– Dobra – powiedziałam. – Ale chcę mieć podwójny garnek.

– Moi bracia wyśmiewają się ze mnie, że się z tobą przyjaźnię – oznajmił Jonas pewnego popołudnia, gdy odprowadzałam go do domu. Znałam ich, choć niezbyt dobrze: szesnastoletni Elias dwa lata temu brał razem z Anną lekcje żeglowania i raz się nawet pocałowali podczas gry w butelkę. Hopper, czternastolatek, był moim rówieśnikiem. Wysoki, z gęstymi rudymi włosami i piegami. Może ze dwa razy powiedzieliśmy sobie „cześć" na piątkowej dyskotece w yacht clubie, to wszystko.

– Wyśmiewają się, bo jestem starsza i mogłabym być twoją opiekunką. W sumie mają rację. To trochę dziwne.

– Hopper się w tobie buja – powiedział Jonas. – Myślę, że dlatego tak mi dokucza. Ale to nie wyjaśnia zachowania Eliasa.

Roześmiałam się.

– Hopper? Przecież myśmy nigdy właściwie nie rozmawiali.

– Powinnaś go czasem poprosić do tańca – powiedział Jonas. – Spójrz. – Ukucnął i podniósł niebieską skorupkę jajka, która wpadła do wysokiej trawy rosnącej na poboczu drogi. – Drozdy wróciły. – Podał mi ją ostrożnie. Nic nie ważyła i była cieniutka jak papier. – Martwiłem się, że przepędziły je sójki.

– Dlaczego miałabym być dla niego miła, skoro on zachowuje się wobec ciebie jak palant?

– Zachowuje się jak palant, bo traktuje mnie jak zagrożenie.

– Powinnam mu raczej powiedzieć, żeby przestał ci dokuczać.

– Nie rób tego – poprosił. – To by było upokarzające.

Nieopodal zakrętu zwolniliśmy. Dalej stał dom Guntherów – jedyna działka w Back Woods otoczona ogrodzeniem. Guntherowie byli dziwni. Austriacy. Trzymali się na uboczu. Oboje zajmowali się rzeźbą. Czasami spotykałam ich na drodze, kiedy wyprowadzali swoje dwa owczarki niemieckie. Te psy mnie przerażały. Gdy ktoś przechodził koło ich domu, podbiegały do ogrodzenia, śliniąc się i ujadając. Któregoś razu jeden wydostał się za ogrodzenie i ugryzł Becky w łydkę.

Byliśmy już w pobliżu podjazdu, gdy usłyszałam, jak szczekając, pędzą do nas ze wzgórza.

– Dobra – powiedziałam. – Poproszę go. Ale serio, nie sądzę, żeby traktował cię jak zagrożenie. – Roześmiałam się.

Zwykle mijaliśmy dom Guntherów biegiem. Teraz jednak Jonas gwałtownie zatrzymał się pośrodku drogi.

– Dzięki, Elle, że to sobie wyjaśniliśmy.

Rozgorączkowane psy dopadły ogrodzenia. Rzucały się wściekle na siatkę, nieprzywykłe do tego, że ktoś je ignoruje.

– Musimy stąd iść – powiedziałam. – Zaraz się wydostaną. – Ale choć ujadały coraz głośniej, Jonas stał w bezruchu. – Jonas!

– Sam trafię do domu – odparł chłodno i ruszył przed siebie.

Na szczycie wzgórza ze swojej pracowni wyłonił się pan Gunther.

– Astrid! Frida! – zawołał na psy. – *Herkommen! Jetzt!*

Kiedy następnego dnia poszłam na plażę, Jonasa tam nie było.

– Tato – mówi Conrad – wiedziałeś, że Eleanor lubi małych chłopców? Zakochała się w dziesięciolatku.

Jest późne lato. Mama pojechała ze śmieciami na wysypisko, żeby zdążyć przed zamknięciem. Leo stoi przy zlewie, oprawia lufara,

którego złowił rano – kłębiły się w przybrzeżnych wodach w drodze na północ.

– To tylko dzieciak, który się za mną włóczy. Poza tym ma dwanaście lat, a nie dziesięć – mówię, ale czuję, że policzki powlekają mi się czerwienią.

– Kto się za tobą włóczy? – pyta Leo. Przez większą część miesiąca był w trasie z jakimś jazzbandem. Cieszę się, że już wrócił. Mama wydaje się dużo szczęśliwsza, kiedy jest obok.

– Ten dzieciak, Jonas, który się tu ciągle kręci – informuje go Conrad. – To jej chłopak.

– Fajnie – mówi Leo, znikając w spiżarni. Słyszę, że coś spada. Leo klnie.

– Przestań się zachowywać jak palant. To jeszcze dziecko. – Odsuwam krzesło i biorę swój talerz.

– Właśnie. Lubisz małych chłopców.

– Czy ktoś z was wie, gdzie matka chowa folię spożywczą? – woła Leo. – Dlaczego wciąż kupuje pergamin? Kto go jeszcze używa?

Anna siedziała na sofie, próbując złożyć z powrotem pierścionek. Teraz podnosi wzrok, zwęszywszy świeżą krew.

– Wow, Conrad – mówi. – Zazdrosny? Aż tak? – Uśmiecha się. – Elle, zdaje się, że Conrad się w tobie zabujał.

Conrad wykrzywia dziwnie twarz. Zmusza się do śmiechu.

– I co ty na to, Elle? – pyta Anna. – Lubisz go? Chciałby, żebyś była jego dziewczyną.

– Przestań – mówię. – To odrażające. – A jednak czuję niepokojące ukłucie, jakby jej słowa przywołały coś, o czym wiem, ale czego nie mogę sobie przypomnieć.

– Wal się! – Conrad na nią pluje.

Anna wyczuwa jego słabość.

– Kazirodztwo jest dużo gorsze niż gustowanie w małych chłopcach, Con.

Przyskakuje do niej i chwyta ją mocno za ramię.

– Zamknij się. Zamknij albo złamię ci rękę.

– Uspokój się – mówi Anna, drażniąc się z nim. – Ja tylko próbuję pomóc. Chciałam, żebyś wiedział, że to grzech, zanim zrobisz coś, czego będziesz żałował.

Leo wchodzi na werandę akurat w chwili, kiedy Conrad wali Annę w twarz.

– Conrad! – W dwóch susach przyskakuje do syna, łapie go za koszulę i wielkimi, śmierdzącymi rybą dłońmi odciąga od Anny. – Co się z tobą dzieje?! – Ciągnie chłopaka do drzwi i wyrzuca na zewnątrz z taką siłą, że ten pada na ziemię. – Wstawaj!

Widzimy, że Conrad próbuje powstrzymać łzy.

– Beksa-lala! – woła Anna z drwiącym uśmiechem. Wraca na kanapę, bierze książkę i pogrąża się w lekturze, nieświadoma, że właśnie podłożyła ogień pod dom.

Piknik na koniec lata, który urządza Dixon, to zawsze była moja ulubiona impreza. Całe Back Woods zbiera się przy Higgins Hollow na ogromne ognisko. Znosimy kruche, poczerniałe na słońcu wodorosty na podpałkę, zwalamy na stertę sękate drewno wyrzucone przez ocean i patrzymy, jak ogień pluje żarem w nocne niebo. Wszyscy tańczą i śpiewają. O zmierzchu zapalamy zimne ognie i krążymy wokół niczym robaczki świętojańskie. Dorośli piją za dużo. Szpiegujemy ich z wydm i bawimy się w zdobywanie flagi. Ludzie gotują homara i piaskołazy w olbrzymich emaliowanych garnkach, owijają surową, namoczoną w wodzie morskiej kukurydzę w cynfolię i wkładają do ogniska.

My jesteśmy wielbicielami hamburgerów. Matka zawsze upiera się, żeby wziąć słodki relisz, musztardę i surową cebulę, która sprawia, że jej oddech staje się nie do zniesienia. Częstuje wszystkich rzodkiewkami z solą, jakby to był jakiś rarytas.

W tym roku Conrad nie bierze udziału w pikniku. Dostał szlaban na tydzień. Błaga ojca, żeby nie musiał zostawać sam w domu. Nawet mama próbuje przekonać Leo, żeby zmienił zdanie, ale on jest nieprzejednany.

– To prawda, że ostatnio stał się strasznie trudny – mówi mama, kiedy wychodzą ze stawu.

Siedzimy z Anną na ganku, jedząc lody truskawkowe.

– I czy w jego pokoju musi tak śmierdzieć? Nie da się temu jakoś zaradzić? Może ta maść przeciwgrzybiczna by pomogła, jak myślisz? Dałam mu talk, ale twierdzi, że od tego swędzi go skóra. Musisz z nim porozmawiać.

Patrzę na Leo, który wyciera się, jakby polerował wielki biały samochód. Kąpielówki zwisają mu nisko, brzuch podryguje w rytm ruchów. Wygląda jak ogromny berbeć, który dopiero uczy się chodzić. Nie jest zapalonym pływakiem, matka jednak zarządziła nowy reżim ćwiczeniowy.

– Nie jest mu łatwo, Leo. Same kobiety wokół. Ciebie nie było przez pół lata. Trudno się odnaleźć w cudzej rodzinie. Jesteś mu potrzebny, ktoś musi trzymać jego stronę.

– Powinien zrozumieć, że jego czyny mają konsekwencje.

– To, co teraz robisz, wyobcowuje go jeszcze bardziej. Wszystkim nam będzie trudniej.

– Tu nie chodzi o ciebie i dziewczynki, Wallace. Tu chodzi o mojego syna.

– Pozwól mu iść. On tak lubi odgrywać z tobą *Idziemy na niedźwiedzia*. To tradycja.

– Mój syn nie będzie bił dziewczyn – oznajmia Leo.

– Pewnie na to zasłużyła – mówi mama.

Następnego ranka leżę w łóżku, spoglądając w świetlik. Na krawędziach przesłania go mgiełka żółtego pyłku. Przydałby się solidny deszcz, żeby ją zmyć. Od wielu dni niebo jest bezchmurne. Przyglądam się pająkowi majstrującemu przy sieci. Na pojedynczej nici zwisa z niej wysuszona ćma, kołysząc się przy każdym podmuchu wiatru. Moje włosy pachną dymem z ogniska i ketchupem. Ktoś bierze prysznic. Strumień wody pryska na suche liście. Wreszcie z jękiem milknie. Conrad klnie, nadeptując na kolcorośl. Biorę książkę i otwieram w miejscu, gdzie zagięłam róg strony. Zbiornik z ciepłą wodą napełni się dopiero za kilka minut.

W naszym letnisku jest tylko jeden prysznic, przyczepiony do niedużego drzewa obok łazienki i ogrodzony omszałą palisadą, na której zwykle roi się od kosarzy. Nikt nie wiesza ręczników na gnijących kołkach – wykorzystujemy do tego najniższe gałęzie. Strumień mydlin spływa prosto na liście, a stamtąd na ścieżkę, sosnowe igły wirują w jego nurcie. Dlatego przyjęliśmy surową zasadę: żadnego sikania pod prysznicem. W przeciwnym razie na dróżce zaczęłoby śmierdzieć jak na tyłach autobusu Greyhound.

Po dziesięciu minutach biorę ręcznik i odżywkę Wella Balsam. Drogę przecina mi kałuża mydlin, która powoli wsiąka w ziemię. Przeskakuję przez nią i z pluskiem ląduję po drugiej stronie, opryskując się czymś, w czym natychmiast rozpoznaję wodę z sikami. Jak burza pędzę do domku matki i walę pięścią w drzwi.

Matka pojawia się po chwili, naciągając szlafrok. Wygląda na wykończoną.

– Leo śpi – informuje mnie szeptem.

– Czujesz to? – Wyciągam nogę.

– Eleanor, nie jestem w nastroju, żeby cię wąchać – mówi. – To była długa noc. O jeden dżin z tonikiem za dużo.

– Conrad nasikał pod prysznicem.

– Cóż, przynajmniej się myje. To już jakiś plus.

– Mamo. To obrzydliwe. Wdepnęłam w to.

– Porozmawiam z nim. Ale i tak już dostał szlaban, więc nie wiem, czy to coś da.

– Dlaczego on tu w ogóle musi być?

Matka wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

– Wiesz co, może gdybyście z Anną były dla niego milsze, nie zachowywałby się w ten sposób. – Pociera skronie. – Poszłabyś do kuchni i przyniosła mi wodę z aspiryną?

– Dlaczego to nasz problem? Nie możemy go odesłać do Memphis, żeby mieszkał ze swoją rodziną?

– My jesteśmy jego rodziną.

– Ja nie.

– Postaraj się, Elle. Zrób to dla Leo. – Zagląda do domku, żeby sprawdzić, czy Leo śpi. – Weź ze sobą Conrada, jak będziesz szła się kąpać. Spytaj, czy nie zechciałby zagrać w Parcheesi. Nie umrzesz od tego.

– On oszukuje. I nie potrafi dopłynąć nawet do środka stawu.

– Postaraj się. Zrób to dla mnie.

– Dobrze – mówię. – Wezmę go dziś na plażę. Ale jeśli będzie się zachowywał jak palant, wisisz mi sto dolarów.

– Równie dobrze mogłabym ci zapłacić już teraz – wzdycha matka. – Ale dziękuję.

Resztki wczorajszego ogniska wciąż tlą się na piasku. Ktoś ogrodził je drewnem wyrzuconym przez ocean, żeby ludzie nie poparzyli sobie stóp. Został papierowy talerzyk, który leży do góry nogami, i kilka na wpół spalonych kolb kukurydzy.

– I co? – pyta Conrad. – Było fajnie?

– Tak.

– Kto był?

– Ci sami co zwykle.

Dużym palcem u stopy pstryka piaskiem na talerz. Ziarenka ześlizgują się z szelestem.

– Było *Idziemy na niedźwiedzia*?

– Pewnie.

Conrad sprawia wrażenie zmartwionego.

– Kto był psem?

– Nie wiem. Jakiś dzieciak. Szkoda, że nie mogłeś przyjść – mówię z przymusem.

Rozkładamy ręczniki daleko od linii wody. Nadchodzi przypływ. Siadam i wyjmuję z torby spotniałą puszkę freski. Kiedy pociągam zawleczkę, urywa się, a wieczko wciąż jest zamknięte.

– Daj mi to – mówi Conrad. Dźga ostrym kawałkiem muszli, otwiera puszkę i oddaje mi ją.

– Dzięki.

– Chcesz iść do wody? – pyta.

– Najpierw muszę się rozgrzać. Nie wiem, czy w ogóle będę się kąpać. Za ostre fale.

– Myślałem, że lubisz na ostro – mówi Conrad i śmieje się z własnego kiepskiego dowcipu.

Ignoruję go i otwieram książkę. Siedzi obok, drapiąc ugryzienie komara na nodze. Po chwili wstaje i idzie na brzeg. Kładę się na

brzuchu, zadowolona, że poszedł. Zamykam oczy i opieram głowę na ramionach. Odpływam, gdy wtem czuję, że coś mokrego ląduje mi na plecach.

– Zobacz, co znalazłem – mówi Conrad. – Pewnie ty i Jonas zostawiliście to wczoraj.

Sięgam ręką i zdejmuję to coś. Zużyta prezerwatywa. Z piskiem zrywam się na nogi.

– Pogięło cię? – krzyczę i pędzę na brzeg, żeby się umyć.

Pierwsza fala zbija mnie z nóg i wciąga pod wodę. Gdy próbuję wstać, upadam raz za razem. Potrzebuję powietrza, ale zmuszam się, żeby opaść niżej. Dotykam dna i odpycham się z całych sił. Wydostaję się na powierzchnię, gwałtownie łapiąc powietrze, docieram do brzegu i chwiejnym krokiem wychodzę, zanim uderzy we mnie następna fala. Kilkoro dorosłych zauważyło moją walkę i przybiegło, żeby wyciągnąć mnie z wody.

– Nic mi nie jest – mówię. – Wszystko w porządku.

Mój kostium jest jak worek piachu. Wytrząsam z niego żwir, kryle i wodorosty. Różowy kamyk upada przy kostce. Conrad zwija się ze śmiechu. Mijam go, nie zaszczycając spojrzeniem.

– To był żart – rechocze. – Rozchmurz się.

Chowam książkę i ręcznik do torby.

– Powinieneś iść się wykąpać – mówię. – Idealny dzień, żeby się utopić.

– Wisisz mi sto dolarów – oznajmiam matce po powrocie do domu.

– Gdzie Conrad? – pyta.

– Na dnie oceanu, jeśli mam szczęście.

– Robię zupę z owoców morza – mówi.

Rano, kiedy idę do Dużego Domu na śniadanie, widzę Jonasa na podeście. Conrad w swoim ohydnym brązowym szlafroku froté je przy stole płatki kukurydziane, czytając *Spy vs. Spy*.

– Cześć. – Siadam obok Jonasa. – Co tu robisz?

– Przyszedłem się pożegnać.

– Och.

– Mieliśmy jechać w sobotę, ale matka przyłapała wczoraj Eliasa na wydmach z jakąś dziewczyną i, jak to ujęła, „nie spodobało jej się to, co zobaczyła". Czyli goły tyłek mojego brata. – Wzdycha. – W każdym razie dziś po południu wracamy do Cambridge.

Na werandzie Conrad odkłada komiks i nieruchomieje nad miską. Wiem, że podsłuchuje, ale mam to gdzieś.

– Kiedy zaczyna się szkoła? – pytam.

– Chyba za dwa tygodnie.

– Gimnazjum, prawda?

– No.

– Wow.

– Tak. – W śmiechu Jonasa słychać nutę żalu. – Szkoła dla dużych chłopaków.

Tyle dni spędziliśmy razem i dopiero teraz po raz pierwszy czuję się skrępowana. Myśl o szkole, o prawdziwym życiu poza Back Woods – on w Cambridge, ja w Nowym Jorku – sprawia, że różnica wieku między nami nagle wydaje się ogromna, nie do pokonania.

– Wiem – mówi Jonas, czytając mi w myślach. – To dziwne. – Grzebie palcem stopy w wilgotnym piasku. – Pomyślałem, że moglibyśmy ostatni raz popłynąć na drugą stronę stawu.

– Muszę jechać do miasta z mamą i Anną.

– W takim razie to by było na tyle. – Wstaje i wyciąga rękę. – Widzimy się w przyszłym roku.

– Nie pocałujesz go na do widzenia? – woła Conrad z werandy.

– Zamknij się. – Ujmuję dłoń Jonasa.

– Pocałuj go z języczkiem.

– Nie zwracaj na niego uwagi – mówi Jonas.

– Wiesz co? Właściwie to zdążymy się szybko wykąpać. Poczekaj chwilę.

Biegnę, żeby przebrać się w kostium. Gdy wracam, Jonas jest już w wodzie. Daję nura i doganiam go.

– Przepraszam. To kompletny idiota.

– Chłopaki w tym wieku myślą tylko o jednym – mówi Jonas.

Wybucham śmiechem.

– Naprawdę jesteś dziwny.

– To było wspaniałe lato, Elle. Dziękuję. – Płynie przede mną.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Ostatnie zawody we wstrzymywaniu oddechu?

– Co to za zawody, skoro zawsze wygrywam. Choć muszę przyznać, że troszkę się podciągnęłaś.

– Błagam! – Śmieję się. – Jestem mistrzynią stanu.

– Na trzy cztery?

Kiwam głową.

Zanurzamy się, wstrzymując oddech. I nagle, bez zastanowienia, przyciągam go do siebie i całuję.

Czekam, aż Jonas pójdzie do domu, i dopiero wtedy idę do Conrada.

– Dlaczego to robisz?

– Co robię? – Conrad przerzuca strony komiksu, pochłaniając ostatnią łyżeczkę rozmoczonych płatków. Z kącika ust kapie mu mleko. Patrzę, jak ścieka po brodzie na szyję niczym kropla białego potu.

– Zachowujesz się jak świnia.

– Nie powinnaś zadawać się z dwunastolatkiem.

– To nie twoja sprawa.

– Robi mi się od tego niedobrze.

– Dlaczego to cię tak obchodzi?

– Nie obchodzi – mówi Conrad. – Ale przynosisz wstyd rodzinie. – Wstaje i prowokująco pyta: – Pozwoliłaś mu zdobyć pierwszą bazę?

Matka i Anna mijają dom, idąc do samochodu.

– Dopisz do listy gruszki – słyszę głos mamy. – I ministeki. Och, już prawie nie mamy burbona.

– Zrobił ci palcówkę? – pyta Conrad.

Teraz ja dogryzam jemu.

– Wstyd to byłby wtedy, gdyby ktoś mnie zobaczył z tobą – mówię. – To ty jesteś zakałą tej rodziny, nie ja.

– Aha, akurat.

– Właśnie, że tak. Nikt cię tu nie chce, chowasz się z tymi swoimi wągrami po krzakach jak jakiś zbok. Dlaczego nie wrócisz do swojej mamy? A, no tak. – Robię pauzę. – Ona też cię nie chce.

Twarz Conrada purpurowieje.

– Nieprawda.

– Serio? No to jaki jest do niej numer? Zadzwońmy i zapytajmy. – Podchodzę do czarnego telefonu z tarczą i podnoszę słuchawkę. Na ścianie przypięta pinezką wisi lista ważnych numerów. Przesuwam palcem i wybieram ciąg cyfr. Wykręcam. – Dzwonię.

– Wal się! – woła Conrad i wybiega na zewnątrz. Płacze.

– Beksa! – krzyczę za nim.

W ręku brzęczy mi cichutki, daleki głos.

– Halo? Halo?

Odkładam słuchawkę na widełki.

Kara za okrucieństwo wobec Conrada spada na mnie bezzwłocznie. Zaczyna się od swędzenia pod powiekami. Puchnie mi gardło. Późnym popołudniem mam już całą twarz pokrytą bąblami. Nie mogę otworzyć oczu. Lekarz mówi, że musiałam mieć kontakt z trującym bluszczem: ktoś na pikniku wrzucił pewnie do ognia obrośnięte pnączem polano, a ja siedziałam na drodze dymu. Tylko w ten sposób trujący olejek mógł się dostać bezpośrednio do moich uszu, ust i nozdrzy. Matka rozłożyła dla mnie łóżko polowe w zaciemnionej spiżarni. Twarz i szyję przykryła mi wilgotną tetrą nasączoną kalaminą. Wyglądam jak trędowata z *Ben Hura*. Przynosi mi rumianek i słomkę. Obok łóżka stawia miskę z lodem. Przełykanie jest torturą.

W salonie wszyscy grają w pokera. Słyszę dźwięk drewnianych żetonów wrzucanych do banku. Anna i Leo kłócą się, kto lepiej blefował. Matka się śmieje. Conrad się śmieje. Mój opatrunek wysycha, przyklejając się do ran. Próbuję wołać, ale głos odmawia mi posłuszeństwa. Kolejna salwa śmiechu. Walę w podłogę butem i nareszcie słyszę kroki.

– Mamo?

– Przysłała mnie, żebym sprawdził, czego potrzebujesz. – To Conrad.

– Potrzebuję mamy! – szepczę. – Bandaż mi się przykleił.

– Dobra – mówi, ale nie wychodzi, tylko siada na skraju łóżka. W gardle rośnie mi gula paniki. Leżę bezradna, szykując się na najgorsze.

– Zawołaj mamę! – chrypię. Czuję, że się na mnie gapi.

– Już dobrze – Delikatnie odkleja mi płótno z twarzy i zastępuje je wilgotną myjką. – Pójdę po nią.

Anna woła z drugiego pokoju:

– Conrad, twoja kolej!

– Idę! – Ale się nie rusza. – Mógłbym ci poczytać albo coś – mówi.

– Chcę tylko, żeby przyszła mama.

Wstaje. Słyszę, jak wodzi stopą w przód i w tył po zapiaszczonej podłodze. Czekam, aż sobie pójdzie.

– Przepraszam za tę gumę – mówi w końcu. – Nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

– Bo chcesz, żeby cię wszyscy nienawidzili.

– Nieprawda.

– To dlaczego cały czas zachowujesz się jak palant?

– Nie chcę, żebyś mnie nienawidziła – mówi cicho.

– Na to już chyba trochę za późno, co nie? – stwierdza Anna, stając w drzwiach. – Przestań męczyć moją siostrę, Conrad.

– Nic się nie stało – mówię.

– To dlatego, że nie możesz otworzyć oczu i nie widzisz, jak stoi tu i wgapia się w ciebie jak jakiś psychol.

Wyczuwam, że Conrad sztywnieje.

– No chodź już, Romeo, wszyscy na ciebie czekają.

– Anna, przestań – chrypię. – On wcale mnie nie męczył.

– Okej. – Anna wzrusza ramionami. – Twój problem. Ale jeśli Conrad zaraz nie przyjdzie, to rozdajemy bez niego.

– Już idę – mówi Conrad.

– Przepraszam za nią. – Milknę. – I naprawdę przepraszam za to, co powiedziałam o twojej mamie.

Siada obok mnie na skraju łóżka.

14

1982. Styczeń, Nowy Jork

Kładę się do łóżka i czekam. Wkrótce słyszę kroki matki – idzie w samych skarpetkach długim korytarzem pełnym książek i zatrzymuje się przed moimi drzwiami. Powinna mieć buty. Ze starej drewnianej podłogi sterczą zadziory i atakują każdego, kto okaże się dość lekkomyślny, by chodzić po domu boso. Bieg na drugi koniec korytarza, poślizg – i cienka igła ciemnego drewna rani stopę, wbija się tak głęboko, że nie sposób wyciągnąć jej pęsetą. Podeszwy stóp mam pokryte drobniutkimi bliznami. Teraz potrafię już odprawić rytuał sama: zapalić zapałkę, trzymać igłę w ogniu, dopóki jej czubek się nie rozżarzy, przebić skórę powyżej cienia drzazgi. Pozbyć się intruza.

Mijając mój pokój, mama wyłącza światło w korytarzu. Nie znosi, kiedy marnuje się prąd. Czekam, aż cicho skrzypną drzwi sypialni. W salonie Leo zamyka książkę, pociąga za sznurek przy starej lampie w formie wazy Ming, odsuwa ciężki drewniany fotel. Drzwi do sypialni otwierają się i zamykają znowu, tym razem bardziej stanowczo. Przyciszone głosy życzą sobie dobranoc, w łazience słychać szum wody, cichy zgrzyt plastikowego kubka odstawianego na porcelanową umywalkę. Liczę minuty. Nasłuchuję skrzypnięcia

łóżka uginającego się pod ciężarem Leo. Mój oddech wznosi się i opada. Słucham odgłosów wydawanych przez pościel. Czekam. Czekam. Zapada cisza. Ostrożnie, żeby nie wydać najmniejszego dźwięku, wstaję i powoli przekręcam gałkę u drzwi. Wciąż cisza. W korytarzu panują egipskie ciemności, macam ręką i gdy wyczuwam kontakt, włączam światło. Czekam. Nic się nie dzieje. Śpią albo są zbyt zmęczeni, żeby zareagować. Zamykam starannie drzwi, kładę się z powrotem do łóżka i naciągam kołdrę po szyję. Zrobiłam, co mogłam. Zawsze bezpieczniej, jeśli w korytarzu pali się światło.

Którejś nocy w październiku, miesiąc po powrocie z Cape, wynurzyłam się z głębokiego snu. Obudził mnie powiew wiatru na udach. Pomyślałam, że pewnie skopałam kołdrę, ale kiedy po nią sięgnęłam, zorientowałam się, że koszulę nocną mam podwiniętą do góry, a nogi, brzuch i piersi obnażone. Miałam mokre całe majtki – miesiączka przyszła wcześniej. Wytarłam rękę o koszulę i już miałam iść do łazienki, kiedy dotarło do mnie, że nigdzie nie ma ciemnej plamy, żadnej krwi. Zdezorientowana przytknęłam rękę do nosa. Ostry, gryzący zapach, którego nie rozpoznawałam. Gęsta, kleista konsystencja. I wtedy spostrzegłam jakiś ruch w szafie. Ktoś tam był, ukryty w cieniu, w mrocznej głębi. Nie widziałam jego twarzy, ale widziałam penisa, mięsistą biel na czarnym tle, wciąż we wzwodzie. Ściskał go, ostatnia kropla spermy lśniła na czubku. Zamarłam sparaliżowana. Bałam się oddychać. W ciągu minionych trzech miesięcy w mieście znaleziono cztery zgwałcone i uduszone kobiety, a mordercy wciąż nie schwytano. Ostatnia ofiara miała zaledwie osiemnaście lat. Znaleziono ją nagą w rzece, ręce związano jej na plecach. Powoli, ostrożnie położyłam się z powrotem. Może jeśli uzna, że go nie widziałam, wyjdzie, nie robiąc mi krzywdy.

Zacisnęłam oczy i zaczęłam się modlić. Proszę, niech sobie stąd idzie. Proszę, niech sobie stąd idzie. Nie będę krzyczała. Nikomu nic nie powiem. Wewnątrz mój wrzask wypełniał całą otchłań przerażenia, ledwie je kontrolowałam. Mijały minuty. Wreszcie jakiś ruch. Szczęk otwieranych drzwi. Leciuteńko uchyliłam powieki, żeby sprawdzić, czy wyszedł. Akurat kiedy drzwi się zamykały, Conrad obejrzał się przez ramię.

Luty

Za drzwiami słyszę ciche skrzypnięcie podłogi.

– Elle? – Conrad szepcze moje imię, żeby mieć pewność, że zasnęłam. – Elle, śpisz już?

Otwiera drzwi i staje w ciemnościach obok łóżka. Po kilku sekundach sięga po moją koszulę i podnosi powyżej ud, rozpina spodnie i się dotyka. Cichy odgłos tarcia. Leżę w milczeniu. Przełykam ślinę. Nie śmiem się poruszyć. Muszę udawać, że szybko zasnęłam. Conrad myśli, że nie mam o niczym pojęcia, nie wiem, że nocami przychodzi do mojego pokoju. Patrzy na mnie. Onanizuje się. Sądzi, że śpię jak zabita, zupełnie nieświadoma tego, co robi. Równie dobrze mogłabym brać silne środki nasenne. Nigdy nie może się dowiedzieć. Dopóki myśli, że to jego słodka tajemnica, mogę zachowywać się normalnie, siadać z nim do stołu, mijać jego pokój po drodze do łazienki. Bo jeśli o mnie chodzi, nic się nie stało. Może gdyby tej pierwszej nocy nie sparaliżował mnie strach, gdybym zaczęła krzyczeć. Ale wtedy wszystko wyszłoby na jaw – cały ten brud i upokorzenie. Tamtej nocy obudziłam się, kiedy spuścił się na moje majtki. Widziałam czubek jego penisa. Tego nie da się cofnąć nawet krzykiem. Całej rodzinie pozostałby w pamięci odrażający obraz. Już na zawsze byłabym skażona, stała się przedmiotem

litości. Dlatego zamiast o tym powiedzieć, będę dźwigała ciężar wstydu sama.

Wiem, że moje milczenie go chroni. Ale chroni również mnie: Conrad boi się, że jego ojciec się dowie i odrzuci go na zawsze. To jedyna władza, jaką nad nim mam. Teraz za każdym razem, kiedy podchodzi za blisko, udaję, że się budzę, a on wyślizguje się, zanim zostanie przyłapany. Wraca do swojej szczurzej nory. Jestem bezpieczna. Po prostu nie wolno mi zasnąć.

Marzec

Leo i Conrad się kłócą.

– Do jasnej cholery! – krzyczy Leo. – Ja tego nie zniosę. Nie zniosę. – Słyszę głuchy odgłos walnięcia w ścianę. – Co za wstyd! – wrzeszczy. – Rozumiesz? Czy ty to rozumiesz?

– Tato, proszę.

– Posprzątaj ten pokój! – Kolejne łomoty i kopnięcia.

Właśnie wróciłam z pracy – opiekuję się dziećmi – strasznie chce mi się siku. Spoglądam w głąb długiego korytarza. Drzwi do pokoju Conrada są otwarte na oścież. Wiem, że jeśli się dowie, że wszystko słyszałam, będzie zawstydzony, ale żeby się dostać do łazienki, muszę przejść obok. Odkładam rzeczy, odwieszam ocieplacz i idę na paluszkach w nadziei, że mnie nie zauważą.

– Tato, proszę, starałem się. Po prostu tego nie łapię.

– Nie łapiesz czego? – wrzeszczy Leo. – Że Des Moines jest stolicą Iowy? To geografia, a nie astronomia. Jeśli znowu dostaniesz pałę, to cię wywalą. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Nie będzie drugiej szansy.

– Nie zawaliłem tego specjalnie, tato – mówi smutno Conrad. – Po prostu kiepsko mi poszło.

– Nie można być kiepskim z geografii. Można być tylko leniwym.

– Nieprawda. – Conradowi łamie się głos.

– Nazywasz mnie kłamcą?

– Nie, ja…

Leo spostrzega mnie, gdy przekradam się obok.

– Poproś Eleanor, żeby ci pomogła. W tym semestrze ma same celujące. Eleanor, chodź tutaj.

Zatrzymuję się, ale nie wchodzę.

– Nie potrzebuję jej pomocy – mówi Conrad. – Poprawię się, obiecuję.

– Twoja siostra radzi sobie tak dobrze, bo ma łeb na karku. Ciężko pracuje i robi, co do niej należy.

– Po prostu mam dobrą pamięć.

– Ona nie jest moją siostrą. – Conrad patrzy na mnie jadowitym wzrokiem.

– Muszę iść do toalety.

– Leo? – woła matka gdzieś z trzewi mieszkania. – Zrobić ci drinka?

Oczy mam zamknięte, ale czuję wilgotny oddech Conrada. Nachylił się nade mną, wypatrując oznak życia. Oddycham powoli, miarowo. Pochyla się niżej i gładzi mnie po włosach. Poruszam się, udając, że się budzę. Zabiera rękę i usuwa się w cień, żeby sprawdzić, czy poruszę się znowu. Przekręcam się na bok i układam na nowo. To wystarczy, żeby wytrącić go z równowagi. Już wychodzi, ale jeszcze mówi coś tak cicho, że ledwie słyszę. Ale słyszę.

– Któregoś dnia naprawdę ci go wsadzę – szepcze. – Zrobię ci dziecko i myślisz, że kto wtedy będzie chodzącym ideałem?

Żołądek podchodzi mi do gardła, ale powstrzymuję wymioty. Nie poruszam żadnym mięśniem.

Kwiecień

W przychodni jest pełno kobiet. Starszych i młodych w ciąży. Na wprost mnie siedzą trzy Portorykanki.

– Hej, *mamacita* – woła drwiąco jedna z nich. – Masz przyjaciela? – Reszta się śmieje.

Wbijam wzrok w pomarańczowe siedzenie z plastiku.

Na zewnątrz pada śnieg, uśmiercając pierwsze kwiaty wiśni. Mam całkowicie przemoczone buty. W drodze z metra do publicznej przychodni, brnąc przez świeże zaspy, omal nie straciłam odwagi. Ale jestem tu i teraz czekam, aż wyczytają mój numerek – różowe cyfry na karteczce – jakbym była w urzędzie.

Pielęgniarka wywołuje nas po pięć na raz. Ponieważ mam dopiero piętnaście lat, podaję jej list z podrobionym podpisem, w którym matka wyraża zgodę, żebym stosowała środki antykoncepcyjne. Odkłada go na szczyt kupki podobnych listów, ledwie rzuciwszy okiem. Razem z portorykańskimi dziewczynami i kobietą w ciąży trafiam do strefy wydzielonej zasłonkami. Doradczyni opowiada nam o ryzyku związanym z antykoncepcją, możliwości oddania dziecka do adopcji, a na koniec wręcza każdej test ciążowy. Kobieta w ciąży protestuje przeciwko temu marnotrawstwu, ale pielęgniarka tłumaczy, że takie są zasady. Trzy dziewczyny cały czas się na mnie gapią.

– Co tam, blondi? Tatuś nie zapłaci za prawdziwego lekarza?

Idę z testem do łazienki i sikam na pasek.

Matka myśli, że razem z Becky poszłyśmy do kina na *Victor, Victoria*. Dała mi nawet pieniądze na popcorn i napój. Chciałabym powiedzieć jej prawdę, błagać, żeby mnie ocaliła, ale nie mogę tego zrobić. Złamałabym jej serce, zrujnowała małżeństwo. Jest z Leo taka szczęśliwa. A ja jestem od niej silniejsza – mam dość siły, żeby

sobie z tym poradzić. To mój obowiązek. Byłam miła dla Conrada i go zachęciłam. „Twój problem”, powiedziała Anna tamtego wieczoru, kiedy leżałam poparzona bluszczem. Miała rację. Teraz, gdziekolwiek się obrócę, czuję na sobie jego ciężar, wilgotny oddech, śmierdzące dłonie, odrażające części ciała.

Po wykładzie zostajemy zaprowadzone do przebieralni, gdzie dają nam papierowe koszule szpitalne.

– Proszę zdjąć wszystko oprócz butów – instruuje nas pielęgniarka.

Rządek kobiet w podobnych koszulach i ciężkich zimowych butach siedzi na długiej ławce w oczekiwaniu na swoją kolej. Dopiero po dwóch godzinach wywołują moje nazwisko i zostaję wprowadzona do gabinetu.

Lekarz ma na twarzy maseczkę. Widzę wyłącznie jego rozbiegane oczy.

– Proszę poprosić pacjentkę, żeby usiadła na fotelu i włożyła stopy w strzemiona – zwraca się do pielęgniarki.

– Chciałam tylko receptę na tabletki antykoncepcyjne – mówię.

Znów zwraca się do pielęgniarki:

– Wyjaśniła pani pacjentce, że nie możemy jej przepisać tabletek, jeśli jej najpierw nie zbadamy?

Pielęgniarka kiwa głową i patrzy na mnie ze zniecierpliwieniem.

– Oczywiście, panie doktorze. Podpisała formularz.

Kiedy siadam na fotelu, czuję, że koszula mi się rozdziera. Jak mi się w niej uda wrócić do przebieralni? Opieram plecy i pozwalam, żeby pielęgniarka włożyła moje przemoczone buty w strzemiona. W gabinecie jest ciepło, ale nie mogę przestać się trząść.

Rozlega się pukanie.

– Proszę – woła lekarz.

Do środka wchodzi młody Azjata w białym fartuchu.

– Mamy tu studentów medycyny z Kioto, zapoznają się z naszymi metodami kontroli płodności. Nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że jeden z nich będzie mi asystował? – pyta lekarz. Gestem wskazuje mężczyźnie, żeby podszedł, ignorując przerażenie w moich oczach. Wręcza mu maseczkę.

Mężczyzna kłania się grzecznie z rękami przyklejonymi do boków, a potem wkłada mi głowę między nogi i zagląda do środka.

– Ciekawe – mówi. – Błona dziewicza wciąż nietknięta.

– Tak – potwierdza lekarz. – A teraz poczuje pani zimno.

15

1982. Listopad, Nowy Jork

Deszcz spływa po szybach. Mój pokój jest jak zapieczętowany grobowiec. Ziewam, siadam na łóżku i wyglądam na wewnętrzne podwórko. Pośrodku woda utworzyła kałużę, która przypomina kwadratowe jezioro. Papierowy kubek ślizga się po jej powierzchni, ciągnąc za sobą kawałek folii spożywczej niczym ogon meduzy. Biorę zegarek. Na pierwszej lekcji mam sprawdzian z historii i nastawiłam budzik na szóstą, żeby rano skończyć zakuwanie. 7.45. Czuję ukłucie paniki, gdy orientuję się, że zaspałam. Biegam po pokoju, wrzucając rzeczy do plecaka, powtarzam na głos: kongres w sprawie ustawy o pieczęciach, żadnego opodatkowania bez reprezentacji, „strzał, który usłyszał cały świat". W pośpiechu wkładam ciuchy leżące na podłodze i już prawie jestem przy wyjściu, kiedy przypominam sobie, że mam wziąć tabletkę. Pędzę z powrotem do pokoju, ze starej łyżwy schowanej na dnie szafy wyciągam owalny beżowy pojemnik i wyłuskuję pigułkę podpisaną „wtorek".

W tygodniu, kiedy zaczęłam brać tabletki, Conrad przestał nocami przychodzić do mojego pokoju. Początkowo myślałam, że to tylko zbieg okoliczności. Sześć dni po mojej wizycie w poradni Conrad wyjechał na ferie wiosenne do Memphis, żeby spędzić czas z matką

i dziwaczną siostrą Rosemary, której nie widziałam od trzech lat i która pewnie była już oblubienicą Chrystusa. Przez pierwszych kilka tygodni po jego powrocie leżałam nocą w łóżku, starając się nie zasnąć, czekając na skrzypnięcie podłogi, szelest ubrania, odgłos rozpinanego rozporka. Ale nic się nie wydarzyło. Jakby tabletka miała magiczną moc.

Po powrocie z Memphis Conrad był inny. Szczęśliwy. Pobyt w domu okazał się wielkim sukcesem. Matka chciała, żeby przyjechał znów w czerwcu i został na całe lato.

– Pojedziemy do Nowego Meksyku odwiedzić wujka – oznajmił przy kolacji. – Rosemary policzyła, że z Memphis do Santa Fe jest dokładnie dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć mil. Dołożymy jedną, żeby wyszedł równy tysiąc.

– Super – powiedział Leo. – Wujka Jeffa?

– No.

– Wciąż jest żonaty z tą stewardesą?

– Lindą.

– Tak. Tą z tapirem na głowie.

– Są w separacji.

– Twoja matka jej nie znosiła. Mówiła, że ona jest z nim dla pieniędzy. Choć małżeństwo z ortopedą trudno uznać za wygraną w totka. – Leo nałożył sobie wielką łychę tłuczonych ziemniaków. – Czy ktoś mi może podać masło?

Conrad nawet wyglądał inaczej. Przestał zapinać ostatni guzik koszuli, który uciskał mu jabłko Adama i sprawiał, że przypominał seryjnego mordercę, zaczął też wreszcie używać szamponu przeciwłupieżowego, który matka wciąż stawiała w łazience. Dostał się do reprezentacji szkoły w zapasach. Była nawet dziewczyna,

która mu się podobała. Leslie. Z drugiej klasy. Przyszła w połowie roku.

W czerwcu, tuż przed jego wyjazdem do Tennessee, Conrad, Leslie i ja poszliśmy razem na *E.T.* Gdy siedziałam w ciemnym kinie, jedząc popcorn i patrząc, jak mały chłopiec dotyka długiego palca kosmity, zorientowałam się, że po raz pierwszy od bardzo dawna wszystko wydaje się niemal normalne.

Minęło ponad sześć miesięcy, odkąd ostatni raz rozległo się pukanie do moich drzwi i mroczny cień stanął koło łóżka, szepcząc groźby. Nie wiem, czy to dlatego, że ferie z mamą i Rosemary uświadomiły mu, jakim jest zbokiem, czy dlatego, że cały czas obmacuje się z Leslie, czy też hormony, które biorę, zmieniły mój zapach. Cokolwiek to jest, tabletki działają.

Biegnę osiem przecznic do szkoły, po mojej parasolce spływają strugi deszczu, brudna woda z kałuż ochlapuje mi kostki. Pewnie nie zaliczę sprawdzianu. Nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego Paul Revere jest taki ważny.

Grudzień

– Tu jesteś – mówi mama, przeciskając się przez ciężką aksamitną kurtynę. Siada na metalowym składanym krześle w pustej teraz sekcji skrzypiec.

– Nie powinnaś tutaj przychodzić – besztam ją.

– Bardzo udany koncert – oznajmia, nie zwracając uwagi na moje protesty. – Choć dyrygent zupełnie nie ma poczucia rytmu. Przy tych cenach szkoła powinna zatrudnić kogoś bardziej muzykalnego.

– Mamo! – Obrzucam ją gniewnym spojrzeniem. „Zamknij się". Połowa orkiestry wciąż jest na scenie i chowa instrumenty. Pan Semple, nasz dyrygent, stoi nieopodal, gawędząc z obojami.

– Powinnam zamienić z nim słówko. Może nie wie, że nie trzyma tempa.

– Zabiję cię, jeśli to zrobisz. – Rozkładam flet, przewlekam białą chusteczkę przez ucho na czubku wyciora, a potem wpycham ją do środka srebrnej rurki. Cieniutki strumyk śliny kapie z główki, gdy ustawiam instrument pionowo.

– I po co robić część *Czwartego koncertu brandenburskiego*, jak można *Piąty*? – Mama wyjmuje z torebki sztyft do ust i pociąga nim wargi. – W każdym razie, Eleanor, skradłaś show. Twoje solo to zawsze był mój ulubiony fragment *Dziadka do orzechów*, ten ślizg w górę skali, mieniący się jak żywe srebro. Bada-bada-bada-bach… brzdump, ba-ba-badladladladl, blum-pach – śpiewa na całe gardło.

– Boże. Mamo. Przestań. – Chowam flet i piccolo do plecaka.

– Fagoty brzmiały jak zsiadłe mleko.

Leo i Conrad czekają na nas w holu, przed akwarium.

– Brawo! – woła Leo. – Wyrosłaś na znakomitą flecistkę, młoda damo. – Odwraca się do Conrada. – A ty co myślisz?

– Było nieźle.

– Tylko nieźle? Moim zdaniem Elle była wspaniała.

– Nie przepadam za klasyką.

Kilka koleżanek przybiega, żeby mi pogratulować, trajkoczą w podnieceniu: „Byłaś niesamowita… Kto by pomyślał… Trudne to jest?”. Lubię je, ale wiem, że nie przyszły, żeby patrzeć, jak dmucham w swój instrument. Są tu, bo Jeb Potter, najprzystojniejszy chłopak w szkole, gra w orkiestrze na kotłach.

Conrad przysuwa się do naszego kółka.

– Cześć – wita się. – Jak leci? – Kładzie mi rękę na ramieniu. – Jestem Conrad, brat Elle.

– Przyszywany – mówię.

1983. 1 stycznia, Nowy Jork

Jeśli zjem jeszcze jednego pierożka, to pęknę. Jesteśmy w Chinatown, w zatłoczonym lokalu, gdzie serwują dim sum, siedzimy przy wielkim okrągłym stole. Mama i Leo mają kaca i są umiarkowanie niemili dla wszystkich. Kelner z wielkim metalowym wózkiem, znad którego unosi się para, przebija się przez lokal, ciskając na stoły małe białe talerzyki z nierozpoznawalnymi potrawami. Gęsto tu od dymu z papierosów, potu i rejwachu. Stawia przed mamą piwo, a ona pije prosto z butelki.

– Klin klinem – mówi. – Nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny, a ja już złamałam pierwsze postanowienie.

Patrzę na Annę i jęczę:

– Jestem taka gruba.

– Błagam – mówi Anna. – Nawbijałam się jak bąk.

Anna przyjechała na ferie świąteczne z college'u. Studiuje na Uniwersytecie Kalifornijskim. Ponieważ Conrad dostał jej pokój, mieszka ze mną. Mama przygotowała dla niej składane łóżko, ale materac jest nierówny, cienki w środku, czuć przez niego pręt. Dlatego śpimy razem. Nocą leżymy, gadając, dopóki nie zmorzy nas sen. Od czasu tamtych odwiedzin w jej szkole z internatem, kiedy pierwszy raz mi się zwierzyła, jesteśmy przyjaciółkami.

– Kto chce parowane bułeczki z wieprzowiną? – Leo bierze z wózka dwa talerze. Conrad wyciąga rękę, ale ojciec go omija. Conrad przybiera na wadze. – Rosemary?

Rosemary spędza ferie z nami. Wciąż sprawia wrażenie szarej myszki, ma matowe włosy w kolorze brudnoblond. Jest mała jak na swój wiek. Smutna. Ma czternaście lat, ale nosi praktyczne brązowe półbuty i plisowane wełniane spódnice. Wygląda, jakby ubierała ją matka. Nie chciała przyjeżdżać na święta, to Leo się uparł. Jest

szczęśliwy, że znowu ma przy sobie oboje dzieci, mama natomiast dostaje fioła. Wciąż wynajduje powody, żeby jechać do supermarketu. Na Gwiazdkę Rosemary dała każdemu pamiątkowy ceramiczny dzwonek z Gracelandu. Leo grał kolędy na saksofonie, a myśmy śpiewali. Potem Rosemary spytała, czy mogłaby zaśpiewać solo *Lully, Lullay*, które dla mnie zawsze brzmi, jakby ktoś grał je na flecie. Uparła się, że nie pominie żadnej zwrotki – śpiewała z zamkniętymi oczami, kołysząc się do taktu w przód i w tył. W pewnym momencie po policzkach popłynęły jej łzy. Anna uszczypnęła mnie tak, że omal nie krzyknęłam.

– Jakby zatrzymała się w rozwoju – mówi Anna, kiedy leżymy w łóżku. – Ma przezroczystą skórę. To pewnie ta religia.

– Powinniśmy porozmawiać o wakacjach, Rosemary – odzywa się teraz Leo. – Byłoby wspaniale, gdybyś w tym roku mogła przyjechać na dłużej. Brakuje nam ciebie.

Widzę, jak mama w myślach wymierza mu pod stołem kopniaka, ale uśmiecha się do Rosemary, kiwa głową, opróżnia butelkę i macha do kelnera.

– Nie mogę. W czerwcu mam obóz orkiestry – oznajmia Rosemary. – A potem jedziemy z mamą do Lake Placid.

– Nic mi nie mówiła o Lake Placid – burczy Conrad.

– Bo to tylko dla dziewczyn. Nie jesteś zaproszony.

Conrad bierze bułeczkę z jej talerza i gryzie. Maleńkie kawałki brązowego mięsa wypływają z białego ciasta.

– Jesteś pewien, że tego ci trzeba? – pyta Leo.

Luty

Na placu zabaw wciąż panuje tłok. Wprawdzie na zewnątrz jest lodowato i nadciąga wieczór, ale pani Strauss, której córką opiekuję się po szkole, uparła się, żebym zabrała pięcioletnią Petrę do parku,

choć założę się, że widziała, że mam odmrożone policzki i nos, który zaraz odpadnie. To jedna z tych kobiet, które tylko wydają się miłe – robią zakupy w sklepach dla snobów, takich jak Bendel's i Bergdorf's, ale już nie w Bloomies. Straussowie mieszkają w nowoczesnym budynku z białej cegły przy Siedemdziesiątej Piątej Wschodniej, beżowa markiza przed wejściem sięga aż do krawężnika, żeby lokatorzy mogli wsiąść do taksówki, nie moknąc w deszczu. W mieszkaniu są rozsuwane drzwi na balkon, który wychodzi na park. Kiedy pani Strauss i jej mężowi nie chce się wyprowadzać na spacer wyżła weimarskiego, pozwalają, żeby się tam załatwiał, a potem kupy zamarzają w obrzydliwe szaro-brązowe grudki.

Chodzę za Petrą po placu od małpiego gaju do zjeżdżalni i huśtawek. Dzieci biegają w grubych wełnianych paltach i jednopalczastych rękawiczkach, szyje mają owinięte szalikami, z nosa wiszą im gile. Nianie siedzą razem na ławce, nie zwracając na nie uwagi, próbują jak najmniejszym kosztem zapełnić czas między szkołą a porą kolacji.

– Pohuśtaj mnie! – woła Petra.

Zapomniałam rękawiczek. Ręce mi sinieją, kiedy popycham metalową huśtawkę, posyłając ją z wiatrem coraz wyżej i wyżej. Drzewa są nagie. W kieszeni płaszcza czuję rulon ćwierćdolarówek, który ukradłam z szuflady w kuchni, gdzie pani Strauss trzyma drobne dla gosposi, żeby miała co wrzucić do pralki w piwnicy.

Wysiadam z windy, machając na dobranoc Pepe, naszemu windziarzowi. Ktoś wzywa go pięć pięter wyżej. Pepe zasuwa ciężką mosiężną kratę. Zewnętrzne drzwi windy zatrzaskują się za moimi plecami. Stoję na korytarzu, grzebiąc w plecaku w poszukiwaniu klucza. Już stąd słyszę, że Conrad i Leo znowu się kłócą. Krzyczą tak głośno, że pewnie słyszą ich wszyscy sąsiedzi. Conrad wrzeszczy, że

ojciec nic nie rozumie – on to tylko dla kogoś „przechowywał”. To nie była jego trawka.

Osuwam się na zniszczoną czarno-białą posadzkę i opieram plecami o drzwi. Nie ma mowy, żebym weszła do środka.

– Jesteś uziemiony na miesiąc! – krzyczy Leo.

– Nie możesz mi tego zrobić! Mamy bilety na WWF w Garden. Będzie walczył André the Giant! – wrzeszczy Conrad. – Chciałem zabrać Leslie!

– Oddaj je Elle.

– Kupiłem je za pieniądze, które dostałem na Gwiazdkę od mamy – płacze Conrad. – Ale z ciebie kutas. Nienawidzę cię.

Później, kiedy siedzę przy biurku, odrabiając pracę domową z algebry, Conrad staje w drzwiach.

– Masz, jędzo. – Rzuca we mnie biletami.

– A co ja takiego zrobiłam? – pytam. – Nie znoszę sportu.

Marzec

Budzi mnie szelest papieru. W drzwiach do mojego pokoju, które teraz mają zaszczepkę, tkwi pomarańczowo-biała okładka książki. Z przerażeniem patrzę, jak grzbiet *Myszy i ludzi* powoli przesuwa się w górę szczeliny. Dociera do metalowego haczyka, podnosi go i wyjmuje. Okładka znika. Gałka w drzwiach się przekręca.

– Mamo? – wołam, zanim zdąży otworzyć. – To ty?

Słucham kroków, gdy chyłkiem wraca do swojego pokoju, a potem jeszcze raz zamykam drzwi.

Kwiecień

Smętny deszcz nie przestaje padać, odkąd zjawiłyśmy się u dziadków w Connecticut. Babcia wprawdzie twierdzi, że kiedy kwiecień deszczem plecie, to się maj wystroi w kwiecie, ale mnie się to kojarzy raczej z bólem serca niż z delikatną zielenią wiosny.

Razem z Anną przyjechałyśmy tu na dwa tygodnie. Babcia Myrtle miała migotanie przedsionków i nie czuje się najlepiej. Przydałaby jej się pomoc w domu. Anna ma przerwę wiosenną i chce spędzić większość czasu z dziadkami.

– Kto wie, czy kiedykolwiek wrócę z Kalifornii. Zresztą do tego czasu oboje mogą już nie żyć – mówi, kiedy dzwoni, żeby wtajemniczyć mnie w swój plan.

– Cudownie. Wszyscy będziemy za tobą strasznie tęsknić.

– Ty będziesz.

– Wiem. Już tęsknię.

Teraz obie leżymy na starych bliźniaczych łóżkach, gdzie przez ostatnie trzy dni czytałyśmy książki, które babcia Myrtle wypożyczyła z biblioteki. „To pozwoli wam zabić czas, dopóki się nie poprawi pogoda" – powiedziała, wręczając każdej po grubym tomie. Anna dostała *Wojnę i pokój*, a ja *Wichrowe wzgórza.*

Trzymam książkę blisko twarzy, wdycham woń kartek. Uwielbiam zapach książek z biblioteki – sprawia, że wydają się ważniejsze, przywodzi na myśl stare dobre czasy, marmurowe schody w pałacu albo senatora.

Anna przeciąga się i ziewa.

– To jest za długie. I za rosyjskie. Męska, naszpikowana ideami proza. Nigdy tego nie skończę. Idę poszukać czegoś innego.

Zostaję w pokoju sama, patrzę, jak krople deszczu ześlizgują się po szybie. Wyglądam na zewnątrz, wpatrując się w mgłę. Dzikie jabłonie przypominają zjawy, ich mokre, czarne gałęzie stukają w okno. Dla mnie może padać choćby miesiąc. Cieszę się, że jestem w miejscu, gdzie mogę czuć się bezpieczna, spędzać czas ze swoją zabawną, opryskliwą i sardoniczną siostrą i zasypiać bez lęku; gdzie babka, bez względu na to, jak słaba, będzie mnie kochać

bezgranicznie, robić świeże gofry, upierać się, że umyje mi włosy w zlewie szamponem Johnson's Baby, tak jak robiła to zawsze, a potem spłucze jego słodko-naftową woń pod kranem, podczas gdy ja będę siedziała z głowę wygiętą pod nienaturalnym kątem i szyją przyciśniętą do zimnej porcelanowej krawędzi. A jednak nawet tu nieświadoma czujność budzi mnie w nocy i nie pozwala zasnąć. Leżę w ciemnościach, czerpiąc otuchę z oddechu Anny, dopóki nie uda mi się w końcu zapaść w niespokojny sen.

– Wyglądasz koszmarnie – powiedziała Anna po przyjeździe z Kalifornii.

– Nie mogę spać – odparłam.

– Myślałam, że ktoś ci podbił oczy.

Kiedy Conrad zaczął przychodzić nocą do mojego pokoju, chciałam zadzwonić do Anny i jej o tym powiedzieć. Ale wiedziałam, że Anna wygada wszystko mamie, nawet jeśli obieca, że tego nie zrobi. Anna nie jest taka jak ja. Konfrontacja to jej żywioł. Ona nigdy, ale to przenigdy nie pozwoliłaby, żeby Conradowi coś takiego uszło na sucho. Nie zrozumiałaby też, dlaczego ja na to pozwoliłam. Nie zrozumiałaby, że jedynym sposobem, by uchronić się przed wstydem i poniżeniem, było wyparcie. Gdybym powiedziała Annie, przypuściłaby na niego atak, odsłoniła mnie przed nim w inny sposób – Conrad dowiedziałby się, że przez cały czas znałam jego brudny sekret. A potem wszystko ustało i pomyślałam: Przecież tak naprawdę nic strasznego się nie wydarzyło. Dotykał siebie, ale nigdy nie dotknął mnie. Nikt nie musi o tym wiedzieć. Tylko że ostatnio znów zaczął przychodzić, a ja żałuję, że nie powiedziałam o tym, kiedy jeszcze mogłam.

Anna wraca z egzemplarzem *Wielkiego Gatsby'ego* dziadka.

Podnoszę wzrok, gdy wchodzi.

– Przecież czytałaś to już ze sto razy.

– To pierwsze wydanie – mówi z nabożeństwem.

– Pozwolił ci wziąć?

– Nie chciałam mu przeszkadzać. Jest u siebie na górze. – Sadowi się na łóżku. – Zresztą wcale nie zamierzam tego czytać. Będę tylko leżała i głaskała okładkę. Kto wie, może nawet dotrzemy do drugiej bazy.

– Ale ty jesteś głupia – śmieję się.

– Jestem – zgadza się Anna. – W tym świecie to najlepsza opcja dla dziewczyny: być ślicznym głuptasem.

– Dziewczynki, czy któraś mogłaby mi pomóc przy kolacji? – woła z kuchni babcia Myrtle. – Trzeba obrać ziemniaki.

– Ja pójdę – mówię do Anny. – A ty się miziaj z tą swoją książką. Babciu, mogę obrać marchewki? – pytam, wychodząc z pokoju. – Kiepsko sobie radzę z ziemniakami. – Zawsze wykrawam z nich pięciokątne grudki, na których i tak zostaje skórka. Babcia Myrtle byłaby rozczarowana, a tego nie zniosę.

– To może pobiegniesz na drogę i przyniesiesz pocztę? – proponuje babcia. – Zwlekałam z tym cały dzień. – Podchodzi do zlewu, żeby obrać ziemniaki. Cienka jak papier skórka elegancko wpada do komory.

Staję za babcią i trącam ją nosem w policzek, rżąc cicho jak kucyk.

– Boże, głuptasie – mówi babcia. Ale się uśmiecha. – Kalosze stoją w przedpokoju od frontu, gdybyś potrzebowała.

Na zewnątrz kapuśniak zamienił się w ulewę. Niebo przecina błyskawica, wydobywając zarys nagrobków po drugiej stronie drogi. Chwilę później słychać grzmot.

Maj

Budzę się spocona, plecami do drzwi. Zasnęłam na warcie. Na ścianie nade mną światło ulicznych latarni rysuje cienie drzew. Nie widzę go, ale stoi za mną, obok łóżka. Obserwuje. Podejmuje decyzję. Zmieniam pozycję, mamrocząc w fazie REM. Czekam, aż wyjdzie. Ale on się nie rusza. Dotyka mojej kostki, czubkiem palca przesuwa się wzdłuż nogi, zatrzymuje przy rąbku koszuli. Naciska na udo. Wilgotny, gąbczasty dotyk. I wtedy dociera do mnie, że to nie palec. Wzdrygam się, zanim zdążę się powstrzymać. Za szybko. Zbyt świadomie.

– Elle? – Cicho.

Zwijam się w kłębek, ramiona zaokrąglone, kolana przy piersi, jęcząc, jakby mnie dręczył koszmar.

– To nie paw – mamroczę. Macham ręką. – Tu jest twój dom.

Conrad odsuwa się w cień. Czeka, aż się umoszczę. Gdy mój oddech spowalnia, wychodzi z pokoju. Drzwi zamykają się za nim z westchnieniem.

16

1983. Czerwiec, Nowy Jork

Ósma rano, a w mieście już jest duszno i parno, czuć rozgrzane, zakurzone płyty chodnikowe, psie siki, plamy ropy na asfalcie, pot, nikłą woń lipy. Dziś wyjeżdżamy do Back Woods. Zastawiliśmy cudzy samochód. Pomagam Leo pakować bagaże. Bardzo chce być już w drodze. Czeka nas sześciogodzinna podróż i zależy mu na tym, żeby uniknąć korków. Ale mamie nie udało się jeszcze złapać kota, a w dodatku jesteśmy zapakowani tylko do połowy, bo Conrad, do którego należy znoszenie bagaży, rusza się jak mucha w smole.

– Nie możesz szybciej przebierać tymi swoimi krótkimi pęcinami? – pyta Leo.

– Palant – odgryza się Conrad.

Leo nie odpowiada.

Matka wychyla się przez okno naszego mieszkania na trzecim piętrze.

– Elle, chcesz, żebym spakowała twój irygator? Ach, i pobiegnij do Gristedes po jeszcze jedno kartonowe pudło. Potrzebuję czegoś, w co mogłabym nasypać kociego żwirku do samochodu.

Gdy w końcu wszystkie bagaże są już spakowane, mama wyłania się z budynku, niosąc kosz piknikowy i transporter z kotem.

– Schował się pod łóżko. – Stawia transporter na tylnym siedzeniu i wręcza mi kosz. – Możesz to postawić w nogach, Elle? Leo nie chce się zatrzymywać na lunch. Wzięłam jabłka i trzy nektarynki. Są kanapki z masłem orzechowym i majonezem albo z pieczenią wołową. – Siada z przodu i wachluje się ulotką, którą wzięła z deski rozdzielczej.

Przenoszę transporter z kotem na środek, żeby odgrodzić się od Conrada.

– Dlaczego nie możemy mieć samochodu z klimatyzacją? – pyta Conrad.

– Za kilka godzin będziesz się kąpał w stawie. – Leo z trzaskiem zamyka klapę z tyłu.

Odkręcam okno, żeby wpuścić do środka bagnistą bryzę. Nie mogę się doczekać przyjazdu do Back Woods. Anna spędza lato w kibucu w północnej Kalifornii, więc będę miała chatkę tylko dla siebie. Zapisałam się na lekcje żeglarstwa. I w tym roku przyjedzie Jonas. W zeszłe lato jego rodzice byli na urlopie sabatycznym we Florencji. Jego matka pracuje nad biografią Dantego. Strasznie się cieszę, że znów go zobaczę. Ciekawe, czy bardzo się zmienił i czy go przerosłam.

Tkwimy w korku. Gdzieś w Rhode Island przegrzewa się chłodnica. Leo zatrzymuje się na porośniętym krzakami poboczu, klnąc w żywy kamień.

– I tak musiałam rozprostować nogi – mówi mama.

Dwadzieścia jardów przed nami zepsuł się inny samochód. Za nim na wielkim billboardzie mężczyzna w garniturze w zebrę reklamuje dilera samochodowego. Patrzę na pełznące obok auta z czymś na kształt urazy, jakbyśmy stracili należne miejsce w kolejce.

– Na wszelki wypadek nalałam wody do półgalonowej butelki po mleku – oznajmia mama. – Conrad, jest gdzieś za tobą.

– Podaj mi ją, Con. – Leo odpina pas. – Trzeba będzie wypuścić ciepło spod maski i ostudzić chłodnicę.

Conrad ogląda się przez ramię.

– Za daleko. Nie sięgnę.

– W takim razie wyjdź i po nią idź.

– Ale ty już i tak wysiadłeś.

– Ja ją wezmę – mówię, zanim Leo zdąży odpowiedzieć. Przeciskam się na tył i ponad papierowymi torbami pełnymi zieleniny, walizkami i koszem gruszek wyciągam rękę po butelkę. – Mam ją – stękam.

– Jesteś aniołem, Elle – dziękuje mi Leo. – A z tobą, Conrad, pogadamy później. – W jego głosie słychać pogardę.

– A z tobą pogadamy później. – Conrad przedrzeźnia ojca pod nosem. Patrzy na mnie z nienawiścią. – Pocałuj mnie w dupę.

Na siedzeniu między nami kot matki miauczy i drapie w transporter.

Gdy docieramy do Woods, jest już prawie północ. Letnisko stało zamknięte całą zimę. Nasze kanu leżą na werandzie jedno na drugim. Wszędzie pełno pyłków i pajęczyn. Jakiemuś dużemu zwierzęciu udało się dostać do środka i postrącać naczynia z otwartych półek. Kawałki syderytu leżą porozrzucane na podłodze w salonie. Myszy jak co roku zrobiły sobie gniazdo w szufladzie ze sztućcami. W części z widelcami są odchody, w części z łyżeczkami – łożysko. Trzeba włączyć ciepłą wodę. Nie działa żadna latarka. Nikt nie ma siły ścielić łóżek.

Sikam w krzakach, idę do swojej chatki i rzucam się na goły materac. Tak się cieszę, że tu jestem. Leżę, nasłuchując ryku

i rechotu żab. Drzewa stoją w bezruchu, księżyc w pełni zagląda przez świetlik. Trzeszczy gałązka. Na zewnątrz coś się porusza. Wstrzymuję oddech. Czekam. Odgłos kroków zmierzających nad staw. Po chwili plusk wody i dźwięk przypominający ciche kwilenie dziecka. Wstaję z łóżka i zakradam się do siatkowych drzwi, wyglądam na zewnątrz, czekając, aż mój wzrok przyzwyczai się do ciemności. Ogromna samica szopa pracza z czterema młodymi łowi ryby na płyciźnie. Zatrzymuje się, węszy, wyczuwa mnie i wraca do pracy. Robi zamach łapą, przecinając powierzchnię wody, i wyciąga rybę. Ostrożnie, żeby nie wydać dźwięku, wychodzę na ścieżkę. Zamiera nieufnie. Robię krok. Odwraca do mnie zamaskowaną twarz i warczy. W mgnieniu oka cała gromadka znika wśród drzew. Nie ma po nich śladu. Tylko cichutki plusk wody. Księżyc jest tak jasny, że widzę otoczaki na dnie. Zdejmuję koszulę nocną i wchodzę w trzciny aż po pas, a potem stapiam się ze stawem. Nigdy nie pływałam tak sama – nocą, nago, w ciszy. Mam poczucie czegoś luksusowego, sekretnego.

Wychodzę i otrząsam się, biorę koszulę z ławki, wbiegam po stopniach do swojej chatki i zatrzaskuję drzwi.

Z ciemności wyłaniają się ręce, które zakrywają mi usta.

– Przyglądałem ci się – szepcze Conrad.

Żołądek podchodzi mi do gardła. Ciało oblewa zimny pot. Krzyczę spanikowana, ale z moich ust wydobywa się tylko stłumiony jęk.

– Powinnaś kąpać się na golasa co noc. – Przejeżdża ręką po moim nagim ciele, wzdycha. – Masz taką miękką, jędrną skórę.

Popycha mnie na łóżko.

Walczę, próbuję się uwolnić, ale jego uchwyt jest za silny.

– Wiedziałaś, że ci się przyglądałem – mówi.

– Conrad, przestań – błagam.

– Podpuszczalska. Lubisz to. Pozwalałaś mi przychodzić do swojego pokoju. Nigdy nie kazałaś wyjść. Wiem, że tylko udawałaś, że śpisz.

Kręcę głową, rozpaczliwie wierzgając.

– Nieprawda – udaje mi się wyszeptać.

– Powiedziałem wszystkim kolegom, że pozwoliłaś mi się dotykać.

I wtedy się we mnie wbija. Czuję piekący ból, kiedy rozdziera błonę. Kiedy mnie otwiera. Na gałęzi w górze matka szopów praczy słucha mojego cichego, dziecięcego kwilenia. Gdy Conrad dochodzi, ja szlocham.

Po niebie lata drozd, fruwa z drzewa na drzewo. Leżę na porośniętej mchem ziemi daleko w lesie, obok swojego sekretnego strumienia, zwinięta jak embrion. Kiedy Conrad wyszedł, pobiegłam do łazienki, żeby się umyć gorącą wodą. Wypalić go z siebie. Ale to nic nie dało. Przestałam być sobą. Nie mogę wrócić do domu. Nie mogę tu zostać. Nie pozwolę, żeby odebrał mi to miejsce. Staw jest mój. Las należy do mnie. Potrzebuję snu. Noc mnie nienawidzi. Jestem chodzącym trupem.

Budzę się wiele godzin później, ciało mam zlodowaciałe, zęby mi szczękają, ubranie przesiąkło potem, cała zdrętwiałam. Nie wiem, gdzie jestem, wciąż w objęciach snu, który nie puszcza, choć się wymyka. Chcę tu zostać, ale to miejsce nie pozwala. Myję twarz w zimnym strumieniu, przygładzam włosy. Moje ciało budzi we mnie odrazę. Muszę wracać do domu. Nigdy nie będę mogła wrócić do domu.

Do letniska zbliżam się chyłkiem, czaję się w zaroślach obok spiżarni. Moim jedynym celem jest niewidzialność – chcę się prześlizgnąć obok, znaleźć dziurę, wczołgać się do środka i zacisnąć oczy tak, żeby widzieć tylko latające muszki. Kombi Leo zniknęło.

Matka jest sama w kuchni, robi obiad. Przyglądam się jej ze swojej kryjówki wśród liści. Nuci, napełniając wodą wielki garnek. Robię krok w jej stronę. Podnosi wzrok, zaniepokojona. Jak jeleń. Jakby wyczuwała moją obecność. Zakręca kran, zbliża się do okna i wygląda na zewnątrz. Czekam, aż się odwróci, i dopiero wtedy wyłaniam się z lasu, wchodzę przez drzwi do spiżarni.

– Tu jesteś! – woła. – Nie widziałam cię cały dzień. Już zaczynałam się martwić.

– Poszłam do miasta.

– Był tu twój przyjaciel Jonas.

– Gdzie są wszyscy?

– Leo i Conrad pojechali do sklepu. Zapomniałam piwa. Będą tacos z lufarem.

– Ja chyba sobie daruję obiad. Okropnie mnie boli żołądek.

Matka szatkuje na blacie kapustę, stertę bladych zielonych kości.

– Mamo?

– Uhm – mówi, nie odwracając się do mnie.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Możesz mi podać kwaśną śmietanę? – Wyciera ostrze noża w ścierkę do naczyń i bierze pęczek umytej natki. Otrząsa ją.

– Mamuś.

– Proszę cię, nie mów tak do mnie, wiesz, że tego nie lubię.

Słyszę samochód na podjeździe.

– Bardzo dobrze – mruczy. – Już są. Można grillować rybę. – Wylewa odrobinę oliwy na żeliwną patelnię i dodaje kilka zmiażdżonych ząbków czosnku. – No więc mów.

Trzaskają drzwiczki auta.

– Chyba mam gorączkę.

Dotyka mojego czoła grzbietem dłoni.

– Faktycznie jesteś trochę rozpalona. – Idzie do zlewu i nalewa mi szklankę wody. – Weź to. Przyniosę ci aspirynę, jak tylko wyłożę rybę.

Idę do swojej chatki i staję przed drzwiami, bojąc się wejść do środka. Bojąc się tego, co tam zastanę.

Najdziwniejsze jest to, że nic się nie zmieniło. Nie ma żadnych śladów przemocy, nie czuć strachu. Żółta podłoga jest jasna i wesoła. Na końcu materaca mama położyła świeżą bawełnianą pościel i poszewki w kwiatki. Nie zmieniło się nic poza mną.

Nie wychodzę z domku przez cztery dni, przez cały czas trzęsę się, płaczę i staram się unikać Conrada. Nocami zamykam drzwi na klucz i zastawiam je krzesłem. Mama myśli, że to jelitówka. Wkładam palec do gardła i zmuszam się do wymiotów, zwracam do kosza całe jedzenie, które mi przynosi. Raz za razem spuszczam wodę w toalecie, udając, że mam biegunkę. Mama nikomu nie pozwala do mnie zaglądać.

– Jeszcze tego by nam brakowało, żebyś pozarażała wszystkich.

Przynosi mi miskę rosołu z ryżem i zimne kompresy. Moja matka nie należy do ciepłych osób, ale zawsze była świetną pielęgniarką. Jonas wpada codziennie, ale ona niezmiennie go odprawia.

W poniedziałek rano, kiedy zaczyna się kurs żeglarski, w cudowny sposób wracam do zdrowia. Matka ma wątpliwości, ale obiecuję, że zadzwonię, jeśli poczuję się gorzej. Mówię jej, że morskie powietrze dobrze mi zrobi. Odwozi mnie do yacht clubu od strony zatoki i wysadza przy nabrzeżu.

– Leo zabierze cię o piątej.

– Myślałam, że ty po mnie przyjedziesz.

– I tak będzie w Woods. Wybiera się z Conradem do Orleans, żeby mu kupić nowe kąpielówki. Najwyraźniej te, które spakował, są

za ciasne w pasie.

– A po co mu kąpielówki? Przecież i tak prawie nie wchodzi do wody. Nie chcę się pochorować w samochodzie z Leo.

Matka wzdycha.

– Dobrze. O piątej.

Patrzę na odjeżdżające kombi i dopiero po chwili idę na pomost. Moje ciało wydaje mi się obce, słabe, przezroczyste. Ale cieszę się, że jestem z dala od letniska, od niego.

Grupka dzieciaków stoi przy nabrzeżu, czekając na instruktora. Za nimi, majtając nogami w wodzie, Jonas szkicuje coś, co wpadło mu w oko na przystani.

– Cześć – mówi, jakbyśmy się widzieli wczoraj.

– Cześć, nieznajomy. Co tu robisz?

– Uczę się żeglować.

Zatrzymuję się w odległości kilku stóp, bojąc się, że wyczuje mój wstyd, ale on podrywa się z szerokim uśmiechem i podchodzi, żeby mnie serdecznie uściskać. Nie do wiary, jak bardzo się zmienił – wciąż jest opalony, nie dba o wygląd i nie nosi koszuli, ale dałabym mu znacznie więcej niż czternaście lat. Ma pewnie z metr osiemdziesiąt wzrostu i bardzo wyprzystojniał. Przez chwilę, kiedy się ściskamy, czuję się dziwnie zawstydzona. Żałuję, że nie umyłam włosów.

– Wyglądasz inaczej – mówię, odpychając tę myśl od siebie.

– Te same zafajdane szorty. – Śmieje się. – Z dziesięć rozmiarów większe, ale znasz mnie, jestem niewolnikiem przyzwyczajeń. Jak się masz?

Przybycie instruktora oszczędza mi kłamstwa. Instruktor każe nam brać kamizelki ratunkowe i pakować się po troje do łódki. W zatoce stoi zacumowanych pięć sunfishów. Z żaglami w zielone,

turkusowe, żółte, pomarańczowe, czerwone i lawendowe pasy wyglądają jak landrynki.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że tu jestem – mówi Jonas, kiedy wchodzimy na łódkę. – Twoja matka powiedziała, że się zapisałaś. Dostałem wszystkie twoje pocztówki. Dzięki.

– Żartujesz? Strasznie się cieszę, że cię widzę. – I faktycznie tak jest.

– Ty też wyglądasz inaczej – mówi Jonas.

– Miałam grypę żołądkową – bąkam. Jestem niedotykalna.

Przygląda mi się uważnie.

– Nie – mówi. – To raczej nie biegunka.

– Fuj.

– Owszem.

– Pewnie jestem grubsza.

– Nie, co ty. Jesteś jeszcze śliczniejsza.

– A ty gadasz jeszcze większe bzdury – śmieję się. Ale cieszę się, że tak myśli.

Do naszej łódki pakuje się starsza dziewczyna i wciska między nas.

– Karina – mówi. – Robiłam kurs w zeszłym roku.

Chwyta za szot grota, odpychając nas na boki.

Odcumowujemy i wypływamy na lekko wzburzoną zatokę. Łódka za nami wywraca się do góry dnem. Ktoś staje na mieczu i próbuje ją odwrócić. Wilgotny żagiel z trzaskiem uderza o maszt. Przemoczone i szczęśliwe dzieciaki wyciągają się z wody, wyżymają koszulki. Ściągają bom, łapią linę. Instruktor w białym skifie z doczepionym silnikiem to podpływa, to odskakuje od naszego stadka.

– Do zwrotu przez rufę! Zwrot! Uwaga na bom. Ciągnąć szot!

– Czy on mówi po mandaryńsku, czy po starogrecku? – pyta Jonas. – Bo nie jestem pewien.

Śmiejemy się, ale po godzinie Jonas steruje łódką jak zawodowiec. Usunął w cień apodyktyczną Karinę – każe mi trymować liny, robić węzły i balastować. Nasze żagle ostrzą, skręcamy i mkniemy przed siebie, a potem zwalniamy do zera. Wszystko to jest nieważne. Cieszę się, że oddycham. Cieszę się, że jestem tu z Jonasem. Z dala od Conrada. Bezpieczna. „Dam radę", myślę, gdy płyniemy przed siebie. Przetrwam. Nikt nie musi wiedzieć. Wezmę kuchenny nóż i schowam pod materacem. Jeśli znów mnie dotknie, to go zabiję. Ta myśl podnosi mnie na duchu. Zamykam oczy i pozwalam, żeby słony wiatr smagał mi twarz.

17

Lipiec

Niedziela. Dziś nie ma kursu. Umówiliśmy się z Jonasem, że urządzimy sobie piknik na plaży. Popłyniemy kanu na drugą stronę stawu i stamtąd pójdziemy nad ocean na piechotę, żeby po drodze do domu Jonas mógł nałowić ryb. Kiedy przychodzi, jestem w kuchni, robię kanapki z szynką i serem Munster. Do koszyka włożyłam już słoik ogórków konserwowych i termos z mrożoną herbatą. Dorzucam torbę czereśni, papierowe serwetki i paczkę ciastek Milano. Jonas opiera się o blat, patrząc, jak starannie zawijam kanapki w pergamin.

Siatkowe drzwi otwierają się i zamykają. Conrad siada przy stole na werandzie. Idę do spiżarni i chowam głowę do lodówki, udając, że czegoś szukam.

Wprawdzie od tamtej nocy co wieczór zamykam drzwi chatki na klucz, ale za dnia czuję się już bezpieczniej, o ile nie jesteśmy sami. Gdy na niego nie patrzę. Jakbym miała klapki na oczach. Conrad udaje, że nic się nie stało, ale zachowuje się wobec mnie z uprzedzającą grzecznością – odsuwa mi krzesło przy stole, dolewa wody. „Prawdziwy młody dżentelmen”, mówi matka z uśmiechem.

– Cześć, Conrad – wita się z nim teraz Jonas.

– Co tam? – burczy Conrad.

– Nic szczególnego. Idziemy z Elle na piknik.

– A co szykuje?

– Kanapki z szynką i serem.

– To może pójdę z wami.

– Dobra – mówi Jonas.

Słoik z musztardą wyślizguje mi się z rąk i roztrzaskuje na podłodze, ochlapując wszystko wokół dijońską żółcią.

Kucam i zbieram odłamki szkła.

– Nic ci się nie stało? Nie skaleczyłaś się? – pyta Jonas, wchodząc do spiżarni, żeby mi pomóc.

– Nie – mamroczę. – To tylko szkło i musztarda.

– Conrad chce iść z nami.

– Trzy osoby nie zmieszczą się w kanu.

– Mogę nałowić ryb później. Raczej nigdzie się nie wybierają.

– Trzeba mnie było zapytać.

– Co miałem zrobić? Powiedzieć: „Zaczekaj, spytam Elle, czy chce, żebyś z nami poszedł… Sorry, mówi, że nie?”. To byłoby co najmniej dziwaczne.

– Potrzebuję mokrej gazety i miotły – warczę.

– Na pewno nic ci nie jest?

– Nic – mówię, odwracając się do niego. – Przestań pytać.

Idziemy gęsiego ścieżką przez las – najpierw Conrad, potem Jonas, na końcu ja.

Jonas gawędzi z Conradem o niczym. Ja zwalniam, zostaję w tyle. Gdy znikają z pola widzenia, zginam się wpół, zbiera mi się na wymioty. Myliłam się. Nie dam rady. Nie mogę być obok niego. Prawie naga, tylko w bikini. Uśmiechać się, kąpać. Wiedząc, że on wie. Uczucie paniki jest jak wąż, który wypełza mi z ust.

Gdzieś z przodu woła mnie Jonas.

– Uderzyłam się w palec – krzyczę. – Dogonię was.

Mam ochotę odwrócić się i pobiec do domu, ukryć się w swojej chatce. Zamiast tego zamykam oczy i zmuszam się, żeby zachować spokój i iść dalej. Przechodziłam tędy tyle razy, że znam każdy korzeń, każde drzewo. Wiem, że za następnym zakrętem zobaczę dzikie wino wspinające się po drzewach i krzewach, kiście słodkich winogron Concord zwisające z wawrzynów, hodowlę porzuconą setki lat temu, gdy na tym porośniętym drzewami wzgórzu wciąż uprawiano ziemię. Wiem, że za dzikim winem ścieżka rozszerza się i prowadzi stromo w górę. Trzeba będzie wspiąć się na szczyt i zejść do kotliny między wydmami, gdzie równolegle do oceanu biegnie stara droga przeciwpożarowa. Dalej, na czubku diuny, widać drewnianą budkę: choć nadgryziona zębem czasu, ciągle się trzyma – zbudowano ją w czasie wojny, żeby wypatrywać niemieckich łodzi podwodnych. Razem z Anną bawiłyśmy się w niej lalkami, kiedy byłyśmy małe. Stanę tam i spojrzę na przestwór oceanu. Znam to miejsce jak własną kieszeń. Należy do mnie, nie do niego.

Plaża jest piękna, rozległa. Trwa odpływ. Conrad brodzi po kolana w wodzie. Jego białe plecy odcinają się od brzydkich czerwonych kąpielówek. Gdzieniegdzie na ramionach widać trądzik. Spoglądam na ocean, tęsknie wypatrując płetwy rekina. Zbiegam z wydmy, ręcznik za moimi plecami wznosi się jak żagiel.

Siadam kilka stóp od Jonasa.

– Hej. – Gestem wskazuje miejsce obok siebie, ale ja go ignoruję.

Conrad daje nura i fala go przewraca. Tłuste nogi sterczą z wody niczym palce olbrzyma ułożone w znak zwycięstwa, po chwili jednak ocean przywraca go do pionu.

– Czy wyście się jakoś strasznie pokłócili?

– Nie. Po prostu to palant i go nienawidzę.

– To dlaczego się tak na mnie wściekasz?

– Wcale się nie wściekam. Zepsułeś miły dzień. To wszystko.

– Nie zepsułem dnia, Elle. Jest pięknie, idealnie. Spójrz na wodę. Nawet Conrad się cieszy.

– Całe szczęście. – Wstaję. – Idę się przejść. Wy dwaj bawcie się dobrze. Kanapek nie wystarczy dla trzech osób.

– Możesz wziąć moją, jeśli przestaniesz się zachowywać jak obłąkana.

– Nie krzycz tak – warczę i mknę w stronę wody jak burza, nienawidząc siebie. Conrad zniszczył staw, zniszczył Papierowy Pałac, zniszczył mnie. Ale nie pozwolę mu wejść między nas, zbrukać tej jednej rzeczy, która wciąż jest moja.

Skacze teraz przez fale tyłem do mnie. Pochylam się nad linią wody, podnoszę odłamek krzemienia – „moje serce", myślę, gdy rzucam z całych sił, celując w jego głowę. Nie trafiam, kamień znika w oceanie jakiś jard ode mnie. Zawsze rzucałam jak dziewczyna i nienawidzę tego. To słabość, którą mogą dostrzec inni. Opuszczam wzrok, szukając lepszego pocisku. Za każdym razem, gdy fala się cofa, na gładkiej powierzchni piasku pojawiają się małe zagłębienia – to małże błyskawicznie próbują ukryć się przed bystrym wzrokiem mew na niebie. Znajduję idealny kamień: szary, wielkości mandarynki, z białą smugą pośrodku. Gdy się podnoszę, Conrad patrzy na mnie. Chowam kamień do kieszeni na później i odchodzę – idę brzegiem oceanu tak długo, że kiedy się odwracam, on jest już tylko nic nieznaczącym punkcikiem.

Gdy wracam do domu, Jonas czeka na schodkach mojej chatki, trzymając coś w złożonych dłoniach.

– Spójrz. – To rzekotka drzewna wielkości guzika.

– Słodka – mówię. – Założę się, że masz na rękach żabie siki. Rzekotki sikają na dłoń, kiedy się je podniesie. – Przeciskam się obok i popycham drzwi chatki.

Jonas potakuje.

– To instynktowna reakcja na lęk.

– Czyli widzimy się w poniedziałek.

– Elle, poczekaj. Przepraszam. – Odkłada rzekotkę na ziemię i patrzy, jak odskakuje.

– Za co?

– Nie wiem. Jesteś na mnie zła. Proszę cię, nie bądź. Już chyba dość tej kary. Musiałem słuchać o zapasach i Van Halenie, a to nie są moje ulubione tematy.

Wygląda jak mały chłopiec. Czuję się okropnie. To nie jego wina, ale nie potrafię powiedzieć nic, co by sprawiło, że zrozumie, bo nic takiego nie można powiedzieć.

– Ciesz się, że nie o *Best of Bread*. – Siadam koło niego. – Przepraszam, że byłam niemiła.

Po trzech tygodniach kursu awansujemy z Jonasem do klasy rhode. Oboje dostajemy odznaki do przyprasowania. Jonas to urodzony żeglarz, ale i ze mnie całkiem przyzwoity drugi oficer, poza tym czuję się spokojna, kiedy jesteśmy razem na wodzie. Normalnie załoga łódki liczy sześć osób, ale nasz instruktor chce, żebyśmy byli „samowystarczalni” i potrafili nawigować w dwuosobowych składach. Dlatego dziś płyniemy z Jonasem sami. Cały ranek mżyło i teraz w swoich jaskrawożółtych sztormiakach jesteśmy już daleko od lądu. Kapryśny wiatr co chwila zmienia kierunek. Tyle razy zaliczyłam walnięcie bomem, że nawet Jonas przestał się ze mnie śmiać.

– To bez sensu! – krzyczę.

– Masz rację. Wracamy. – Luzuje szot i próbuje zmienić kurs, ale wiatr nie chce współpracować. Nasza łódka się kołysze, żagiel luźno łopocze.

– Powinniśmy wezwać hol – mówię. Instruktor przypłynie po nas, jeśli będziemy go potrzebować.

– Nie ma mowy. Pierwszy raz płyniemy we dwoje. Poprawimy się.

Ale zamiast tego zaczyna lać jak z cebra. W uszach mam pełno wody skapującej z włosów. Nie widzę nabrzeża. Nieopodal we mgle instruktor holuje inną żaglówkę.

– Zawołam go.

– Dajmy sobie jeszcze pięć minut.

– Zamarznę na śmierć.

Jonas wstaje, próbuje ustawić kliwer.

– Dobra. Pięć minut. – Podnoszę kołnierz i kulę się w kokpicie.

Jonas opiera się o maszt i wpatruje w deszcz, jakby szukał tam odpowiedzi.

– O czym tak myślisz? – pytam.

Z mgły wyłania się mewa, ląduje na dziobie. Przechyla łebek i wbija w Jonasa nieruchome spojrzenie. On pierwszy odwraca wzrok.

– Ale się na mnie nie gniewaj – mówi.

– Nie będę.

Siada obok i wzdycha zrezygnowany.

– Czy ty i Conrad, no wiesz, robiliście coś razem?

– Robiliśmy razem? – Opluwam się. – Robiliśmy razem co? Co to w ogóle znaczy? Dlaczego pytasz?

– Dlatego, że wtedy na plaży powiedział coś, jak sobie poszłaś.

Obejmuję się ramionami.

– Co? Co takiego powiedział?

– Powiedział, że pozwoliłaś mu się obmacywać. Że lubisz się bawić. Że nie powinienem robić sobie nadziei.

Z moich ust wydobywa się histeryczny śmiech. Tchawica zaczyna mi się zaciskać.

– Co za wstrętne kłamstwa.

Jonas śmieje się z ulgą.

– Wiesz, formalnie nie jesteście spokrewnieni, ale na myśl o tym chciało mi się rzygać.

– Czy on oszalał? Przecież ja go nienawidzę. Prędzej bym umarła, niż pozwoliła mu się dotknąć – mówię drżącym głosem.

– Nigdy w to tak naprawdę nie wierzyłem.

Nakazuję sobie nie płakać, ale łzy płyną mi wbrew woli.

– Elle, zapomnij o tym. Palant sobie głupio zażartował. – Brzegiem T-shirtu ociera mi policzki z deszczu i łez. – To mogę sobie robić nadzieję?

– Jestem dla ciebie za stara – mówię, choć wcale nie jestem pewna, czy w to wierzę.

– Wiem, że tak myślisz, ale to nieprawda.

– Poza tym jesteś dla mnie za dobry. – Co do tego nie mam wątpliwości.

Sięga do kieszeni sztormiaka, wyjmuje rozmoczoną czekoladkę miętową i dzieli na pół.

– Lunch?

We wszystkim, co robi, w jego gestach jest coś tak słodkiego, że krwawi mi serce. Znowu zaczynam płakać.

– Co? Nie lubisz mięty?

Z mojego gardła wyrywa się szloch – na wpół śmiech, na wpół jęk bólu. Conrad zabrał mi wszystko. Ja już nigdy nie będę słodka. Nigdy nie będę czysta. Cały czas wyobrażałam sobie, że mój

pierwszy raz będzie z kimś, kogo kocham. Z kimś takim jak Jonas. Łkam spazmatycznie, potężnymi czknięciami wyrzucając całe przerażenie i strach, które dotąd w sobie trzymałam.

– Elle. Już dobrze. Przepraszam, że w ogóle o tym wspomniałem. Głupek ze mnie.

Próbuję przestać, złapać oddech, ale im bardziej się staram, tym bardziej płaczę. Napływa mgła, tak gęsta, że tłumi mój szloch, zamieniając nas oboje w widma.

– On mi lubi dokuczać. Oboje to wiemy. Nie powinienem ci o tym mówić. Proszę, nie płacz już.

Chcę mu wszystko powiedzieć, zrzucić z siebie ten ciężar, ale nie mogę. Ma dopiero czternaście lat, sama muszę sobie poradzić ze stadem padlinożerców w brzuchu. Rany w moim wnętrzu zagoją się, zrosną, nawet jeśli krzywo. Następnym razem będę przygotowana, uzbrojona w coś więcej niż tabletki. W oddali słyszę bicie dzwonu.

– Powinniśmy ruszać – udaje mi się wykrztusić przez smarki, łzy i łkania.

– Elle, nie rozumiem. Proszę, przestań płakać. Przecież to nieprawda. – W jego głosie słychać udrękę, dezorientację. – Czy stało się coś, o czym mi nie mówisz?

Gapię się na swoje przesiąknięte wodą tenisówki. W zęzie zebrał się już cal morskiej wody. Stukam butem, rozpryskując ją na boki, wycieram twarz rękawem sztormiaka.

Czuję, że przygląda mi się badawczo, próbując poskładać wszystko, co słyszał.

– Czy Conrad cię skrzywdził?

– Nie – odpowiadam szeptem.

– Przysięgasz na swoje życie?

Kiwam głową, ale moja twarz musi mnie zdradzać, bo Jonas nagle zapada się w sobie, jakby ostrze tego odkrycia pozbawiło go kości.

– Boże.

– Nikomu nie wolno ci o tym powiedzieć. Nikt nic nie wie.

– Elle, obiecuję, że nigdy więcej cię nie dotknie.

Śmieję się gorzko i głucho.

– To samo sobie mówiłam, jak przyszedł do mnie po raz pierwszy.

Pod naszą żaglówką przepływa ogromny cień. Przez chwilę waha się, a potem znika we mgle. Łódka kołysze się delikatnie, kiedy opowiadam Jonasowi o wszystkim.

18

Sierpień

Latem najpiękniejsze dni przychodzą po ulewnym deszczu. Na tle głębokiego błękitu wiszą białe cumulusy, powietrze jest tak rześkie, że można je pić. Dziś właśnie jest taki dzień. Wczorajszy sztorm wymył niebo do czysta. Budzę się i nie pamiętam – może nawet się uśmiecham, zaraz jednak powracają wspomnienia, a ja chciałabym, żeby zniknęły. Za drzwiami chatki trzeszczy gałązka, schodki uginają się z głuchym jękiem. W siatkowych drzwiach pojawia się twarz matki.

– Dlaczego są zamknięte? – pyta, szarpiąc za klamkę.

– Czasami się zatrzaskują. – Wyskakuję z łóżka i otwieram.

– Schowaj to, proszę. – Kładzie stertę poskładanego prania na łóżku. – Leo wpadł na pomysł, żebyśmy wzięli dziś starą łódkę taty. – Jolka dziadka stoi na przyczepie zaparkowana na końcu podjazdu i przez całe lato tylko zbiera igły. – Chcemy wyjechać koło jedenastej, żeby złapać odpływ, więc pora wstawać. I nie guzdraj się.

– Wolałabym nie jechać, jeśli nie masz nic przeciwko. Jakoś nie jestem w nastroju.

– Leo chciałby, żeby to był rodzinny dzień. Zrobimy sobie piknik, a potem popłyniemy do Point.

Point to dosłownie koniec Cape, piaszczysty czubek, który opiekuńczym ramieniem obejmuje rozległą przystań, ostatnia granica między cywilizacją a bezkresnym oceanem. Można dopłynąć tam z plaży w mieście i zarzucić kotwicę na ciepłej, przejrzystej płyciźnie zatoki, obserwować kraby przemykające wśród morskich traw, wykopywać małże, gdy cofają się fale. Ale wystarczy trzyminutowy spacer poza Point i człowiek staje twarzą w twarz z oceanem – pomiędzy nim a Portugalią nie ma już nic poza jachtami, które od czasu do czasu szukają schronienia na przystani, łodziami rybaków w oddali wypływającymi na bogate wody Stellwagen Bank w poszukiwaniu tuńczyków i halibutów, skaczącymi wielorybami.

– Dlaczego muszę jechać? Dlaczego nie możecie wybrać się z Leo sami? Poza tym wszyscy się nie zmieścimy. – Na jolce jest dość miejsca dla dwóch, góra trzech osób. A Leo jest tak olbrzymi, że sam wystarczy za dwie osoby.

– Popłyniemy po dwoje. Conrad też jedzie.

– Nie ma mowy. Nie popłynę z Conradem.

Matka wzdycha.

– Elle, proszę cię.

– Koszmarny pomysł. On jest na wodzie jak wielki tłusty kot.

– Nie bądź złośliwa, to do ciebie nie pasuje.

– Ale tak jest.

– Dlaczego jesteś taka niemiła? Co on ci takiego zrobił? – Matka kręci głową.

– W porządku, pod warunkiem że Jonas też jedzie.

– Mówiłam ci, że to ma być rodzinny dzień.

– Mamo, serio. Zastanów się. Gdybyśmy się wywrócili, Conrad w niczym mi nie pomoże. A jeśli woda będzie choć trochę wzburzona, sama nie postawię łódki. Dlatego albo wciśniemy się do niej wszyscy czworo, a wtedy na pewno zatonie, albo będę potrzebowała do pomocy Jonasa.

– Dobrze – mówi mama. – Zbyt dziś pięknie, żeby się kłócić.

Na podjeździe Conrad i Leo próbują przymocować łódkę do samochodu, ale przyczepa wyślizguje im się z rąk. Patrzę, jak śmieją się do rozpuku z własnej nieudolności, zahipnotyzowana przedziwną codziennością, normalnością tej sceny.

– To robota dla prawdziwego twardziela, nie dla saksofonisty – mówi Leo, widząc mój wzrok. – Chodź nam pomóc. Conrad, przytrzymaj przyczepę, a ty, Elle, włóż bolec.

Waham się, próbując wymyślić jakąś wymówkę, ale nic mi nie przychodzi do głowy.

– No już, Elle – woła Leo. – Robota sama się nie zrobi. – Wręcza mi metalowy bolec. – Trzymaj, my z Conradem ją podniesiemy.

– Gotowi? – Matka zjawia się uśmiechnięta. Na tylne siedzenie wrzuca lodówkę turystyczną.

Conrad i Leo ustawiają przyczepę. Prostując się, Conrad niechcący wytrąca mi bolec z ręki. Pochyla się, żeby go podnieść.

– Przepraszam – mówi tak cicho, że prawie go nie słyszę.

Jonas czeka na końcu podjazdu, siedzi na skraju drogi. Jak zwykle jest bez koszulki i wygląda na zrelaksowanego, ale oczy ma czujne, a brwi lekko ściągnięte.

– Wskakuj, Jonas – mówi mama. – Conrad, przesuń się.

Jonas siada koło niego, opiera się o drzwi i udaje, że patrzy na przesuwające się za oknem drzewa. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby od czegokolwiek odwracał wzrok, nigdy nie widziałam, żeby

miał pobladłą skórę. Wiem, że to dlatego, że go uwiązałam – wyjęłam strzałę z serca jelenia, odebrałam mu zielonolistne źródło. Zmusiłam go do współudziału w moim kłamstwie. To tak, jakbym pozbawiła go dziewictwa.

– Może trzeba będzie postawić spinaker – mówię do niego – żebyśmy mogli płynąć pod wiatr.

W lesie dzień był piękny i spokojny, czuć było tyko lekką bryzę, ale gdy docieramy do zatoki, zrywa się wiatr. Fale tną przystań, bijąc w zacumowane łódki. Na wodzie nie widać prawie nikogo.

Za każdym razem, kiedy próbujemy zwodować łódkę, wraca do brzegu, zanim zdążymy opuścić miecz. Conrad wydaje okrzyk bólu, kiedy żaglówka uderza go w goleń. Matka obserwuje nas z plaży, wykrzykując bezużyteczne wskazówki.

– Wskakujcie wszyscy do środka! – woła Leo. – Ostatnia próba.

– Leo, to się nie uda – mówię z łódki. – Ocean jest zbyt wzburzony.

– Pewnie masz rację. Ale już tak daleko zaszliśmy.

– Ja chyba się katapultuję. – Conrad jest wyraźnie zdenerwowany.

– Płyń z nami. Będzie fajnie – mówi Jonas. Ale w jego głosie jest złośliwość, której nigdy wcześniej nie słyszałam.

I właśnie wtedy Leo udaje się wykorzystać przerwę między falami – pcha nas mocno, a my wystrzelamy, prujemy w stronę otwartego oceanu. Napięty biały żagiel trzeszczy na wietrze. Conrad siada na dziobie i przewiesza nogi przez burtę, wznoszą się ponad wodą niczym tłusta różowa przynęta.

– Nie mogę na niego patrzeć – mówi Jonas ściszonym głosem.

– Musisz udawać, że nic się nie stało. Obiecałeś.

– Dlaczego? – pyta szeptem. – Jakim cudem w ogóle możesz z nim rozmawiać?

– Nie mogę. Ale nie mam wyboru, prawda? Mieszkam z nim.

– Tak naprawdę to masz. Gdyby twoja matka wiedziała…

– Nigdy się nie dowie.

– Elle, nie możesz pozwolić, żeby mu to uszło na sucho.

– Zamknij się! – syczę. – Zabierz nogi! – wołam do Conrada. – Może cię ugryźć rekin.

Jonas odwraca się ode mnie, usta zaciska we wściekłą kreskę. Spienione fale kąsają burty, gdy nasza mała łódka nabiera prędkości.

Conrad wciąga nogi i siada po turecku. Na podeszwach stóp ma zrogowaciałą skórę, widzę biegnące wzdłuż pięt cienkie pęknięcia w miejscu, gdzie oderwał martwy naskórek. Ogląda się przez ramię z uśmiechem.

– Mieliście rację. Jest całkiem fajnie.

Wypluwa gumę do wody. Patrzę, jak biała grudka znika w pianie, która zostaje za rufą. Wyciągam z lodówki frescę.

– Chcesz? – Rzucam Conradowi puszkę.

– Dzięki. – Otwiera ją, a zawleczkę ciska za burtę.

– Nie powinieneś tego robić! – woła Jonas. – Jakiś ptak może się udławić.

– Jasne. Bo ktoś mógłby mnie zobaczyć – kpi Conrad.

– Nie o to chodzi – mówi Jonas. – Ja cię widzę.

– Jakoś to przeżyję.

– Palant – mruczy pod nosem Jonas.

Linia brzegowa powoli znika za naszymi plecami. Ledwie widzę machającą z plaży matkę.

Wielka fala unosi nas i upuszcza z łoskotem.

– Jezu! – krzyczy Conrad do Jonasa, gdy jego ubranie nasiąka wodą. – Myślałem, że wzięliśmy cię ze sobą, bo umiesz żeglować.

– Proszę bardzo – mówi Jonas i puszcza rumpel.

– Kutas. – Conrad wstaje i rusza w naszą stronę.

Gdy łódka przestaje trzymać się fal, wyczuwam, że ocean się zmienia.

– Jonas, nie wygłupiaj się. Zaraz się wywrócimy.

Jonas nic nie mówi, ale chwyta rumpel. Kolejna fala ciska nas w dół.

– Za bardzo się oddalamy – mówię. – Poluzuj szot, bo wypłyniemy za Point.

– Dobra. Zmienię kurs. – Ściąga liny i przygotowuje zwrot. – Conrad, siadaj. Uważaj na bom! – krzyczy.

Conrad pokazuje mu środkowy palec. Uśmiecha się do mnie. Jego zęby wyglądają jak drażetki gumy do żucia.

Gdy uderza go bom, widzę, że się chwieje i zataczając się, wpada do wody. Po chwili wyłania się z tyłu, młócąc wściekle rękami.

– Zatrzymaj się! – wrzeszczę do Jonasa. – Zatrzymaj łódkę.

Jonas luzuje szot grota i żaglówka zwalnia. W kokpicie jest pomarańczowa kamizelka ratunkowa – próbuję ją odczepić, ale palce ślizgają się na mokrym węźle.

– Ratunku! – woła Conrad, gdy nasza łódka oddala się coraz bardziej. – Wyciągnijcie mnie stąd! – Panikuje i krztusi się, łapiąc powietrze.

– Zdejmij bluzę, ciągnie cię w głąb! – ryczę, walcząc z węzłem przy kamizelce.

– Chryste, ty głupia dzido! Rzuć mi to coś!

– Próbuję – mówię. Ale siadam otępiała. Jonas kładzie mi ręce na dłoniach i przytrzymuje nieruchomo.

Następna fala wynosi Conrada w górę, jego twarz jest biała z przerażenia. Wyciąga do mnie ręce.

Księga trzecia

◇

PETER

19

1989. Luty, Londyn

Biegnę Elgin Crescent w stronę stacji metra Ladbroke Grove, żeby złapać ostatni pociąg do Mile End. Jest późno, wilgotny chłód nocy przenika do kości. Za dużo wypiłam i zaraz pęknie mi pęcherz. Zastanawiam się, czy nie przykucnąć między dwoma samochodami, gdy wtem wyrasta przede mną potężny bysior i każe mi oddać portfel. Ma ogoloną głowę i swastykę wytatuowaną na szyi. Wprawdzie właśnie zamknięto puby i na ulicę wysypują się ludzie, ale nie ma mowy, żebym się sprzeciwiła mężczyźnie z nożem. Oddaję mu pieniądze, które mam w kieszeni.

– Pierścionek – mówi.

– To nic takiego – bronię się. – Bez wartości.

– Pierścionek, kurwo. – Wali mnie pięścią w żołądek.

Zginam się wpół. W głowie mam płytę, która obraca się, powtarzając: „Przestań się zachowywać jak idiotka”, ale nie wydaje się, żeby znajdowało to przełożenie na działania.

Facet chwyta mnie za rękę i próbuje ściągnąć mi pierścionek z palca.

– Wal się – mówię i pluję mu w twarz.

Wyciera ją rękawem i uderza mnie na odlew tak, że aż dzwonią mi zęby.

Zasługuję na to.

1983. Sierpień, Back Woods

Zwłoki Conrada woda wyrzuca na brzeg kilka mil na południe. Znajduje je miejscowa kobieta z dwójką małych dzieci. Początkowo myślą, że to rozdęte ciało foki. Uszy są nadjedzone przez kraby. Chowam się pod kocem przed zawodzeniem Leo, gdy wtem drzwi się otwierają i do środka wchodzi Jonas. Twarz ma bladą, cały drży. Wygrzebuję się spod koca i ściskam go mocno. Kładę mu głowę na ramieniu. Nie widzę jego twarzy, ale to bez znaczenia. Wiem, że płacze, bo mnie samej z oczu kapią łzy.

– Przepraszam – szepczę. – Strasznie cię przepraszam.

Siedzimy tak długo, obejmując się w milczeniu. Serce Jonasa bije tuż obok mojego.

– Nikt nigdy nie może się dowiedzieć – mówi Jonas. – Przysięga krwi.

– Nikt – powtarzam. W biurku mam agrafkę. Nakłuwamy kciuki, wyciskamy po kropli krwi i przytykamy do siebie.

Jonas wyciera rękę w szorty. Wyjmuje z kieszeni srebrny pierścionek z zielonym oczkiem ze szkła i kładzie mi go na dłoni. Zaciskam palce. Jest zimny; jeden z metalowych ząbków, które trzymają szkiełko, kłuje mnie w linię życia.

– Kocham cię, Elle – mówi Jonas.

Wsuwam pierścionek na palec serdeczny i biorę go za rękę.

Ja też go kocham.

Następnego roku Jonas nie przyjeżdża do Woods. Jest na obozie w północnym Maine, informuje mnie oschłym tonem jego matka, kiedy do nich dzwonię. W tamto lato dostaję od niego tylko jeden

list. Pisze, że meszki są okropne, ale uczy się robić kanu z kory brzozowej. Widział wielkiego łosia. Czy wiem, że stado saren nazywa się „rudel”? W jeziorze nieopodal są lucjanowate. Tęskni za mną okropnie, ale tak jest lepiej. I choć wiem, że ma rację i że to moja wina, czuję się zdruzgotana, porzucona. Tak jakby wybrał obóz z a m i a s t mnie, a nie z m o j e g o p o w o d u.

1989. Luty, Londyn

Potykam się i przewracam, obryzgując chodnik strużką krwi z ust.

– Mam cię dość, głupia cipo – mówi osiłek.

Zdejmuję pierścionek Jonasa i podaję mu, gdy wtem z cienia za jego plecami ktoś się wyłania.

– Ej. Zostaw ją.

– Pierdol się, ciulu – warczy Świński Ryj, po czym zwala się przede mną na ziemię.

Mężczyzna, który nad nim stoi, wydaje się nieco zaskoczony. Trzyma w ręku klucz do opon.

– Miałem to w bagażniku – mówi, wskazując na zaparkowanego z tyłu poobijanego rovera. Sam jest wysoki i smukły, może pod trzydziestkę. W lodowatą lutową noc ma na sobie nadjedzoną przez mole sztruksową marynarkę i cienki wełniany szalik. Brytyjczycy uparcie zachowują się, jakby pogoda nie istniała. Zaczyna padać deszcz, a oni po prostu stawiają kołnierze. Kiedy się podnoszę, dostrzegam, że jego brązowe skórzane półbuty wyglądają, jakby były robione na zamówienie.

– Myślę, że lepiej stąd spadać – stwierdza. – Jak się ocknie, może być zły. Gdzieś cię odprowadzić?

– Nie powinniśmy wezwać glin?

– Ach. – Uśmiecha się. – Amerykanka. To by tłumaczyło, skąd ten głupi pomysł, żeby włóczyć się samopas nocą po Londynie.

Wciąż jeszcze nie odzyskałam w pełni oddechu, ale udaje mi się wykrztusić:

– Może z nim jest bezpieczniej.

– Jasne. Jak wolisz. – Z kieszeni marynarki wyciąga paczkę rothmansów, zapala jednego, wrzuca klucz do bagażnika i zatrzaskuje klapę. – Na pewno nie chcesz, żeby cię gdzieś podwieźć? Kurwa. – Wyjmuje zza wycieraczki mandat za złe parkowanie.

Świński Ryj wciąż leży nieprzytomny u mych stóp, ale teraz jęczy. Zafascynowana patrzę, jak cieniutka smużka oddechu niczym dym z papierosa wydobywa się z jego uchylonych ust. Mam ochotę go kopnąć.

– Jesteś mordercą z siekierą?

Śmieje się.

– Tak, ale nie dziś. Za zimno.

– Szczerze mówiąc, byłoby bardzo miło, gdybyś mnie podwiózł.

– Peter. – Wyciąga rękę.

1983. Sierpień, Memphis, Tennessee

Pogrzeb jest w Memphis. Matka pierwszy raz spotyka byłą żonę Leo w cieniu starej magnolii koło otwartego grobu. Patrzę, jak krople potu spływają po szyi księdza na sztywny biały kołnierzyk. Gdy opuszczają trumnę Conrada do wilgotnej ziemi, Leo gra na saksofonie sygnał ku czci poległych. W połowie jednak braknie mu tchu. Dźwięk saksofonu przypomina urywany szloch. Oczy mam suche. Wiem, że powinnam płakać. Chciałabym, ale nie mogę. Nie mam prawa. Była żona Leo patrzy na mnie z nienawiścią i jestem pewna, że wie. Ma beżowe rajstopy i czółenka z czubkiem. Wyłupiastooką Rosemary o ziemistej twarzy trzyma przyciśniętą do cienkiej czarnej sukienki z bawełny. Rosemary uśmiecha się do mnie

i macha leciutko, jakby zobaczyła mnie po drugiej stronie trybuny na meczu koszykówki. Kolana jej matki się uginają. Rosemary podtrzymuje ją, odwraca wzrok.

Po wszystkim Leo zabiera mnie, mamę i Annę na szybki lunch w chińskiej restauracji, gdzie we wszystkich daniach pełno jest serca palmy. Nikt się nie odzywa. O trzeciej zawozimy Leo do starego domu na stypę. Budynek z białych desek szalunkowych jest nieco zniszczony, krytą werandę podtrzymują wielkie kolumny. Korynckie, mówi zdenerwowany Leo. Wydają się zbyt okazałe, zbyt obiecujące, i to sprawia, że robi mi się smutno. Na podwórku przed domem rosną dwie lagerstremie, ziemię pod nimi zaścielają opadłe kwiaty, które zamieniły się w kawałki kolorowego papieru. Przy drzwiach widać stojak na parasole w kształcie aligatora z szeroko otwartą paszczą. Nie potrafię sobie wyobrazić, że Leo kiedyś tu mieszkał.

Mama ściska go za rękę.

– Na pewno nie chcesz, żebym z tobą poszła?

– Lepiej nie. Muszę z nimi trochę pobyć.

Mama kiwa głową.

– O której cię odebrać?

– Wrócę do motelu taksówką – mówi Leo.

Siedzimy w wynajętym samochodzie i patrzymy, jak znika w podupadającym drewnianym domu. W środku słyszę szum wiatraka. Ktoś płacze.

Jesteśmy już prawie na miejscu, gdy mama nagle zjeżdża z autostrady do centrum handlowego.

– Muszę się na chwilę zatrzymać. – Wręcza nam z Anną po pięć dolarów. – Zróbcie sobie jakąś przyjemność. – Znika w aptece.

– Co można zrobić z dziesięcioma dolarami w centrum handlowym w Memphis? – pyta Anna.

– Idziemy na lody?

– Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to dodatkowe kalorie. Wolałabym umrzeć.

– Nieźle – mówię.

– Co takiego? Chcesz być gruba?

– „Wolałabym umrzeć”?

Patrzy na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

– Bardzo na miejscu – tłumaczę.

– Racja. Choroba. – Na moment twarz jej nieruchomieje. A potem Anna zaczyna się śmiać. I nagle ja też wybucham śmiechem, piskliwym, histerycznym – zanoszę się tak, że nareszcie z oczu zaczynają płynąć mi łzy.

– Dziewczynki? – Wraca mama. Niesie niedużą papierową torbę z Fred’s Pharmacy. Jej piękna twarz jest zmęczona, wyczerpana. – Co was tak rozbawiło? Chętnie sama się pośmieję.

– To musiało się stać tydzień przed śmiercią Conrada – słyszę, jak matka mówi przez telefon w sypialni. – Od tamtej pory się nie kochaliśmy.

Wróciliśmy do Nowego Jorku kilka dni temu. W mieście jest parno. Na ulicach znad rozkładających się śmieci unosi się fetor bananów i wymiocin. Cokolwiek człowiek robi, kończy się to wielkimi plamami potu pod pachą. Zatęchła woda z klimatyzatorów kapie na chodniki. W naszym mieszkaniu jest duszno i parno, czuć kurzem, naftaliną i słodkim smrodem karaluchów w murach. Wszystkim jest tu źle, ale Leo nie może wrócić do Back Woods. Obwinia się o to, co się stało: to on uparł się, żebyśmy wybrali się na żaglówkę. To on zepchnął łódkę na wodę, choć fale były zbyt ostre. Nocą jego myśli, jego poczucie winy wydostają się na zewnątrz i przybierają na sile. Chodzi po salonie ze szkocką w ręce i niczym zdarta płyta zadręcza

matkę rozważaniami, co by było gdyby. Szuka odpowiedzi, których nie może znaleźć. Dlaczego nie zmusiłam Conrada, żeby założył kamizelkę? Dlaczego była zamocowana podwójnym węzłem? Jak to się stało, że nikt nie zauważył? Czy Conrad widział falę, która go zabrała? Czy wiedział?

– Nie – mówię ze ściśniętym gardłem. – Nie widział, że się zbliża.

Teraz, kiedy Conrada nie ma, Anna odzyskała swój dawny pokój. Za każdym razem, kiedy Leo koło niego przechodzi, sprawia wrażenie, jakby jej obecność traktował jako zdradę.

– Kurwa, muszę się stąd wydostać i wracać do LA – mówi do mnie Anna. – Bo to tak, jakbyśmy były zamknięte w kostnicy z wściekłym capem.

To bez sensu, ale wiem, o co jej chodzi.

– Nie proś mnie o to! – krzyczy Leo. – Nie zniosę tego! Nie zniosę!

– To nie moja wina – tłumaczy matka.

Drzwi do ich sypialni są zamknięte, ale i tak słyszę wrzaski przez ściany. Rozlega się głośny łomot, a potem brzęk tłuczonego szkła.

– Wyrzuć to – ryczy Leo.

– Przestań! – krzyczy mama. – Przestań! To była lampa mojej babki.

– Pieprzyć twoją babkę.

– Proszę. Kocham cię.

Drzwi sypialni stają otworem i Leo, ciskając się, wybiega z mieszkania, z budynku, w gorącą noc. Matka szlocha w pokoju. Zmuszam się, żeby jej słuchać, a gdy nie mogę tego znieść ani sekundy dłużej, zakrywam głowę poduszką.

Pięć tygodni później Leo mówi, że się wyprowadza. Pakuje walizki, saksofon i całuje matkę na pożegnanie.

– Nie odchodź. Proszę, nie odchodź – błaga matka.

Stoi, trzymając go za ramię, już samotna, choć on jeszcze tu jest. Gdy zamykają się za nim drzwi, podchodzi do okna i czeka, aż się pojawi, a potem patrzy, jak powłócząc nogami, znika w oddali. Powoli zaczyna być po niej widać.

1984. Maj, Nowy Jork

Dziecko umiera w trakcie porodu. Pępowina pęka, ono nie może oddychać, dusi się w płynie owodniowym. Na wszelkie sposoby próbują je uratować. Wyrywają i ciągną, rozdzierają matce ścianę pochwy, krocze; lekarze krzyczą, pielęgniarki biegają. To chłopiec. Maleńki i siny jak dziecko z obrazów Picassa. Leo zniknął i nie zostawił numeru, więc nigdy się nie dowie, że obaj jego synowie utonęli.

Ojciec przychodzi ze mną do szpitala, żeby odebrać mamę. Ostrożnie pcha jej wózek, starając się omijać wyboje. Czeka na nas taksówka. Torba z wyprawką pełna upranych, schludnie złożonych ubranek dla noworodka wisi z tyłu wózka. Gdy odjeżdżamy, matka nie zauważa, że ją tam zostawił. Przez tylną szybę samochodu patrzę, jak kołysze się w przód i w tył, aż w końcu nieruchomieje.

Na Piątej Alei kwitną wiśnie skąpane w promieniach słońca.

– Uwielbiam tę porę roku – mówi matka. – Powinniśmy urządzić piknik. Możemy zrobić kanapki z ogórkiem. – Oczy ma puste.

– Może po prostu odwieziemy cię do domu – proponuje ojciec. – Elle ugotowała zupę, a ja kupiłem dojrzałe awokado i sałatę bostońską. Jak tylko cię wygodnie rozlokujemy, wyskoczę po burbona. Przyda się nam wszystkim.

– Muszę odszukać Leo. Muszę mu powiedzieć.

– Tak – mówi ojciec. – Pracuję nad tym.

W jego głosie jest coś nowego, pewność i czułość, których nie rozpoznaję. I gdy taksówka pędzi, wioząc nas do domu, uświadamiam sobie, że po raz pierwszy w życiu mam rodziców.

Taksometr tyka powoli.

– Myślisz, że doszłoby do tego, gdyby został? – pyta matka. Włosy ma przyklapnięte, piękną twarz opuchniętą i czerwoną.

Ojciec bierze ją za rękę.

– Nie wygłupiaj się. Zrobili wszystko, co mogli. To niczyja wina.

– Czyjaś musi być – mówi matka.

I wiem, że ma rację.

20

1989. Luty, Londyn

W połowie drogi na Mile End proszę Petera, żeby się zatrzymał, bo muszę siku. To Londyn, co oznacza, że po jedenastej wszystko jest zamknięte.

– Nie możesz zaczekać pięć minut? – pyta.

– Gdybym mogła, tobym nie ściągała majtek przed kompletnie obcym facetem, żeby się wysikać na ulicy.

– Racja. No tak. Świetnie. – Zatrzymuje się w wąskiej brukowanej uliczce. – Proszę bardzo.

Przykucam za drzewem, modląc się, żeby żaden mieszkaniec szeregowca za moimi plecami nie wyjrzał przez okno. W bladym świetle latarni moje uda świecą na biało. Jęczę, żołądek boli mnie od ciosu Świńskiego Ryja. Na zamarzniętej ziemi pode mną formuje się kałuża. Przesuwam stopy, gdy zbliża się do butów. Nigdy nie czułam tak wielkiej ulgi. Kiedy wstaję, żeby podciągnąć majtki i dżinsy, Peter przygląda mi się z samochodu. Przyłapany śmieje się i zakrywa oczy, udając przerażenie.

17.45

Mój umysł wypełnia rój pszczół – przenikliwe i słodkie żądło dnia. Wygląda na to, że się go nie pozbędę. W drodze powrotnej zmyłam

z siebie Jonasa, a jednak gdy stoję przy kuchence w mokrym kostiumie i ręczniku, czekając, aż zagotuje się woda, wciąż tu jest, utkwił w mojej głowie. Wyobrażam go sobie na brzegu, kiedy odpływam. Wyobrażam sobie jego znękaną twarz. Pośrodku stawu, w najgłębszym punkcie, gdzie zielona woda czernieje, zatrzymałam się, żeby zaczerpnąć tchu, i przez chwilę pływałam w miejscu. Bałam się obejrzeć, bałam się, że zobaczę, że Jonas wciąż tam jest. Bałam się popłynąć do domu, wrócić do Petera i swojego życia.

– Ty to już chyba całkiem zamieniłaś się w suszoną śliwkę – mówi matka, zdejmując z półki starą czarną puszkę herbaty Hu-Kwa. – Nie było was z Jonasem tyle godzin, że chcieliśmy po was wysłać ekspedycję ratunkową.

– Nie wiem, co by to dało – śmieję się. – Poza tym wcale nie tyle godzin. Poszliśmy tylko na chwilę popatrzeć na ocean. Popołudniowe światło było takie piękne.

– Dziś w nocy jest pełnia – mówi mama.

Za nami Peter gra z dziećmi w Parcheesi. Zerkam przez ramię, żeby sprawdzić, czy słucha, ale on rzuca kostkami i jest zajęty tworzeniem blokady.

– Był ktoś? – pyta matka.

– Widziałam Biddle'ów rozłożonych po prawej, bliżej Higgins. I choć mignęła mi tylko fioletowa spódnica, myślę, że widziałam Pamelę idącą na spacer po plaży. Poza tym było właściwie pusto. W końcu zdjęli też znaki zakazu wstępu.

– Chwała Bogu. – Matka podważa wieczko trzonkiem łyżki. – Proszę. – Podaje mi herbatę, zdejmując czajnik z kuchenki. – Woda jest już pewnie dość gorąca.

– Na miłość boską, Wallace – woła Peter – zaczekaj, aż się zagotuje. Równie dobrze mogłabyś mi dać kubek ciepłych szczyn.

I nawet nie myśl o Lapsang Souchong. Obrzydliwe śmieci.

– Wędzona w dymie z sosnowych igieł – informuje go mama.

– Tym gorzej.

– Ten twój mąż trochę za bardzo się rządzi – stwierdza matka, ale widzę, że jej się to podoba. Odstawia czajnik na palnik i idzie poszukać zwykłej angielskiej herbaty.

Finn wstaje od stołu i podchodzi, żeby mnie uściskać.

– Znalazłem na plaży jajo rekina.

– Jajo rekina? – powątpiewam.

Wkłada rękę do kieszeni i wyciąga coś, co wygląda jak czarna sakiewka z czarcimi rogami.

– Patrz. Gina mówi, że to jajo. I że wykluł się z niego mały rekin.

– Z jakiegoś powodu wszyscy tak myślą. Ale tak naprawdę to jajo płaszczki. Nazywa się „torebka syreny".

– Zupełnie bez sensu. Chyba że syreny są gotkami – śmieje się Peter.

Oddaję znalezisko Finnowi.

– Połóż na półkę, żeby nie pękło.

– Może w tym roku na Halloween powinnam się przebrać za syrenę – zastanawia się Maddy.

– Świetny pomysł. Tylko że będzie ci trudno chodzić bez nóg po sąsiadach – zauważa Peter. – Żono, chodź na partyjkę.

– Nie mam nastroju na Parcheesi. I muszę się pozbyć tego mokrego kostiumu.

– Koniecznie. Bo inaczej nabawisz się infekcji układu moczowego. – Matka wyłania się ze spiżarni z dziesięcioma rolkami papieru. – Zaniesiesz to do łazienki? Właśnie się skończył. Nie mam pojęcia, jak wy to robicie, że tak szybko znika. Jesteście jak szarańcza.

– Twoja córka ma pęcherz wielkości ziarnka grochu – mówi Peter. – To wszystko jej wina.

– Nieprawda – oponuję. – Założę się, że ty po prostu nigdy w życiu nie powiesiłeś nowej rolki.

Peter odwraca się do dzieci.

– Na naszej pierwszej randce wasza matka ściągnęła spodnie i zrobiła siku przed moim nosem.

– Obrzydliwość – mówi Jack.

– To nie była randka – prostuję. – Byłeś po prostu facetem, który podwoził mnie do akademika. Poza tym miałam do wyboru to albo zsikać ci się w samochodzie. Skądinąd pewnie nawet byś nie zauważył, bo w środku było okropnie. Śmierdziało zgniłym mięsem.

– Nie, nie – śmieje się Peter. – Pragnęłaś mnie. Zrozumiałem to w chwili, kiedy zobaczyłem, jak kucasz pod drzewem w białych majtkach.

– O, jakże się mylisz.

– Ej! – Jack wydaje odgłos kneblowania.

– A poza tym uratowałem ci życie.

– Wasz ojciec zachował się bardzo heroicznie. – Moje słowa wywołują salwy śmiechu młodszych dzieci.

– Dixon i Andrea zaprosili nas na hamburgery – informuje matka. – Robią improwizowanego grilla. Powiedziałam, że wpadniemy między wpół do szóstej a szóstą.

– Boże. – Krzywię się.

– Przypomnijcie mi, że mam wziąć czerwoną cebulę.

– Nie możemy zjeść spokojnie kolacji w domu? Wciąż dochodzę do siebie po ostatnim wieczorze.

– Mamy puste szafki – oznajmia mama. – Nikt się nie pofatygował po zakupy. – Każda sylaba ocieka pretensją.

– Wiem, że jest makaron. I mrożony groszek.

– Ja w każdym razie nie mam nastroju na gotowanie.

– Ja się tym zajmę. Wieczorem ma padać.

Peter podnosi wzrok znad planszy.

– Chętnie zabiorę dzieciaki, jeśli chcesz zostać w domu.

– Po prostu… Wróciliśmy z Memphis ledwie dwadzieścia cztery godziny temu i bez przerwy z kimś się widzimy. Chciałabym się wcześniej położyć. – Potrzebuję czasu, żeby pomyśleć.

– W takim razie zrób tak – mówi Peter.

Podchodzę do niego, kładę mu ręce na ramionach, pochylam się i go całuję.

– Jesteś aniołem.

– Nie rozpraszaj mnie – mówi Peter. – Mamy tu bardzo poważną rozgrywkę. – Odsyła jeden z żółtych pionków Finna z powrotem do domu.

Na zewnątrz zatrzymuję się i patrzę na swoją rodzinę. Finn wyrzuca kostki z małego kartonowego pojemnika. Matka wlewa wrzątek do starego brązowego dzbanka, z dziobka unosi się para. Sprawdza, czy herbata się zaparzyła, i dopiero wtedy przez bambusowe sitko przelewa ją do wyszczerbionego kubka z syderytu. Zagląda do cukiernicy, marszczy brwi i znika.

Peter podciąga rękaw koszuli i pręży mięsień.

– Widzicie? – mówi do dzieci. – Widzicie to? Z tym człowiekiem się nie zadziera. – Mierzwi Maddy włosy.

– Przestań, tato.

– Maruda. – Chwyta ją w niedźwiedzie objęcia i warcząc, całuje w czubek głowy.

– Mówię poważnie – śmieje się Maddy.

Jack wstaje od stołu, idzie do kuchni i bierze śliwkę z misy z owocami.

– Przyniesiesz mi herbatę, synu? – pyta Peter. – Twoja zdemenciała babka zapomniała ją podać.

– Wszystko słyszałam! – woła ze spiżarni matka.

Schodzę na ścieżkę, pod moimi bosymi stopami znajomo chrzęszczą sosnowe igły. W powietrzu czuć zapowiedź deszczu. Na schodkach przed chatką dzieci leży mokry ręcznik. Podnoszę go i wieszam na gałęzi. Zostawiły w środku włączone światło. Wchodzę, żeby je wyłączyć, zanim siatkowe drzwi obsiądą zastępy ciem i grzechoczących chrząszczy. W domku panuje okropny bałagan. Tak samo było, kiedy mieszkałyśmy tu z Anną: kłębowisko kostiumów, błyszczyków, drewniaków i sprzeczek. Zbieram ubrania z podłogi i wrzucam do kosza na brudy, wpycham sweter Maddy z powrotem do komody, wieszam wilgotny kostium na wieszaku. Wiem, że popełniam w ten sposób jeden z głównych błędów wychowawczych – powinny sprzątać swój pokój same – ale w tej chwili koncentracja na czymś prostym i jasnym ma działanie kojące. Lekarstwo mojej matki na wszystkie troski: „Jeśli czujesz się przygnębiona, zrób porządek w szufladzie z bielizną”.

Szorstki beżowo-szary koc Jacka w połowie zsunął się na podłogę, poduszki leżą wciśnięte między materac a ścianę. Odsuwam łóżko. Coś wypada z hukiem. Macam na oślep po pełnej pajęczyn podłodze i wyciągam czarny zeszyt. Pamiętnik. Mojego zagadkowego syna, który ostatnio traktuje mnie jak powietrze, oddala się i zamyka. Trzymam w ręku wszystkie odpowiedzi.

Turystyczny zegarek na półce z książkami odmierza sekundy. Zamykam oczy i przytykam zeszyt do nosa, wdycham zapach odcisków palców Jacka, jego najskrytszych myśli i pragnień. Nigdy

by się nie dowiedział. Ale ja bym wiedziała. Wprawdzie wiedza to potęga, bywa też jednak trucizną. Odkładam pamiętnik na miejsce, przysuwam łóżko do ściany i przywracam nieporządek. Nie chcę żadnych więcej sekretów.

1984. Październik, Nowy Jork

W naszym ciemnym, zagraconym mieszkaniu coś się pichci. Jeśli mam szczęście, będzie hamburger, mrożona kukurydza i szpinak w sosie beszamelowym. Ale nie robię sobie wielkich nadziei. Wczoraj wieczorem matka ugotowała całego kurczaka – w folii. Ostatnio sprawia wrażenie nieobecnej.

– Już jestem! – wołam.

Zastaję ją w kuchni, na żeliwnej patelni smaży kurze wątróbki z cebulką, dżinsową spódnicę przewiązała fartuszkiem. Na stole stoi już miska ryżu i ketchup, na ścianach wisi ceramika z glazurowanej gliny, są przyprawy, a w szklanym słoju nigdy nieużywane suszone papryczki. Na podłogę spadła poplamiona rękawica.

– Próba się przeciągnęła – mówię, schylając się po nią.

– Podasz mi oregano? – prosi matka, nie podnosząc wzroku.

Otwieram szafkę. Szybki w drzwiczkach pomalowano na biało, żeby nie było widać, co jest w środku: pudełko chrupkiego pieczywa Shredded Wheat, trzy puszki bulionu w galaretce, kocia karma, opakowanie przeterminowanego środka odchudzającego. Odsuwam na bok musztardę Colman’s i biorę oregano.

– Rozmawiałam z Anną – mówi matka. – Dzwoniła z Los Angeles. Sprawiała wrażenie zadowolonej. Choć wciąż nie rozumiem, jak można się specjalizować w komunikacji. To tak, jakby się specjalizować w jedzeniu. Albo w chodzeniu. Idź umyć ręce przed kolacją.

W mieszkaniu jest ciemno. Idę, zapalając po drodze światła. Odkąd rok temu wyprowadził się Leo, mama ma obsesję na punkcie oszczędzania prądu. Mówię jej, że więcej energii zużywa się, gdy się włącza i wyłącza światło, niż gdy zostawia się je włączone, ale ona twierdzi, że to miejska legenda.

Muszę chwilę zaczekać, zanim z kranu w łazience popłynie ciepła woda, ale kiedy wreszcie jest, parzy mi ręce. Wycieram je w dżinsową kurtkę i wrzucam plecak do pokoju. Na łóżku leży zwinięty w kłębek kot. Po drugiej stronie wewnętrznego podwórka widzę matkę, która nakrywa do stołu dla nas obu. Przy każdym talerzu kładzie nóż i widelec, a potem stawia kieliszek do wina. Jestem w połowie drogi do kuchni, gdy zatrzymuję się i biegnę z powrotem, żeby zgasić światło. Niby drobiazg, ale matce na tym zależy.

„Dziwne, że wcześniej mi to umknęło", myślę. Mój stary pamiętnik leży otwarty na biurku. Podchodzę ostrożnie, jakby mógł skoczyć i mnie ugryźć. Podnoszę go z bijącym sercem, bojąc się tego, co znalazła w nim matka.

Ostatni dzień szkoły!!! Jutro idziemy z Becky do Gimbels po nowy kostium. Zapłacę z kieszonkowego. Mama obiecała, że dołoży 15 dolarów. Becky mówi, że w tym roku w środy wieczorem będą uczyć w ratuszu medytacji transcendentalnej, i chce, żebyśmy się zapisały.

Kilka stron dalej:

Jutro Back Woods!!! Nie mogę się doczekać spotkania z Jonasem.

Lista rzeczy do zrobienia w lato:

Przeczytać 12 książek

Codziennie ćwiczyć grę na flecie

Spróbować wegetarianizmu?

Nauczyć się żeglować

Schudnąć 15 funtów

A poniżej:

Tak się boję. A co, jeśli znów mi to zrobi? Co, jeśli znów do mnie przyjdzie? Nienawidzę go. Chcę umrzeć…

Mama nie może się dowiedzieć. To by jej zrujnowało życie.

Nienawidzę go

Nienawidzę

Nienawidzę

Przewracam stronę.

spóźnia mi się okres. co, jeśli jestem w ciąży? Boże, proszę, nie pozwól, żebym była.

Po tym jest jeszcze tylko jeden wpis, strona poplamiona łzami, rozmazany atrament.

Znaleźli ciało Conrada na plaży. Tamta kobieta mówiła, że miał otwarte oczy. Nie mogę oddychać. Dlaczego nie rzuciłam mu kamizelki? Jest mi niedobrze.

Potem już nic, same puste kartki.

Wyłączam światło i wyglądam przez okno. Gdzieś na górze sąsiadka zaczyna wokalizować, przebiega sopranem skale w górę i w dół murów. Matka z trzaskiem zamyka okno, nalewa sobie wina, podnosi kieliszek do ust i wypija jednym haustem. Na podwórku leżą śmieci, menu na wynos, plastikowe torebki. Pod ścianą stoją dwie puste puszki po jedzeniu dla kotów – jeden z portierów dokarmia zwierzęta, co jest surowo zabronione. Nagle z któregoś z wyższych pięter sypie się deszcz zielonego groszku. Wali w beton niczym grad. Obie z Anną robiłyśmy to samo: groszek, brokuły, gotowaną marchewkę, paluszki rybne – wszystko, na co nie miałyśmy ochoty –

wyrzucałyśmy przez okno, gdy tylko mama odwróciła się do nas plecami. Jeśli wiedziała, nie wspomniała o tym nigdy ani słowem.

Gdy wchodzę do kuchni, nie podnosi wzroku. W środku jest duszno, przytłaczająco. Uchylam okno z powrotem. Na moim talerzu czeka już ryż z wątróbką i cebulką. Słychać dudnienie i astmatyczny oddech windy kuchennej. Zatrzymuje się gdzieś na górze.

Mama odstawia kieliszek na stół, odsuwa mi krzesło i podaje butelkę ketchupu. Siedzimy w milczeniu.

– Zajrzałam dziś do twojej szafy – mówi w końcu. – Pomyślałam, że miło byłoby zanieść te stare łyżwy na zbiórkę charytatywną. Ty już z nich wyrosłaś. – Kręci głową, jakby próbowała pozbyć się jakiegoś obrazu. – Jak to się mogło stać? – W jej głosie słychać rozpacz.

– Przepraszam. Przepraszam. – Słona łza wpada mi do ryżu i znika połknięta przez morze bieli.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – Szuka odpowiedzi na mojej twarzy.

– Nie chciałam, żebyś mnie znienawidziła. – Wbijam wzrok w podłogę.

– Ależ ciebie nigdy nie mogłabym znienawidzić. To jego nienawidzę.

– Przepraszam, mamo.

– To nie twoja wina. To ja go tu sprowadziłam. Gdybym wiedziała, że cię krzywdzi… Cieszę się, że już go nie ma. – Bierze mnie za rękę i ściska za mocno. – Jezu. Powinnam była zauważyć. Jak to możliwe, że nie widziałam? – Czubki moich palców robią się różowe, potem białe. W jej twarzy dostrzegam coś, czego nie było tam od dawna. Stal. Błysk światła.

– Przysięgam, że jeśli jeszcze kiedykolwiek go zobaczę, to go zabiję.

– Co takiego?

– Powinnam się postarać o nakaz aresztowania. Powinnam zgłosić sprawę Leo policji.

18.15

Gaszę światło u dzieci i jak najszybciej zamykam drzwi, żeby do środka nie naleciało komarów. Powierzchnia stawu jest spokojna, atramentowa, wieczorne powietrze wypycha ostatnie ciepłe drobinki późnego popołudnia. Idę do naszej chatki, żeby zdjąć kostium. Z Dużego Domu dobiega salwa śmiechu Petera. Jakiś czas później pijany Leo zadzwonił do matki z baru. Błagał, żeby go przyjęła z powrotem, przysięgał, że ją kocha – była miłością jego życia, mówił. Rozłączyła się.

21

1989. Marzec, Londyn

Uprawiamy z Peterem seks na trzeciej randce. Zabiera mnie do maleńkiej indyjskiej knajpki przy Brick Lane, w której unosi się para i zapach goździków.

– Westbourne Grove jest dla turystów. Oto prawdziwy indyjski lokal – przekonuje.

Potem zaprasza mnie do swojego mieszkania na szybkiego drinka, a ja zaskakuję samą siebie, przyjmując zaproszenie. Rzadko umawiam się na randki, nie wspominając o chodzeniu z mężczyznami do domu. Ale Peter jest dziennikarzem finansowym i z jakiegoś perwersyjnego, staromodnego powodu to, że pisze o pieniądzach, sprawia, że mu ufam – jakby ktoś, kto zajmuje się tak nudnymi rzeczami, nie mógł być niebezpieczny.

Jedziemy w strugach deszczu, okna zaparowały, wewnątrz jest ciepło i czuć benzyną. Peter mieszka w Hampstead, to znaczy właściwie na przeciwległym końcu Londynu. Zatrzymuje się przed przejściem, żeby przepuścić staruszka. Odkręca odrobinę okno i zapala papierosa. Starszy pan przechodzi przez jezdnię, powłócząc nogami, kołnierzyk ma podniesiony dla ochrony przed ulewą, w bladych, pomarszczonych dłoniach ściska połamaną parasolkę.

Kiedy Peter po raz pierwszy bierze mnie za rękę, nie patrzy na mnie, wzrok ma skierowany na przesłoniętą ścianą deszczu migoczącą żółtą latarnię.

– Może tak być? – Wydaje się niemal nieśmiały i to mnie zaskakuje.

Skręcamy w wąską uliczkę, a potem bierzemy ostry zakręt, wjeżdżamy na śliczny brukowany plac i zatrzymujemy się przed rzędem domów w stylu georgiańskim.

Ledwie wyszłam z samochodu, a już jestem przemoczona. Deszcz zacina ze wszystkich stron, tworzy kałuże, zbiera się przed drzwiami wejściowymi.

– Obłąkana ulewa – mówię.

– Jaka ulewa? – śmieje się Peter, kiedy biegniemy, żeby się schować.

Jego mieszkanie jest piękne, dużo większe, niż się spodziewałam: wysokie, sztukaterie na sufitach, ogromne okna wychodzące na ciemne wrzosowisko – szyby są tak stare, że przeciekają – drzwi z sześcioma szklanymi panelami i mosiężnymi gałkami w kształcie jajka, chropowate sosnowe deski na podłodze. Działający kominek. W przedpokoju na drewnianych kołkach wiszą tweedowe i sztruksowe marynarki, obok nich ubłocona kurtka Barbour. Na dole czubkami do ściany stoją w rządku śliczne, choć znoszone buty.

– Z góry przepraszam za ten chlew – mówi Peter, rzucając klucze do skrzynki.

Wszędzie leżą porozrzucane stare gazety, w popielniczkach pełno jest niedopałków, na niskim stoliku stoi otwarty słoik musztardy francuskiej, na oparciu wyścielanego fotela wisi prążkowany garnitur.

– Moja matka – objaśnia, gdy spostrzegam grube aksamitne zasłony, portrety przodków, rozrzucone gdzieniegdzie tureckie

chodniki – lubi rzeczy ze smakiem.

– Faktycznie masz tu chlew – mówię.

– Gwoli sprawiedliwości dodam, że nie spodziewałem się towarzystwa.

– Cieszę się.

– Wy, Amerykanie, jesteście dziwni.

– Że nie ma żadnych akwafort – tłumaczę.

– Ach – śmieje się Peter. – Nie doceniasz mnie. Chodź, pokażę ci sypialnię.

Waham się: jakaś część mnie chce pójść, inna – salwować się ucieczką. Ale idę za nim.

W przeciwieństwie do salonu w sypialni Petera panuje zaskakujący porządek. Łóżko jest starannie zaścielone.

– Boże, jesteś taka śliczna – mówi. W jego głosie brzmi szczerość, jest bezpośredni, wierzy w to, co mówi. – Trzeba się tylko pozbyć tych mokrych ciuchów.

Krzywię się, kiedy zaczyna mi rozpinać koszulę. Od czasu Conrada minęło sześć lat. I choć kilka razy zdarzyło mi się całować po pijaku, nigdy nie pozwoliłam mężczyźnie dotknąć się pod ubraniem.

Peter chce mi rozsunąć dżinsy, ale powstrzymuję jego rękę.

– Przepraszam. Myślałem…

– Nie. W porządku. Po prostu… Wolę to zrobić sama. – Palce mi się trzęsą, gdy kończę rozpinać koszulę. Ściągam spodnie. Stoję przed Peterem w bieliźnie. Deszcz przybiera na sile, strumyki wody pokrywają siatką ogromne okna. Za plecami Petera na wysokiej komodzie w stylu Tudorów leży nienapoczęty karton rothmansów i do połowy zjedzona gruszka. Rozpinam stanik, opada na podłogę. Peter podchodzi, otacza moje piersi dłońmi. Cała drżę.

– Zimno ci. – Bierze mnie na ręce i niesie do łóżka.

Kocha się ze mną powoli, palcami obrysowuje krzywizny, czeka, aż na niego zareaguję, nasze wysokie, szczupłe ciała owijają się wokół siebie, deszcz na szybach, cierpki smak tytoniu, jego silne, muskularne ramiona. Gdy we mnie wchodzi, zaciskam mocno powieki. Zdradza mnie gwałtowny wdech.

– Chcesz, żebym przestał? – pyta szeptem.

– Nie.

– Możemy przestać – mówi.

– Trochę zabolało, to wszystko.

Całkowicie nieruchomieje.

– Elle, jesteś dziewicą?

Chciałabym powiedzieć mu prawdę, ale zamiast tego szepczę:

– Tak.

I w ten sposób zaczynamy od kłamstwa.

1989. Grudzień, Nowy Jork

Stacja metra przy Osiemdziesiątej Szóstej jest ponura i brudna, pełno tu przeżutej gumy i smętnych skrawków papieru na torach. Wyjścia prowadzą na cztery rogi szerokiej, brzydkiej ulicy. Razem z Anną kierujemy się do północno-zachodniego i trafiamy na podmuch lodowatego wiatru, który wydyma mi z tyłu puchówkę. Zapomniałam, jak zimno bywa w Nowym Jorku. Na ulicy sprzedawca kasztanów kuli się w cieple koksownika, na którym praży tłuste, popękane marony. Wieczorne powietrze pachnie słodko i pysznie.

Skręcamy w Lexington Avenue i maszerujemy przed siebie w kozakach na wysokim obcasie, wymijając pokryte czarnymi cętkami zaspy śniegu. O szóstej po południu nie ma już słońca, są tylko wściekłe aureole wokół latarni i bagnista ciemność.

– No więc okazała się absolutną kretynką – mówi Anna.

Byłyśmy właśnie jak co roku na wigilijnej herbatce u taty w Greenwich Village i przedstawił nam swoją nową dziewczynę. Rudowłosa Mary Kettering pochodzi z Mount Holyoke, ma cienkie wargi i ostry, jakby wystrugany nos. Kiedy się do nas uśmiechnęła, jej usta zamieniły się w gniewną kreskę, w jednej chwili ukazując jej prawdziwe oblicze.

Niosę reklamówkę pełną prezentów. Są zapakowane, ale wnioskując po ciężarze, to znowu książki. Ojciec udaje, że wybrał je specjalnie dla nas, wiemy jednak, że wziął je ze stolika z darmowymi egzemplarzami w swoim wydawnictwie. Co roku daje nam nieistotne książki, w których niebieskim atramentem wypisuje dedykacje bez znaczenia. Dobrze, że przynajmniej ma elegancki, przykuwający wzrok charakter pisma i talent do słów.

– Ona też nie mogła nas znieść – mówię.

– Mało powiedziane – prycha Anna. – Trudno byłoby nas bardziej nienawidzić. A kiedy zaczęła mówić o Hamptons? – Anna wkłada palec do gardła i udaje, że się dławi. – I to nawet nie o Water Mill, tylko o Southampton. Jak on ją może całować? Fuj. Wygląda jak te okropne małe ptasie szkielety.

– Ale z ciebie jędza – śmieję się. Strasznie za nią tęsknię, odkąd wyjechałam do Londynu. – Może byłaby dla nas milsza, gdybyś nie przewracała oczami za każdym razem, kiedy otwierała usta.

Trzeba jednak przyznać, że ojcu udało się przełamać lody – wydawał się naprawdę szczęśliwy i dumny, że ma nas u siebie. Nalał sobie dwa cale burbona do filiżanki po herbacie, puścił *Rock the Cabash* na nowym gramofonie i zaczął tańczyć, niezgrabnie podrygując. Boso, w starych lewisach. Grzbiety stóp miał porośnięte włosami, na każdym palcu gęsta kępka. To było hipnotyzujące. Mary wybijała rytm stopą w belgijskim mokasynie.

– Po prostu kolejny koszmar w długim ciągu koszmarów taty – mówi Anna.

– Może jest milsza, niż nam się wydaje.

Trafiam stopą na oblodzony skrawek trotuaru i wywalam się jak długa.

– Myślę, że w ten sposób Bóg mówi ci, że nie – śmieje się Anna.

Prezenty z rozdartej torby wysypują się na pokryty breją chodnik.

Pełzam, podpierając się rękami, i zbieram paczki.

– Mogłabyś mi pomóc.

Anna jest już piętnaście jardów dalej.

– Zostaw to. Zamarzniemy na śmierć. Przecież i tak mamy gdzieś te jego głupie książki – mówi, nie zwalniając kroku.

– Serio? – wołam. – Dobra. Powiem tacie, że nie chciałaś jego prezentów.

– Proszę bardzo – mówi przez ramię. – Może dać je Mary. Na pewno się ucieszy. Ileż będzie miała radości. *Barlett's Familiar Quotations* w twardej, kurwa, oprawie.

Kobieta w kozakach i pelerynie w pepitkę, która wyprowadza greyhounda, zatrzymuje się i patrzy, jak na czworakach zbieram pakunki. Obok mnie jej pies, balansując na drżących tylnych łapach, robi kupę w śniegu.

Doganiam Annę, kiedy wchodzi do naszego budynku.

– Dzięki za pomoc – mówię.

Przez wahadłowe podwójne drzwi wpada za nami przenikliwy wiatr. Nowy portier, Mario, biegnie, żeby je zamknąć. Sztuczna jodła w holu mruga kolorowymi światełkami. Na marmurowym kominku obok stoi włączona menora, duże pomarańczowe żarówki migoczą.

– Dzień dobry. – Mario prowadzi nas do windy. – Wesołych Świąt.

– Szczęśliwej Chanuki – poprawia go Anna.

Mario sprawia wrażenie zdezorientowanego.

– Jesteśmy Żydówkami – mówi Anna.

Wsiadamy do windy.

– Żydówkami? Co ty wygadujesz?

– Mogłybyśmy być. Przecież nie wie.

– Dlaczego jesteś taką wredną suką? – pytam.

– Bo przyprawia mnie o mdłości.

– Mario?

Anna patrzy na mnie jak na idiotkę.

– Tata.

Otrzepujemy buty ze śniegu i zostawiamy na wycieraczce na zewnątrz, żeby ociekły. Frontowe drzwi jak zwykle są otwarte. Światła w mieszkaniu pogaszone. Mama siedzi na krześle pośrodku korytarza, oświetlona od tyłu przez lampę w salonie, pręgowany kot leży zwinięty na jej kolanach.

– Wyglądasz jak Anthony Perkins – stwierdza Anna, zdejmując palto. – Przyniosłyśmy ci trochę pierniczków.

– Proszę, żebyście nie wchodziły dalej – mówi mama.

– Myślisz, że ktoś ją trzyma na muszce? – pyta mnie Anna scenicznym szeptem. – Mamo – zwraca się do niej już normalnym tonem – dziwnie się zachowujesz. – Odwiesza palto do szafy i próbuje przejść obok, ale mama zagradza jej drogę.

– Po waszym wyjściu zadzwonił ojciec. Wygląda na to, że jego nowa dziewczyna, Mary, schowała paczuszkę marihuany w puszce z kawą i ta paczuszka teraz zniknęła.

– Mary pali trawkę? – mówi Anna. – Żartujesz.

– Chciałabym, naprawdę – odpowiada mama. – Wolałabym tego nie robić, ale wasz ojciec kazał mi obiecać. Proszę, żebyście obie się rozebrały i opróżniły torby.

– Chyba oszalałaś – śmieje się Anna. – Co ja jestem, pięciolatka?

Mama wzdycha.

– Wiem, że to absurdalne. Ale ojciec dał słowo Mary i prosił, żebym to uszanowała.

– Przecież ja nawet nie palę trawki – bronię się.

– Powiedz mu, żeby wzięła sobie tę paczuszkę i wsadziła w waginę – mówi Anna.

– Anno.

– Nie widziałaś jej, mamo. Jest odrażająca. Ma małe, ostre zęby, jak pterodaktyl.

– Nie wątpię. – Matka zrzuca kota z kolan i wstaje. – W każdym razie obiecałam waszemu ojcu, że stanowczo poproszę, żebyście pozwoliły się przeszukać, i to właśnie zrobiłam. Nie obiecywałam, że was przeszukam. Przyrządzę sobie eggnog, a potem idę do łóżka.

– Poczekaj. – Zatrzymuję ją. – Naprawdę prosił, żebyś nam zrobiła rewizję osobistą? W Wigilię? Wiesz co? Pierdolić to. Niech ma. – Rozbieram się do rosołu i rzucam jej ubranie.

Oddaje mi je z ciężkim westchnieniem.

– Jestem na to za stara.

– Ty jesteś za stara? Mam dwadzieścia trzy lata, do kurwy nędzy. Powiedz tacie, że z nim nie gadam.

– Potrzebna ci depilacja – stwierdza Anna, idąc do siebie.

Ze swojego pokoju dzwonię do Petera. W Londynie jest już niemal północ, ale wiem, że jeszcze nie śpi, bo stara się skończyć tekst przed deadline'em.

– Przed chwilą matka próbowała mi zrobić rewizję osobistą. Wesołych Świąt, kurwa.

– Słucham? – mówi Peter.

– Nowa dziewczyna taty oskarżyła nas, że ukradłyśmy jej zapas zioła.

Peter się śmieje.

– I co, znalazła coś?

– Spadaj, Pete. To wcale nie jest zabawne.

– To jest niewiarygodnie zabawne. Ale skoro w twojej rodzinie tak załatwia się sprawy, to może powinienem przemyśleć przyjazd na Nowy Rok.

– Nie kłopocz się – mówię. – Następnym samolotem wracam do Londynu. Mam ich dość.

– Fatalny pomysł. Musiałabyś jeść zimnego łososia z majonezem koperkowym, który smakuje jak rzygowiny. I iść na pasterkę. I spać w lodowatym pokoju z kamiennymi ścianami i średniowiecznymi oknami. Sama. Bo moja matka pewnych rzeczy nie pochwala.

– Myślałam, że twoja matka już mnie lubi.

Rodzice Petera są bardzo wytworni. Jego ojciec jest posłem. Jeśli nie siedzą w wiejskiej posiadłości w Somerset, mieszkają w ogromnym, wychodzącym na Tamizę domu w Chelsea. Polują, a do lunchu piją Pimm's Cup. Ubrani w tweedy, energicznym krokiem spacerują po wrzosowiskach. Matka Petera to klasyczna hetera w perłach. Po naszej piątej randce uparła się, żeby mnie przyprowadził na oględziny. Piliśmy sherry w dużym salonie z wypolerowaną posadzką – mahoń intarsjowany drewnem owocowym, jak wyjaśniła. Nad marmurowym kominkiem wisiał gustowny abstrakcyjny obraz. Niedawno zaczęła interesować się „sztuką nowoczesną". Przycupnęłam na aksamitnej sofie w kolorze szałwii i myślałam o Becky Sharp, krzyżując i prostując nogi. Gdy wyznałam, że nigdy nie siedziałam na koniu, matka Petera z trudem ukryła pogardę. Zyskałam nieco w jej oczach, kiedy się dowiedziała,

że robię doktorat z literatury francuskiej w Queen Mary i zamierzam wykładać. „Choć oczywiście lepiej by pani zrobiła, czytając Niemców. Znacznie głębsi i dużo mniej wulgarni”, powiedziała, dolewając tylko sobie.

– To prawda, że cię lubi – potwierdza Peter. – Nawet bardzo jak na Amerykankę. Ale wyraźnie dała mi do zrozumienia – mówi z naciskiem – że jej zdaniem związek z młodą kobietą, którą poznałem na rogu ulicy, jest nie do przyjęcia. Mogłabyś być kimkolwiek.

– Ha, ha.

– Spokojnie. Będę za cztery dni. Coś wymyślimy. Tak się składa – śmieje się Peter – że nie mogę się doczekać, żeby się uspawać z twoim ojcem.

– Nic z tego – oznajmiam. – Nie mam zamiaru z nim rozmawiać. Ani się spotykać.

– Myślałem, że po to jest ta wizyta – mówi Peter. – Żebym mógł poprosić o twoją rękę.

– Oj, do cholery, przestań sobie ze wszystkiego żartować. Będę czekała przy bagażu.

Rozłączam się, kładę na plecach i gapię w sufit. Tynk popękał, miejscami odchodzi farba. W mieszkaniu na górze ktoś coś gotuje, czuć czosnek i cebulę, na wewnętrznym podwórku jest aż gęsto od ich zapachu. Moje łóżko – to samo, w którym spałam, odkąd skończyłam pięć lat – jest na mnie za krótkie. Na półce nad biurkiem, obok drewnianego żółwia, którego ojciec wyrzeźbił dla mnie, kiedy byłam mała, stoi całe wydanie bezużytecznej *Encyclopaedia Britannica*. Matka znalazła ją na śmietniku, kiedy miałam dziesięć lat – ktoś wyrzucił je, bo było nieaktualne. „Wiedza to wiedza”, stwierdziła matka. Wstaję i zdejmuję z półki tom czwarty:

„Botha – Carthage”. W środku jest schowana pojedyncza kartka papieru złożona w maleńki kwadracik i całkowicie zapisana. Raz za razem powtarza się na niej jedno zdanie. Po części kara, po części zaklęcie: „Powinnam go była uratować”. Składam ją z powrotem i odstawiam encyklopedię na półkę. Za oknem podmuchy wiatru wzbijają w górę śnieg z betonowego podwórka. Wychodzę na korytarz, żeby poszukać Anny. Drzwi do jej sypialni są przymknięte. Siedzi przy biurku tyłem do mnie i zwija skręta.

22

1989. Grudzień, Nowy Jork

Samolot Petera przylatuje o czasie, ale ja jestem okropnie spóźniona. Pociąg na lotnisko JFK psuje się na Rockaway i musimy czekać na peronie na następny skład. Deszcz ze śniegiem zamienił się w gęsty śnieg, a ja czuję, że rzęsy zaczynają mi się pokrywać lodem. Właśnie dlatego nie znoszę odbierać ludzi z lotniska. To gest, który niemal zawsze przynosi odwrotny skutek. Peter będzie wkurzony i obrażony, że nie ma kto skakać na jego widok, gdy po ośmiogodzinnym locie wyłoni się z tunelu. I choć przedzieram się na cholerne lotnisko, podczas gdy tysiące igieł zamarzającego śniegu kłują mnie w twarz, czuję się winna i urażona. Powinnam mu była powiedzieć, żeby wziął taksówkę.

Gdy docieram do hali przylotów międzynarodowych, jestem spocona, zziajana i przygotowana na kłótnię. Spostrzegam Petera, zanim on zdąży zobaczyć mnie – siedzi pod brudną ścianą na torbie podróżnej i czyta książkę. Uśmiecha się na mój widok.

– W samą porę – mówi, wstaje i całuje mnie mocno. – Boże, tęskniłem za tobą, moja śliczna.

Przygotowuję Petera na to, że zastanie mieszkanie pogrążone w ciemności, matkę w depresji, z obsesją na punkcie oszczędzania

prądu, poruszającą się ospale, powoli, jakby się zapadała pod ciężarem swoich trosk.

– To musiały być bardzo radosne święta – mówi.

Ale gdy zjawiamy się w domu, wszystkie światła są zapalone. W kominku bezgłośnie skwierczy polano Duraflame. Adapter gra bossa novę z porysowanej płyty.

– Mamo? Przyjechaliśmy! – wołam.

– Jestem tutaj – odpowiada śpiewnym głosem z kuchni. – Zostawcie buty na zewnątrz, jeśli są mokre.

Kręcę głową zaskoczona.

– Może to ona ukradła Mary trawkę.

W drodze do kuchni Peter obrzuca mnie kpiącym wzrokiem.

Matka stoi przy lodówce. Włosy upięła w kok. Usta ma umalowane, włożyła czerwoną jedwabną bluzkę.

– Peter. – Całuje go w oba policzki. – Udało ci się dotrzeć. Jak lot?

– W porządku. Trochę trzęsło, ale to nic takiego.

– A tutaj co chwila zamieć. Martwiłyśmy się, że mogą cię gdzieś przekierować.

– Gdzie Anna? – pytam. – Mówiła, że będzie.

– Zadzwoniła jakaś jej koleżanka z prawa. Wystrzeliła z domu jak z procy.

– Przykro mi – mówię do Petera. – Naprawdę chciałam, żeby tu była.

Mama wyciąga srebrny shaker i trzy kieliszki do martini z zamrażarki.

– Z oliwką czy twistem?

– Z twistem, dziękuję – mówi Peter.

– Swój człowiek. – Robi mu drinka.

Na stole w kuchni stoi ser, pasztet i mała miseczka korniszonów. Matka wyjęła specjalną palisandrową deskę do serów razem z tym irytująco zaokrąglonym nożykiem, który moi rodzice milion lat temu dostali w prezencie ślubnym.

Unosi kieliszek.

– Za nowy rok. Dobrze nareszcie dopasować twarz do imienia. Elle, nie mówiłaś mi, że twój chłopak jest taki przystojny. – Niemal trzepocze rzęsami. – Na zdrowie.

Mam wrażenie, jakbym się nagle znalazła w jednym z tych czarno-białych filmów opowiadających o życiu wyższych sfer, w których wszyscy mieszkają w apartamentach wysokich na ponad cztery metry i zakładają etolę do obiadu. W każdej chwili można się spodziewać Cyd Cahrisse wystawiającej zza drzwi nogę w czarnej pończosze, pokojówki w fartuszku serwującej tartinki i maleńkiego białego pieska drepczącego w ślad za nią.

Stukają się. Podnoszę kieliszek, żeby wznieść toast, ale oni już piją. Matka bierze Petera pod ramię.

– Chodźmy do salonu. Rozpaliłam ogień. Elle, weź przystawki. Kupiłam kawałek stiltona w Zabar's. Uznałam, że to bezpieczny wybór.

Peter idzie za nią, zostawiając mnie z kieliszkiem w dłoni.

– Och, i dzwonił twój ojciec. Dwa razy – mówi mama przez ramię. – Kiedyś w końcu będziesz musiała oddzwonić. Jak to miło mieć mężczyznę w domu, Peterze – słyszę, kiedy znikają za drzwiami.

Wiem, że wszystkie jej wysiłki – całe to serdeczne powitanie – są z myślą o mnie. I naprawdę nie chciałabym, żeby Peter marzył tylko o tym, by uciec stąd z krzykiem. Ale kiedy słucham, jak matka zanosi

się śmiechem, bo mój chłopak coś właśnie powiedział, mam ochotę walnąć ją w twarz.

– Lubię ją – oznajmia Peter, ciągnąc torbę do mojego pokoju. – Wcale nie jest taka, jak mówiłaś.

– Nie jest narcystyczną jędzą?

– Mówiłaś, że jest bardzo smutna. I że lubi oszczędzać prąd. Ale nigdy nie wspominałaś, że jest taka atrakcyjna.

– Stilton? Dlatego że jesteś Anglikiem? Od świąt żywimy się wyłącznie słonymi krakersami, masłem orzechowym i zupą z puszki. Uwierz mi, to nie jest normalne życie.

– Czyli co, myślisz, że to zasługa mojego brytyjskiego uroku?

– Nie. Matka jest niepoprawną fallocentryczką. Poza tym kazała mi w Wigilię rozebrać się do rosołu. A do tego dostałam od niej na Gwiazdkę brzydkie rękawiczki i otwieracz do butelek. Więc może to poczucie winy.

Peter zatrzymuje się, żeby przyjrzeć się książkom stojącym na półkach w korytarzu. Wyciąga mój stary podręcznik.

– *Karibu i alaskańska tundra*. Idealna lektura do poduszki. – Kartkuje książkę. – Boże. Podkreśliłaś ważniejsze fragmenty. To mi zaoszczędzi czasu.

– Matka nie uznaje wyrzucania książek.

Wpycha podręcznik z powrotem na półkę.

– Uważam, że jest bardzo wytworna. Elegancka. Dziwię się, że nie wyszła ponownie za mąż.

– Możesz spać dziś u niej, proszę bardzo. Ma większe łóżko niż ja.

– Hola, hola.

– Kiedy w końcu przyprowadzam mężczyznę, żeby poznał moją matkę, jej pierwszą reakcją jest flirt? Co to w ogóle znaczy? Przez

ostatnich kilka lat z trudem wykrzesywała z siebie energię, żeby umyć włosy. Tak długo błąkała się po domu przybita, pogrążona w transie, że całkiem zapomniałam, że kiedyś była atrakcyjna. Większość czasu spędza w koszuli nocnej. Ubiera się tylko po to, żeby pójść na drugą stronę ulicy do Gristedes po mięso, które jest na wyprzedaży, bo kończy mu się termin przydatności.

– Brzmi jak życie na krawędzi – śmieje się Peter.

– Przestań – mówię, zostawiając go w korytarzu.

Idzie za mną do pokoju i próbuje mnie objąć, ale strząsam jego rękę.

– Elle, właśnie przeleciałem Atlantyk w czasie szalejącej burzy, żeby zobaczyć się ze swoją śliczną dziewczyną. W której, dla ścisłości, jestem po uszy zakochany. Padam z nóg. W ciągu ostatnich dwunastu godzin miałem w ustach tylko kawałek spleśniałego sera. A w dodatku przemokły mi skarpetki. – Siada na moim łóżku i sadza mnie sobie na kolanach. – Bądź miła.

– Masz rację. – Chowam głowę na jego piersi. – Powinnam się cieszyć, że dostarczyłeś jej rozrywki. I cieszę się, naprawdę. Po prostu kilka ostatnich dni było do kitu. Tęskniłam za tobą.

– Wiem. Dlatego tu jestem. – Kładzie się na moim wiekowym łóżku. Nogi wystają mu na pół metra. – Hm – mówi. – Może jednak powinienem iść spać do twojej matki.

– Nienawidzę cię.

– Wiem. Jak wszystkie kobiety. Taki już mój urok.

Śmieję się wbrew sobie.

1990. 1 stycznia, Nowy Jork

Dziś jest Nowy Rok i jeśli tak ma wyglądać następnych dwanaście miesięcy, to zapowiada się, że będą gówniane. Temperatura spadła poniżej zera i po rodzinnej wyprawie na dim sum do głośnej,

przegrzanej restauracji w Chinatown, gdzie zjadłam o wiele za dużo mięsnych pierożków, na które nie miałam ochoty, a matka pokłóciła się z kelnerem przy płaceniu rachunku, jest mi niedobrze. Teraz Peter naciska, żebym oddzwoniła do ojca.

– Nowy Rok to idealna pora, żeby wyciągnąć gałązkę oliwną – mówi, gdy w podmuchach przejmującego wiatru idziemy Mott Street.

– Cholera. Zostawiłam rękawiczkę w restauracji.

– Pewnie już nią nakarmili jakiegoś biednego frajera – stwierdza Peter.

– Nie bądź osłem.

Dwadzieścia minut później ciśniemy się w budce telefonicznej kilka przecznic od miejsca, gdzie mieszka ojciec. Mam ochotę kopnąć Petera w kostkę. Zakrywam ręką słuchawkę.

– To był koszmarny pomysł – syczę.

– To sprawa między tobą a Mary – mówi ojciec.

– Jakim cudem to może być sprawa między mną a Mary? – warczę.

– Musicie ją jakoś rozwiązać.

– Między nami nie ma żadnej sprawy. Spotkałam ją tylko raz.

– Wiem – mówi ojciec. – I chcę, żeby to się zmieniło. Ona jest dla mnie ważna.

– A ja to co?

– Elle…

– Wmówiła ci, że twoje córki to uzależnione od narkotyków złodziejki.

Po drugiej stronie słuchawki zapada cisza.

– Słuchaj, Mary popełniła błąd. Wiem. Ja popełniłem błąd. I bardzo mi przykro. Czy możemy już o tym zapomnieć?

– Dobra. Ale jeśli myślisz, że moja noga kiedykolwiek postanie w jednym pomieszczeniu z tą bezustą kobietą, to masz nierówno pod sufitem.

– Proszę, nie pogarszaj sprawy.

– Nie próbuj zwalić tego na mnie.

Wzdycha.

– Zaręczyliśmy się. W marcu bierzemy ślub.

– Przecież dopiero co ją poznałeś.

– Wiem, że to dość szybko, ale Mary mówi, że nie ma co zwlekać. Kochamy się.

– Rany. – Kawałek tłustego pierożka podchodzi mi do gardła.

– Chcę, żebyś powiedziała, że to jest okej.

– Jesteś żałosny. – Rozłączam się.

– Nieźle poszło – mówi Peter.

Wpatruję się w słuchawkę. Z tyłu ktoś wydrapał na niej napis „pizda". I dorysował uśmiechniętą buźkę.

– Biorą ślub.

– Ach.

– Dlaczego ja cię posłuchałam? Powinnam się była rozłączyć, jak tylko usłyszałam jej imię.

– Nie próbuj zwalać winy na mnie – mówi Peter.

– Kpisz ze mnie? Tak wolisz? Ojciec właśnie powiedział, że żeni się z kobietą, którą widziałyśmy z Anną tylko raz. I która jest okropna. Nietaktowna. Fałszywa.

Mój parujący oddech osadza się na szkle. Grzbietem rękawiczki robię okienko i wyglądam na ulicę.

– I znowu nie wybrał nas. – Czuję, że zaraz się rozpłaczę, co wkurza mnie jeszcze bardziej. Słabość to jedyna rzecz, którą odziedziczyłam po ojcu. Popołudniowe niebo zamienia się w szary

kamień. Wściekły podmuch wiatru pcha po chodniku noworoczną trąbkę. Patrzę, jak stacza się z krawężnika.

– Elle, to ty robisz z tego albo-albo.

– Co to w ogóle znaczy?

– To ona cię oskarżyła, nie on. On jest w trudnej sytuacji. Kocha cię. I najwyraźniej ją też.

– Przecież nawet go nie znasz – warczę. – Potrzebuję sojusznika, Pete, a nie jakiegoś bezstronnego świadka.

– Wiem, że teraz możesz to odbierać jako zdradę, ale kiedy się uspokoisz, zrozumiesz, że tu nie chodzi o ciebie.

– Uspokoję? Bardzo pomocne.

Peter otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale zmienia zdanie.

– Masz rację, przepraszam. Czy możemy już wyjść z tej budki? Choć bardzo lubię pocić się z tobą i ściskać, zaczyna cuchnąć tu jak w burdelu.

– Ciekawe, skąd wiesz. – Otwieram harmonijkowe drzwi i wychodzę na przejmujące zimno.

Peter idzie za mną. Zaczyna padać śnieg.

– Elle, zaczekaj. – Łapie mnie za rękaw. – Proszę. Kocham cię. To nie nasza kłótnia. – Wciąga mnie w bramę, kryjąc się przed wiatrem. – Bronię twojego ojca, bo chcę, żebyście się pogodzili. Żebym mógł go poznać przed odlotem do Londynu. To wszystko. Kierują mną całkowicie samolubne pobudki. Ale co robić. Nie chcę, żeby się okazało, że muszę wracać do tego lodowatego miasta.

W oddali pojawia się taksówka. Peter wychodzi na ulicę i macha.

– Wracajmy do domu. Położymy się do tego twojego żałośnie krótkiego łóżka i zrobimy postanowienia noworoczne. – Taksówka podjeżdża do krawężnika. – Ja obiecuję, że przestanę starać się wygrywać wszystkie kłótnie.

– Jedź. Spotkamy się na miejscu.

– Elle…

– W porządku. Między nami wszystko gra. Ale masz rację. Muszę się uspokoić. Przewietrzyć głowę.

– I tak oto wygrałem pierwszą sprzeczkę. – Peter ujmuje oba końce mojego szalika, owija mi je wokół szyi i naciąga mi czapkę na uszy. – Wracaj szybko.

Patrzę, jak tylne światła taksówki znikają za rogiem w aureoli śniegu. Na ulicy jest pusto. Nikt o zdrowych zmysłach nie wychodzi na zewnątrz w taką pogodę. Łzy zasychają mi na policzkach w cienkie sople. Trzymając nisko głowę, ruszam Bank Street w stronę budynku, w którym mieszka ojciec.

W jego mieszkaniu na drugim piętrze palą się wszystkie światła. Dzwonię domofonem i czekam. Przez szybę z trawionego szkła w ciężkich mahoniowych drzwiach wejściowych widzę wózek stojący na klatce schodowej, a za nim rower ojca, przypięty i oparty o łuszczący się kaloryfer. Wygląda na to, że w środku jest ciepło i niezbyt porządnie. Dzwonię znowu. Palce u stóp zaczynają mi się zmieniać w sople lodu. Przytupuję, żeby pobudzić krążenie, dzwonię jeszcze raz, długo wciskam brzęczyk. Nic. Wiem, że tam jest, ale nie słyszy domofonu, jeśli drzwi do sypialni są zamknięte. W greckiej kafejce za rogiem jest automat telefoniczny, z którego mogę zadzwonić, już wcześniej z niego korzystałam.

Schodzę po posypanych solą schodkach i brnę wśród brei. Większość kamienic jest rozświetlona i wesoła. Po drodze migają sufity salonów, kuchenny rozgardiasz, mury z cegły. W powietrzu unosi się woń palonego drewna i zadowolenia. Mój oddech zagęszcza się niczym biały dym, tworząc szarobury kłąb. Kosze na

śmieci, z których wysypują się puste butelki po szampanie i pudełka po pizzy, zdążył już przysypać śnieg. Jest kurewsko zimno.

To tylko jedna przecznica, ale gdy docieram do kawiarni, twarz mam zlodowaciałą.

– Proszę zamknąć drzwi – mówi mężczyzna przy kasie, jeszcze zanim zdążę wejść do środka.

Kafejka jest na wpół pusta. Kilka smutnych osób siedzi w boksach z czerwonego winylu, jedząc jajka na bekonie na kaca. Dwóch starszych mężczyzn pije kawę przy barze.

Telefon jest na tyłach, tuż obok łazienki. Mijam boksy, stertę lepkich wysokich krzeseł, automat z papierosami. Facet ze słuchawką w ręku kłóci się zawzięcie. Ma rzednące tłuste włosy. Z tyłu dłuższy kosmyk. Na parapecie obok stoi wysoki słupek dziesięciocentówek. Zdejmuję rękawiczki, ściągam czapkę, grzebię w torebce i wyciągam drobne. Facet wrzuca kilka monet do otworu i odwraca się do mnie plecami. Opieram się o ścianę, czekając, aż skończy.

Kelnerka stawia na ladzie kawałek placka z kremem bananowym, dolewa kawę. Kierownik wtyka za ucho ołówek i wbija do kasy pistacjowy rachunek.

– Przepraszam? – mówię, gdy mężczyzna przy telefonie sięga po kolejne monety. – Długo to jeszcze potrwa?

– Rozmawiam przez telefon, paniusiu.

– Muszę pilnie zadzwonić. To zajmie dwie sekundy.

Zasłania słuchawkę dłonią.

– Skończę, jak skończę. – Pochyla się do telefonu i mówi dalej. – Przepraszam, to tylko jakaś świruska.

Obok mnie na ścianie wisi tania, stylizowana na starą lustrzana reklama coca-coli. Widzę w niej swoje odbicie. Naelektryzowane włosy sterczą mi we wszystkie strony, policzki mam czerwone od

wiatru i ciepłego, suchego powietrza w lokalu. Wyglądam jak bezdomna. Z tyłu słyszę syk kawy spływającej do ekspresu. Brzęczy dzwonek przy drzwiach i powiew zimnego powietrza uderza mnie w kark.

Akurat kiedy dochodzę do wniosku, że ojciec nie jest tego wart, facet przy telefonie krzyczy do słuchawki: „Pierdol się, pizdo", i rzuca ją na widełki. To właśnie jeden z takich dni. Stuka kilka razy, żeby odzyskać monety, i zagląda do pojemnika, żeby się upewnić, czy przez omyłkę jakiejś nie zostawił. Wydobywam dziesięciocentówkę i podchodzę do aparatu.

– Naprawdę ci spieszno, paniusiu, co? – Powoli zapina guziki palta, blokując mi drogę.

– Dupek! – wołam w ślad za nim, gdy idzie do drzwi. Kilka osób podnosi wzrok, ale większość po prostu je dalej.

Dopiero po szóstym sygnale ktoś odbiera. Mary.

– Cześć, Elle. Szczęśliwego nowego roku. – Jej głos jest jak melasa. Nawet przez telefon widzę fałszywy uśmiech.

– Szczęśliwego nowego roku, Mary. Możesz mi dać ojca do telefonu?

– Twój ojciec odpoczywa.

– Muszę z nim porozmawiać. – Wyobrażam sobie jej trawiasty bliźniak i małe wyrachowane oczka.

– Wolałabym mu nie przeszkadzać.

– Jestem za rogiem. Dzwoniłam domofonem, ale nikt nie odpowiadał.

– Tak.

– Czy możesz go zawołać? – Staram się zachować spokój.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Bardzo go zdenerwowałaś. Chciał wybiec z domu bez butów. Zmartwił się.

– Po prostu mi go daj. – Nie potrafię ukryć gniewu.

– Myślę, że oboje potrzebujecie czasu, żeby ochłonąć.

– Słucham?

– Byłaś dla niego bardzo niegrzeczna.

– To sprawa między mną a tatą.

– Nie – mówi. I tym razem nawet nie próbuje ukryć jadu. – To sprawa między tobą a mną.

Robię głęboki wdech, próbując zapanować nad nienawiścią do niej i zawodem, jaki sprawiły mi wszystkie złamane obietnice ojca – ta, którą złożył tamtego lata po rozstaniu z Joanne.

To był sierpień. Anna pracowała jako opiekunka w Amagansett, Conrad był w Memphis, a ja miałam zostać z ojcem, bo mama jechała z Leo na tournée po Francji. Tato podnajął na lato mieszkanie Dixona.

Mama i Leo wsadzili mnie do autokaru Greyhound po drodze na lotnisko Logan, dali pieniądze na kanapkę i napój, gdybyśmy mieli postój, i na taksówkę z Port Authority do mieszkania taty.

– Dlaczego nie może odebrać mnie z dworca? – spytałam.

– Na miłość boską – odparła mama. – Masz trzynaście lat. Powiedział, że przygotuje kolację.

– W porządku. Tylko nie miej do mnie pretensji, jak porwie mnie jakiś stręczyciel szukający dziewczyn na gigancie i skończę jako czternastoletnia prostytutka.

– Oglądasz za dużo telewizji – stwierdziła mama.

Gdy się obudziłam następnego dnia, nie od razu zorientowałam się, gdzie jestem. Ciemny pokój. Przyćmione światło szybu wentylacyjnego. Zapach obcego detergentu do prania. Piętrowe łóżko, ślady kredki na ścianach, brązowa pościel w kwiaty. Pokój Becky. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętałam, był ojciec dający mi jedną

ze swoich tabletek nasennych. Wytarłam z oczu resztki pozbawionego marzeń snu i ruszyłam długim korytarzem, żeby go poszukać. Siedział przy wielkim dębowym stole w ogromnym, skąpanym w słońcu salonie Dixona, czytając rękopis. Miał na sobie swój zwykły weekendowy uniform – lewisy i spraną granatową koszulkę Lacoste. Był boso i leciutko pachniał miętowym mydłem kastylijskim.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się do mnie.

– Cześć, dzieciaku.

– Która godzina?

– Już prawie trzecia. Spałaś siedemnaście godzin. Głodna? W lodówce jest pół kanapki z tuńczykiem.

– Nie, dzięki. Dlaczego mnie nie obudziłeś?

– Albo mogę zrobić kawę. – Odłożył rękopis. – Pijesz kawę?

– Nie wolno mi.

– Nowe zasady.

Poszłam za nim do kuchni i usiadłam na jednym ze stołków stojących przy blacie. Ojciec wyjął z zamrażarki torebkę ziarnistej kawy.

– Trzeba ją trzymać w zamrażalniku, bo inaczej ziarna tracą smak.

Patrzyłam, jak je mieli, dwa razy zatrzymał młynek, żeby nim potrząsnąć.

– W ten sposób będzie równo zmielona – powiedział, wyjmując dwie szklanki z szafki, a potem podgrzał mleko w rondlu. Jest bardzo pedantyczny, jeśli chodzi o kuchnię. – Uwielbiam tę piosenkę. – Pogłośnił radio i zaczął nucić *Rhiannon*. – Angielska muffinka?

– Chętnie.

Wyjął z szuflady widelec, nakłuł muffinkę dookoła, podzielił na pół i włożył do tostera.

– Tak dobrze mieć cię tutaj – powiedział, sięgając do kieszeni. – Dorobiłem ci klucz. – Uśmiechnął się promiennie, jakby to było nadzwyczajne osiągnięcie, i odsunął sobie stołek obok. – No i nareszcie sfinalizowałem rozwód.

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć – czy powinnam się cieszyć, czy smucić. Postanowiłam milczeć.

– Joanne mi to ułatwiła. Postawiła ultimatum: nasze małżeństwo albo moje dziewczynki. Wybór był oczywisty. – Zrobił teatralną pauzę. – Wprawdzie wy z Anną tego nie wiedziałyście, ale Joanne zawsze przeszkadzało to, że mam dzieci.

Udałam, że jestem zaskoczona, starając się nie roześmiać.

Brzęknął toster.

– Przepraszam, że zniknąłem z waszego życia. Joanne wszystko tak strasznie utrudniała. W każdym razie – powiedział, wyjmując z lodówki kostkę masła i słoik angielskiego dżemu – krzyżyk na drogę. Nigdy więcej. Od tej pory jesteśmy tylko ty, ja i Anna. Już nigdy nikt nas nie rozdzieli. Potraktuj to jak obietnicę.

– Mary – syczę teraz do telefonu. – Idź i powiedz ojcu, że muszę z nim porozmawiać. A jeśli nie podejdzie, nigdy więcej się do niego nie odezwę. – Słyszę, jak się namyśla. – Nie podejmuj decyzji za niego. Uwierz mi, Mary, to się obróci przeciwko tobie.

Odkłada słuchawkę na blat. Słyszę oddalające się kroki. Słyszę, jak rozmawia z ojcem. Po kilku minutach wraca.

– Mówi: „Dobrze, jeśli tego właśnie chcesz”.

– Przekazałaś mu, że w takim razie to koniec?

– Tak – odpowiada słodkim głosem. – Przekazałam mu dokładnie twoje słowa.

Jest mi niedobrze, mam wrażenie, jakby mnie ktoś zdzielił pięścią w brzuch.

– Cóż, w takim razie nie mam nic więcej do dodania. Życzę wam udanego ślubu. Ostatni raz, kiedy tata się żenił, panna młoda nie miała majtek. Myślę, że gołe krocze to coś, co lubi. – Rozłączam się, biegnę do łazienki i pochylam się nad muszlą, dopóki mdłości nie ustaną. Nienawidzę go. Nienawidzę jego słabości. Wszystkiego, czego dla nas nie zrobił. Wszystkich tych obietnic. Zdrad bez końca. Ochlapuję twarz zimną wodą. Jestem cała mokra i czerwona, ale przynajmniej mogę oddychać. Muszę się stąd wydostać. Potrzebuję Petera.

Jestem już niemal przy drzwiach, kiedy ktoś za mną mówi:

– Elle?

Głos mu się zmienił. Obniżył, to jasne. Ale rozpoznałabym go w chórze tysiąca innych głosów. Tyle lat wyobrażałam sobie ten moment. Jak by to było. Kim byśmy byli. W mojej fantazji mam pod pachą brudnopis doktoratu o Baudelairze i biegnę na spotkanie z odzianym w sztruks profesorem; albo wychodzę ze stawu po pływaniu – opalona, wysportowana i dojrzała; zero żalu. Przejeżdżam palcami po naelektryzowanych włosach. Mogłabym wyjść, niechby uznał, że się pomylił.

– Elle – mówi Jonas swoim miękkim, spokojnym głosem. Jedna sylaba, ale idealna, jak wyprasowana koszula.

Odwracam się.

Wygląda inaczej. Już nie jak ktoś z lasu, nie tak dziko. Gęste czarne włosy ma przycięte krótko. Ale oczy wciąż są tak samo zielone, morskie – przenikliwe, czyste.

– Rany – mówię. – Rany. Ale numer.

– Tak – przytakuje. – Rany.

– Co ty tu robisz?

– Byłem głodny.

– Nie powinieneś siedzieć w Cambridge z rodziną? Dziś jest Nowy Rok.

– Eliasowi urodziło się dziecko. Wszyscy pojechali do Cleveland. Hopper został ojcem chrzestnym. Ja miałem dużo pracy. A ty jaką masz wymówkę?

– Właśnie zerwałam kontakty z ojcem. Mieszka za rogiem.

Kiwa głową.

– No tak, to było do przewidzenia. Kim był ten facet z tłustymi włosami, na którego krzyczałaś?

– Jakiś dupek.

Uśmiecha się.

– Czyli nie twój chłopak?

– Bardzo śmieszne – mówię i siadam na wprost niego w boksie. – Nie mogę uwierzyć, że to ty. Postarzałeś się.

– Zawsze ci mówiłem, że tak będzie, tylko ty nie chciałaś mi wierzyć. – Pod złachanym wełnianym płaszczem ma spłowiałą roboczą koszulę i dżinsy całe poplamione kolorową farbą.

– Wyglądasz jak psychol – mówię. Ale jeśli mam być szczera, wygląda niesamowicie.

– Za to ty bardzo dobrze.

– Ja wyglądam jak gówno, oboje to wiemy.

Z metalowego pojemnika na stole wyciągam papierową serwetkę i dmucham nos. Patrzę na niego, próbując ogarnąć to, co widzę. On też wpatruje się we mnie z absolutną otwartością – ma to samo wytrącające z równowagi spojrzenie co wtedy, kiedy się poznaliśmy: oczy starca w twarzy młodzieńca.

– Słyszałem, że mieszkasz w Anglii – mówi.

– Tak, w Londynie.

Wskazuje na nijaką czynszówkę na rogu.

– A ja tam.

– Przecież nienawidzisz miasta.

– Jestem w Cooper Union. Studiuję malarstwo. Został mi jeszcze rok. – Podchodzi kelnerka i wisi nad nami, dopóki nie zwrócimy na nią uwagi. – Kawy? – pyta mnie Jonas. – Czy może przestawiłaś się na herbatę?

– Kawy.

– Poprosimy dwie kawy. I dwa słodkie donuty.

– Żadnych donutów.

– Okej, w takim razie jeden donut – mówi kelnerce. – Podzielimy się. No to co takiego jest w Londynie?

– Doktorat. Literatura francuska.

– Dlaczego tam? Dlaczego nie tu?

– Bo dalej.

Jonas kiwa głową.

– A więc – mówię. – Siedem lat.

– Siedem lat.

– Nie wróciłeś do Woods. Zniknąłeś.

– Polubiłem obozy.

– Nie rób tego. Gładkie słówka to nigdy nie była twoja mocna strona.

Ujmuje moją rękę, dotyka pierścionka.

– Wciąż go masz.

Ściągam pierścionek z palca i kładę na stole. Srebrna emalia jest miejscami powycierana, a ząbki ledwie trzymają zielone szkiełko.

– Zdjęłam go pierwszy raz, odkąd mi go dałeś.

– Dziw, że nie dostałaś gangreny.

– W zeszłym roku zostałam napadnięta. W Londynie. Przez skinheada. Próbował mi go zabrać, ale nie chciałam oddać. Powiedziałam, że jest bez wartości. Walnął mnie w żołądek.

– Chryste.

– Zjawił się mężczyzna. Uratował mnie. To dlatego wciąż go mam.

Kelnerka stawia między nami dwa kubki z kawą.

– Słodkich donutów zabrakło. Mamy gniazdka cynamonowe i ciasto bostońskie.

– Myślę, że to wystarczy – mówię. – Mogę dostać mleko?

Kelnerka sięga do pustego boksu po miskę ze śmietankami do kawy.

– Gniazdko z cynamonem – decyduje Jonas.

Patrzę w ślad za nią.

– Jestem z nim teraz. Z tym facetem od pierścionka. Peterem. Jest tutaj. To znaczy u mamy.

– Super. – Jonas sprawia wrażenie nieporuszonego. Bierze śmietankę z miski, odrywa foliowe wieczko i wlewa zawartość do kawy. – Czym się zajmuje?

– Jest dziennikarzem.

– To coś poważnego?

– Tak myślę.

Gryzie ciastko. Na ustach zostaje mu warstewka cynamonu.

– No cóż, mam nadzieję, że mu wyjaśniłaś, że jesteś zaręczona ze mną.

Śmieję się, ale kiedy na niego spoglądam, twarz ma całkowicie poważną.

– Chyba powinnam już iść. Czeka na mnie.

– Zostań. Jeśli kocha, to poczeka. Ja czekałem. Czekam.

– Jonas, przestań.

– Ale to prawda.

– Nie czekałeś. Odszedłeś.

– Co miałem robić, Elle? Wrócić następnego roku i udawać, że nic się nie stało? Chodzić na kurs żeglarski? Pozwolić, żeby między nami było kłamstwo? Przecież wiesz, że bym nie mógł.

Przez wszystkie te lata myślałam o nim, tęskniłam, chciałam wędrować razem z nim po cichych ścieżkach, dwie bliźniacze dusze. Ale teraz, kiedy jest tu ze mną, widzę, że nasze drogi się rozeszły.

– Może masz rację. Nie wiem. Tylko że teraz nie ma już żadnego „my". – I ta prawda jest niemal nie do zniesienia. – Nie znamy się. Nie wiem nawet, gdzie mieszkasz.

– Owszem, wiesz. Po drugiej stronie ulicy, w tamtym zapyziałym budynku.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Jestem dokładnie tą samą osobą, którą byłem wtedy. Może nieco mniej dziwaczną.

– Mam nadzieję, że nie – mówię. – To była twoja najlepsza cecha.

Jonas podnosi pierścionek do światła.

– Powinnaś na niego uważać. Jest cenny. Wydałem na niego całe swoje kieszonkowe.

– Wiem. Ma wielką wartość.

– Nie żałuję tego, co się stało.

– Cóż, powinieneś. Oboje powinniśmy.

– Krzywdził cię.

– Przeżyłabym to jakoś.

Jonas kładzie pierścionek przede mną. Leży na stole między nami. Maleńka rzecz – taka brzydka, taka piękna.

– Nie noszę go dlatego, że mi go dałeś. Noszę go, żeby mi przypominał, co zrobiliśmy.

Wraca kelnerka ze szklanym dzbankiem.

– Dolać kawy? – pyta.

– Nie trzeba, dziękuję – mówię.

– Czy życzą sobie państwo czegoś jeszcze?

– Tylko rachunek. – Zakładam płaszcz i wstaję. – Naprawdę muszę już iść.

Jonas podaje mi pierścionek.

– Weź go. Jest twój. Nawet jeśli przypomina ci o nim.

– Nie.

– Dlaczego nie?

Mogłabym skłamać. Zrobiłabym to, ale nie jemu.

– Bo przypomina mi też o tobie – mówię ze smutkiem.

Jonas wyjmuje długopis i odrywa kawałek serwetki.

– To mój numer. Zadzwoń, jak się opamiętasz. Tylko go nie zgub.

Składam cienki papier i chowam do portfela.

– Niewiarygodnie dziś zimno. – Zakładam czapkę, owijam szyję szalikiem.

– Tęsknię za tobą – mówi.

– Ja też. Zawsze. – Pochylam się i całuję go w policzek. – Muszę lecieć.

– Zaczekaj. Odprowadzę cię do metra.

Na zewnątrz śnieg sypie wielkimi garściami. Jonas bierze mnie pod ramię i chowa moją zimną, pozbawioną rękawiczki rękę do kieszeni swojego płaszcza. Idziemy siedem przecznic bez słowa, słuchając śnieżnej ciszy. Milczenie między nami jest czymś łatwym, znajomym – jakbyśmy szli gęsiego ścieżką na plażę, włóczyli się wśród drzew – wszystko rozbrzmiewa niewypowiedziane.

Szara rozdziawiona paszcza metra pojawia się szybciej, niżbym chciała, wypluwając grupki przemokniętych ludzi w rytm stęchłego betonowego oddechu. Jonas bierze moje dłonie w ręce.

– Wiesz, że nie musisz za mną tęsknić.

Wyjmuję jedną dłoń i kładę na płask na jego policzku.

– Owszem. Muszę.

Przyciąga mnie do siebie tak szybko, że nie mam czasu zareagować. Całuje z intensywnością wszystkich dni, miesięcy i lat naszej miłości. To nie jest pierwszy pocałunek. Tamten zdarzył się dawno temu pod wodą, kiedy byliśmy dziećmi – kiedy żegnaliśmy się po raz pierwszy, wiedząc, że zobaczymy się znowu. Ale teraz, kiedy się od niego odrywam, czuję przejmujący ból. Nie odnalezienia, tylko straty. Waham się, stoję na skraju wspomnienia i desperacko chcę w nie skoczyć, ale wiem, że nie mogę. Jonas należy do świata zwierząt, Peter – do świata minerałów. A ja potrzebuję skały.

– Do zobaczenia – mówię. Oboje rozumiemy, co to znaczy.

– Elle… – woła, kiedy schodzę do metra. Zatrzymuję się, ale tym razem się nie odwracam. – Peter nie jest facetem od pierścionka – oznajmia. – Ja jestem.

23

1991. Luty, Londyn

W Heath jest pusto. Tylko kilkoro ponurych miłośników psów, którzy stoją z dala od siebie, patrząc, jak ich drżący pupile zrywają się ze smyczy, łapy niczym kurze kostki mają uwalane w błocie i świetnie się bawią kosztem właścicieli. Pada deszcz. Żadna ulewa czy potop, tylko niekończąca się mżawka z ołowianego, wiszącego nisko nieba, zaprojektowana specjalnie po to, żeby zmusić człowieka, by wziął się w garść. Czarny pies pędzi przez łąkę, goniąc w deszczu czerwoną piłeczkę.

Wprowadziłam się do mieszkania Petera w Hampstead, wytwornego i strzelistego, z gipsowymi gzymsami. Wzdłuż ścian stoją regały pełne oprawnych w skórę tomiszczy poświęconych budowie okrętów czy Agrypie, które Peter naprawdę przeczytał. Wieczorami, gdy wraca z City, rozpalamy w kominku porządny ogień, zwijamy się razem na sofie pod pierzyną, a on czyta mi najnudniejszą książkę, jaką uda mu się znaleźć, aż zaczynam błagać, żeby przestał i zamiast tego się ze mną kochał.

Mieszkanie byłoby boskie, gdyby jego matka nie ozdobiła go surowymi aksamitnymi sofami o nóżkach w kształcie lwich łap i rycinami przedstawiającymi psy myśliwskie z martwym ptactwem

w pysku. Jedną szczególnie ohydną scenę śmierci Brata Królika Peter zakleił plakatem The Clash, a na szezlongi narzucił kilimy. Ale wciąż czuję tu jej obecność, mam wrażenie, że nas szpieguje oczami onieśmielającego przodka, którego obraz wisi nad naszym łóżkiem. Wiem, że nie była zadowolona, kiedy się wprowadziłam. Młoda amerykańska przyjaciółka jest do przyjęcia, pod warunkiem że wszystko się skończy, kiedy wróci do swojego koszmarnego kraju.

W dni takie jak dziś, kiedy Peter siedzi w biurze, a ja zostaję sama w domu, próbując skończyć doktorat, chodząc po pokojach, wyjadając nutellę ze słoika i niczego nie osiągając, czuję, jak wpatruje się we mnie ze ścian i sufitów, jakby pokryła je gładzią swojej dezaprobaty. Gdyby tylko wiedziała, jak słusznej.

U podnóża naszej ulicy jest stary pub z tarasem, idealnym, by na nim przesiadywać w słoneczne dni. Dalej znajduje się rozległy teren Heath z jego dzikimi, niebezpiecznymi polami i lasami upchniętymi w środku miasta. Tutejsze drzewa są sękate, druidyczne, ich korzenie wyciągają się dokoła jak palce ślepo szukające przeszłości, którą wciąż pamiętają. Pomiędzy nimi biegną wąskie ścieżki, wytarte szlaki, które znikają w głębokich kotlinach – zarośniętych, gnijących, kryjących lisie nory i mężczyzn krążących po zmroku w poszukiwaniu kogoś, kto zrobi im loda.

Zwykle popołudniami spaceruję po Heath, żeby mój umysł przewietrzył się po zbyt wielu godzinach gapienia się na maszynę do pisania. Dziś zaplanowałam solidny długi spacer – od Parliament Hill aż do Kenwood House – ale zaczął padać deszcz, teraz mocniejszy, rozmiękczając świat, dlatego zmieniam trasę i ruszam skosem przez pole, mijając po drodze stawy kąpielowe.

Dwóch starszych panów w podobnych niebieskich czepkach i workowatych kąpielówkach stoi na brzegu, białą, pergaminową

skórę mają przejrzystą, deszcz monotonnie bębni im w plecy. Widzę ich prawie codziennie. To takie brytyjskie – czerpać przyjemność z obowiązku, podtrzymywać prawo do pływania w zimnym, nieapetycznym stawie w środku parku tylko dlatego, że można. Z tego samego powodu matka Petera upiera się, żeby iść przez ogród sąsiadów albo zagrody dla świń i rozganiając kaczki i gęsi, przeciskać się przez drewniany kołowrót: bo istnieje coś takiego jak prawo do przejścia, a przyjemność legalnego wkroczenia na cudzy teren jest znacznie czystsza niż wygodne obejście przeszkody.

Teraz, gdy pospiesznie mijam staw, widzę, jak obaj pływacy przedzierają się z wysiłkiem przez wodę, ich ruchy są idealnie zsynchronizowane – dwie jaskrawoniebieskie głowy skorpuch w posępnej toni. Woda musi być lodowata.

Już prawie wyszłam z parku, gdy wtem słyszę z tyłu jakieś wrzaski. Kobieta z małym pieskiem krzyczy, machając rękami. Mężczyzna po drugiej stronie pola słyszy ją i rzuca się pędem, ale ja jestem bliżej, dobiegam pierwsza.

– On tonie! – woła kobieta, rozpaczliwie wskazując na staw. – Nie umiem pływać.

W dole widzę tylko jedną niebieską głowę.

– Był tam. – Pokazuje palcem. – Wołał pomocy. Nie umiem pływać.

– Niech pani dzwoni po pogotowie! – krzyczę.

Jestem w stawie, zanim zdążę się zastanowić. Kopnięciem zrzucam buty, płaszcz przeciwdeszczowy i ciężki sweter zostawiłam gdzieś po drodze. Woda jest cieplejsza, niż się spodziewałam, czystsza. Wynurzam się sześć pociągnięć od starszego pana. Pływa w miejscu, drżąc z szoku. Przerażony wzrok wbił w powierzchnię stawu, szuka śladu przyjaciela.

– To było nasze trzecie okrążenie – mówi. – Zawsze robimy sześć.

– Niech pan wraca na brzeg.

Schodzę pod wodę, wypatruję w mroku czegoś innego, plamy koloru. Wynurzam się, żeby zaczerpnąć powietrza, i nurkuję znowu, tym razem głębiej, aż do zarośniętego trzcinami dna. Przed sobą widzę cień czegoś niebieskiego.

Ratownicy zjawiają się w chwili, kiedy docieram na brzeg zdyszana, ciągnąc bezwładne ciało. Dwóch wchodzi do wody, żeby mi pomóc, ale ich odtrącam.

– Ratujcie go – sapię. – Proszę, uratujcie go.

Jego przyjaciel stoi, trzęsąc się, na małym drewnianym pomoście. Kobieta okryła go płaszczem. Patrzymy, jak ratownicy walą w smutną białą pierś i wdmuchują powietrze w usta topielca. Wstrzymuję oddech, czekam, aż woda z jego płuc wydostanie się wraz z kaszlem, a on otworzy oczy zaskoczony, jak gdyby właśnie wypluł żywą żabę. W mętnej płyciźnie niebieski czepek krąży przy brzegu.

Gdy wchodzę do domu, Peter już jest, leży na niewygodnej sofie, czytając. Musiał dopiero przyjść, bo w popielniczce jest tylko jeden niedopałek, a herbata w kubku wciąż paruje. Stoję w drzwiach bosa, ociekając wodą, na macie z włókna kokosowego tworzy się kałuża.

– Złapał cię deszcz – mówi Peter, odkładając książkę. – Rozpalę ogień.

Przymarzłam, moje serce nagle staje się strasznie ciężkie.

– Chodź. – Peter podchodzi i daje mi buziaka. – Zdejmiemy z ciebie te mokre rzeczy.

– Właśnie utonął w stawie starszy pan.

– Teraz?

– Pływał tam codziennie. Razem z przyjacielem.

– I ty to widziałaś? Biedactwo.

Jestem otępiała. Zbyt otępiała, żeby cokolwiek czuć.

– Nie dotarł nawet na dno. Wciąż opadał, kiedy do niego dopłynęłam.

– Chwileczkę – mówi Peter. – Zaczekaj. Rzuciłaś mu się na ratunek? Do stawu?

– W wodzie było ciemno, ale zobaczyłam jego czepek.

– Chryste, Elle. – Peter szuka papierosa, a potem go zapala.

– Ratownicy już tam byli, kiedy go przyciągnęłam do brzegu. Wyglądał jak taki płód, co się go trzyma w formalinie.

– Mogłaś się utopić. Cholera, co ty sobie myślałaś? – mówi głosem szorstkim z miłości i zmartwienia.

Odwracam wzrok. Chciałabym mu powiedzieć, wyjaśnić. Musiałam go uratować. Kropla w morzu. Ale nie potrafię.

Otacza mnie ramionami i przytula mocno.

– Zrobimy ci gorącą kąpiel.

– Nie. Żadnej wody.

Zdejmuje ze mnie mokre ciuchy i zanosi mnie do łóżka. Kładzie się razem ze mną w ubraniu i otula mnie swoim ciałem. Lubię dotyk jego koszuli, sprzączki przy pasku, spodni na mojej nagiej skórze, taki materialny, konkretny, natarczywy.

– Powinieneś zdjąć buty – mówię.

– Pójdę ci zrobić herbaty. Nie ruszaj się. Szczerze mówiąc, nie zamierzam cię już nigdy stąd wypuścić.

Moja skóra nie chce się rozgrzać. Naciągam mocniej kołdrę, ale wciąż się trzęsę. Nie mogę przestać myśleć o ciele idącym na dno, o owodniowych objęciach śmierci – z jaką gracją opadało. Słucham szumu wody, którą Peter nalewa do czajnika elektrycznego, szczęku sztućców, gdy otwiera szufladę. Wyobrażam sobie wszystkie jego

najdrobniejsze gesty: jak wybiera kubek, który mi się spodoba, wrzuca dwie torebki PG Tips zamiast jednej, zaparza herbatę czterdzieści sekund dłużej niż ja, nalewa dość mleka, żeby nabrała odpowiedniego różowo-beżowego odcienia, nie za jasnego, dosypuje hojną łyżeczkę cukru.

– Whisky razem czy osobno? – pyta, przynosząc napój.

– Muszę wracać do domu – mówię. – Mam dość tego deszczu.

– Jakiego deszczu?

24

1993. Wrzesień, Nowy Jork

Kotka wyciągnęła się na skąpanym w słońcu parapecie obok doniczki z czerwonymi pelargoniami. Jej długi ogon porusza się w przód i w tył niczym winorośl, strącając opadłe płatki na drewnianą podłogę. Jeden wylądował jej na plecach i przylgnął do szylkretowego futerka niczym smuga czerwonej farby. Dzwoni telefon, ale go ignoruję. Nie jestem w nastroju, żeby z kimkolwiek rozmawiać. Dziś nienawidzę całego świata.

Peter pije kawę, czytając gazetę w kuchni naszego mieszkania w East Village.

– Odbierzesz? – woła. – Mogą dzwonić z redakcji.

Petera nienawidzę najbardziej ze wszystkich. W mieszkaniu śmierdzi papierosami, na ścianach, włącznikach światła i z tyłu krzeseł są odciski farby drukarskiej. Mieliśmy w weekend pojechać na północ stanu, żeby świętować moje urodziny, ale odwołał wyprawę. Za dużo pracy. A jednak jakimś cudem ma czas na niedzielną gazetę i kawę. Jego brudne spodenki leżą na stercie obok łóżka, czekając, aż je pozbieram i wrzucę do prania. Kupił odtłuszczone mleko. Nienawidzę odtłuszczonego mleka, jest półprzejrzyste i ma kolor żył.

Ignoruję jeszcze dwa dzwonki, żeby go zirytować, i dopiero potem sięgam po słuchawkę, ale sekretarka włącza się pierwsza.

– Eleanor? – pyta zdezorientowany drżący głos. – Eleanor? To ty?

Chwytam telefon.

– Jestem tu, babciu – wołam, bojąc się, że odłoży słuchawkę, jakby mój głos mógł ją złapać w powietrzu.

Teraz, kiedy dziadek nie żyje, ojciec i Jędza postanowili przenieść babcię Myrtle z farmy w Connecticut do domu opieki. Nie jakiegoś miłego domu, z dużym, okrągłym podjazdem otoczonym słodko pachnącym żywopłotem i troskliwymi pielęgniarkami, które nakarmią człowieka talerzem gorącej zupy i mu poczytają. Tylko do jakiegoś gównianego zakładu w Danbury, gdzie czuć sikami i pracuje zastęp kiepsko opłacanych pomocy pielęgniarskich – budynek z pustaków, brudne podłogi, fioletowo-brązowe korytarze bez okien.

Dałam babci słowo, że na to nie pozwolę. Że zostanie u siebie w domu. Powiedziała ojcu i Mary, że jeśli o to chodzi, wcale nie będą musieli płacić za całodobową opiekę. Jest zdrowa jak ryba. Potrafi o siebie zadbać. Jedna miejscowa dziewczyna może jej robić zakupy, zajmować się drobniejszymi porządkami i przynosić pocztę ze skrzynki na dole. Babcia da sobie radę. Bo tego właśnie obawia się Jędza – że ich potencjalny spadek mógłby pójść na prywatne opiekunki. Ojciec obiecał, że jej nie przeniesie, jeśli uda mu się znaleźć rozwiązanie, które zadowoli wszystkich. Martwią się, że babcia się przewróci, mówi. Chyba że jestem gotowa spędzać z nią każdy weekend, żeby zastępować dochodzącą pomoc. „Zrobię wszystko, co będzie trzeba”, oznajmiam.

– Eleanor – mówi teraz babcia drżącym głosem. – To ty?

– To ja, babciu.

– Boję się. – Płacze. Nigdy nie słyszałam, żeby babcia płakała.

– O co chodzi? Co się stało?

– Nie wiem, gdzie jestem. – Zaczyna szlochać.

– Nie płacz, babciu, proszę, nie płacz.

– Umieścili mnie w tym miejscu. Tu jest zimno. Nie mogę znaleźć lampki do czytania. Gdzie są wszyscy? Boję się, Elle. Proszę, zabierz mnie stąd.

Zalewa mnie fala gniewu, karmazynowej wściekłości.

– Chwileczkę. Gdzie jesteś? Kto cię umieścił?

– Nie wiem. Nie wiem. Przyszli i mnie tu przywieźli. – Głos ma słaby, jak u dziecka.

– Kto przyszedł?

– Mary i jej przyjaciel. Powiedziała, że ciśnienie krwi mi nagle skoczyło. Powiedziała, że mam umówioną wizytę u lekarza w szpitalu. Zadzwoniłam do Henry'ego. Kazał mi z nią jechać. Nie wiem, co robić. Gdzie są moje koce?

– Babciu, muszę zadzwonić do taty. Wszystko załatwię. Zabiorę cię stamtąd przed nocą. Nie martw się.

– Ciemno tu. Nie ma okna. Nie mogę oddychać. Przyjedź zaraz! – Sprawia wrażenie zdezorientowanej i spanikowanej, jak koń uwiązany w płonącej stajni.

Jedyne, czego chcę, to przytulić jej kruche, kościste ciało.

– Zaraz to załatwię. Już po ciebie jadę.

– Kto to? – pyta.

– Będę w ciągu kilku godzin. Postaraj się uspokoić.

– Nie wiem, kim jesteś – mówi babcia.

– To ja, Eleanor. Natychmiast dzwonię do pielęgniarek. Przypilnuję, żeby przeniesiono cię do pokoju z oknem.

– Nie wiem, kim jesteś – powtarza.

Z oddali dobiega mnie głos mężczyzny, który każe jej stać spokojnie. Telefon upada, ale słyszę, jak babcia rzuca się na łóżku.

– Odejdź ode mnie! – krzyczy. Ktokolwiek to jest, przerywa połączenie.

W wypożyczalni samochodów jest kolejka. Kobieta za kontuarem chyba myśli, że pracuje na poczcie. Z biura na tyłach wyłania się kierownik i wszyscy wydajemy westchnienie ulgi. Ale on, zamiast otworzyć drugie stanowisko, wstukuje do jej komputera jakiś kod odblokowujący, mówi coś, co sprawia, że kobieta śmieje się fałszywie, a potem znika u siebie.

– Przepraszam? – wołam. – Czy może pani zawołać kogoś do pomocy?

– Proszę pani, pracuję tak szybko, jak się da. – Dla podkreślenia tych słów wstaje i powoli, jakby brodziła w błocie, podchodzi do drukarki.

– Przepraszam – mówię w nadziei, że uda mi się odzyskać jej względy. – Moja babcia jest w szpitalu i muszę do niej jechać. Nie chcę robić awantur.

– Każdy z nas musi gdzieś jechać. – Odwraca się do mężczyzny stojącego przed nią, obdarza go zbolałym uśmiechem i wywraca oczami. Chce mu dać do zrozumienia, że nie ma pretensji do niego, tylko do mnie.

Przyjeżdżam piętnaście minut przed końcem odwiedzin, łapię torebkę i biegnę. Do recepcji docieram zdyszana.

– Chciałam się zobaczyć z babcią.

Kobieta za kontuarem patrzy na mnie osłupiała, jak gdyby nigdy wcześniej nie widziała tu żadnych gości. Spogląda na zegarek.

– Już po godzinach odwiedzin.

– Nie. Zostało jeszcze piętnaście minut. Myrtle Bishop?

Wzdycha. Nie płacą jej dość, żeby zajmowała się jeszcze tym gównem.

– Przykro mi – mówi. – Spóźniła się pani.

Praktycznie tupię nogą.

– Właśnie przyjechałam z Nowego Jorku. Po drodze był taki korek, że samochody siedziały sobie na zderzaku. Babcia jest stara i słaba, czeka na mnie. Nie może być pani po prostu miła?

– Proszę pani – mówi kobieta za kontuarem. – Pani Bishop zmarła godzinę temu.

Babcię chowamy obok dziadka na starym cmentarzu po drugiej stronie drogi. Uświadamiam sobie, że większą część życia spędziła, patrząc na miejsce, gdzie będzie się rozkładać jej ciało. Stoimy pod groźnym niebem obok nagiej jamy w ziemi. Cmentarz rozrósł się w górę zbocza. Stary grób samobójcy, przy którym bawiłyśmy się z Anną, otaczają teraz nagrobki miłych, zwyczajnych ludzi. Anna stoi obok elegancka i szczupła w czarnej wełnianej sukience – babci by się podobało. Gdy pierwsza łopata ziemi spada na ebonizowane drewno, ściska mnie mocno za rękę. Zaczyna padać deszcz, stuka w trumnę niczym akompaniament. Ojciec stoi po drugiej stronie grobu, jego ramiona falują od łez. Parasol mu się odchylił. Krople deszczu lądują na czarnym filcowym kapeluszu. Od chwili śmierci babci jestem w rozpaczy, mój umysł wpadł w pętlę żalu i samooskarżeń. Dlaczego nie działałam szybciej, dlaczego nie ruszyłam z odsieczą w chwili, gdy ojciec i Mary zagrozili, że ją przeniosą. To była jedyna osoba w moim życiu, która w dzieciństwie potrafiła sprawić, że czułam się bezpieczna, która chroniła mnie przed duchami, czytała mi do snu, karmiła białkiem i warzywami, której miłość nigdy nie osłabła. A ja ją zawiodłam. Dosłownie umarła ze strachu.

Pastor zamyka modlitewnik z oślimi uszami. Szloch ojca staje się rozpaczliwy, gardłowy. Zatacza się w stronę Mary. Ona otwiera szeroko ramiona, żeby go przytulić, ale ojciec mija ją i zamiast tego obejmuje mnie. Przeżywam chwilę triumfu, gdy widzę, jak upokorzona zaciska czerwone usta.

Trzymam ojca blisko, na policzku czuję zimną wilgoć jego trencza.

– Nie masz prawa płakać – szepczę mu do ucha.

Po pogrzebie wszyscy przechodzimy na drugą stronę drogi i stromym podjazdem idziemy do domu. Deszcz ustał, ale drzewa w sadzie – dzikie jabłonie i śliwy wciąż ciężkie od niezerwanych owoców – płaczą w wysokie trawy pod konarami.

Zostawiam Annę i Petera w salonie – robią drinki, omawiając sprawę, nad którą pracuje moja siostra. Anna jest prawniczką w eleganckiej kancelarii w centrum LA. „Cóż, wolałabym, żebyś zajmowała się czymś związanym ze sztuką, ale to chyba dobrze, że udało ci się znaleźć ujście dla tej swojej przerażającej wojowniczości w pracy" – brzmiały gratulacje mamy, gdy Anna zadzwoniła, żeby powiedzieć, że dostała posadę. Idę korytarzem do naszej starej sypialni obok kuchni. Wygląda tak samo jak zawsze: nasze bliźniacze łóżka są posłane, ulubione książki z dzieciństwa wciąż stoją na półce, a czerwona puszka po tytoniu jest pełna ogryzków kredek. Wiem, że jeśli wejdę do łazienki dla gości i pomacam ręką na półce nad sedesem, znajdę paczkę mentolowych papierosów ukrytych w miejscu, gdzie, jak sądziła, nikt ich nie znajdzie. Wśród wielu cudownych rzeczy w mojej babce najcudowniejsze było to, że wszystko zawsze było takie samo. Cytrynowo-drzewny zapach domu, małe butelki piwa imbirowego schowane na tyłach lodówki z myślą o gorących dniach. Srebrny naparstek, który matka dała jej, gdy była małą dziewczynką, w lawendowym pudełku na komodzie.

Otwieram szafę. Jeśli o mnie chodzi, ojciec i Jędza mogą wziąć wszystko. I tak zresztą wszystko zabiorą. Anna niech sobie walczy z nimi o łóżko z baldachimem i pierwsze wydanie *Gatsby'ego*. Ja chcę zachować tylko jedną rzecz. Sięgam za zakurzoną stertę gier planszowych – stare scrabble i chińskie warcaby. Gra w życie. Macam w poszukiwaniu naszej skrzyni skarbów: puszki z papierowymi lalkami, które robiłyśmy z Anną. Ale jej tam nie ma. Wyciągam z szafy wszystko i kładę na podłodze. Sprawdzam w bieliźniarkach i pod łóżkiem. Nic.

Anna jest w jadalni, rozmawia przez komórkę.

– Nie. Zostań na dwudziestcedwójce. Za Pawling – słyszę, jak mówi, gdy przechodzę obok. Jej nowy chłopak, Jeremy, właśnie przyleciał z LA. – I nie spiesz się. Drogi są mokre, a i tak już po pogrzebie.

W salonie żałobnicy jedzą krakersy z serem brie, w ręku trzymają mocne drinki. Ojciec siedzi sam na kanapie, wpatrując się w przestrzeń. Na jednym z jego wypastowanych czarnych butów widzę smugę błota. Sprawia wrażenie zdezorientowanego, jakby czekał, aż z kuchni wyłoni się babcia z fartuszkiem przewiązanym w pasie, niosąc talerz kruchych ciasteczek.

– Tato. – Siadam obok. – Szukałam blaszanego pudełka, które stało w szafie w naszym pokoju. Było, jak ostatnio tam zaglądałam. Jak myślisz, gdzie babcia mogła je postawić?

– Papierowe lalki?

– Tak – mówię. – Szukałam wszędzie.

– Kilka tygodni temu przyjechała tu z nami siostrzenica Mary. Podobały jej się. Mary powiedziała, że może je sobie wziąć.

Wstaję z sofy.

– No cóż, powinnam już iść. Im szybciej wszyscy się stąd wyniosą, tym szybciej będziesz mógł sprzedać dom.

Sięgam na biblioteczkę za jego głową i wyciągam z półki dziadkowy skarb – pierwsze wydanie *Wielkiego Gatsby'ego*.

– Biorę to dla Anny.

Peter wiezie nas do domu, za szybko biorąc śliskie zakręty. Długie światła naszego samochodu drążą tunel w nocnym deszczu. Przed nami drzewa po obu stronach drogi pochylają się niczym ogromne marionetki w teatrze cieni. Nie gra radio. Zamykam oczy. Słucham pracujących bez przerwy wycieraczek. Nie mogę mówić. Nie jestem w stanie nawet płakać. Wpadamy w poślizg na ostrym zakręcie w kształcie litery S, ale Peter wyprowadza nas na środek i przyspiesza. Nie każę mu zwolnić. Jestem wdzięczna za to, że coraz bardziej zwiększa dystans między moją przeszłością a teraźniejszością.

– Nienawidzę go – mówię w końcu.

– W takim razie ja też go nienawidzę. – Zdejmuje rękę z kierownicy i otacza mnie ramieniem. – Przysuń się. – Przyciąga mnie do boku.

Samochód gwałtownie skręca, ale mi to nie przeszkadza.

25

1994. Kwiecień, Nowy Jork

Odsuwam krzesło i się przeciągam. Poprawiałam prace chyba z dziesięć godzin. Podnoszę słuchawkę i dzwonię do Petera.

Odpowiada po jednym dzwonku.

– Hej, ślicznotko. Tęsknię za tobą.

– W takim razie to dobrze, że się zaraz zobaczymy. Skończyłam. Gdybym miała przeczytać jeszcze jedną pracę na jakiś oczywisty temat typu „Feminizm i Colette" czy „Apologia homoseksualizmu u Gide'a", to chybabym się zastrzeliła. Chcesz, żebym przyszła do ciebie do redakcji, żebyśmy mogli pójść razem?

– Muszę dokończyć ten tekst. Najlepiej spotkajmy się na miejscu, na wypadek gdybym utknął.

– Nie utknij. Nienawidzę takich imprez. – Tłumu osób pasożytujących na sztuce, które udają, że cesarz nie jest nagi. Rodzice Petera przylatują do miasta na otwarcie Whitney Biennial i mamy się tam z nimi spotkać.

Słyszę, jak Peter zapala papierosa i wciąga dym.

– To, że ty nie lubisz sztuki konceptualnej, nie oznacza, że reszta świata jest w błędzie.

– Trzy słowa: Michael. Jackson. Bubbles.

– Matka mówi, że w tym roku pokaz ma być bardzo „polityczny”.

– Dokąd chcą nas zabrać na kolację?

– W jakieś miłe miejsce. Nie mogą się doczekać, żeby się z tobą zobaczyć.

– Nie mogą się doczekać, żeby zobaczyć się z tobą. Ja jestem kobietą, która porwała ich syna i kazała mu żyć wśród dzikusów.

Peter się śmieje.

– Będę najszybciej, jak się da. Obiecuję.

Wysiadam z pociągu przy Siedemdziesiątej Siódmej i Lex. Jest idealny wiosenny wieczór – złoty zapach glediczji, kamienice pochłaniające ostatnie promienie słońca. Przecznicę od Whitney siadam na schodkach, żeby zmienić buty do biegania na parę pantofli na płaskim obcasie, maluję usta i poprawiam cycki. Mam na sobie ulubioną jasnoniebieską sukienkę koktajlową z lnu, ale dekolt jest odrobinę zbyt wycięty i jeśli ich nie podniosę i nie rozdzielę, mojej cycki będą wyglądały jak pupa niemowlęcia.

Whitney to istny dom wariatów, na betonowym pomoście prowadzącym do wejścia jest gęsto od ciał – jak w pospiesznym w godzinach szczytu. Jeszcze nie zdążyłam wejść do środka, a już jestem wkurzona. Przy drzwiach kobieta wręcza mi przypinkę z napisem „Nie potrafię sobie wyobrazić, żebym kiedykolwiek chciała być biała”. Łapię kieliszek wina z tacy i wchodzę w tłum. Jeśli wybuchnie pożar, zostanę stratowana na śmierć.

Umówiliśmy się, że z rodzicami Petera spotkamy się przy windach, ale jeszcze ich nie ma. Udało mi się znaleźć kawałek wolnej przestrzeni przy ścianie – opieram się, sącząc wino, i przyglądam się pięknym ludziom przedzierającym się przez hol. Ciemnowłosy kelner z lampkami szampana odchodzi w stronę tłumu.

– Mogę kieliszek? – pytam, ale w tym hałasie mnie nie słyszy. Pociągam go za rękaw, żeby zwrócić na siebie uwagę, zanim pochłonie go rojowisko. Taca w jego ręce przechyla się i przez chwilę wygląda na to, że nad nią nie zapanuje, ale udaje mu się podążyć za jej ruchem i utrzymać wszystkie lampki prosto. Nie uronił nawet kropli.

– Kretynka – słyszę, jak mamrocze, przeciskając się naprzód i nie pozwalając mi wziąć szampana z tacy.

Znam ten głos.

– Jonas?

Odwraca się gniewnie. Nie Jonas.

Gdy patrzę, jak odchodzi, ogarnia mnie smutek, rozczarowanie, którego się nie spodziewałam, uczucie, jakby ktoś zdzielił mnie w żołądek – jakby ułaskawiono mnie, a po dziesięciu sekundach powiedziano, że wyrok śmierci jednak zostanie wykonany. Minęły cztery lata od spotkania w kawiarni. Od chwili, kiedy Jonas mnie pocałował. I od wiadomości, którą następnego dnia zostawił na sekretarce matki – skasowałam ją, opiekłam bajgla i zaniosłam Peterowi kawę do łóżka, wiedząc, że Jonas jest tym, co mogło być. Może nawet tym, co p o w i n n o być. Wiedząc, że jest za późno.

Peter jest tym, co jest. Nasze wspólne życie jest dobre. Cudowne. Jesteśmy zakochani w swojej realności – w przepychaczach do sedesu, porannym oddechu, bieganiu do sklepiku na dole po tampaksy, zasypianiu przy Lettermanie, wznoszeniu okrzyków przy wasabi. Ale wszystko to teraz nie ma znaczenia. Sięgam do torebki i wyjmuję portfel spęczniały od paragonów, które muszę wyrzucić, wizytówek taksówkarzy, które wzięłam, żeby nie ranić ich uczuć, kilku starych fotografii, karty kredytowej z przekroczonym limitem. Szperam w zakamarkach za okienkiem na zdjęcie, z którego wygląda

na mnie szkaradna fotografia z prawa jazdy. Wyciągam złożoną papierową serwetkę. Numer wyblakł, ale wciąż jest czytelny.

W kącie holu, nieopodal sklepu z pamiątkami, jest automat telefoniczny. Jonas odpowiada po czwartym sygnale i tym razem wiem, że to jego głos.

– To ja – mówię.

Milczenie. Zgiełk w holu za moimi plecami jest ogłuszający. Przyciskam słuchawkę mocno do ucha, drugie zatykam palcem wskazującym, próbując stworzyć bańkę ciszy.

– To ja – powtarzam, tym razem głośniej.

Do muzeum wchodzi mężczyzna w różowym lateksowym stroju, uwieszona jego ramienia kobieta jest wyższa o głowę, ubrana w marynarkę Chanel i cienkie pończochy, które w żaden sposób nie zakrywają jej nagości. Patrzę, jak idą przez hol, przesyłając zgromadzonym całusy.

– Jonas? Jesteś tam? Tu Elle.

Słyszę, jak wzdycha.

– Wiem, kto to. Dzwonisz do mnie po pijaku?

– No co ty! Jestem w Whitney.

– Aaa – mówi. – Myślałem, że jesteś w Londynie.

– Przeprowadziliśmy się. Przed chwilą zdawało mi się, że cię widziałam. Ale to tylko kelner. Byłam pewna, że to ty.

– Nie.

– Wiem. Jesteś tam.

Czeka, aż powiem coś więcej.

– W każdym razie stałam sama w tym tłumie palantów ubranych w vintage'owe ciuchy Fiorucci, czekając na Petera, i pomyślałam…

– …pomyślałaś: „palanty – Jonas. Wprawdzie się do niego nie odezwałam, ale na pewno będzie zachwycony, jak zadzwonię, bo

mam pięć minut, zanim przyjdzie mój chłopak”.

– Nie bądź palantem – mówię. – Odzywam się teraz.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

Po drugiej stronie słuchawki panuje cisza. Za plecami mam ścianę dźwięku.

– W porządku – mówi.

– Dzięki Bogu. Bałam się, że będziesz zły.

– Byłem. Ale najwyraźniej mam kręgosłup węża. Jak się masz?

– Dobrze. Wróciliśmy w zeszłym roku. Tęskniłam za domem. W Londynie ciągle pada.

– Obiło mi się o uszy.

– Peter dostał pracę w „The Wall Street Journal”. Mieszkamy przy Tompkins Square Park, więc mam widok na zieleń. I ćpunów. – Milknę. – Chciałam się odezwać.

– To dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Bo prosiłeś, żebym wybrała.

Jonas wzdycha.

– Prosiłem, żebyś wybrała mnie.

Operator przerywa, każąc mi wrzucić dziesięć centów, jeśli chcę rozmawiać przez następne trzy minuty. Wsuwam monetę do otworu i czekam na szczęknięcie.

– W każdym razie – mówi Jonas tonem wskazującym, że chce zakończyć rozmowę – jestem zajęty, muszę wracać do roboty.

– Zobaczymy się?

– Pewnie. Masz mój numer. – W jego głosie słyszę rezerwę, chłód i czuję nagłe ukłucie paniki. Jeszcze go nie straciłam, ale każdą cząsteczką ciała wiem, że za chwilę wszystko przepadnie.

– Może jutro?

– Wolałbym za dwa tygodnie.

Po drugiej stronie holu widzę Petera, razem z rodzicami przeciska się przez tłum, kierując się w stronę wind. Odwracam się tyłem, żeby mnie nie zobaczył.

– Jeśli chcesz wiedzieć, zadzwoniłam, bo strasznie się ucieszyłam, kiedy pomyślałam, że ten kelner to ty. Byłam taka szczęśliwa. A potem się okazało, że to nie ty, i wtedy już tylko musiałam cię natychmiast zobaczyć. To nie mogło czekać. Nie mogłabym oddychać, gdybym nie usłyszała twojego głosu. Wciąż miałam twój numer w portfelu. Podeszłam do automatu i zadzwoniłam.

– To brzmi nieco teatralnie nawet jak na ciebie – mówi Jonas.

Śmieję się.

– Tak, trochę. Ale to prawda.

– W takim razie zobaczmy się teraz – mówi cicho.

Peter patrzy na zegarek, rozgląda się dokoła. Przykucam za potężnym mężczyzną w fioletowym smokingu. Gdyby udało mi się wyślizgnąć bocznymi drzwiami, zanim mnie zobaczy, mogłabym zadzwonić do niego z ulicy – powiedzieć, że kiepsko się czuję. Mogłabym pojechać do centrum, żeby się spotkać z Jonasem, i wrócić do domu przed Peterem. Olbrzym odwraca się i patrzy na mnie z góry, jakbym była małą, mrugającą oczami myszką. Na twarzy ma namalowaną maskę klauna.

– Dobry wieczór – mówi. Głos ma cieniutki jak mała dziewczynka.

Uśmiecham się do niego, próbując zachowywać się tak, jakby kucanie w tłumie było czymś całkowicie normalnym. Przechyla głowę, przyglądając mi się, sznuruje namalowane szminką usta i odchodzi. Słyszę swoje imię. Peter spostrzegł mnie przez okienko w tłumie, które zostawił po sobie Człowiek Klaun.

– Całe szczęście. – Matka Petera całuje powietrze koło moich policzków. – Zaczynaliśmy się martwić.

– Upuściłam klucze – mówię do Petera.

Jego elegancki ojciec staje obok, gęste szpakowate włosy zaczesał do tyłu, nosi garnitur z Savile Row. Postarzał się od naszego ostatniego spotkania. Ma zmęczone oczy.

– Pewnie dokucza państwu jet lag. – Ściskam go niezręcznie. Po tylu latach rodzice Petera wciąż mnie onieśmielają swoją poprawnością, trzymaniem się tajemniczego kodeksu zachowań obowiązującego przedstawicieli brytyjskich wyższych sfer. Choć bardzo starałam się nauczyć jego zasad, za każdym razem, kiedy jestem w ich towarzystwie, mam wrażenie, że popełniam faux pas. A co gorsza, nie wiem, na czym to faux pas polega.

– Zdążyłem się zdrzemnąć w hotelu – mówi ojciec Petera.

– Nie uznajemy jet lagu – oznajmia matka.

– Myślałem, że to ja się spóźnię. Biegłem całą drogę z metra. Omal nie umarłem.

Peter daje mi mokrego, soczystego buziaka. Czuję, jak brwi jego matki szybują w górę. Publiczne okazywanie uczuć to coś, na co z pewnością krzywo się patrzy. Coś niemal równie godnego potępienia jak majtki odznaczające się pod ubraniem.

– To te papierosy – stwierdza. – Eleanor, naprawdę musisz go namówić, żeby przestał.

– Kręcę się tu od jakiegoś czasu – tłumaczę. – Byłam w toalecie. – Milknę, próbując wymyślić jakąś wymówkę, coś, co pozwoli mi się stąd wyrwać. Jonas czeka. Jeśli go wystawię, nigdy mi nie wybaczy. Peter bierze mnie za rękę.

– Idziemy? – Jego ojciec wciska przycisk przywołujący windę. – Mamy zarezerwowane miejsce w Le Cirque.

Winda zjeżdża na dół. Słyszę, jak się zbliża, i wiem, że teraz albo nigdy.

– Spotkam się z wami na miejscu – mówię, gdy otwierają się drzwi. – Muszę biec do toalety.

Peter patrzy na mnie zdezorientowany.

– Myślałem, że właśnie stamtąd wróciłaś.

– Nie najlepiej się czuję – mówię. – Brzuch.

– Jesteś zarumieniona. – Dotyka mojego czoła, wolną ręką przytrzymując drzwi windy.

– Eleanor, jeśli nie czujesz się dobrze, powinnaś iść do domu. Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy się pochorowali – mówi matka Petera.

– Mamo.

– Twoja mama ma rację.

Matka Petera wydaje się tak zachwycona swoim małym zwycięstwem, że niemal czuję się rozgrzeszona.

– W takim razie idę z tobą – oznajmia Peter.

– Nie. Zostań z rodzicami. Nic mi nie jest. Nic mi nie będzie.

Winda dzwoni niecierpliwie.

– Peter – ponagla go matka. – Ludzie czekają.

– Idź – mówię. – Zobaczymy się w domu.

Czekam, aż drzwi windy zamkną się ze szczękiem, i dopiero wtedy wybiegam na ulicę, żeby złapać taksówkę.

Jonas stoi przed budynkiem z rękami w kieszeniach, gapi się na postrzępione drzewo obudowane chodnikiem. Omal go nie poznałam. Wciąż wygląda jak Jonas, ale teraz ma szerokie bary, muskularne: prawdziwie męski mężczyzna. Podążam za jego wzrokiem i widzę, że na górnej gałęzi przysiadł ptak.

– Myszołów – mówi. – Pewnie poluje na szczury.

– Obrzydliwość.

– A mimo to. Drapieżnik w Greenwich Village.

– Taki tytuł mogłyby mieć wspomnienia mojej macochy.

Śmieje się.

– Jak ty to robisz?

– Co robię?

– Sprawiasz, że się śmieje, chociaż cię nienawidzę. – Wzrok ma bezpośredni, w jego morskich, zielonych oczach nie ma kłamstwa. – Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że utyłaś i się postarzałaś. Że zrobiłaś się kluchowata i angielska. Ale ty wyglądasz ślicznie. – Marszczy brwi i przeczesuje czarne włosy. Znów są długie, dziksze. Ma na sobie robocze ubranie, dżinsy i koszulkę pokryte farbą. Pachnie terpentyną. Na policzku widzę smugę w kolorze ochry.

Wyciągam rękę, żeby ją wytrzeć, ale zatrzymuje moją dłoń.

– Masz farbę – mówię.

– Żadnego dotykania.

– Nie bądź głupi. – Obejmuję go i nie puszczam. Tak dobrze jest być blisko. Kiedy się odsuwam, mam na sukience wilgotną plamę farby olejnej.

– Właśnie to miałem na myśli – mówi.

– Kurczę. Lubiłam tę sukienkę.

Na dalekim końcu ulicy widzę parę trzymającą się pod rękę, przechodzą przez jezdnię. Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że to ojciec i Mary, i mam wrażenie, jakby coś zepsutego ścisnęło mi trzewia.

– Co jest? – pyta Jonas.

– Myślałam, że widzę ojca – mówię. – Nie rozmawiam z nim.

– Co się stało?

– Umieścił babcię Myrtle w domu opieki. Wbrew jej woli. Umarła następnego dnia. Zadzwoniła do mnie. Była przerażona i samotna.

Chciałam ją stamtąd zabrać, ale przyjechałam za późno. Nigdy mu tego nie wybaczę.

Nad nami myszołów wzbija się w niebo, goniąc jakiegoś mniejszego ptaka. Patrzę, jak krąży wokół ofiary.

– Okłamałam Petera i jego rodziców. Powiedziałam, że boli mnie brzuch.

– Przykro mi – mówi. Ale po jego oczach poznaję, że się cieszy: skłamałam Peterowi, żeby się z nim spotkać.

– Nieprawda. Mnie nie możesz oszukać.

Uśmiecha się. Prawda wszystkiego, co jest między nami.

– Pomyślałem, że moglibyśmy kupić na rogu piwo i pójść nad rzekę.

Okna w mieszkaniu ojca są otwarte. Ktoś – najpewniej Mary – umieścił w nich gustowne skrzynki z bluszczem i białymi pelargoniami. Idziemy z Jonasem pod ramię przez wąskie brukowane uliczki. Wzdłuż Perry i przez West Street na stary pomost pokryty zaschniętymi psimi kupami i fiolkami po cracku. Znajdujemy czystsze miejsce i siadamy. Nogi zwieszamy nad wodą.

– Myślałem, że będzie romantycznie, ale prawdę mówiąc, tu jest okropnie – mówi Jonas.

– Zapomniałam, jak bardzo cię lubię.

– Ja też. Reszty raczej nienawidzę. – Podaje mi piwo. Jedno otwiera dla siebie.

– Nigdy nie widziałam cię pijącego. Zabawne – mówię. Ale to wcale nie jest zabawne, tylko smutne, tak jak wszystkie te rzeczy, które nas ominęły.

– Tak. – Bierze łyk piwa. – Tyle rzeczy.

Siedzimy w milczeniu, patrząc w nurt. Obok przepływa kawałek różowej plastikowej łyżeczki. Pewnie z Baskin-Robbins. Między nami

nie ma żadnego skrępowania. Żadnego napięcia. Tylko zażyłość – więź, której nigdy nic nie zastąpi.

Jonas opuszcza wzrok na kolano, wyciera smugę farby.

– Nie przypuszczałem, że zadzwonisz. Chyba myślałem… Czekałem bardzo długo. A potem przestałem.

– To było zbyt trudne – mówię.

– A teraz?

– Nie wiem.

Dopija piwo i sięga po następne.

– Więc zamierzasz za niego wyjść?

Odwracam wzrok. Za naszymi plecami na West Side Highway jest korek. Nieopodal słyszę wznoszący się i opadający głos syreny. Taksówkarz oparł się na klaksonie, bezsensowny gest, coś jak wciskanie przycisku windy raz za razem, mimo że już się świeci. Inny kierowca trąbi na niego, krzycząc przez okno: „Pierdol się, idioto". Ćwierć mili za nimi widzę obracającego się koguta karetki, która próbuje przecisnąć się wśród niechętnych samochodów.

– Może – wzdycham. – Prawdopodobnie.

Patrzy w dal, wbija wzrok we wzburzoną rzekę.

– Obiecaj, że mnie wcześniej uprzedzisz.

– Okej.

– Żadnych niespodzianek. Nienawidzę niespodzianek.

– Wiem. Obiecuję.

– Naprawdę.

Zachodzi słońce, zostawiając za sobą ogniście pomarańczowe niebo. Słupy podtrzymujące dawno nieistniejący pomost wychodzą w wodę w dwóch rzędach, czarne na tle płonącego firmamentu.

– Boleśnie piękne – stwierdzam.

– Żeby była jasność – mówi Jonas. – Nigdy nikogo nie pokocham tak jak ciebie.

26

1996. Sierpień. Back Woods

To Anna, nie ja, upiera się, żebyśmy wybrały się na ognisko na zakończenie lata. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz na nim byłam, i nieszczególnie mam ochotę iść. Ale Anna przyjechała do Back Woods sama. Rzadko ostatnio bywa na wschodzie – teraz, gdy stara się zostać partnerką w kancelarii, praktycznie nie ma wolnego – a Jeremy, jej chłopak z hrabstwa Orange, którego nie znoszę, uważa, że Papierowy Pałac to slumsy: wypaczone schody, sufity z tektury Homasote z brązowymi plamami mysich sików albo powoli skapującego płynu owodniowego – nikt nigdy nie miał dość odwagi, żeby sprawdzić, co jest na górze. I jeszcze komary, których – jak uparcie twierdził Jeremy ten jeden raz, kiedy przyjechali tu z Anną cztery lata temu – właściwie nie ma w Manhattan Beach. Od tamtej pory nigdy tu nie był.

– Mieszkamy praktycznie na plaży, kotku – powiedział do Anny przy śniadaniu trzeciego dnia. – To miejsce jest świetne, ale dlaczego mamy tu siedzieć, skoro mamy nasze mieszkanko? Klimatyzacja, relaks na tarasie, dobre chardonnay.

– Właśnie dlatego lubimy spędzać tutaj czas – oznajmiłam. – Żadnego chardonnay. – Próbowałam zrozumieć, dlaczego moja

siostra jest z Jeremym. O ile zdołałam się zorientować, reprezentuje wszystko, czego nie znosimy. Ale może właśnie o to chodzi.

– To dziwne – powiedziała matka, wychodząc na werandę z kawą i powieścią. – Manhattan i plaża to dwie najwspanialsze rzeczy na ziemi. Ale kiedy je połączyć, wychodzi tandeta.

– Mamo – syknęła Anna.

– To takie szczęście mieć was tu obie. – Mama usiadła na sofie i umościwszy się wygodnie, otworzyła książkę w połowie. – Anno – powiedziała, nie podnosząc wzroku. – Mam nadzieję, że wyjaśniłaś swojemu młodemu przyjacielowi, że nie spuszczamy wody po sikaniu. – Upiła łyk kawy. – I przypomnij mi, żebym zadzwoniła do hydraulika w sprawie wymiany szamba. Najwyraźniej brudna woda przecieka do stawu. – Wskazała na lilie wodne. – Bo inaczej jak wyjaśnić zakwit alg?

Tak się złożyło, że tego lata szefowie zaprosili Jeremy'ego na konferencję marketingową we Flagstaff w czasie, kiedy zaplanowałyśmy z Anną wyjazd do Back Woods.

– Nie wierzę że udało ci się oprzeć pokusie dramatycznych, acz kojących widoków i bufetu „jesz, ile chcesz" i zamiast tego wybrałaś przyjazd do takiej dziury – mówię teraz, gdy płyniemy kanu na drugi brzeg. W wieczór taki jak dziś nie sposób zaparkować przy plaży – dużo szybciej można się tam dostać przez staw i las. Wzięłyśmy ze sobą pianki marshmallow, chipsy ziemniaczane Cape Cod, czerwone wino i zjedzony przez mole koc wojskowy, na którym będzie można usiąść, kiedy piasek zrobi się zimny.

Anna się śmieje.

– Grubo.

– Znieważył moje ulubione miejsce na ziemi.

– Nie możesz go potępiać, bo nie „łapie” stawu. To moja wina. Zapomniałam mu powiedzieć, że Papierowy Pałac to nazwa ironiczna.

– Nie chodzi tylko o letnisko – mówię. – Ale o to, jak patrzy na świat. Jakby wszystko musiało być z płytek saltillo i wypolerowanego granitu.

– Właśnie dlatego go lubię. Bo jest przewidywalny. Wiem, co dostaję.

Wywracam oczami.

– Elle, wszyscy mamy swoje blizny. Dzięki Jeremy’emu czuję się bezpieczna. Nie każdy może zakochać się szaleńczo w bogatym i szykownym angielskim dziennikarzu. Niektórzy muszą się zadowolić miłym, choć nudnym mięśniakiem z Kalifornii. Dlatego nie bądź taką krytyczną zołzą.

– W porządku. – Nigdy nie polubię Jeremy’ego. Nie dlatego, że jest przewidywalny, jak mówi Anna, ani nie dlatego że to „mieszczanin”, jak twierdzi mama. Ale dlatego, że przez niego moja siostra nie jest tym, kim mogłaby być, i to mnie wkurza.

Obie przez chwilę milczymy, nasze wiosła tną gładką jak lustro powierzchnię stawu, gdy kanu sunie bezszelestnie przez odbicie różowego nieba. Czapla, nieruchoma niczym posąg, stoi w trzcinach, pozwalając nam przejść.

– O której jutro przyjeżdża Peter? – przerywa milczenie Anna.

– Zaraz po lunchu. Chce ominąć korki.

– Jeśli będzie jechał Merritt, poproś, żeby kupił bajgle w H&H.

Kanu uderza o piasek. Wyskakuję na płyciznę, starając się nie zamoczyć zawiniętych nogawek dżinsów.

Skrzywiona Anna gramoli się z łódki.

– Trzeba było nie jechać dziś rano rowerem do miasta. Ta droga gruntowa to jeden wielki wybój. Zdaje się, że obiłam sobie spojenie łonowe.

– Obrzydliwość – śmieję się.

Wyciągamy kanu na brzeg, wleczemy w gęstą trawę za połacią mokrego piasku, który trze o metal, i zostawiamy w przerwie między drzewami.

– Tak dawno ich nie widziałam – mówi Anna, gdy idziemy gliniastą drogą. – Będzie dziwnie.

– To jak jazda na rowerze, tylko nudniejsze – pocieszam ją. – I mniej bolesne.

Teraz Anna się śmieje.

– Wolałabym się nie czuć tak grubo. – Związuje włosy w kucyk. – Nie jestem w nastroju, żeby te dupki mnie oceniały.

Anna od lat ma figurę modelki, ale wciąż wydaje jej się, że jest tłustym dzieckiem.

– Grube uda są jak kończyna fantomowa – twierdzi. – Wiele lat po tym, jak się ich pozbędziesz, masz wrażenie, że wciąż się o siebie ocierają.

– Wyglądasz fantastycznie. Ja natomiast spędziłam całą zimę, siedząc w mieszkaniu z Peterem i jedząc ciasteczka Milano. Muszę się zacząć głodzić przed ślubem.

Idziemy jedna za drugą, Anna pierwsza, omijając trujący bluszcz. Końcówki jej japonek wzbijają obłoczki czerwonego pyłu.

– Wiesz, które ciastka są niedoceniane? – pyta. – Brussels.

– I Chessmen.

– Taty ulubione.

– Rozmawiałaś z nim ostatnio? – Ja nie odezwałam się do ojca od pogrzebu babci.

– Dzwoni do mnie od czasu do czasu – mówi Anna. – Te nasze rozmowy są takie niezręczne, że mam ochotę odłożyć słuchawkę. Zupełnie bez sensu. To ty byłaś z nim blisko, nie ja.

– Już nie jestem.

– Dzwoni do mnie tylko dlatego, że Mary go do tego zmusza. Lubi opowiadać przyjaciołom, jakim to jest czułym mężem i ojcem. Próbuje ich wkręcić do country clubu w Southampton. Jednego z tych, gdzie nie przyjmuje się Żydów.

– Nienawidzę jej.

– W każdym razie powiedziałam mu, że powinien zadzwonić do ciebie. Jest w końcu ojcem, do kurwy nędzy.

– To ostatnia rzecz, jakiej bym chciała. Szczerze? Ulżyło mi. Nareszcie nie muszę czekać na kolejne rozczarowanie z jego strony.

Zatrzymujemy się na szczycie wysokiej wydmy. Na dole, sto jardów po prawej, widać mnóstwo lnianych obrusów. Ktoś ustawił w piasku maszty z chińskimi flagami w kształcie ryb – krąg rękawów wiatrowych w jaskrawych barwach. Ognisko już rozpalono, jest wciąż jasno, więc płomieni prawie nie widać, ciepło sprawia, że niebo nad nimi zrobiło się oleiste.

– Wiem, że się na mnie wściekasz za to, że mu wybaczyłam, uważasz, że jestem kompletną cipą. Ale on mnie tak mało obchodzi, że to dla mnie bez znaczenia. Jeśli chcesz, mogę z nim przestać gadać – mówi Anna.

– Chciałam, ale teraz, jak o tym myślę, wolałabym, żebyś to ty dostawała w prezencie belgijskie mokasyny na Gwiazdkę i siedziała na krześle z haftowanym obiciem, popijając eggnog w towarzystwie tej pizdy.

– Okej.

– Wesołych Świąt! – śmieję się. – Masz tutaj trochę egzemplarzy recenzenckich.

– „I paczuszkę zioła ode mnie!” – piszczy Anna cienkim głosem, naśladując Mary.

Zbiegamy po stromiźnie w stronę oceanu, krzycząc do wtóru wiatru. Szczęśliwe mkniemy szybciej, niż pozwalają na to nogi. U podnóża wydmy zwalniamy, płaszczyzna plaży hamuje nasz pęd.

Anna opada na kolana, wznosi ramiona ku niebu w geście zwycięstwa.

– Tego mi brakowało.

– A mnie tego. – Przewracam się koło niej na plecy i robię orła na piasku. Anna ma czerwone policzki, włosy splątane przez wiatr. – Wyglądasz nieprawdopodobnie.

– Nie pozwól, żebym się spiła i poszła pieprzyć z jakimś przystojniakiem na wydmy – mówi Anna.

– Myślę, że jesteś bezpieczna. Wszyscy tu mają po sto lat.

– Mimo to.

Opieram się na łokciach i patrzę w ocean – rozlewające się słońce, białe grzywy fal. Za każdym razem, kiedy widzę ten przestwór – nawet jeśli byłam tu rano – mam wrażenie, jakby to był nowy cud; jego potęga i błękit zawsze są wszechogarniające. To coś jak zakochanie.

Zmienia się wiatr, niesie zapach palonego drewna i słonej wody. Anna wstaje i otrzepuje piasek z kolan.

– No dobra. Lecimy z tym koksem.

– O nie, nie zgadzam się, żeby widziano mnie w miejscu publicznym w towarzystwie kogoś, kto mówi „lecimy z tym koksem”.

– Okropne, to prawda – zgadza się Anna, wybuchając śmiechem.

Uwielbiam moją siostrę.

Pierwszą osobą, na którą się natykamy, gdy zjawiamy się na plaży, jest matka Jonasa. Stoi trochę z boku, tyłem do mnie, ale rozpoznaję jej siwe, ostentacyjnie niefarbowane włosy. W ręku trzyma znoszone zamszowe birkenstocki i rysuje na piasku kreskę dużym palcem stopy. Musiała nas wyczuć, bo odwraca się jak wąż i obdarza nas uśmiechem. Rozmawia z dziewczyną, której nigdy wcześniej nie widziałam: młodą, może dwudziestoletnią, śliczną, drobną, z ciemnymi włosami, które na końcach przechodzą w blond, skórą opaloną na idealnie równy brąz, w szortach i krótkim T-shircie. W pępku ma kolczyk z dużym diamentem.

– Cyrkonia – mówi Anna, gdy podchodzimy bliżej. – Znamy ją?

– Nie.

– Anna, Eleanor. – Mama Jonasa zaciska wargi. Nigdy mnie nie lubiła. – Nie miałam pojęcia, że tu jesteście.

– Unikałam plaży – tłumaczę. – W tym roku jest tu jak na Coney Island.

– Ja przyjechałam dopiero wczoraj – mówi Anna.

Matka Jonasa gestem posiadaczki otacza ramieniem nieznajomą dziewczynę.

– To jest Gina.

Anna wyciąga rękę, żeby się przywitać, ale zamiast tego Gina robi krok w jej stronę i obejmuje ją mocno.

– Tak się cieszę, że się w końcu spotykamy – mówi, podchodząc do mnie.

Za jej plecami Anna patrzy na mnie z udawanym przerażeniem. Matka Jonasa to widzi.

– Wpadłam na twoją mamę w A&P – oznajmia. – Słyszałam, że planujesz zimowe wesele. – Wypowiada te słowa tak, jakby to był cytat, starając się, żeby nie umknął mi cień pogardy.

– Tak. Zastanawialiśmy się nad rzeźbami z lodu i czekoladową fontanną.

– Ani chwili za wcześnie.

– Słucham?

– Cóż, spójrzmy prawdzie w oczy, nikt z nas nie staje się młodszy.

– Elle wciąż jeszcze ma kilka tygodni, zanim zamieni się w przywiędłą trzydziestoletnią staruchę – zauważa Anna głosem słodkim jak cios pięścią. – Ale rozumiemy, o co ci chodzi. Są tu może twoi chłopcy?

– Teraz to już mężczyźni – oznajmia matka Jonasa, jakby tłumaczyła coś matołkowi. – Nie wspinajcie się na wydmy! – krzyczy do jakichś dzieci, które bawią się u podnóża stromej diuny. – Mogłaby się na nie zawalić – tłumaczy Ginie. – Naprawdę się boję.

– Co u Jonasa? – pytam.

– Wszystko w porządku.

– Wręcz cudownie – wtrąca Gina. – Ma galerię w Chelsea. Dostaliśmy kompletnego fioła na jej punkcie. I znaleźliśmy fantastyczny loft. Dawna fabryka wstążek.

– Nad czym teraz pracuje? – pyta Anna.

Z roztargnieniem słucham Giny mówiącej coś o akrylach i znalezionych obiektach, ale mój umysł nie chce się skupić. Myśl, że Jonas mieszka z tą osobą, budzi we mnie zazdrość, do której nie mam prawa. Fizyczną, namacalną. Jonas należy do mnie. Jedyne, co mogę zrobić, to nie kopnąć jej w piszczel.

Matka Jonasa wygląda, jakby właśnie połknęła pysznego tłustego ptaka.

– Wszyscy jesteśmy zachwyceni.

Cała niechęć, jaką kiedykolwiek do niej czułam – za brak wyrozumiałości, świętoszkowatość, sposób, w jaki dawała do

zrozumienia wszystkim wokół, że Jonas nigdy, ale to przenigdy nie wypłynąłby ze mną i Conradem tamtego dnia, gdybym go do tego nie zmusiła – teraz wybija. Moja matka słyszała raz, jak mówiła: „Owinęła go sobie wokół palca". Zmuszam się, żeby myśleć o Peterze, moim cudownym, rycerskim Angliku. O jego niewymuszonej inteligencji, idealnie wyważonej ironii, o pieczeni wieprzowej, którą przyrządza z chrupiącą skórką, o jego znoszonych skórzanych broguesach, o tym, jak chwyta mnie za włosy, kiedy się kochamy. Udaje mi się przywołać na twarz gładki uśmiech.

– Cudowne wieści. Pewnie bardzo się cieszysz.

– Tak – mówi. – Oczywiście także ze względu na Ginę.

Właśnie wtedy go dostrzegam, idzie przez tłum w naszą stronę. Jedną ręką trzyma papierową torbę z zakupami. Na szczycie chwieje się olbrzymia paczka bułek do hot dogów. Widzę, że wypatruje kogoś wśród zebranych. Spostrzega stojącą tyłem Ginę i na jego twarzy pojawia się uśmiech. A potem widzi mnie. Zatrzymuje się w pół kroku. Wpatrujemy się w siebie z daleka. Kręci głową, bardziej zły niż zasmucony – połączenie bólu i obrzydzenia, jakby nie potrafił uwierzyć w to, co zrobiłam, nie mógł pojąć, że złamałam obietnicę, którą złożyłam dwa lata temu, gdy siedzieliśmy na zrujnowanym pomoście, pijąc piwo, spoglądając na rzekę Hudson i godząc się z losem.

Matka Jonasa dostrzega go teraz, widzi utkwiony we mnie wzrok. Stuka Ginę w ramię.

– Jonas już jest.

Twarz Giny rozjaśnia się, jakby nigdy nie widziała nic równie wspaniałego.

Jonas podchodzi do niej, wymijając mnie po drodze, i całuje ją długo, namiętnie.

– Szukałem cię – mówi. – Anna. – Ściska moją siostrę na powitanie i wręcza matce bułki. – Mieli tylko dużą paczkę.

– I tak wszystkie zaraz znikną. Nikt nigdy nie przynosi dość bułek. – Matka Jonasa idzie do stołu z jedzeniem i podaje je mężczyźnie przyrządzającemu kiełbaski i burgery. Słyszę, jak oznajmia „Bułki!", jakby to był najcenniejszy skarb.

– Cześć. – Jonas odwraca się do mnie, w końcu odnotowując moją obecność. Głos ma przyjazny, ani śladu tego, co widziałam wcześniej na jego twarzy. Uśmiecha się łagodnie, opanowany.

– Cześć – mówię, pytając wzrokiem, o co mu chodzi.

Obejmuje Ginę w pasie.

– Gino, to jest Eleanor. Elle i ja znamy się od dziecka.

– Już się poznałyśmy – wyjaśniam.

– Matka mówiła, że nie będzie was w tym tygodniu.

– Wiem, że twoja matka lubi mieć zawsze rację. – W moim głosie słychać więcej zjadliwości, niżbym chciała. – Ale jesteśmy. Ja jestem już od jakiegoś czasu.

– My z Giną przyjechaliśmy w zeszłym tygodniu. Słyszałem, że planujesz zimowe wesele. Matka mówiła, że wpadła na Wallace w A&P. – Głos ma zimny.

– Próbowałam się z tobą skontaktować.

Gina spogląda to na mnie, to na Jonasa, jakby wyczuwała, że nagle została wyłączona z rozmowy.

– Jonas ma mnie potem zabrać na łowienie kalmarów – oznajmia.

– Ekstra – mówi Anna.

Gina sprawia wrażenie nieprzekonanej.

– Wypatrywanie wijących się stworzeń z pomostu o północy?

– Super sprawa – śmieje się Anna. – Wystarczy zaświecić latarką. W wodzie się od nich roi. Nawet nie trzeba poruszać jigiem. To coś jak łowienie ryb w beczce.

– Łapaliśmy je z Jonasem non stop. – Uśmiecham się, próbując się do niego przebić. – Miałeś fioła na ich punkcie.

On jednak nie odpuszcza. Stoi i patrzy, jakby mnie nie widział.

– Skoro ty to uwielbiasz, to ja też. – Gina przyciąga go do siebie i całuje, jakby był jej własnością.

– Tylko nie pobrudź się atramentem – mówię.

– I marynuj je w mleku przez noc, zanim wrzucisz na grilla.

– Nie jadam owoców morza – oznajmia Gina.

Anna spogląda na mnie i na Jonasa. Otacza Ginę ramieniem.

– Idę po piwo. Chodź, poznam cię z jedynymi dwiema interesującymi osobami na tej plaży. – I zanim Gina zdąży wymyślić powód, żeby powiedzieć „nie", ciągnie ją za sobą.

Tego lata, kiedy skończyłam liceum, wybrałyśmy się z Anną, żeby popływać przy Higgins. Woda była idealna. Spokojna. Żadnych wodorostów. Unosiłyśmy się kołysane przez fale. Anna wciąż nawijała o tym, że się szaleńczo zakochała w profesorze od komunikacji diadycznej.

– Nie mam zielonego pojęcia, co to znaczy – oznajmiłam.

– To znaczy, że chcę się z nim pieprzyć.

– „Diadyczna". – Roześmiałam się, dając nura pod wodę. Wynurzyłam się w miejscu, gdzie mogłam stanąć.

– A co z tobą, panno „zaczekam do ślubu"? – zawołała za mną Anna. – Wciąż dziewica?

– Pewnie – skłamałam. – Poza tym nigdy nic nie mówiłam o ślubie. Tylko że chcę się najpierw zakochać.

– To skąd te tabletki antykoncepcyjne w komodzie?

– Dlaczego zaglądasz do mojej komody?

– Chciałam pożyczyć majtki. Moje wszystkie są brudne.

– Fuj.

– Nie zmieniaj tematu.

– Okej. Na wszelki wypadek.

– Na wypadek gdybyś po raz pierwszy się zakochała?

– Nie – odparłam. I to przynajmniej była prawda. Zawahałam się, po czym dodałam: – To już się stało.

– Co się stało?

– Już się zakochałam.

– Ha. To ci nowina. W takim razie dlaczego nie było seksu?

– Bo to Jonas.

Anna sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

– Zaraz. Ten dzieciak, który za tobą łaził?

Pokiwałam głową.

– Okej, to trochę patologia. Dobra decyzja, żeby się wstrzymać z seksem.

– On podrósł. Ale tak.

– No to co się stało?

Stojąc tak w oceanie i patrząc na moją piękną siostrę, na jej ciemne włosy na tle nieskończonego błękitu, pomyślałam, że może powinnam jej o wszystkim powiedzieć. To by była taka ulga. Zamiast tego jednak oświadczyłam:

– Matka wysłała go na obóz do Maine.

– Ta kobieta jest taka okropna. Za każdym razem, jak ją widzę, mam ochotę wysrać się jej na buty – stwierdziła Anna.

Patrzę, jak Anna z Giną idą po piwo, i robi mi się niedobrze. Do tej pory przy Jonasie czułam zawsze tylko, że łączy nas niezwykła

symbioza, teraz jednak mam wrażenie, że nie znam tego człowieka. Ten Jonas ma martwe oczy.

– Nie wiedziałam, że tu będziesz – mówię.

Stoi, nie odpuszczając ani na cal.

– Jonas, nie rób tego.

Wpatruje się we mnie w milczeniu.

– Dzwoniłam, żeby ci powiedzieć, ale odłączyli twój numer. Planowałam zadzwonić do twojej mamy, żeby dostać nowy. Przepraszam.

– Za co?

– Za to, że moja matka jest głupią krową, która nie potrafi utrzymać języka za zębami. Powiedziałam jej, żeby nikomu nie mówiła.

– Nic się nie stało. – Otwiera paczkę chipsów i wpycha sobie garść do ust. Częstuje mnie.

– Masz prawo się wściekać.

– Proszę. Nie przejmuj się tym. To już przeszłość.

– Widziałam twoją minę, kiedy mnie zobaczyłeś.

– Nie spodziewałem się, że tu będziesz. To wszystko.

– Nie kłam. Nienawidzę, kiedy kłamiesz.

– Nie kłamię, Elle. Byłem zły, bo znowu zniknęłaś. To było niegrzeczne. To ty do mnie zadzwoniłaś. Ty mówiłaś, że powinniśmy zostać przyjaciółmi. Poczułem się jak idiota. Ale już po wszystkim. To było milion lat temu. Byłem głupim dzieciakiem, który się głupio zadurzył.

– Wow – mówię, a mój głos brzmi jak zgrzyt zębów. – To naprawdę słabe, co powiedziałeś.

– Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. Próbuję ci powiedzieć, że wszystko okej. Było, minęło. Teraz jestem z Giną. Jestem zakochany.

– Ona ma dwanaście lat.

– Nie rób tego – mówi Jonas. – To poniżej twojej godności.

– Nawet nie je ryb.

Gdy nocne niebo ciemnieje i wszyscy gromadzą się bliżej ognia, ja usuwam się w mrok. Muszę siku. Siadam na zboczu u podnóża olbrzymich wydm, ściągam dżinsy do kolan i wykopuję pod sobą niewielki dołek. Strumień moczu znika w piasku. Jak mawia Anna, sikanie na siedząco na plaży jest jeszcze lepsze niż sikanie na stojąco pod prysznicem. Podciągam spodnie, przesuwam się dwie stopy w prawo i siadam znów w bezpiecznym miejscu. Jest tak ciemno, że ledwo widzę własne ręce. Bezksiężycowa noc. Jonas i Gina tulą się do siebie na skraju kręgu światła. Ich twarze jaśnieją w złotopomarańczowym blasku. Jonas rozgląda się wokół, skanuje zebranych i wiem, że szuka mnie. Chce wstać, ale zmienia zdanie. Patrzę, jak wbija wzrok w coraz intensywniejszy żar, ściąga brwi, bo zaniepokoiła go jakaś myśl – wiem, że myśli o mnie. Oto człowiek, który mnie ocalił. Którego zraniłam. Którego zaufanie właśnie straciłam. Obiecuję sobie, że znajdę sposób, żeby to naprawić.

Wysoko ponad największą wydmą na niebie pojawia się gwiazda – z początku ledwie widoczna, nabiera mocy, aż zamienia się w skrzący klejnot. A mimo to wiem, że patrzę na śmierć. Gaśnięcie. Cichy okrzyk. Charczące piękno. Rozpaczliwy płomień – potężny, transcendentny – walczący o ostatni oddech.

27

1996. Grudzień, Nowy Jork

Świt nadchodzi wcześniej, niż powinien. Leżę naga na kołdrze i wyglądam przez okno mieszkania w East Village, słuchając beknięć i syków kaloryfera. Zapowiadają duże opady śniegu i niebo ma w sobie nieruchomość, nijakość suchego lodu, jak gdyby wiatr postanowił zrobić sobie przerwę. Dziś jest dzień mojego ślubu.

Peter ostatnią noc jako kawaler spędził w hotelu Carlyle przy Madison Avenue ze swoim drużbą, eleganckim przyjacielem z Oxfordu, który zawsze traktował mnie z pewną podejrzliwością, tak jakby to, że jestem Amerykanką, oznaczało, że muszę być też łowczynią fortun.

Anna śpi w salonie. Słyszę jej ciche posapywanie. Pewnie padła i zasnęła na plecach. Wczoraj wieczorem, ubrane w prastare koszule nocne Lanz, które babcia Myrtle dawała nam co roku na Gwiazdkę, dopóki nie weszłyśmy w wiek, kiedy przestaje się doceniać ich oldskulową wygodę, piłyśmy tequilę i gadałyśmy tak długo, że dziś będę miała paskudne fioletowe wory pod oczami. Anna jest moją druhną. Razem z Jeremym zatrzymali się u mamy, która ku mojej uciesze jak zwykle jest dla niego okropna. Jeremy prawie uniemożliwił mi spędzanie czasu z Anną – zmusił ją, żeby co rano po

śniadaniu przez godzinę ćwiczyła z nim jogę, a nawet uparł się, że pójdzie z nami na mierzenie sukni. W środę, kiedy miałyśmy zaplanowany dziewczyński lunch w Russian Tea Room, zrobił jej niespodziankę, przynosząc bilety na popołudniowe przedstawienie *Kotów* w Winter Garden, mimo że Anna nie znosi musicali, a spektakl grają od 1982 roku.

– To irytujące – powiedziała mama, gdy zadzwoniłam, żeby się pożalić. – Ale tak właśnie zachowują się ludzie z Kalifornii, kiedy tu przyjeżdżają. Z jakiegoś niewiadomego powodu uważają, że oglądając na scenie śpiewających aktorów przebranych za zwierzęta, obcują z kulturą.

Moja kremowa suknia z jedwabnego aksamitu wisi na drzwiach szafy wciąż w opakowaniu z pralni. Jest długa i opięta, ma tren i dekolt wcięty tak, żeby pokazać odrobinę za dużo. Obok niej na podłodze stoją satynowe szpilki za 300 dolarów, na które namówiła mnie Anna. Tego typu buty zakłada się tylko raz – człowiek obiecuje sobie, że je ufarbuje po ślubie, ale jakoś nigdy tego nie robi. Potem kurz osadza się na bieli, matowi ją i gasi, a one stoją przez lata z tyłu szafy, powoli szarzejąc.

Do ołtarza prowadzi mnie Dixon, przystojny i wytworny w żakiecie. Ojciec wciąż jest objęty ekskomuniką, choć matka uparła się, żebym go zaprosiła – siedzi w ławce dla rodziny, obok Jeremy'ego. Nie ugięłam się jednak, jeśli chodzi o Jędzę. Teraz, idąc główną nawą w stronę przyszłości, uśmiecham się na myśl o tym, jak okrutnie zemści się na nim za to, że zgodził się przyjść bez niej. Peter czeka na mnie przy ołtarzu, szczęśliwy i dumny uśmiecha się z drugiego końca kościoła. Ciekawe, czy kochałby mnie nadal, gdyby mógł zajrzeć do mojej głowy, zobaczyć małostkowość i brudy, wszystkie te straszne rzeczy, których się dopuściłam. Kościół

przystrojono liliami i białymi różami stulistnymi, które pachną jak dział perfumeryjny w Bloomingdale's. Nagle staje mi przed oczami obraz Anny trzymającej mnie za rękę na ruchomych schodach, kiedy byłyśmy małe. Zabrała mnie, żebym mogła zmierzyć nowe kedy, a mama w tym czasie robiła świąteczne prezenty. Znalazłyśmy ją w dziale z dodatkami, miała na rękach parę czerwonych skórzanych rękawiczek z kaszmirową podszewką.

– Eleganckie, prawda? – powiedziała i odłożyła je na ladę. Później, kiedy stałyśmy na stacji, czekając na metro, coś czerwonego mignęło mi w kieszeni jej palta. Rano w Boże Narodzenie otworzyła wąskie pudełko przewiązane zieloną satynową wstążką. W środku były czerwone rękawiczki. – To od waszego ojca – powiedziała. – Ciekawe, skąd wiedział.

Organista gra kanon D-dur Pachelbela, chyba najmniej lubiany przeze mnie utwór. Na prośbę Petera. Kiedy kłóciłam się, że jest bez polotu, roześmiał się i powiedział, że to tradycja rodzinna i brzmię jak moja matka, nie miałam więc wyboru, musiałam ustąpić. Teraz, gdy kroczę do jego słodkich jak melasa dźwięków, jestem poirytowana.

Matka Petera siedzi po stronie Anglików – wśród kobiet w brzydkich kapeluszach, tiulach i piórach, ściskających mocno swoich mężczyzn, z ustami ściągniętymi w wyrazie dezaprobaty na widok mojej opiętej sukni. Długi tren zbiera po drodze płatki róż rozrzucone na marmurowej posadzce. Przeczesuję wzrokiem rzędy gości, wypatrując Jonasa – mam nadzieję, że go tu nie ma, choć zaprosiłam całą rodzinę. Ale śnieg sypie teraz gęsto i wnętrze kościoła spowił cień, surowa holenderska szarość. Kieruję wzrok do przodu i idę do Petera, tak przystojnego w swojej tyczkowatej pewności siebie rodem ze Starego Świata. Kocham w nim wszystko.

To, że kiedy jest podekscytowany, czerwienieją mu czubki uszu. To, że czuję się przy nim spokojna i bezpieczna. Kocham jego długi krok. Wąskie, eleganckie dłonie. Sposób, w jaki daje pieniądze żebrakom, spoglądając im w oczy z szacunkiem. Kocham osobę, którą widzi, kiedy patrzy na mnie. Jego drużba stoi obok. „Ma rację, że chroni Petera przede mną", myślę, ujmując jego dłoń.

Musi być bardzo późno. Niebo za oknem jest czarne jak węgiel. Przestało padać. Peter bierze prysznic. Wiem, bo z łóżka w hotelu Plaza, gdzie właśnie odzyskałam przytomność, słyszę szum wody. Wciąż mam na sobie suknię ślubną. Moje stopy w satynowych czółenkach sterczą prosto do góry, jakby spadł na mnie dom. Nie mam pojęcia, jak tu trafiłam. Zamykam oczy, próbując przypomnieć sobie przyjęcie weselne. Niewyraźna plama kolorowych kapeluszy. Półmiski ostryg na kruszonym lodzie. Matka Petera w tweedowym śliwkowym kostiumie Chanel rozmawia z matką Jonasa. Kelner w smokingu podaje mi kryształowy kieliszek szampana, który opróżniam jednym haustem i biorę następny. Earth, Wind & Fire. Anna i ja tańczymy wolny kawałek, pociągając szampana z gwinta. Widzę, jak ojciec wymyka się jeszcze przed toastami. „Palant zawsze będzie palantem", mówi Anna.

– Peter! – wołam teraz.

– Chwila! – odkrzykuje. Wyłania się w kłębach pary, owinięty w pasie miękkim hotelowym ręcznikiem. – Powrót niepoprawnej alkoholiczki. – Wskakuje na mnie i daje mi buzi. – Cześć, żono. – Obwąchuje mnie. – Śmierdzisz wymiocinami. Może lepiej pozbyć się tych butów. Ze względu na rozbryzg.

– Boże.

Zdejmuje mi szpilki i jedną po drugiej wrzuca do kosza na śmieci.

– I tak ich nigdy więcej nie włożysz. Biała satyna? Wyglądałabyś jak dziwka na Charing Cross.

– Porzygałam się na przyjęciu? Na oczach wszystkich?

– Nie, nie. Tylko przed personelem hotelowym i kierowcą limuzyny. Trzeba było trzech boyów w liberii, żeby cię wtaszczyć do windy.

– Nieśli mnie?

– Uparłem się, że jesteś bagażem.

– Cheesburgera – jęczę.

– Dla mojej ślicznej, spitej do nieprzytomności pani młodej wszystko. – Odsuwa mi włosy z czoła.

– To ten szampan. Nie mogę pić szampana. Wszystko przez cukier. Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Twój rzut podwiązką w mojego ojca był gwoździem programu.

– Zastrzelę się.

– To, i ślub z kobietą moich marzeń.

Zarzucam mu ręce na szyję i zaglądam głęboko w oczy.

– Muszę umyć zęby.

Gdy budzę się dużo później, na skraju świadomości majaczy mi sen. Siedzę na chmurze mknącej po niebie. Pode mną rozciąga się ocean – jasnobłękitny, nieskończony. Stado wielorybów kieruje się na północ, wyniośle obojętne na stworzenia płynące ich śladem. Pojawia się biały żagiel, pruje szybko na fali. Na łódce jest dwoje dzieci. Za nimi nurkuje ogromny kaszalot, sonduje głębiny. Jestem pod wodą. Patrzę, jak wieloryb pędzi w stronę powierzchni, celując w trójkątny cień łódki. Obok unosi się dom. Przez rozbite siatkowe drzwi wypływają czerwone wstążki.

Na stoliku koło łóżka stoi taca, którą przyniosła obsługa. Peter leży nieprzytomny obok, w kąciku ust ma plamę ketchupu. Większość frytek zniknęła. Jestem mężatką.

1997. Luty, Back Woods

Dwa miesiące po tym, jak wróciłam z podróży poślubnej, dzwoni do mnie Anna. W pierwszej chwili omal jej nie rozpoznaję – płacze tak, że nie potrafię zrozumieć, co mówi, a Anna nigdy nie płacze.

– Powoli – uspokajam ją. – Nic nie słyszę.

Jeszcze chwilę szlocha do słuchawki, po czym się rozłącza. Gdy próbuję oddzwonić, nie odbiera, a potem włącza się sekretarka. Dzwonię do biura Jeremy'ego.

– Wszystko u niej w porządku – oznajmia pogodnie. – Dużo nad sobą pracuje.

Gardło mi się ściska z odruchowej odrazy.

– To świetnie. – Pilnuję, żeby w moim głosie nie było słychać krytycznej nuty. – Zadzwoniła do mnie przed chwilą i sprawiała wrażenie bardzo zmartwionej.

– Miała dziś terapię grupową. To mogło poruszyć jakieś ukryte pokłady.

– Jak wrócisz do domu, powiedz jej, żeby do mnie zadzwoniła, dobrze? – Nienawidzę go.

– A co u ciebie? – pyta, nie wyczuwając sugestii, że powinien się rozłączyć.

– Wszystko okej. Świetnie.

– Widziałem, że dobrze się bawiłaś na weselu.

– Powiedz jej, żeby do mnie zadzwoniła – mówię.

Szosa jest opustoszała, bezludna – żużlowa wstęga posypana solą dla ochrony przed lodem, piaszczyste pobocza zamarznięte i płaskie. W lesie widać kilka ciemnych plam sosen, ale większość

drzew stoi naga, resztki brązowych liści grzechoczą martwo, smętnie czekając, aż zabierze je następny lodowaty podmuch.

Nie ma jeszcze piętnastej, a zimowe światło już gaśnie. Od chwili, kiedy przyjechałam po nią wynajętym samochodem na lotnisko Logan, Anna nie odezwała się ani słowem. Sprawia wrażenie wymizerowanej, pustej, oczy ma zaczerwienione. Anna jest twarda. Jak skała. Zjadliwa i zabawna. Potwór z Czarnej Laguny. To nie jest moja siostra. Słucham wizgu opon na mokrej drodze, rozbryzgów soli. Majstruję przy radiu. Łapię tylko fale średnie. Nienawidzę Cape zimą.

Wszystkie domy, które mijamy po drodze, stoją zamknięte. Ani śladu życia. Zaraz za zjazdem do domu Dixona drogę przebiega nam lis niosący w pysku jakieś małe zwierzątko. Zamiera w świetle reflektorów, patrzy na nas przez chwilę, a potem znika.

Staw jest skuty grubym lodem. Martwe zarośla pokrywa szron, na cienkiej srebrnej gałązce widać czerwone owoce. Letnisko sprawia wrażenie nagiego, wszystkie jego skazy widać jak na dłoni. Zatrzymuję się przy tylnych drzwiach i wyłączam silnik. Jest cicho, ciepło, gęstnieją barwy. Anna opiera głowę o szybę.

– Zostań w samochodzie. Włączę ogrzewanie.

Tylne drzwi są zamknięte na kłódkę. Obchodzę dom z boku, brodząc wśród sterty suchych liści, i sięgam pod okap. Choć robiłam to tyle razy, zawsze czuję zdziwienie i ulgę, gdy moje palce odnajdują pojedynczy klucz, który wisi na zardzewiałym gwoździu. Ten sam klucz do tej samej starej kłódki Master Lock, która jest tu od czasów mojego dzieciństwa.

– Mam go! – wołam do Anny.

Otwieram drzwi do ciemnej spiżarni, potykam się o próg i na przeciwległej ścianie szukam skrzynki z bezpiecznikami. Macam po

włącznikach, jakbym czytała brajla, aż znajduję jeden grubszy od pozostałych, główny – potrzeba nieco siły, żeby przesunąć go z lewej na prawą. Lodówkę, którą zostawia się otwartą, żeby nie gniła, blokuje miotła; kiedy agregat z pomrukiem budzi się do życia, w środku zapala się światło. Wysprzątany salon jest ogołocony z kolorów, poduszki i narzuty leżą schowane w wielkich czarnych workach. Mam wrażenie, jakby było tu zimniej niż na zewnątrz, jakbym weszła do zamrażarki wypełnionej martwym powietrzem. Po sezonie zakręcamy wodę, żeby nie zamarzły rury. Zanim wypłuczę płyn przeciw zamarzaniu i ją włączę, będę musiała zaczekać, aż nagrzeje się wnętrze. Dziś skorzystamy z wody ze stawu.

Zapalam po kolei wszystkie lampy. Jest za zimno, żeby zatrzymać się w którejś z chatek – nie mają ogrzewania – ale możemy rozpalić w Dużym Domu i spać na sofach. Pod stołem są schowane dwa elektryczne grzejniki. Podłączam je do gniazdek w salonie. Zachowują się jak staromodne tostery, cienkie spirale rozgrzewają się, nabierając czerwonopomarańczowej barwy i napełniając pokój wonią palonego kurzu. Zawsze w takiej sytuacji czuję ukłucie niepokoju – boję się, że podpalą dom, kiedy będziemy spały. Obok kominka leżą drwa i podpałka, jest też sterta wyblakłych gazet – głównie „New York Times" z zeszłego roku i kilka numerów „Boston Globes". Ktoś, prawdopodobnie Peter, ustawił w palenisku stos z myślą o przyszłym lecie. Biorę z gzymsu puszkę z zapałkami, które można potrzeć o cokolwiek, klękam i podpalam zmięte gazety razem z rozpałką. Ogień syczy, skwierczy i bucha płomieniem. Za plecami słyszę kroki Anny.

– Powinnyśmy wybrać się na łyżwy – mówi.

– Otworzę zupę w puszce. Może są też sardynki. – Ze starej marynarskiej skrzyni wyciągam stertę poduszek z pierza, koce

i zimną pościel.

Kładziemy się spać, słuchając trzasku ognia i od czasu do czasu głuchego łoskotu polan zwalających się w żar. Na zewnątrz, w zimowym świetle księżyca, świat sprawia wrażenie chłodnego i surowego – odległe echo miejsca, które kocham, miejsca, gdzie dla mnie zaczyna się i kończy życie. A jednak leżąc obok mojej konfundująco udręczonej siostry, mając ją w zasięgu ręki, wdychając zapach dymu, pleśni i zimowego morza, zaczynam wyczuwać jego puls. Jak gołąb pocztowy, który – głuchy na wszystko poza instynktem – słyszy wiatr wiejący w górach dwieście mil dalej i w ten sposób wyznacza swój kurs.

O brzasku budzi mnie sodowe światło przesączające się przez okna werandy. W nocy ogień wygasł i teraz mogę zobaczyć swój oddech. Wciągam pod kołdrą skarpetki, biorę z podłogi puchówkę i zakładam ją na koszulę. Węgle wciąż są czerwone. Dokładam suchego drewna, starając się nie obudzić Anny, biorę dzbanek i idę nad staw. Potrzebuję kawy. W spiżarni znajdę nieotwartą puszkę medaglia d'Oro. Matka zawsze pilnuje, żeby zostały kawa, oliwa i sól. Staw zamarzł na kość. Lód ma pewnie z sześć cali grubości. Widzę sprasowane gałązki i listki, złapane w ruchu niczym skamieliny. Ale w miejscu, gdzie woda dotyka brzegu, lód robi się cienki, przezroczysty i kruchy. Rozbijam taflę kijem, składam ręce i piję prosto ze stawu. Dopiero potem napełniam dzbanek.

Zapach kawy budzi Annę.

– Boże – ziewa.

– Ona mówi.

Anna przekrzywia głowę, leciutko, niczym spizela drzewna. A potem, gdy przypomina sobie o swoim smutku, jej twarz robi się szara.

– Powiedz, co się dzieje. – Przynoszę jej kubek czarnej kawy. – Jest cukier, ale nie ma mleka. – Siadam na skraju sofy. – Posuń się.

Przesuwa się, żeby zrobić mi miejsce, skrawek wolnej przestrzeni na wysokości bioder.

– Chciałabym pójść na plażę, dopóki jest jasno.

– W skrzyni powinny być jakieś swetry – mówię.

Siada i poprawia sobie poduszkę za plecami.

– W zeszłym tygodniu wybrałam się do ginekologa. Okres mi się spóźniał.

– I?

– Byłam pewna, że jestem w ciąży.

– Rozmawiałyśmy tydzień temu. Nic nie mówiłaś.

– Bałam się, że jeśli powiem, znowu wszystko przepadnie. Wciąż myślałam: „do trzech razy sztuka". – Upija łyk i się krzywi. – Trzeba było zatrzymać się w Cumby i kupić mleko. W każdym razie nie jestem.

– Anna, kurde, to słabo. Strasznie mi przykro.

Stawia kawę na parapecie i opuszcza wzrok. Patrzy na ręce, obraca je, wodzi palcem wzdłuż górnej linii na prawej dłoni.

– Pamiętasz linie życia?

Kiwam głową.

– Pamiętasz linie serca??

Anna wybucha śmiechem.

– Moja miała tyle tych małych rozgałęzień. Lindsay nazywała je liniami dziwki.

– Ciekawe, co się stało z Lindsay.

– Nigdy nie będę miała dzieci – mówi Anna.

– Oczywiście, że będziesz. Masz dopiero trzydzieści trzy lata. Po prostu musisz dalej próbować. Skończy się pewnie czterema

bachorami, które będą wyglądać i zachowywać się jak Jeremy.

Anna kręci głową.

– Nie, już po ptakach.

– Po jakich ptakach?

– Mam raka jajnika – mówi.

– Chyba po ptokach, głupia. – Wypluwam te słowa, zanim dociera do mnie, co powiedziała. Pokój przestaje oddychać, drobinki kurzu zastygają w bezruchu, promienie słońca zatrzymują się na szybie, czekają. W moim wnętrzu zapada betonowa cisza.

Kręcę głową.

– Nieprawda.

– Elle.

– Skąd wiesz, że to nie mięśniak macicy?

– Czwarte stadium. Są przerzuty.

– Konsultowałaś to z kimś? Bo jeśli nie, to powinnaś jak najszybciej.

– Elle, bądź cicho i daj mi powiedzieć. Serio. Po prostu się zamknij, dobra? Wykryto plamy na wątrobie. W przyszłym tygodniu będą to sprawdzać, ale lekarz mówi, żebym się przygotowała na złe wieści.

– To tylko jedna z możliwości. Nikt nie powiedział, że to nieoperacyjne. Jeszcze tego nie wiedzą. Dostaniesz chemię, naświetlenia. Znajdziemy najlepszego lekarza w Nowym Jorku. Wyjdziesz z tego.

– Okej – wzdycha Anna. – Skoro tak mówisz.

– Tak mówię.

– W takim razie nie mam się o co martwić. Chodźmy na plażę. – Odrzuca pościel i dźga mnie palcem w biodro. – Przesuń się, nie mogę wstać.

– Wiem, że nie znosisz czułości, ale mam zamiar cię przytulić, a ty będziesz musiała to jakoś przetrwać.

– Dobrze. Tylko daj mi chwilę, żebym się przygotowała.

Otaczam ją ramionami i ściskam mocno.

– Kocham cię. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

– Ja też cię kocham – mówi Anna. – Nie mam pojęcia, dlaczego tak cię nienawidziłam, kiedy byłyśmy małe.

– Byłam irytująca.

– A ja wściekła.

– Ty byłaś przerażająca. W pewnym sensie wciąż jesteś – śmieję się.

– Pamiętasz, jak wtedy Conrad walnął mnie na werandzie? – pyta Anna.

– No.

– Leo go uziemił, a on upadł i zaczął płakać. Wciąż mam wyrzuty sumienia.

– Dlaczego? Przecież cię uderzył.

– Bo go sprowokowałam. Chciałam narobić mu kłopotów. – Wygląda przez wielkie okno wychodzące na staw. Promienie słońca padają na lód pod takim kątem, że mieni się jak kryształ, rozrzucając wokół iskry. – Byłam dla niego taka podła.

– Byłaś podła dla wszystkich.

– Kiedy Leo odesłał go do chatki, zamknęłam się w łazience i płakałam. Nie mam pojęcia dlaczego. – Wstaje, idzie do kuchenki, bierze metalowy dzbanek, nalewa wodę do czajnika. – Widziałam herbatę miętową w spiżarni.

– Zaraz przyniosę.

– To takie dziwne, co nam zostaje w pamięci. Mam na sumieniu pewnie milion gorszych rzeczy, ale kiedy lekarz powiedział, że to rak,

przypomniał mi się tamten dzień z Conradem. Jak koszmarnie się zachowałam. A potem, rok później, on zginął.

– Dwa lata później – mówię. – Byłaś wtedy w kibucu w Santa Cruz.

– Co mi strzeliło do głowy? Kibuc? Musiałam być na kwasie. – Śmieje się i przez chwilę znów jest sobą. – Wciąż myślę, że gdybym była lepszym człowiekiem, to by mi się nie przytrafiło. Co, jeśli karma naprawdę wraca? Odrodzę się jako stonoga. Albo skrzep.

– To nie twoja wina – mówię. – I nie ma czegoś takiego jak karma.

– Tego nie wiesz.

Wiem. Bo gdyby karma istniała, to ja miałabym raka, nie Anna. Oddycham głęboko, świadoma, że muszę to zrobić. Przez tyle lat dotrzymywałam obietnicy złożonej Jonasowi. Ale Anna musi wiedzieć, że to nie jej wina.

– Pamiętasz, jak Leo krążył po mieszkaniu, krzycząc „dlaczego”? Rozbijał rzeczy i wrzeszczał na mamę?

Anna kiwa głową.

– Obwiniał się o to, co się stało z Conradem. Ale on nie miał z tym nic wspólnego. To była moja wina. – Znów robię głęboki wdech. – Tamtego dnia na łódce, kiedy Conrad umarł…

– Nie chcę umierać, Elle – przerywa mi Anna. – Nie chcę zamienić się w nic, nie chcę, żeby nie było już drzew ani ciebie. Tylko sterta gnijącego mięsa. Pamiętasz mamę? I robaki? – Na wpół śmieje się, na wpół płacze.

– Nie umrzesz – mówię. – Nie pozwolę ci.

– Biedny Conrad. – Jej głos jest ledwie szeptem. – Nawet nie było mi smutno.

28

1998. Maj, Nowy Jork

W kuchni mojej matki stoi stół, którego blat był kiedyś drzwiami do stodoły, jego ostre krawędzie wygładziły się przez dziesięciolecia rodzinnych obiadów. Wciąż jest w nim dziurka, do której kiedyś pasował klucz, i ślady po kornikach, które wyglądają jak ukłucia – gromadzą się w nich resztki jedzenia, osiągając konsystencję woskowiny. Kiedy byłam mała, uwielbiałam grzebać tam widelcem, wydłubywać drobinki i układać w kopczyki, które wyglądały jak odchody termitów. Teraz siedzę tu, dźgając blat końcem pióra kulkowego. Peter powinien już być. Są urodziny mamy i zabieramy ją na kolację. Mamy zarezerwowany stolik na ósmą. Podnoszę słuchawkę i dzwonię do zegarynki. „Dziewiętnasta-dwadzieścia-pięć. Dziewiętnasta-dwadzieścia-sześć". Do kuchni wchodzi nowy kociak. Pręgowany grzbiet, białe łapy, żółte oczy. Patrzy na mnie, domagając się uwagi. Stawiam go na stole, a on zaczyna jeść to, co wydłubałam. Gdzieś w głębi mieszkania słyszę łoskot. Odsuwam krzesło i wychodzę na korytarz.

Mama stoi na drabince i układa alfabetycznie książki.

– O, dobrze, że jesteś – mówi. – Możesz mi pomóc z poezją. – Wyciąga stertę tomików z półki i wręcza mi je.

– Peter się spóźnia. – Siadam na podłodze i zaczynam sortować książki. – Primo Levi idzie do poezji?

– Nigdy nie mogę się zdecydować. Na razie wstaw go do filozofii.

Z góry kupki biorę *Wiersze zebrane* Dwighta Burke'a i otwieram. Na pierwszej stronie jest odręczna dedykacja nagryzmolona wyblakłym niebieskim atramentem: „Dla dziewczynek Henry'ego, słodszych niż runianka, w nadziei, że ich życie będzie pełne poezji i pikanterii. Z miłością, Dwight".

– To moje.

Mama patrzy w dół z drabinki.

– Zdaje się, że twoje i Anny.

– Masz rację. Wyślę jej.

– Ja bym to tu zostawiła. Dziś jest pewnie warte fortunę: sygnowane pierwsze wydanie. Jeremy będzie chciał, żeby Anna je sprzedała.

Z tyłu na okładce jest wyblakła czarno-biała fotografia, przedstawia Dawida Burke'a w marynarce z bawełny seersucker i w muszce w grochy. Na jego twarzy maluje się wyraz tej samej życzliwości, który pamiętam z dzieciństwa – sympatyczna WASP-owatość.

– Miły człowiek – mówię.

– Co za tragedia. – Mama kręci głową.

– Nosił mokasyny z pięciocentówką. Powinnam napisać do Nancy.

– Twój ojciec zawsze uważał, że był homoseksualistą.

Przez lata po śmierci Dwighta Burke'a krążyły pogłoski, że popełnił samobójstwo – że Carter Ashe, mężczyzna, któremu pojechał zwrócić książkę wtedy na wiosnę, gdy przyjechaliśmy z ojcem po pudła, był jego kochankiem. Że Burke, gorliwy katolik, nie mógł znieść wstydu i poczucia winy. Ojciec uparcie twierdził, że

te pogłoski nie były prawdziwe. Ubrania Burke'a znaleziono na brzegu Hudson złożone w schludną kupkę – zostawił wszystko z wyjątkiem bokserek, w których wyciągnięto go z wody. „Skoro zamierzał się utopić – mówił ojciec – dlaczego nie zdjął bokserek? Dwight wolałby zejść z tego świata, tak jak na niego przyszedł. Był poetą. Kochał symetrię".

– Według autora czy tematu? – pyta mama. Trzyma książkę o Gandhim. Dotarła już do biografii.

– Według tematu. Nikogo nie obchodzi, kto to napisał.

Otwieram tomik, który mam w ręce. Wiersze są żywe, osobliwe, pełne bzyczenia owadów i miękkich traw. Gdy je przeglądam, jeden przykuwa moją uwagę.

Na szczycie wzgórza dwa ogiery
czarne grzbiety na fali nektaru
pasą się wśród cierpkiej koniczyny,
żołędzie dopiero trzeba wywęszyć.
Leżymy razem pod kwitnącym głogiem,
białą koszulę masz rozpiętą.
Któregoś razu usłyszałem
wiatr pod wodą, zaczerpnąłem tchu w oceanie,
przeżyłem.

Mam nadzieję, że ojciec miał rację i Dwight utonął przez przypadek. Mam nadzieję, że wyszedł wtedy z domu kochanka, chcąc zażyć orzeźwiającej kąpieli, że leżał na brzegu rzeki, słuchając szumu wody, wdychając zapach krokusów, cierpką woń palusznika. Rozebrał się do bielizny, wszedł w silny nurt, zanurzył się i popłynął, patrząc na chmury biegnące po niebie, na stada ptaków. Zawrócił, ale krajobraz się zmienił. Teraz unosił się wśród nieznanych brzegów, wciągany przez nurt, zbyt silny, by z nim walczyć.

Dzwonek u drzwi dzwoni dwa razy.

– Jest tu kto? – woła Peter.

– Jesteśmy – odpowiada mama. – Nie wypuść kociaka. Cały czas próbuje uciec z domu.

Peter niesie olbrzymi bukiet kwiatów, liliowców i jasnoróżowych róż.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Wallace – mówi, wręczając go mojej matce. Rozgląda się po rozstawionych dokoła stertach książek, patrzy na matkę na drabince. – Bardzo tu odświętnie.

– Jestem za stara na urodziny. Zmienię bluzkę i możemy iść. – Podaje mi kwiaty. – Wstawisz je do wody?

Większość latarni na naszej ulicy nie działa, zostały zbite przez ćpunów, którzy wolą ciemność. Wracamy z Peterem z kolacji środkiem Wschodniej Dziesiątej jedno obok drugiego, bo dzięki temu wydajemy się większym, mniej interesującym celem. Połowa mieszkań na parterze ma w oknach znaki ostrzegające przez złym psem, choć rzadko widujemy tu ludzi, którzy wyprowadzaliby jakieś na spacer.

– Twoja matka była dziś w znakomitej formie – mówi Peter. – Wręcz promieniała, kiedy wsadzaliśmy ją do taksówki.

– Uwielbia, kiedy się ją rozpieszcza. Udaje, że tym gardzi, ale wystarczy zabrać ją do drogiej restauracji i zapłacić rachunek, żeby zaczęła się zachowywać jak mała dziewczynka, która właśnie dostała od tatusia nową lalkę. Poza tym ona cię uwielbia. Dzięki tobie czuje się młoda.

– A ty? – pyta Peter.

– Ja jestem młoda.

– Ale czy mnie uwielbiasz?

– Zazwyczaj. Czasami jesteś po prostu irytujący.

Przyciąga mnie do siebie i wdycha mój zapach.

– Ładnie pachniesz. Cytrusowo.

– To pewnie ta cytryna w tetrze, którą dostałam do ryby.

– „Eau de sole. Bo każda kobieta potrzebuje soli trzeźwiących". Myślę, że możemy wprowadzić ten zapach na rynek – śmieje się Peter.

– Nie każda – mówię.

Gdy otwieramy drzwi do mieszkania, powietrze sprawia wrażenie naładowanego, naelektryzowanego. Ma delikatny metaliczny posmak. Telefon dzwoni bez przerwy. Na półce obok leży przewrócony wazon z tulipanami, rozlana woda utworzyła kałużę.

– Cholerny kot znowu wskoczył na sekretarkę. Uduszę go.

Rzucam płaszcz na stół i jak burza wpadam do sypialni. Są tam dwa ogromne okna: jedno znajduje się po prawej, nad łóżkiem, drugie wychodzi na schody przeciwpożarowe i jest zabezpieczone grubą kratą, którą można otworzyć od środka, na wypadek gdyby trzeba było uciekać. Okno po prawej leży teraz na łóżku, a w jego miejscu zieje wielka dziura, drewniana framuga jest roztrzaskana. Na parapecie kuca mężczyzna. Uśmiecha się do mnie, spogląda szklistym wzrokiem, najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy, że balansuje na krawędzi czwartego piętra. Tłuste włosy ma matowe, oplecione siatką wielotygodniowego brudu – wyglądają, jakby zagnieździły się w nich pająki, szukając ciepła dla mikroskopijnych jajeczek na wilgotnej, pokrytej ciemieniuchą skórze głowy. Jakimś cudem mężczyźnie udało się przedostać ze schodów i przeskakując, wyłamał framugę. Za otwartą kratą w drugim oknie widzę teraz nasz telewizor, kamerę wideo, splątane przewody automatycznej sekretarki.

Mężczyzna podąża wzrokiem za moim spojrzeniem, a potem patrzy na mnie, przekrzywiając głowę, jakby się zastanawiał: iść czy zostać. Czubkiem różowego języka zwilża usta, a potem się uśmiecha. Chcę krzyknąć, zawołać Petera, ale z moich ust wydobywa się tylko szept. Łypiąc na mnie okiem, mężczyzna cofa się do pokoju. Całe moje ciało zwija się jak sprężyna. Jeśli teraz do niego przyskoczę, uderzę z zaskoczenia, poleci w noc i roztrzaska się na betonie – będzie tam leżał z szeroko otwartymi oczami, podczas gdy jakiś inny ćpun zajmie się zawartością jego kieszeni. Ruszam jak taran, zanim zdążę zmienić zdanie. I nagle leżę twarzą na podłodze, z podciętymi nogami. Peter mija mnie, wysoki i złowieszczy. W ręku trzyma kuchenny nóż. Kiedy mówi, głos ma spokojny, zimny jak ostrze.

– Wyjdziesz stąd tą samą drogą, którą wszedłeś. Możesz wziąć telewizor, nadaje się na szmelc. Ale zostawisz sekretarkę. Mam tam numer, którego potrzebuję. – Robi kilka kroków w stronę intruza. Jest przerażający, władczy w sposób, jakiego nigdy nie widziałam. Jak wilk przemieniony w czasie pełni księżyca. – Wynocha – warczy. – Zanim pobrudzę sobie ręce.

Mężczyzna cofa się, jak kot przeskakuje z okna na schody przeciwpożarowe, pod jedną pachę bierze telewizor, pod drugą kamerę. Słyszę tupot jego stóp na metalu, zgrzyt i stukot przewodów, które za sobą ciągnie. Na podłodze obok mojej twarzy jest czerwony rozbryzg. Rozcięłam sobie brodę. W kącie pokoju drzwi szafy otwierają się powoli.

– Peter – ostrzegam. – Za twoimi plecami. – Zamykam oczy, żeby nie widzieć tego, co nadciąga, czekam na ciężkie kroki na drewnianych deskach. Tymczasem coś jedwabistego ociera mi się o twarz. Otwieram oczy. Obok mnie kot zlizuje z podłogi krew.

Później, gdy już zjawiła się policja i posypała proszkiem daktyloskopijnym automatyczną sekretarkę, gdy zmietliśmy odłamki szkła i framugi, gdy wybaczyłam Peterowi, że pchnął mnie na ziemię, robiąc szramę, którą będę miała do końca życia, mój mąż pyta:

– Gdybym cię nie powstrzymał, naprawdę wypchnęłabyś go przez okno?

– Tak myślę. Nie wiem. To był odruch.

Peter marszczy brwi i patrzy na mnie, jakby właśnie dostrzegł coś tuż pod powierzchnią mojej skóry, maleńkie popękane naczynka albo niebieskawy odcień – coś, co nie powinno ujrzeć światła dziennego – a ja czuję ukłucie wstydu, obnażenia.

– Zabiłabyś człowieka z powodu telewizora i kamery?

– Nie chodziło o telewizor. On wracał po mnie – mówię. – Miał czarne oczy.

– Musimy się wynieść z tej okolicy, zanim cię wsadzą do więzienia za morderstwo.

– Wal się, Pete. Byłam przerażona.

– Żartuję – mówi Peter. – Albo prawie. – Śmieje się.

Zabieram automatyczną sekretarkę z komody i idę do salonu.

– Mówiłeś, że jest tu numer, którego potrzebujesz?

Peter idzie za mną.

– Elle. Proszę. Daj spokój. – Bierze paczkę papierosów ze stolika i maca się w poszukiwaniu zapalniczki. – Ryzykowałaś życie, żeby uratować tonącego człowieka. Do kurwy nędzy, nie jesteś zabójczynią. To ja mu groziłem nożem. – Rozgląda się w poszukiwaniu czegoś, gdzie mógłby strzepnąć popiół. Jego wybór pada na doniczkę z pelargoniami.

Odwracam się, udając, że szukam czegoś na regale.

– Drań musiał mi rąbnąć popielniczkę.

– Jest w zmywarce – mówię.

Peter podchodzi i odwraca mnie do siebie. Minę ma poważną.

– Guzik by mnie obeszło, gdybyś go poćwiartowała i wywiesiła jego bebechy na maszcie. Dla mnie ważne jest tylko twoje bezpieczeństwo. Jesteś moją żoną. Miłością mojego życia. Nic, co kiedykolwiek powiesz czy zrobisz, tego nie zmieni. Byłem po prostu zaskoczony, to wszystko. Nie znałem cię od tej strony.

Tak bardzo chciałabym mu uwierzyć. Ale to niemożliwe. Są rzeczy, które można wybaczyć – romans, okrutną uwagę. Ale nie nikczemny, plugawy instynkt, który niczym tasiemiec czai się w mrocznych zakamarkach moich wnętrzności, gotów wyłonić się w chwili, gdy tylko poczuje krwawy ochłap. Aż do dziś myślałam, że zniknął. Że cal po calu, stopa po stopie, rok po roku udało mi się go wyciągnąć z ust, i że została po nim tylko pusta jama, wspomnienie miejsca, gdzie się kiedyś gnieździł.

Peter dźga mnie palcem w czubek nosa.

– A teraz koniec smęcenia. – Idzie do kuchni i wraca, niosąc w jednej ręce popielniczkę, a w drugiej spodek z mlekiem. – Kici, kici – mówi, stawiając spodek na kaloryferze.

„Powiedz mu”, myślę. „Pozwól, żeby cię zobaczył. Zabij glizdę. Oczyść się”. Ale zamiast tego mówię:

– Koty nie trawią mleka.

Tej nocy, gdy kładziemy się do łóżka, czuję, że dzieli nas dużo więcej niż zmięta pościel. Linia uskoku, którą zabetonowałam. Za bardzo go kocham, żeby ryzykować, że go stracę.

1999. 31 lipca, Los Angeles

Samolot pokonuje ostatni najeżony szczytami odludny grzbiet górski. Pode mną rozlewające się bez końca przedmieścia, bury koc okrywający ziemię, migotanie Pacyfiku ledwo widocznego w oddali. Samolot trzęsie się, kołując, z suchym kaszlnięciem wypuszcza podwozie. Chwilę później uderza w asfalt i pasażerowie wiwatują. Zawsze spodziewamy się najgorszego.

Prosto z lotniska jadę do szpitala, ciągnąc za sobą ciężki bagaż podręczny, przepychając się powodowana agresywną, podszytą paniką koniecznością. „Nie mogę się spóźnić. Nie mogę się spóźnić". Czeka na mnie taksówka – Jeremy zadbał o wszystko – ale kierowca jest ślamazarny, niespostrzegawczy. Udaje mu się przepuścić wszystkie światła, zwalnia, żeby inne samochody mogły się włączyć do ruchu, wybiera drogę, sztywno trzymając się prawa Murphy'ego. Gdy zatrzymujemy się przed szpitalem, zęby mam starte na kredę – ścinam mu napiwek z piętnastu do dziesięciu procent i wpychając dolarowe banknoty do ręki, mruczę pod nosem:

– Palant.

W środku strażnik wskazuje mi windy, a ja biegnę po błyszczących betonowych płytkach, unosząc w powietrzu walizkę. Przy windach czeka tłum ludzi, wszyscy podnoszą wzrok w nadziei, że uda im się zgadnąć, która przyjedzie pierwsza. Jakimś cudem otwierają się drzwi na wprost mnie. Wciskam jedenastkę, a potem kilka razy uderzam przycisk zamykający drzwi, licząc, że winda odjedzie, zanim ktoś wejdzie do środka, ale nic się nie dzieje. Kobieta w peruce i chuście na głowie zjawia się akurat w chwili, kiedy zamykają się drzwi. Rak. Winda stoi. Zapieczętowana niczym grobowiec.

– Zdaje się, że nie działa. – Wciskam przycisk otwierania. Po chwili znowu. Czuję, jak w piersi wzbiera mi klaustrofobia, jakby

więziło mnie moje ciało. Ale wtedy winda rusza. Powoli wjeżdża piętro wyżej, zatrzymuje się i otwiera. Gdy jest już jasne, że nikt nie wsiada, rusza dalej i pokonuje kolejne piętro. Tu znów się zatrzymuje i czekamy w nieskończoność.

– Pewnie jakieś dziecko wcisnęło wszystkie guziki – mówię.

– Dziś jest szabat – informuje mnie kobieta.

– Żartuje pani! – Jestem w szabatowej windzie, która zatrzymuje się na każdym piętrze. – Nie mam czasu na te bzdury.

Kobieta patrzy na mnie, jakbym była trędowata. Odsuwa się.

– Przepraszam – mówię. – Nie chciałam… – Oddycham z trudem. – Pani nie rozumie. Nie mogę się spóźnić. Moja siostra umiera.

Kobieta wbija wzrok w sufit, usta zasznurowała w kwaśnym grymasie pogardy.

Zawsze uważałam się za osobę tolerancyjną. Każdemu wedle potrzeb. Ale teraz, gdy stawką nie jest kara za to, że ktoś naciśnie przycisk, tylko czy zdążę dotrzeć do mojej ślicznej siostry, żeby się pożegnać – żeby usiąść koło niej na szpitalnym łóżku, przytulić ją i przyznać, że to ja rozdarłam jej plakat z Bobbym Shermanem, rozśmieszyć ją po raz ostatni – czuję wściekłość na głupotę wszystkich religii. Zamykam oczy i modlę się do Boga, w którego nie wierzę, żeby Anna na mnie zaczekała. Muszę jej powiedzieć, co zrobiłam.

Księga czwarta

◇

TO LATO

29

Sześć tygodni temu. 19 lipca, Back Woods

Każdego ranka, zanim zjawią się Peter i dzieci, zamiatam podłogę, zostawiając po sobie schludne kupki kurzu, piasku i skorków, które potem po kolei przenoszę na szufelkę i wysypuję pod najbliższym krzakiem. I co rano w tym właśnie momencie myślę o Annie. To jedynie przebłysk. Nie tyle wspomnienie, ile rozpoznanie tego maleńkiego, ale niezatartego jej skrawka, który wciąż we mnie żyje. Anna nauczyła mnie zamiatać, kiedy miałam siedem lat. „Nie tak, głupia", poprawiała mnie z werandy, kiedy machałam miotłą jak wahadłem, wzbijając kłęby pyłu i kurzu. „To muszą być krótkie ruchy blisko ziemi. Trzeba zrobić dużo maleńkich kupek. I zamiatać do wewnątrz. Inaczej zobacz, co się dzieje".

Tego ranka, kiedy odstawiam miotłę na miejsce obok spiżarni, ta osuwa się na bok i wpada w zarośniętą pajęczynami dziurę za lodówką. Wzdycham, bo wiem, że nie mam wyboru, muszę ją wydostać z pełnej pająków ciemności. Matka wprawdzie zawsze sprząta letnisko przed naszym przyjazdem, ale tylko tam, gdzie sięga wzrok. Kiedy zjawiliśmy się tu wczoraj, pierwszą rzeczą, którą zauważyła Maddy, było wielkie mysie gniazdo na krokwi ponad półkami w spiżarni.

– Udaję, że go nie widziałam – oznajmiła matka, gdy wchodziłam tylnymi drzwiami, taszcząc z samochodu nasze torby z ubraniami. – Najgorsze rzeczy zostawiam, aż zjawi się twoja mama.

– Wszystko słyszę – powiedziałam.

– W nenufarach mieszka rodzina piżmaków – ciągnęła, nie zważając na mnie. – Są strasznie słodkie. Co rano trzy maluchy wypływają za matką. Były cztery, ale jednego znalazłam w wodorostach, jak pływałam łódką. Wyglądał jak futrzana kłoda. Stężenie pośmiertne.

– Naprawdę urocze, mamo. Dzięki, że dzielisz się tym z moją córką! – zawołałam przez ramię.

– Chcesz tu zamieszkać na stałe? Nigdy w życiu nie widziałam tylu rzeczy.

Zatrzymałam się na końcu ścieżki i zapatrzyłam na staw, w jasne czerwcowe niebo. Idealny dzień na pływanie.

– Tak się cieszę, że tu jestem, że aż nie mogę tego znieść – powiedziałam sama do siebie.

Ale tego ranka niebo jest szare i pochmurne, za zimno na kąpiel. Zostawiam miotłę tam, gdzie się przewróciła, idę do naszej chatki i grzebię w płóciennej torbie w poszukiwaniu butów do biegania i sportowego stanika. Ubrania Petera leżą na podłodze, tam, gdzie zdjął je poprzedniego wieczoru. Wieszam jego białą bawełnianą koszulę na wieszaku, wytarte moleskinowe spodnie składam i zostawiam na oparciu krzesła.

Peter porusza się za moimi plecami.

– Jeszcze wcześnie – szepczę. – Możesz dalej spać.

Odwraca się i uśmiecha do mnie, włosy na czole ma zmierzwione, poduszka odcisnęła mu się na policzku.

– Milusio – mówi. Wygląda słodko jak mały chłopiec.

– Zaraz wracam. – Całuję go w powieki, wdychając znajomy zapach soli i papierosów.

– Zrobię śniadanie – mruczy.

Biegnę w górę stromego podjazdu, omijając korzenie i zimowe wyboje, a potem skręcam w drogę gruntową, która okrąża staw i prowadzi nad ocean. Las jest cichy, prawie nie ma w nim ruchu. Większość domów jeszcze nie otworzyła się na lato. Czerwiec bywa deszczowy i wilgotny. Świeże poranne powietrze jest jak chlust zimnej wody. Za każdym razem, gdy uderzam stopami o piaszczysty grunt, czuję, jak moje ciało się budzi, jakbym wracała do życia po długim zimowym śnie, próbowała wywęszyć pszczoły w koniczynie, szukała odpowiedniego drzewa do drapania. Tak jest co roku.

Zbliżając się do oceanu, nabieram prędkości, nie mogę się doczekać, aż gęsty las ustąpi miejsca niskim krzewom i żurawinie, aż zobaczę wodę. Pokonuję ostatni zakręt i zaskoczona widzę Jonasa, który siedzi na poboczu drogi z lornetką na szyi.

– Co ty tu robisz? – sapię, gdy do niego docieram. – Mówiłeś, że będziecie dopiero w przyszłym tygodniu. – Siadam obok.

– Zdecydowaliśmy się w ostatniej chwili. Sto procent wilgotności, w mieście śmierdziało jak spod pachy, a potem klimatyzacja w lofcie przestała działać.

– Daj spokój. Przyznaj. Po prostu strasznie się za mną stęskniłeś – śmieję się.

Jonas się uśmiecha.

– No tak, to też. W ciągu roku nie sposób znaleźć dla siebie czasu. Wszyscy ganiamy jak szaleni. A potem nagle jest lato. Dzięki Bogu. Dzieciaki się cieszą, że tu są?

– Skąd. Nie minął nawet dzień, a już narzekają, że nie ma wi-fi. Peter zagroził, że wyśle je do szkoły wojskowej.

– Na długo zostaje?

– Na dwa tygodnie. Potem jak zwykle będzie wpadał w weekendy. Byłeś już na plaży czy dopiero idziesz?

– Byłem. Chciałem sprawdzić, czy ptaki gniazdują.

– I co?

– Gniazdują.

– Jest ogrodzenie?

Jonas kiwa głową.

– Otoczyli pół plaży.

– Kurwa, jak ja nienawidzę sieweczek.

– Nienawidzisz wszystkich, którzy nie rozumieją, że Back Woods należy do ciebie – mówi Jonas.

– To bez sensu. Czytałam, że populacja sieweczek zmniejszyła się, odkąd zaczęli grodzić plażę, żeby je chronić.

Jonas kiwa głową.

– Całkiem możliwe, że zapach ludzi utrzymywał kojoty z dala od jajeczek.

– A co u ciebie? Jak Gina?

Jonas waha się niemal niedostrzegalnie, ale ja zauważam.

– Przeszczęśliwa, że tu jesteśmy. I już stara się unikać mojej matki. Wybrała się na żagle, zanim zdążyłem wstać. Wzięła rhode, żeby sprawdzić takielunek.

– Żagle. – Nawet dziś, po tylu latach, to słowo wciąż przykleja mi się do języka, jakbym mówiła namibijskim językiem mlaskowym.

– Żagle – powtarza Jonas.

Ten dźwięk zawisa w powietrzu niczym powoli spadający głaz. Czuję, jak coś drażliwego, okropnego, smutnego i karygodnego odsłania się między nami. Jak zawsze. Ale Jonas przerywa ten upadek i chwila mija.

– Chce kupić Cat 19. Ja się nie mogę zdecydować.

– Jack kompletnie zeświruje. – W moim pogodnym głosie dźwięczy fałszywa nuta i wiem, że Jonas ją słyszy. Ale to właśnie robimy, tak się zachowujemy od lat. Ciągniemy przeszłość za sobą niczym ciężar, wciąż jesteśmy do niej przykuci, ale dzieli nas od niej już taka odległość, że nie musimy na nią patrzeć, nie musimy otwarcie przyznawać, kim kiedyś byliśmy.

Ponad nami sokół wędrowny szybuje po niebie. Patrzymy, jak wzbija się w chmury, zawraca i nurkuje w dół, spostrzegłszy ofiarę.

Jonas wstaje.

– Muszę wracać. Matka chce, żebym jej pomógł sadzić aksamitki. W tym roku są straszne komary. Wpadnijcie później na drinka. Siedzimy dziś wieczorem w domu.

– Z przyjemnością.

Całuje mnie w policzek i odchodzi. Patrzę za nim, dopóki nie zniknie za zakrętem. Tak jest łatwiej.

Kiedy wracam, zastaję mamę w jej ulubionym miejscu na werandzie. Peter robi kawę w kuchni.

– Dzień dobry, śliczna! – woła. – Jak tam pierwsze letnie bieganie?

– Bosko. Czuję, że nareszcie znów mogę oddychać.

– Kawa zaraz będzie. Dotarłaś nad ocean?

– Tak. Właśnie kończył się przypływ. Zobacz, co znalazłam. – Podchodzę do niego, wyciągając otwartą dłoń. – Nigdy nie widziałam tak małego skrzypłocza. Idealny.

– Jak woda? – pyta mama.

– Nie kąpałam się, byłam w stroju do biegania.

– Mogłaś się wykąpać nago – stwierdza. Krytyka.

– Mogłam – przytakuję. Zaczyna się. – Na drodze spotkałam Jonasa. Zaprosił nas wieczorem na drinka.

– Świetnie – mówi Peter.

– Zauważyłaś? Brudnice nieparki wróciły.

– Droga na plażę wyglądała w porządku.

– Jeszcze tam dotrą. Są jak szarańcza. Połowa drzew między letniskiem a domem Pameli jest goła. Strasznie przygnębiające. I ten koszmarny odgłos odchodów spadających na ścieżkę. Wczoraj rano musiałam narzucić na głowę chustę i uciekać.

– Motyle gówno? – dziwi Peter.

– Wygląda jak beżowe fusy – wyjaśniam.

– Raz mi się coś takiego zdarzyło – mówi matka. – Okazało się, że mam wrzód.

– Twoja matka znów mówi językami, Elle – stwierdza Peter.

– A twój mąż jest impertynencki – oznajmia mama. – W każdym razie, gdybyście kiedyś znaleźli w sedesie coś, co wygląda jak fusy, będziecie wiedzieć, co to znaczy.

– Obrzydliwość – mówię.

– A jednak.

– Kawy, Wallace? – pyta Peter, wyłaniając się z kuchni ze świeżym dzbankiem.

Uwielbiam mojego męża.

Cztery tygodnie temu. 4 lipca, Wellfleet, Massachusetts

O śmierci dziecka słyszymy na paradzie z okazji czwartego lipca. Pięcioletnia dziewczynka została rano pogrzebana żywcem, gdy wydma osunęła się na nią w Higgins Hollow. Jej matka w tym czasie w łasze piachu ćwiczyła jogę. Kiedy się odwróciła, żeby sprawdzić, co u córeczki, zobaczyła tylko jej różowe wiaderko, które w pierwszej chwili zdawało się unosić cztery cale nad ziemią.

– Nigdy nie pozbędę się z głowy tego obrazu. Mała rączka wystająca z piasku. – Stoję z Jonasem i jego matką w cieniu strzelistego klonu, oglądając paradę. Gina, Maddy i Finn wmieszali się w tłum w nadziei, że uda im się przedostać do pierwszego rzędu.

– Dlaczego wam zawsze mówiłam, żebyście się nie wspinali po wydmach, kiedy byliście mali? – mówi teraz matka Jonasa z nutą satysfakcji w głosie. – Widzicie?

Jonas patrzy na mnie zdziwiony i wybucha śmiechem.

– To niebywale nietaktowne z twojej strony – oznajmia jego matka, odwracając się do nas plecami. – Jak ci nie wstyd?

Z całych sił staram się zachować powagę. Ale nic na to nie poradzę. Czuję się, jakbym znów miała czternaście lat i stała u Jonasa w salonie, a ona łajała mnie za to, że kiedyś lubiłam tak jawnie rasistowski film jak *Domek na prerii*. Albo jak wtedy na plaży, gdy robiła Annie wykład na temat tego, jakim złem jest noszenie bikini: „Pozwalasz się uprzedmiotawiać mężczyznom". Anna ściągnęła górę i zatrzęsła cyckami jak striptizerka, a potem poszła się kąpać topless. Któregoś razu matka Jonasa popełniła ogromny błąd i naskoczyła na moją matkę za to, że przyniosła na ognisko paczkę brykietów z węgla drzewnego.

– Węgiel drzewny, Wallace? W Kongo już prawie nie ma drzew. Równie dobrze mogłabyś się wybrać do Virungi i sama wystrzelać górskie goryle.

– Z dziką rozkoszą – powiedziała moja matka. – Niestety bilet lotniczy kosztuje majątek. – Po czym wysypała zawartość paczki do ogniska, które zapłonęło potężnym płomieniem.

– Jak ci nie wstyd! – wypaliła matka Jonasa.

Staliśmy obok z rozdziawionymi gębami, zachwyceni widokiem naszych walczących matek, a potem pobiegliśmy, śmiejąc się

i krzycząc do siebie: „Jak ci nie wstyd!”.

Teraz Jonas szczerzy do mnie zęby w uśmiechu:

– Jak ci nie wstyd? – mówi bezgłośnie.

– Jak c i nie wstyd? – odpowiadam.

Obok przejeżdża platforma z nastoletnimi dziewczętami przebranymi za homary. Machają do publiczności i uśmiechają się, rzucając w tłum cukierki w formie nasion kukurydzy. Za nimi orkiestra miejscowego gimnazjum fałszuje *Eye of the Tiger*. Zjawia się Gina w towarzystwie Finna i Maddy. Wszyscy troje powiewają plastikowymi flagami przyczepionymi do trzonka z balsy. Maddy ma naszyjnik z cukierków.

– Co was tak rozbawiło? – Gina bierze Jonasa pod ramię.

– Spójrz! – woła Finn, machając flagą. – Gina kupiła nam chorągiewki.

– Nie trzeba było – mówię. – To tylko marnowanie pieniędzy.

– To dla weteranów wojennych – oznajmia wyraźnie urażona Gina.

– Ach, no tak – staram się naprawić gafę. – Bardzo szlachetne z twojej strony.

– Kosztowały t r z y dolary.

– Mam na myśli dzieci, spójrz, jakie są szczęśliwe.

Maddy i Finn zbiegają ze wzgórza i podekscytowani machają flagami do czterech steranych życiem starszych panów w brązowym oldsmobile’u ze sztandarem klubu rotariańskiego.

Jonas kładzie mi rękę na ramieniu. Wskazuje na oldsmobile.

– Mógłbym się założyć, że to ci sami dziadkowie, którym myśmy machali.

– Podejrzewam, że wymieniają ich co dziesięć, dwadzieścia lat. Pamiętasz tego gościa w kapeluszu Wuja Sama, który nakrzyczał na

mnie, bo nosiłam koszulkę z Walterem Mondale'em[2], a potem gonił nas po ulicy?

Jonas się śmieje.

– No to co was tak rozbawiło? – pyta Gina, wtrącając się do rozmowy.

Matka Jonasa odwraca się do niej, sznurując usta.

– Dziś rano na plaży zginęło małe dziecko. Twój mąż i Elle zdają się uważać, że to znakomity pretekst do żartów. Ja w każdym razie stąd idę. Gorąco tu jak w piekarniku. Będę wdzięczna, jeśli po drodze do domu wstąpicie do sklepu, żeby kupić ryżowe ciasteczka i sok Clamato. Potrzebujemy też papryki. – Odmaszerowuje bez pożegnania.

– O rany – mówi Gina. – Co tu się wydarzyło?

– Nabzdyczyła się, bo się z niej śmialiśmy – stwierdza Jonas.

– W związku ze śmiercią dziecka?

– No co ty. Jest głucha na niuanse.

– No to… z czego się śmialiście? – dopytuje Gina.

– Z czegoś, co mówiła, kiedy byliśmy dziećmi. Trudno to wytłumaczyć.

– Na pewno bym załapała – jeży się Gina. – Zresztą jak chcecie. Możecie mieć swój tajny szyfr.

Poirytowany Jonas robi wdech.

– Spytała, jak nam nie wstyd.

– Miała rację – odburkuje Gina.

Czuję się, jakby ktoś mnie strzelił w twarz. Patrzę na Jonasa, szukając wytłumaczenia, ale on wpatruje się w Ginę, w jego oczach tli się ogień.

– Przepraszam. – Gina się wycofuje. – Nie mam pojęcia, dlaczego tak powiedziałam. To ten upał, w dodatku prawie nie spałam.

– Nie ma sprawy – odpowiadam.

Ale to nieprawda. Jej wrogość i niepewność nie mają sensu. Ginę zawsze cechowała niezachwiana wiara w siebie, całkowity brak superego. To osoba, która się lubi. Wiem, że na początku uważała mnie za zagrożenie. Nie dlatego, że zdawała sobie sprawę, jak bardzo Jonas mnie kochał, nigdy jej tego nie powiedział. Była zazdrosna o prastare korzenie naszej przyjaźni, o to, że łączy nas historia, która jej nie obejmuje. Ale to było sto lat temu. Zdążyliśmy się dorobić wspólnej historii. Zestarzeliśmy się razem. Jako pary. Jako przyjaciele. A mimo to mam wrażenie, jakby teraz na moment straciła panowanie nad sobą i ujawniła prawdziwe uczucia – zazdrość i głęboką urazę, którą skrywała przez lata. A potem, gdy zdała sobie z tego sprawę, próbowała znów zamknąć je w butelce. Coś musiało się do tego przyczynić. Coś więcej niż brak snu czy upał. Coś między nimi, jakieś napięcie, do którego Jonas mi się nie przyznał.

– Idę po dzieci i wracam do domu – mówię, wycofując się. – Masz rację, okropnie tu gorąco. Może zobaczymy się później, na pokazie sztucznych ogni.

– Na nas nie licz. Mam jutro regaty. O szóstej rano.

– Ja może przyjdę – oznajmia Jonas.

Wyjeżdżając z miasta z dziećmi, mijam Jonasa i Ginę przed sklepem spożywczym. Kłócą się. Gina gestykuluje wściekle. Płacze. Jonas ma pod pachą plastikową butelkę z napisem Clamato. Zawsze dziwiło mnie, jak można lubić sok pomidorowy zaprawiony sosem z małży. Jonas kręci gniewnie głową na wszystko, co Gina mówi. Samochody przede mną posuwają się w żółwim tempie. Wiem, że powinnam odwrócić wzrok, ale tego nie robię. Żółte światło zamienia się w czerwone. Choć okna w samochodzie są zamknięte, ponad buczeniem klimatyzacji słyszę, jak Gina krzyczy: „Pierdol się!”.

Zerkam do tyłu, żeby sprawdzić, czy dzieci słyszały, ale one siedzą pochłonięte przez swoje komórki. Jonas mówi coś do Giny, a potem odwraca się i odchodzi. Ona woła za nim – błaga, żeby się zatrzymał – on jednak nie zwalnia kroku. Patrzę, jak opadają jej ramiona. Czuję się jak podglądaczka. Wyciera nos w rękaw czarnej koszuli, zostaje na nim smuga śluzu lśniącego w słońcu niczym ślad ślimaka. W jej postawie jest coś, co sprawia, że wygląda jak pokonana – bezbronność, której nigdy wcześniej nie widziałam – i robi mi się smutno. Odwracam wzrok, modląc się, żeby zapaliło się zielone, zanim nas zauważy. Za mną Maddy opuszcza szybę, macha do Giny i ją woła. Gina podnosi wzrok w chwili, kiedy zmienia się światło.

– Mamo – mówi Maddy, gdy wjeżdżamy na autostradę i utykamy w niekończącym się poparadowym korku. – Gina mówiła, że w Nowym Jorku w kanałach żyją aligatory. To prawda?

– Serio? – śmieję się. – A mówiła też, że jeśli się puści *White Album* od tyłu, to słychać, że Paul nie żyje?

– Jaki Paul? – pyta Finn.

– Nie sądzę, żeby to była prawda, Maddy. Choć nigdy nie wiadomo. Jak miałam cztery lata, widziałam, jak chłopak mojej matki spuścił w sedesie małego aligatorka.

– Jak małego? – chce wiedzieć Maddy. – Nie utknął?

– Wielkości gekona.

– A jeśli udało mu się wydostać na chodnik i kogoś zabił? – zastanawia się Finn.

– Ty na pewno jesteś bezpieczny, króliczku.

– Nie będę więcej chodził do szkoły na piechotę.

Samochody pełzną jeden za drugim. Poboczem mijają nas rowerzyści.

– Wiecie – mówię – kiedy byłyśmy z Anną małe, ojciec dał nam na Gwiazdkę słonaczki. Dostałyśmy plastikowe akwarium i torebkę z jajami. Na pudełku napisano, że jeśli włoży się jaja do wody, wyklują się z nich zwierzątka. Do zestawu była dołączona paczuszka pokarmu i maleńka łyżeczka.

– Widziałam je w sklepie – oznajmia Maddy. – Powinniśmy je kupić. Brzmi super.

– Powiedzmy – studzę jej zapał. – Miały się zamienić w stworzonka, które wyglądają jak gołe koniki morskie, z długimi ludzkimi nogami i koronami, i mieszkać w podwodnych zamkach.

– Możemy je mieć? – pyta Finn.

– Nie.

– Dlaczego? Ja chcę zwierzątko.

– Dlatego że to gówno prawda.

– Mamo! – woła Maddy. – Brzydkie słowo!

– Racja – śmieję się. – Czekałyśmy i czekałyśmy, aż się pojawi rodzina słonaczków. Codziennie po szkole biegłyśmy do domu, żeby zobaczyć, czy mali królowie i królowe już się wykluli. I oto po jakimś tygodniu w wodzie zaczęły krążyć mikroskopijne żyjątka podobne do krewetek.

– I co było dalej? – pyta Maddy.

– Nic. Nie urosły. Takie już zostały. Okazało się, że to po prostu był kryl.

– Tym się żywią wieloryby – mówi Maddy do Finna.

– Wiem – obrusza się Finn.

– Skończyło się na tym, że gdy któregoś dnia wróciłyśmy ze szkoły, słonaczki zniknęły. Matka wylała je do zlewu. Powiedziała, że większość leżała martwa na dnie i akwarium zamieniło się w pożywkę dla komarów.

– Jakie to smutne – stwierdza Maddy.

– Może tak, a może nie. Nigdy nie widziałyśmy, żeby urosły, ale kto wie, czy kiedy je spłukała, w końcu do tego nie doszło. Może teraz w kanałach są królestwa słonaczków, a w nich maleńcy królowie, królowe i królewny w tycich koronach.

– Mam nadzieję – mówi Maddy. – Tak by było najlepiej.

– Ja też, groszku. W każdym razie Gina może mieć rację co do aligatorów. Kto wie, może mieszkają w kanałach, żywiąc się słonaczkami.

– Nie! – woła Maddy. – To mi się nie podoba. Okropny pomysł.

Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz myślałam o słonaczkach. O tym, jak codziennie zaglądałyśmy z Anną do plastikowego akwarium. Jak czekałyśmy z nadzieją i klaskałyśmy, kiedy maleńkie żyjątka zaczęły się poruszać, a potem jakie byłyśmy rozczarowane, gdy nic więcej się nie wydarzyło. Wcześnie zaczyna się czekanie, myślę teraz. I wcześnie zaczynają się kłamstwa. Ale tak samo jest z marzeniami, nadziejami i opowieściami.

Skręcam z autostrady w wąską drogę gruntową i jadę do Back Woods, modląc się, żeby żaden samochód nie nadjechał z przeciwka. Nienawidzę się cofać, a na tym odcinku drogi nie ma żadnych zjazdów.

Co roku miasto urządza pokaz fajerwerków na starej barce na przystani, kusząc los – gdy iskry strzelają w stronę brzegu, drewniana barka trzeszczy i jęczy. Zawsze najbardziej lubiłam obserwować sztuczne ognie z końca pomostu, najdalej wysuniętego w zatokę punktu na miejskim nabrzeżu. Mijać po drodze rząd morskich trawlerów ze stertami mokrych sieci, uwiązanych niczym konie przed saloonem. Jolki podskakujące na cumach. Iść w miejsce, gdzie głęboka woda liże szczyty wsporników. Z dala od tłumów.

Gdzie czuć rybami i wilgotnym drewnem. Większość ludzi gromadzi się na miejskiej plaży i stamtąd ogląda pokaz: kaskady kolorów wystrzelające w noc, oświetlające dach nieba, ogony komet i ogromne zimne ognie odbijające się w zatoce niczym miliony gwiazd, tak że na moment ocean zamienia się w nieboskłon. Ja jednak wolę siedzieć na końcu pomostu, z nogami zwieszonymi nad ciemną wodą, gdzie człowiekowi wydaje się, że gwiazdy u jego stóp prześlizgują się obok, wpływając do tajemniczego świata. To Jonas zabrał mnie tu po raz pierwszy.

Nieznośny upał transmutował w idealny letni wieczór. W ciemnościach czuć delikatną bryzę. Dzieci pobiegły gdzieś, żeby oglądać fajerwerki z kolegami. Peter, mama i ja pijemy białe wino z papierowych kubków, czekając na pierwszy świst. Za chwilę matka zacznie narzekać.

– Nie będziecie mieli nic przeciwko, jeśli się do was dosiądę? – Jonas materializuje się niczym zjawa, wyłania z nocy bezszelestnie, tak jak robił to, kiedy byliśmy młodzi, a ja szłam na plażę sama. Rzadko, jeśli w ogóle kiedykolwiek, słyszałam jego kroki.

– Mówili „punkt dziewiąta", ale jak zwykle każą nam czekać – stwierdza mama.

– Gina nie przyjdzie? – pyta Pete, gdy Jonas siada koło niego.

– Przesyła uściski. Bardzo chciała, ale kiepsko się czuje.

Patrzę na Jonasa zaskoczona tym białym kłamstwem. To do niego niepodobne. Wiem, że wyczuwa mój wzrok, ale się nie odwraca.

Godzinę później, kiedy w powietrzu został już tylko cierpki zapach prochu, a niebo odzyskało swój ciężar, idziemy zgarnąć dzieciaki. Peter z mamą na przedzie śmieją się i przekomarzają. Zwalniam, żeby się oddalili, zanim poruszę sprawę kłamstwa.

– Nie kłamałem – mówi poirytowany Jonas. – Starałem się ją usprawiedliwić. To się nazywa grzeczność.

– Prawdę mówiąc, kiedy kłamiesz, to się nazywa kłamstwo. – Nie pozwalam mu się wywinąć.

– Miała kiepski dzień. Naprawdę chcesz, żebym to wyjaśniał Peterowi i twojej matce? – burczy.

– Nie bądź dupkiem. Pytałam, bo widziałam, jak na siebie krzyczeliście przed sklepem.

– Przykro mi.

– No więc? Co się dzieje?

– Gina w maju straciła swoją galerię. Nie wspomniała o tym nikomu, bo to dla niej zbyt upokarzające. A ja tymczasem mam na jesieni dużą wystawę. Uznała, że ci o tym powiedziałem, i była zła.

– Ale nie powiedziałeś.

– No teraz już tak.

Zatrzymujemy się. Stoimy, patrząc na śpiące łodzie. Czekam.

– To moja wina, że się pokłóciliśmy – mówi Jonas. – Strasznie się na nią wkurzyłem za to, jak się do ciebie odezwała. Straciłem nad sobą panowanie.

Fakt, że Jonas bronił mnie przed Giną, sprawia, że czuję się trochę jak kot, który się opił śmietanki. Nie powinnam.

– To było głupie – mówię.

– Wiesz, że Gina cię uwielbia. Ale ma świadomość, że rozmawiamy o wszystkim. Pewnie gdyby mój najstarszy kumpel był facetem, byłoby jej łatwiej.

– To absurdalne. Gina jest jak skała. – Wiem jednak, że ma rację. Widziałam to: szczelinę, bezbronność, z którą się zdradziła, gdy myślała, że nikt nie patrzy, to, jak jej ciało oklapło, jakby ktoś jej zabrał wiatr, kiedy Jonas odszedł, nie oglądając się za siebie.

A jednak jakiś pierwotny instynkt podpowiada mi, że otwarte przyznanie się do najdrobniejszego rozdźwięku między nami sprawi, że wszyscy będziemy bardziej narażeni – choć na co dokładnie, nie mam pojęcia. Na nerwową energię.

– Trzeba było z nią zostać – mówię. – Pogodzić się.

– Pogodziliśmy się. Jest okej. A fajerwerki przecież zawsze oglądam razem z tobą.

– Nic by się nie stało, gdyby raz nas to ominęło.

– To nasza tradycja.

– Tak samo jak jedzenie indyka w Święto Dziękczynienia. Prawdę mówiąc, indyk jest suchy i mdły. Kto go w ogóle lubi?

– Ja – mówi Jonas. Bierze mnie pod ramię i ruszamy pomostem, żeby dołączyć do reszty.

Pięć dni temu. 27 lipca, Back Woods

Niedziela. Peter, mama i dzieci pojechali na pchli targ, to ich cotygodniowy rytuał. Szukają skarbów na stołach pełnych śmieci – zwykle jest to jakaś odrażająca laminowana reprodukcja dziewczyny Gibsona pijącej coca-colę albo książka o łowieniu ryb na muchy, która według Petera któregoś dnia może się okazać przydatna. Potem jedzą lunch w Clam Shack, gdzie za każdym razem Peter stara się przekonać dzieci do surowych ostryg i kanapek z homarem, a one nieodmiennie wybierają długie na stopę hot dogi w maślanej bułce.

Idę nad staw, zdejmuję kostium i kładę ręcznik na ciepłym piasku. Nade mną drzewa kołyszą gałęziami, jakby pozdrawiały starą przyjaciółkę. Myślę o kremie do opalania Bain de Soleil, o jego gęstej, oleistej konsystencji, o pomarańczowej barwie, zapachu palonego karmelu, o tym, że nie miał żadnego blokera – obie z Anną starałyśmy się raczej przyciągać słońce, niż je powstrzymywać – gdy w Dużym Domu odzywa się telefon. Próbuję nie zwracać na niego

uwagi, ale nie milknie. Mama nie uznaje automatycznych sekretarek. „Jeśli chcą się skontaktować, zadzwonią znowu”.

To z redakcji Petera. Chcą, żeby rano poleciał do Memphis. Szczegóły lotu. Informacje hotelowe. Lokalne numery telefonów.

Rozglądam się za długopisem i czymś do notowania. Znajduję tylko menu na wynos i ulotkę informującą o miejscowej inscenizacji *The Silver Cord*. Nieopodal, przypięta pinezką do drewnianej półki nad telefonem, wisi lista ważnych numerów. Jest tu od czasów mojego dzieciństwa, teraz pokryta dopiskami i poprawkami, nazwiskami lokalnych hydraulików i elektryków. Widzę kontakt do siedziby parku, numery wykreślone piórem i nadpisane ołówkiem, pacyfkę, którą Anna narysowała kiedyś zielonym flamastrem.

Pośrodku znajduje się wciąż widoczny telefon matki Conrada w Memphis, zapisany wyblakłym niebieskim atramentem. Poznaję charakter pisma Leo.

– Czy twój ojczym nie pochodził z Memphis? – pyta Peter, wrzucając rzeczy do torby. – Skarpetki.

– Pochodził. – Otwieram dolną szufladę i wyjmuję cztery pary skarpetek.

– Byłaś tam kiedyś?

– Raz. Na pogrzebie Conrada.

– Jasne. Nie pomyślałem.

– To było dawno temu.

– Ile miałaś lat, jak umarł?

– Tyle co teraz Jack – mówię. – Potrzebujesz podkoszulek?

– Chryste, jak człowiek może dojść do siebie po czymś takim? – Wrzuca ostatnie drobiazgi, paczkę gumy do żucia, grzebień, książkę z nocnego stolika, i zasuwa torbę.

Siadam na skraju łóżka.

– Nie może.

Słyszę, jak Finn i Maddy kłócą się na ścieżce. „Żadnych wrzasków nad stawem!” – krzyczy matka z werandy.

– Nie wierzę, że zostawiasz mnie z tą wariatką. – Odrywam kawałek czerwonego lakieru z dużego paznokcia u stopy. Moje pięty wyglądają jak róg nosorożca. – Potrzebuję pedicure’u.

– Leć ze mną. Zrobimy sobie romantyczny wypad.

– Do Memphis?

– Dokądkolwiek, gdzie twoja matka nie będzie słyszała, jak uprawiamy seks.

– Bardzo cię kocham, ale Memphis to ostatnie miejsce, które chciałabym jeszcze raz zobaczyć.

Peter siada koło mnie.

– Mówię serio. To będzie katharsis. Zabiorę cię na spaghetti z barbecue.

Wyglądam przez drzwi chatki, próbując znaleźć jakąś prostą wymówkę. Powierzchnia stawu jest złota, gładka, chyli się ku wieczorowi. Gdzieniegdzie kilka małych żółwich głów niczym uniesione do góry kciuki grzeje się w ostatnich promieniach słońca. Zastanawiam się, czy Peter ma rację – czy faktycznie możliwe jest coś takiego jak katharsis.

– Leć ze mną – mówi znowu. – Pomyśl, że dzięki tobie nie wpadnę w depresję w amerykańskiej stolicy morderstw. Będziemy mogli uprawiać głośny seks. Pójdziesz na pedicure.

– Nie sądzę, żeby mama chciała zostać z dziećmi – mówię. Ale kiedy tak się uchylam, słyszę w głowie jej głos, słowa, które zawsze wygłaszała, kiedy się czegoś z Anną bałyśmy: ciemności, kiepskich stopni, myśli, że któregoś dnia umrze, a jej ciało zgnije: „Nie

jesteśmy rodziną tchórzy, dziewczynki. My stawiamy czoło swoim lękom”.

– Pozwól, że ja ją poproszę – mówi Peter. – Wiesz, że mi nie odmówi.

– To fakt.

– A ty będziesz mogła pójść na grób Conrada.

[2] Walter Mondale – amerykański polityk, działacz Partii Demokratycznej, dwukrotny wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, startował w wyborach prezydenckich w 1984 roku, podczas których przegrał z Ronaldem Reaganem (przyp. tłum.).

30

Trzy dni temu. 29 lipca, Memphis

Cmentarz jest ładniejszy, niż zapamiętałam – arboretum pełne kwitnących drzew i ocienionych zboczy przechodzi w rozlegle trawniki poznaczone szarymi zębami zmarłych. Do nagrobków przywarły rzeźbione anioły. Grób Conrada znajduję po półgodzinie. Mijam rząd tablic z chińskim znakami i niszczejących grobów konfederatów. Grupka turystów błąka się po nekropolii, słuchając audioprzewodnika *Największe przeboje zmarłych*. Patrzę, jak przemieszczają się między płytami niczym stado baranów.

Grób Conrada jest niewielki, gdzieniegdzie widać gąbczaste płatki, gnijący róż przechodzący w brąz. Góruje nad nim kwitnący dereń, który ocienia i zaśmieca mogiłę. Obok znajduje się wielki granitowy obelisk z niskim występem, na którym można usiąść, otoczonym gęstym dywanem zielonej trawy. Ktoś zostawił tu niedawno bukiet świeżych kwiatów. Przesuwam je na bok i siadam na zimnym kamieniu. Anna nienawidziła porośniętych trawą grobów. „Jest taka bujna ze względu na robaki. Pomyśl o tym". Zamiast tego myślę o lunchach na świeżym powietrzu, które jadałyśmy w dzieciństwie u dziadków. O tym, jak siadywałyśmy na zimnym marmurze na grobie samobójcy, bawiąc się papierowymi lalkami.

Moje były niezdarne – prymitywne postaci z okrągłymi stopami i schematycznymi twarzami. Anny wyglądały jak z żurnala – dziewczęta z fryzurą w stylu Susan Dey, chłopcy z potarganymi brązowymi włosami. Nieprzebrana miniaturowa garderoba – spodnie biodrówki, fioletowe chodaki, marynarskie bluzki, bandanowe bikini, norweskie swetry, kilty z maleńkimi agrafkami. Nasz sekretny dwuwymiarowy świat – siedząc na grobie smutnego człowieka, jedząc kanapki z białego chleba z masłem i szynką, patrząc na dom dziadków na wzgórzu i łąki pełne przeżuwających krów, udawałyśmy, że jesteśmy jego częścią.

Wstaję, otrzepuję spódnicę i podchodzę do grobu Conrada. Trawa jest tu rzadsza, rosną chwasty. Anna by się ucieszyła. Nagrobek jest prosty. Nie ma żadnej inskrypcji. Tylko imię i daty: 1964–1983. W chwili śmierci Conrad miał zaledwie osiemnaście lat. Głupi dzieciak, który marzył, że zostanie Hulkiem Hoganem, kochał matkę bardziej niż ona jego i potrzebował ojcowskiej aprobaty. Byłyby taki szczęśliwy, gdyby widział, jak Leo rozpacza, rozpada się na kawałki po jego utonięciu – gdyby wiedział, jak bardzo ojciec go naprawdę kochał. Próbuję przywołać obraz Conrada podciągającego się na drążku w drzwiach, kłócącego się z Anną, czytającego komiks na schodkach swojej chatki, w paskudnym szlafroku frotté. Cokolwiek. Ale wciąż widzę tylko jego pobladłą ze strachu twarz, wyraz błagania, gdy Jonas siada koło mnie na łódce i powstrzymuje moją rękę. Nagły błysk zrozumienia w oczach, nim fala wciąga go w głąb. Myślę o wyborach, których dokonałam – tych, przed którymi chowałam się całe życie. O decyzji, którą podjęliśmy z Jonasem w tamten pochmurny dzień. O decyzji, by ukryć sekret Conrada przed mamą: gdybym miała dość odwagi, żeby jej powiedzieć – pozwolić, by to j e j życie rozpadło się na kawałki, nie moje – Conrad

wciąż by żył. Nie tylko jego marzenia zostały pogrzebane. Głupie, głupie dzieciaki. Conrad zniszczył wszystko. Jonas zniszczył wszystko. Ja zniszczyłam wszystko.

Kładę się na grobie Conrada, przykładam usta do ziemi i choć wiem, że nigdy mnie nie usłyszy, mówię do niego. Mówię, że go przepraszam. „Nie zasłużyłeś na to. Zrobiłeś coś strasznego, ale to, co ja zrobiłam, było jeszcze gorsze". Mówię o cenie, którą zapłaciłam, mając nadzieję, że to coś znaczy, choć wiem, że ciężar sekretu jest niczym w porównaniu z ciężarem ziemi. Mówię mu o Peterze, o dzieciach. I po raz pierwszy od prawie trzydziestu pięciu lat płaczę z żalu nad nim.

Peter siedzi w hotelowym barze, plecy ma przygarbione, pije jakiś bursztynowy trunek z lodem. Od razu widzę, że miał długi dzień. Wiem, że czeka na mnie, chce się podzielić swoimi troskami. Ale ja marzę tylko o tym, żeby pójść do pokoju, walnąć się do łóżka, przykryć kołdrą i ukryć przed nim i przed sobą. Właśnie się wycofuję, kiedy obraca się i mnie dostrzega.

– Memphis to naprawdę gówniane miasto – mówi, kiedy odsuwam sobie stołek obok niego. – I nie wolno palić w barze.

– Co to? – Biorę jego szklaneczkę i upijam łyk. – Rum? Dziwny wybór. Wszystko w porządku? Wyglądasz na zmęczonego.

– Spędziłem cały dzień, gadając z trupami. Nic dziwnego, że to miasto jest na gospodarczym dnie. Bieda i przemoc wpędziły ludzi w odrętwienie. Tragedia. Rozmawiałem z nauczycielem, któremu w tym roku zamordowano troje uczniów. Dzieci. Tu jest jak w strefie działań wojennych, tylko jeszcze większy bezsens. A co u ciebie?

– Ja też spędziłam dzień, gadając z trupami.

Peter dopija drinka i daje znać barmanowi.

– Byłaś na cmentarzu?

– Tak.

– I jak?

– Dziwnie. Po tylu latach. – Staje mi przed oczami grób Conrada, kamień już nadgryziony zębem czasu, moje łzy wsiąkające w gołą ziemię. – Chwilę trwało, zanim go znalazłam. Wydawało mi się, że pochowano go na szczycie wzgórza. A okazało się, że grób jest na dole, w zagłębieniu. Tak naprawdę z pogrzebu pamiętam tylko, że było parno, Anna narzekała, że włosy jej się kręcą, i nie chciała odmówić *Ojcze nasz*.

– Typowa Anna.

– Matka Conrada nie odezwała się do nas ani słowem. Nawet do mamy. A moja przyszywana siostra, Rosemary, małe, blade stworzenie, które wyglądało jak zjawa, trzymała się jej kurczowo.

– Wciąż tu mieszkają?

– Nie mam pojęcia. Nigdy ich już potem nie widziałyśmy. Leo zostawił mamę kilka miesięcy po śmierci Conrada.

– Ile lat miała Rosemary?

– Kiedy Conrad umarł?

Peter kiwa głową.

– Może ze czternaście.

– Przyjaźniłyście się?

– Z Rosemary? Boże, nie.

– Dlaczego?

– Ona była… Nie wiem. Dziwna. Widmowa. Jakby nie czytała sygnałów społecznych, jeżeli to, co mówię, ma sens. Pamiętam, że lubiła śpiewać hymny.

– Powinnaś ją odwiedzić, jeśli wciąż tu mieszka.

– Pewnie przeprowadziła się wieki temu.

– Może tak, a może nie.

– W każdym razie to by było zbyt dziwne, gdybym zadzwoniła znienacka po tylu latach.

– Lepiej późno niż wcale. – Peter wstaje ze stołka. – Idę na zewnątrz zapalić.

– Naprawdę powinieneś rzucić.

– Któregoś dnia – mówi.

Patrzę, jak mija hol, przeciska się przez obrotowe drzwi i wychodzi na czarny od sadzy chodnik.

Dwa dni temu. 30 lipca, Memphis

Rosemary mieszka w spokojnej, nijakiej okolicy we wschodniej części miasta. Przecznica za przecznicą widać niemal identyczne parterowe domy ze schludnymi ogródkami od frontu. Ale jej dom poznaję, gdy tylko zatrzymuje się przed nim taksówka: na podeście jest stojak na parasole w kształcie aligatora, który stał na ganku jej matki, po tylu latach wciąż ma rozdziawioną paszczę. Rosemary podchodzi do drzwi, trzymając małego pieska – to ocaleniec, oznajmia. Ona sama ma krótko ścięte beżowe włosy. Jest profesorką muzykologii. Jej mąż, Edmund, wykłada fizykę kwantową. Nie mają dzieci.

– Specjalizuję się w baroku – mówi, gdy idę za nią do salonu. – Jest herbata ziołowa albo kawa bezkofeinowa. Od kofeiny mną telepie.

– Kawa bezkofeinowa będzie super.

– Rozgość się, proszę. Zrobiłam ciasto marchewkowe. – Idzie do kuchni, zostawiając mnie w salonie.

Na gzymsie kominka stoją fotografie: bezbarwna Rosemary w stroju akademickim, Rosemary z mężem w dniu ślubu, Rosemary jako mała dziewczynka w wózku, z Leo. Nie ma ani jednego zdjęcia Conrada. Biorę oprawioną w srebrną ramkę fotografię

przedstawiającą Rosemary w towarzystwie pary starszych osób na wycieczkowcu. Chwilę trwa, zanim orientuję się, że mężczyzna to Leo. Stoi, obejmując kobietę, w której rozpoznaję matkę Rosemary.

– Pobrali się ponownie – mówi, stając za mną.

– Nie wiedziałam.

– Kilka lat po śmierci mojego brata. – Wyjmuje mi zdjęcie z rąk i odstawia na miejsce. – Oboje nie żyją.

– Przykro mi.

– Cóż, zdarza się. – Podaje mi kawałek ciasta. – Użyłam musu jabłkowego zamiast cukru. A jak się miewa Anna?

– Anna też nie żyje. Już prawie dwadzieścia lat. Prawdę mówiąc, jutro wypada rocznica jej śmierci.

– Nie przepadałyście za sobą, z tego, co pamiętam – mówi Rosemary.

– Była moją najlepszą przyjaciółką – jeżę się. – Nie ma dnia, żebym o niej nie myślała.

– Życie bywa samotne.

Siedzimy razem w milczeniu, udając, że pochłania nas jedzenie.

– Pyszne – mówię po chwili.

– Dzięki musowi jest wilgotne. Więc co cię sprowadza do Memphis?

– Peter, mój mąż. Podróż służbowa. Mama opiekuje się dziećmi na letnisku. Mamy troje.

– I jesteś tu pierwszy raz od tamtego czasu?

Kiwam głową.

– Powinnam była zajrzeć wcześniej. Wczoraj poszłam na grób Conrada.

– Nigdy tam nie chodzę. Cmentarze działają na mnie przygnębiająco. Matka odwiedzała go raz w tygodniu. Już się po tym

nie podniosła. Myślę, że obwiniała cię o jego śmierć.

Czuję się, jakby Rosemary chlusnęła mi w twarz szklanką zimnej wody.

– Przykro mi. – Czuję, że moje słowa są nieadekwatne. – Nie mogłam go uratować.

– Cóż, gdybyś po niego skoczyła, pewnie w panice pociągnąłby cię ze sobą. To był taki typ. – Bierze duży kęs ciasta i przeżuwa powoli. – Widziałaś, jak utonął.

– Tak.

– Pewnie trudno się czegoś takiego pozbyć z głowy.

– Nigdy mi się nie udało.

Rosemary dotyka małego krzyżyka, który ma na szyi. Sprawia wrażenie, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Próbowałam to sobie wyobrazić. Jak wypada z łódki do zimnego oceanu. Koszmarnie pływał. Jak by to było patrzeć, jak idzie na dno. Szkoda, że sama tego nie widziałam.

Co za dziwne stwierdzenie.

– Nie rozumiem.

– Naprawdę? – Patrzy na mnie długo twardym wzrokiem. – Pamiętasz tamto lato, kiedy tu przyjechał?

Kiwam głową, czując, że ogarnia mnie niepojęty lęk.

– No więc to ja wpadłam na ten pomysł. Czułam się samotna po jego wyprowadzce. Mama przez większość czasu miała kiepski nastrój. Siedziałam na huśtawce na werandzie, starając się zachowywać jak mysz pod miotłą. Mówiła, że hałas działa jej na nerwy. W każdym razie planowaliśmy we troje podróż samochodem do Santa Fe. Byłam taka podekscytowana. Pierwszej nocy po przyjeździe Conrad przyszedł do mnie, kiedy mama spała. Obudziłam się, a on na mnie leżał. Ledwie mogłam oddychać. Próbowałam

wołać pomocy, ale zatkał mi usta. Szlochałam w jego dłoń. – Milknie, zdejmuje kłaczek ze spodni. – Przez cały czas, kiedy mnie gwałcił, powtarzał twoje imię.

Obraz mi się rozmazuje. Czuję, jakby w zwolnionym tempie wsysało mnie jądro gwiazdy. Prawie nie słyszę niskiego buczenia klimatyzatora. Gdzieś na ulicy wrzeszczą jakieś dzieci. Wyobrażam sobie, że bawią się wężem, oblewają nawzajem zimną wodą. Przejeżdża samochód. Potem następny.

– Przychodził do mnie prawie każdej nocy. Miałam trzynaście lat. – Twarz ma bez wyrazu, obojętną. Mogłaby opowiadać o kotach. – Mój brat był potworem. Co noc modliłam się, żeby umarł. I w końcu Bóg wysłuchał moich modlitw. – Milknie. – Choć jakaś część mnie zawsze się zastanawiała, czy to Bóg, czy może ty.

Nachyla się nad stolikiem, nalewa sobie kolejny cal kawy i małymi ząbkowanymi szczypczykami wrzuca dwie kostki cukru.

– Edmund chciał mieć dzieci, ale ja nigdy nie widziałam sensu. Jeszcze kawy?

Jestem zbyt odrętwiała, żeby zareagować.

Rozlega się dzwonek do drzwi.

– Boże – mówi Rosemary, wstając. – To pewnie z pralni.

Na zewnątrz wciąż świeci słońce, powietrze ocieka upałem i wyczerpaniem. Jakiś chłopiec na rowerze mija mnie, dzwoniąc małym dzwoneczkiem. Z pęknięcia w chodniku wyrastają chwasty. Podchodzę do przejścia. Zapach skórki banana, pusta brązowa parcela pełna plastikowych toreb unoszących się i opadających jak zerwany sznur z praniem, na którym wiszą żonobijki. Muszę zadzwonić do Jonasa.

31

Wczoraj. 31 lipca, Back Woods

– O której przychodzą goście?

– Powiedziałam, żeby byli koło siódmej. – Mama ma głowę w lodówce, próbuje namierzyć zaginioną tubkę przecieru pomidorowego.

Wyciągam biały lniany obrus z szuflady i rzucam na stół na werandzie.

– Będzie nas ośmioro czy dziesięcioro?

– Dziewięcioro łącznie z tą nieznośną matką Jonasa. Nie mam pojęcia, dlaczego musimy ją zapraszać. Nie znoszę nieparzystych liczb.

Zdejmuję stertę talerzy do makaronu z półki, zanoszę je ostrożnie na zewnątrz i rozkładam.

– Co z Dixonem i Andreą?

Mama podaje mi serwetki z materiału.

– Dixon tak, Andrea nie. Weź te. I mosiężne świeczniki.

– Dlaczego nie?

– Bo na weekend przyjechał ten jej okropny syn z Boulder. Pytała, czy może go zabrać, a ja powiedziałam, że nie.

– Jesteś absolutnie najgorsza.

Wręcza mi deskę do krojenia.

– Dlaczego miałabym go zapraszać? Nie znał Anny.

Przynoszę kieliszki do wina – po dwa. Noże i widelce. Sól. Pieprz. Koncentruję się na każdym drobnym zadaniu, jakby to była deska ratunkowa, coś, co zakotwicza mnie w teraźniejszości, w moim życiu tu i teraz. Nie potrafię pozbyć się z głowy słów Rosemary, jej beznamiętnego, niewzruszonego tonu, gdy udzielała mi rozgrzeszenia, wybaczała moją zbrodnię.

– Co jeszcze trzeba zrobić? – pytam.

– Możesz otworzyć kilka butelek clareta, żeby pooddychał. I zetrzyj ser. Na drzwiczkach lodówki jest kawałek parmezanu. – Pośrodku stołu stawia kamionkową misę pełną limonek i jasnozielonych gruszek.

– Ładnie wygląda – mówię.

– Pewnie jesteś wykończona.

– To prawda.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego chciałaś lecieć z Peterem do Memphis.

– Poprosił mnie. Nigdy nie prosi. – Idę do spiżarni. – Cieszę się, że poleciałam. Wiesz może, gdzie się podział korkociąg? Nie ma go tu.

– Ostatni raz, jak go widziałam, wisiał na swoim miejscu na haczyku. Może spadł. Przynieś mi główkę czosnku, skoro już tam jesteś.

– Mam go. Widziałam się z Rosemary – mówię, podając jej czosnek. – Pojechałam do niej z wizytą.

– Rosemary. Prawie zapomniałam o jej istnieniu.

– To był pomysł Petera.

– Była taka dziwna. Tak się trzymała ojca. I te jej puste oczy. Pamiętam, że było w niej coś takiego, co sprawiało, że za każdym razem, kiedy do nas przyjeżdżała, Anna uciekała z domu.

– Nie znosiła jej zapachu.

– Faktycznie – mówi mama. – Anna twierdziła, że czuć od niej formaliną. Mdląca słodycz.

Rozgniata nożem pięć dorodnych ząbków czosnku i wrzuca na żeliwną patelnię. Drobno posiekane marchewki, seler i cebula karmelizują się już w oliwie i zarumienionym maśle. Otwiera owinięte w papier mielone mięso – cielęcina z wieprzowiną – i porcja po porcji dodaje do warzyw. Dolewa mleko, żeby mięso zrobiło się miękkie. Odkorkowana butelka ciepłego białego wina stoi na blacie, czekając na podlanie.

– Podasz mi to? – Wskazuje na łyżkę durszlakową. – Jaka jest teraz?

– Wciąż dziwaczna. Bezpośrednia. Zajmuje się muzykologią. Mieszka w parterowym domu. Włosy jak pióra, krótkie. Spodnie. Ten typ.

– Ma męża?

Kiwam głową.

– A jej matka?

– Zmarła kilka lat temu.

– Biedna kobieta. Smutne życie.

Patrzę, jak powoli miesza sos. Waham się.

– Leo do niej wrócił. Wiedziałaś o tym? Pobrali się po raz drugi.

– Nie miałam pojęcia. Przypuszczałam, że nie żyje albo wylądował w więzieniu.

– Na kominku stało zdjęcie ze ślubu. Oni oboje podczas rejsu. Zwyczajnie wyglądająca starsza para.

Bierze ogórek i zaczyna obierać.

– Nie rozmawiajmy o nim. Jeśli o mnie chodzi, Leo umarł wiele lat temu. To był zły człowiek. Nie lubię o nim myśleć i ty też nie powinnaś.

Bierze butelkę wina z blatu i nalewa trochę do kieliszka.

– To nie do gotowania?

– Wino to wino – mówi, opróżniając kieliszek.

– Mamo, muszę z tobą porozmawiać o Leo.

– Eleanor, niedługo zjawią się goście, a ja próbuję gotować. Dlatego cokolwiek to jest, będzie musiało zaczekać.

Nie rozmawiałam z Jonasem od wczoraj, kiedy to zadzwoniłam do niego z Memphis z chodnika przed domem Rosemary. Gdy teraz widzę w drzwiach jego matkę i Ginę, żołądek skręca mi się w dziwny supeł – coś znanego, a zarazem zapomnianego. Dopiero po chwili orientuję się, o co chodzi: zdenerwowana i podniecona czekam, aż się pojawi. To niezwykłe doznanie, jakby zmysłowe wspomnienie z przeszłości – coś, na co nie pozwalałam sobie przez wiele lat. A mimo to właśnie się pojawiło.

Tylko że Jonasa z nimi nie ma.

– Uparł się, że weźmie prysznic, choć dopiero co wrócił z pływania. Kompletne marnotrawstwo wody – mówi jego matka, wchodząc przez siatkowe drzwi.

– Zaraz będzie. – Gina wręcza mojej matce butelkę wina. – Przyniosłam białe.

– Pijemy czerwone – oznajmia matka, zanosząc je do kuchni.

– Nie zwracaj na nią uwagi. – Peter podchodzi, żeby uściskać Ginę. – Całe popołudnie zachowuje się jak krowa.

– Bądź wyrozumiały – mówię, choć całkowicie się z nim zgadzam. – To dla niej trudny dzień.

– Masz rację – zgadza się Peter. – Cofam to.

– Bardzo żałuję, że nigdy dobrze nie poznałam Anny – stwierdza Gina. – Wydawała się strasznie fajna.

– Była – mówię. – Najfajniejsza.

Zjawia się matka, niosąc półmisek z serem i krakersami.

Matka Jonasa macha ręką.

– Odstawiłam gluten i nabiał. Ze względu na artretyzm.

– Trzeba mi było powiedzieć – mówi poirytowana mama. – Zrobiłam makaron. Ale mamy też oliwki.

– Jak było w Memphis? – pyta Gina.

Peter wzdycha.

– Parno. Męcząco.

– Nigdy tam nie byłam – mówi Gina.

– Elle się podobało.

– To prawda. Miasto pełne duchów.

– Chcesz wina czy prawdziwego drinka? – pyta Ginę Peter.

Ponad jej ramieniem przez siatkę widzę Jonasa idącego piaszczystą ścieżką. Włosy ma wilgotne, potargane, stopy bose. Włożył podarte lewisy i niebieską batystową koszulę. Policzki ma zarumienione. Wygląda tak jak wtedy, kiedy byliśmy młodzi. Sprawia wrażenie lżejszego, wyraźniejszego. Uśmiecha się, kiedy mnie spostrzega, i nie jest to zwykły uśmiech na widok starej przyjaciółki, do którego zdążyłam już przywyknąć, tylko bardziej intymny, otwarty. Jakby mówił: nareszcie, po tylu latach, możemy patrzeć na siebie bez zasłony wstydu.

Peter wstaje od stołu i się przeciąga.

– To było pyszne, Wallace. Co mamy na deser? – Zapala papierosa i wchodzi do domu. Podchodzi do półki, na której mama

trzyma stare longplaye obok najstarszej chyba na świecie działającej victroli.

– Gruszki i sorbet. Kto chce kawy?

Pierwsze dźwięki piosenki Fleetwood Mac napływają z trzaskiem.

– Wallace, to ty kupiłaś ten album? – woła Peter z salonu.

– Należał do Anny – mówi mama. – Nie przeczytasz Shelleya?

Co roku w rocznicę śmierci Anny Peter czyta jej ulubiony wiersz, *Do skowronka* – modlitwę, którą chciała, żeby odczytano na jej pogrzebie. To uświęcony rytuał.

Ale dziś wieczorem Peter mówi:

– Jestem zbyt zmęczony i pijany. Może to zrobić ktoś inny? – Zwala się na sofę.

Gina przysuwa do niego krzesło i zaczynają prowadzić jakąś bezsensowną rozmowę na temat restauracji w Bushwick.

Mam ochotę ich oboje spoliczkować.

Dixon bierze zniszczoną książkę, zagląda do środka i podaje ją Jonasowi.

– Oczy już nie te – oznajmia.

Jonas znajduje odpowiednią stronę.

– Dla pięknej Anny – mówi. – *Duchu o głosie pogodnym*[3] – zaczyna czytać.

– Po prostu nie wierzę w psychiatrię – oznajmia mama ostatnim gościom.

– To dlatego, że się boisz, że cię wyślą do domu wariatów – odzywa się Peter z sofy.

– Jeżeli o mnie chodzi, nadaje się tylko do tego, żeby dzieci mogły obwiniać rodziców o wszystko, co im nie wyszło w życiu.

– Jedyna rzecz, o którą cię obwiniam, to to, że kazałaś mi brać lekcje żeglugi – mówię i wszyscy się śmieją, nikt nic nie pamięta.

Wszyscy, poza Jonasem.

– Tylko słuchajcie. Teraz powie, że w dzieciństwie nie dostała ode mnie dość miłości – stwierdza mama, wstając od stołu. Idzie do kuchni i zaczyna zmywać naczynia. – Oczywiście ma rację.

– Nie wszystko kręci się wokół ciebie, mamo – mówię.

Jonas patrzy na mnie, jego oczy płoną.

Wstaję i tylnymi drzwiami wychodzę w noc. Opieram się o zimną, betonową ścianę i czekam tak długo, że wydaje się, jakby to było całe życie.

[3] Percy Bysshe Shelley, *Do skowronka*, przeł. S. Barańczak, w: *Od Chaucera do Larkina*. *400 nieśmiertelnych wierszy, 125 poetów anglojęzycznych z 8 stuleci*, Znak, Kraków 1993, s. 301.

Księga piąta

◇

DZIŚ
18.30–6.30

32

Dziś. 1 sierpnia, Back Woods

18.30

Zdejmuję wilgotny kostium, zostawiam go na podłodze i kładę się na łóżku. Z Dużego Domu dobiega basowy śmiech Petera i głos matki, która woła, żeby dzieci kończyły grę w Parcheesi i szykowały się na grilla. Po suficie naszej chatki pełzają gmachówki, wykurzone przez gorąco i nadciągającą burzę. Abażur nocnej lampki Petera pokrywa warstwa tekturowego pyłu. Spoglądam przez świetlik na wieczorne słońce, które przeziera przez cętkowane gałązki drzew. Napływają chmury nabrzmiałe od deszczu.

Gdy byłyśmy z Anną małe, ojciec posadził przed naszą chatką delikatną młodą brzozę, jej pień był cieniutki jak wierzbowa witka. Drzewo zasadzone w lesie. Powiedział, że będzie dorastało z nami, urośnie wysokie jak my. W tamtych czasach, zanim brzoza sięgnęła ponad dach, świetlik nad moją głową był czystym prostokątem błękitu. Uwielbiałam leżeć, wpatrując się w otwarte niebo, obserwować mewy wykorzystujące uskoki wiatru. Po śmierci Conrada modliłam się do tego nieba – nie o wybaczenie, ale o radę,

o wskazówkę, jak zostawić za sobą przeszłość, znaleźć drogę, która pozwoli mi pójść naprzód. Ale potem w rogu okienka zaczęły się pojawiać rozdwojone końce brzozowych gałązek, kosmyki szturchające niebo. Cal po calu, rok po roku niesforna grzywa drzewa zarastała ramę, aż pokryła całą szybę, przesłaniając niebo. Błagałam o odpowiedzi, o przejrzystość szkła. Ale upływ czasu przyniósł tylko plątaninę gałązek, która symbolizowała niemożność uzdrowienia.

– To okno – powiedział dawno temu Jonas nad strumykiem.

A ja odrzekłam:

– Wiem.

Ostatniego wieczoru przy stole pełnym ludzi patrzyłam na niego, na jego zielone tęczówki pociemniałe poza kręgiem blasku świec. Spojrzał mi prosto w oczy. Żadne z nas się nie wzdrygnęło. Wreszcie jego usta wykrzywił ironiczny uśmiech – ulga, żal, absurd, smutna nieuchronność. Zawsze mieliśmy być razem. Małżeństwo, dzieci – tej podstawowej prawdy nic nie zmieniło. Gdybym mogła cofnąć to, co zrobiłam, nie wahałabym się ani chwili. Unieważniłabym każdą złą decyzję, którą podjęłam po tym, jak rozwidliły się drogi. Każdy straszliwy wybór, który odsuwał mnie od niego. Każdy straszliwy wybór, który odsuwa mnie od Petera. Nie tylko wczorajszy seks, to, co robiliśmy dzisiaj, to, o czym nie potrafię przestać myśleć i co chcę robić jutro, ale Conrada – tamten dzień, tamten jasny dzień, gdy zmienił się wiatr. Prawdę, którą ukrywałam przed Peterem. Kłamstwo, które wniosłam do naszego małżeństwa. Przypominam sobie Rosemary, jej wymuskany nijaki salon, wilgotne ciasto, wściekłość w jej oczach. To, jak podziękowała mi, że uratowałam jej życie. Ja nigdy nie podziękowałam Jonasowi, że uratował moje. Tylko go obwiniałam. Obwiniałam siebie. Trzymałam Petera na

dystans, karząc go za własny grzech. Całe swoje życie zbudowałam na winie. Gdybym powiedziała Peterowi o Conradzie, o tamtym dniu na łódce, wiem, że by mi wybaczył. I właśnie dlatego nie mogłam mu powiedzieć. Bo nie chciałam wybaczenia.

A teraz Jonas prosi mnie, żebym dokonała wyboru. Żebym zostawiła swojego cudownego męża. Przysporzyła cierpienia dzieciom. Peter nie jest mściwy – cokolwiek się stanie, nie zabierze mi ich, nigdy nie pozwoli, żeby coś nas rozdzieliło. Za bardzo nas wszystkich kocha. To człowiek z kręgosłupem. Siła grawitacji, która utrzymuje moją orbitę, gdy słabnę. Jestem zakochana w Jonasie. Zawsze byłam. Nie potrafię bez niego żyć, nie potrafię z nim zerwać po tym, jak tyle czasu na niego czekałam. Ale jestem też zakochana w Peterze. Mam dwie możliwości. Mogę wybrać to, czego mieć nie mogę. Albo to, na co nie zasługuję.

Wstaję z łóżka. Potrzebuję gorącego prysznica i advilu. Ciało mam obolałe. Głowa ćmi mnie od myślenia, ciągłego kręcenia się w kółko. Czy odpuszczenie oznacza stratę wszystkiego, co się ma, czy zyskanie tego, czego się nigdy nie miało? Owijam się ręcznikiem. Powinnam iść do Dixona. Być z Peterem i dziećmi.

Wychodzę, odkręcam prysznic, żeby nagrzała się woda, i idę do łazienki poszukać advilu. Grzebię w przepastnej szafce matki, panuje tam nieporządek. Natrafiam ręką na coś z tyłu i jeszcze zanim ją wyciągnę, już wiem, co to. Jeden z prastarych playtexów Anny. Nikt inny nie używał tej marki. Plastikowe opakowanie pożółkło, ale maleńki różowy aplikator w środku zachował kolor. Przypominam sobie Conrada zaglądającego przez okno w łazience, moje szeroko rozłożone nogi, tampon turlający się po podłodze. Tego dnia spotkałam Jonasa. Myślę o Annie, która zawsze krzyczała na mnie za dotykanie jej rzeczy – że to mnie powiedziała o tym, że straciła

dziewictwo. Jaka smutna i przestraszona była przez ostatnie miesiące. I jaką podporę stanowił dla mnie Peter dzień w dzień, kiedy przyszły łzy. Wchodzę pod prysznic, staję pod gorącym strumieniem w nadziei, że zagłuszy mój gardłowy, zwierzęcy szloch, rozpacz, jakby mi ktoś nasypał soli na rany i błagam wodę, żeby mnie oczyściła, wypaliła przeszłość. Wiem, że mogę dokonać tylko jednego wyboru.

18.45

Wspinamy się stromym podjazdem i zatrzymujemy przy drodze gruntowej, czekamy na mamę przy trójkącie.

– Nie czekajcie! – woła, idąc pod górę.

Ale jej nie słuchamy. Jestem na bosaka, mam lnianą sukienkę, japonki w słomianej torbie, latarki, które przydadzą się przy powrocie. Staram się panować nad tym, co się dzieje w moim wnętrzu. Maddy pobiegła naprzód – lubić być pierwsza – a Finn popędził za nią. Patrzę, jak matka powoli wdrapuje się na górę. Kolana zaczynają odmawiać jej posłuszeństwa. Włożyła stare dżinsy – trochę za krótkie i za szerokie – a do tego bawełnianą koszulę w stylu indyjskim, która osłania jej tyły, jak lubi mawiać. Tło dla jej wspinaczki stanowi staw: błękitna linia na wysokości talii widoczna za ażurem drzew. Udaję, że słucham, jak Jack kłóci się z Peterem na temat naklejki White Crest Beach. Lepiej się tam surfuje i w przypadku rezydentów kosztuje tylko trzydzieści dolarów.

– Zobaczymy – mówi Peter.

Klepię się po kostkach. Meszki zjadają mnie żywcem.

Na ramieniu ląduje mi giez. Składa nakrapiane skrzydełka. Gzy są powolniejsze od meszek, większe i łatwiej je zabić, ale ich ukąszenie boli dziesięć razy bardziej. Zabijam go pacnięciem. Patrzę, jak spada na drogę, drga i umiera.

– Kto ma sprej na owady? – Peter sięga do płóciennej torby.

– Już jestem – oznajmia mama. – Muchy wróciły. Cieszę się, że postanowiłaś z nami iść, Eleanor – mówi. – Choć wolałabym, żebyś spięła włosy. Dużo ładniej wyglądasz, kiedy nie zasłaniają ci twarzy.

Jesteśmy już blisko domu Guntherów, kiedy matka się zatrzymuje. Krwiożercze owczarki dawno nie żyją. Tak samo jak Guntherowie. Nie znam rodziny, która kupiła ich działkę. A mimo to za każdym razem, kiedy zbliżam się do białego drewnianego ogrodzenia, które teraz już częściowo zbutwiało i zwaliło się w poszycie razem ze wszystkim innym, wciąż odczuwam cień niepokoju, spodziewam się przenikliwego ujadania, śliny, warczenia i obnażonych kłów.

– O, cholera – mówi mama. – Czerwona cebula.

– Jack pobiegnie – oznajmia Peter. – To mu zajmie pięć minut.

– Dlaczego zawsze ja muszę wszystko robić? – gdera Jack. – Dlaczego nie mogą iść Maddy albo Finn?

Widzę, jak Peterowi napinają się mięśnie szczęki.

– Bo odpracowujesz swoje poranne zachowanie wobec matki.

– Przecież przeprosiłem.

– W porządku, ja pójdę. – Ruszam, nie czekając, aż Peter zaoponuje. Wiem, że wszystkie rodziny są nieszczęśliwe na własny sposób. Ale teraz, przez kilka godzin, potrzebuję, kurwa, Szczęśliwej Rodzinki. Dopóki nie dotrę bezpiecznie na brzeg. Muszę się trzymać tego obrazka jak koła ratunkowego. Nie pozwolić mu zniknąć.

– Możesz wziąć mi sweter? – woła Peter. – Robi się chłodno.

Biały kot, którego nigdy nie widziałam, siedzi na podeście przed werandą. Białe koty mają w sobie coś, co budzi we mnie odrazę – kojarzą mi się ze szczurami i porno. Intruz znika jednak w zaroślach, gdy tylko spostrzega, że się zbliżam. Na podeście leży dolna część

pręgowca, futrzany ogon dynda między listwami. Wiem, że powinnam posprzątać, ale wygląda to obrzydliwie – równie dobrze mogę pozwolić kotu dokończyć kolację. Zostawiam szczątki nieruszone i idę do naszej chatki po sweter dla Petera.

Górna szuflada komody jest otwarta. „Peter", myślę poirytowana. Zawsze pilnuję, żeby ją zamykać, bo dzięki temu nie mamy w środku ciem ani pająków. Zasuwam szufladę i spostrzegam na komodzie kasetkę z biżuterią. Dziwne – wiem, że jej tam nie zostawiłam. Otwieram, żeby sprawdzić, czy nic nie zginęło. Niczego nie brakuje, ale coś się pojawiło. Na plątaninie kolczyków i naszyjników leży kawałek papieru w kształcie skorpuchy. Pośrodku – pierścionek z zielonym oczkiem. Przez wszystkie te lata był u Jonasa. Od tamtego spotkania w greckiej knajpce. Od wiosennego wieczoru na pomoście. Od pikniku na plaży, kiedy poznałam Ginę – w ostatnie lato, które Anna spędziła nad stawem. Ciekawe, gdzie go trzymał. W ukryciu. W tajemnicy. To taki drobiazg, rzecz bez wartości, srebrna emalia dawno się starła. A jednak kiedy wsuwam go na palec, mam wyraźne poczucie dopełnienia – jakbym nareszcie stała się całością – jak Wenus z Milo, której zaginioną rękę odnaleziono leżącą przez wieki pod ziemią i w końcu przytwierdzono z powrotem. Zamykam oczy, nareszcie sobie na to pozwalam. Wspominam chwilę, kiedy mi go dał. Jego drżącą, lepką dłoń. Pożegnanie. Dwoje dzieci, które zawsze będą się kochać. Chowam pierścionek do kieszeni, mnę papierowego żółwia, wrzucam go do kosza i biorę sweter Petera.

19.15

Doganiam resztę, gdy docierają do wjazdu na działkę Dixona. Jego podjazd to w rzeczywistości fragment Old King's Highway. Za domem Dixona droga kończy się ślepo szerokim polem zarośniętym nawłocią i marchwią. Ale na dalekim krańcu, ukryta w cieniu drzew,

wyłania się znowu. W czasach mojej młodości to była nasza tajna trasa do miasta. Mogliśmy przejść całe cztery mile – z domu Becky do sklepu Penny Candy – nie stawiając stopy na asfalcie. Czasami po ulewnym deszczu na stromych brzegach znajdowaliśmy kawałki ceramiki albo groty strzał wydobyte spod ziemi. Któregoś razu natknęłam się na małą buteleczkę po jakimś lekarstwie, fioletową jak śliwka i wygładzoną przez czas. Wyobraziłam sobie, że któryś z Pielgrzymów cisnął ją z wozu albo siodła w gęsty las i szybko obejrzał się przez ramię, żeby się upewnić, że nikt nie widzi, jak śmieci. Buteleczka leżała tam nietknięta przez dwa wieki i prosto z jego rąk trafiła w moje.

Szlak wychodzi z lasu obok dawno opuszczonego cmentarza Pielgrzymów. Fascynowały nas rzędy małych zapadniętych nagrobków ozdobionych płaskorzeźbami w postaci uskrzydlonych głów kościotrupów, zniszczonych przez wiatr, podziurawionych, z ledwo widocznymi epitafiami. Pełno ludzkich istnień i rezygnacji. Większość zmarłych stanowiły dzieci. „Wstrzemięźliwość, Wdzięczny, Abdiasz, Mehetabel, w wieku 3 tyg., 14 mies. i 24 dni, 2 lat i 9 mies., 5 dni". Wszystkie tablice stoją zwrócone na wschód. W Dniu Sądu dzieci powstaną ku nowej jutrzence w nadziei, że usiądą po prawicy Ojca i zostaną zaliczone pomiędzy sprawiedliwych.

Na podjeździe unosi się zapach jadłoszynu i hamburgerów.

– Mniam – mówię, zrównując się z dziećmi. – Umieram z głodu.

– Nic dziwnego po tak długim pływaniu – stwierdza mama.

– Ja chcę trzy hamburgery – obwieszcza Finn. – Mamo, mogę?

– Mama o tym nie decyduje – informuje go Jack. – Musisz zapytać Dixona.

– A co z hot dogami? – pyta Finn.

– Ja potrzebuję mocnego ginu z tonikiem – mówi Peter. – Zabiję Dixona, jeśli ma tylko Almaden. Co za sikacz.

– Robi z nich lampy – mówi matka.

Peter patrzy na nią zdezorientowany.

– Napełnia je piaskiem – tłumaczy matka.

– Piaskiem.

– Najwyraźniej ominęły cię lata siedemdziesiąte.

– Elle, zdaje się, że twoja matka ma pierwsze stadium demencji.

Stuka go kapeluszem.

– Zważywszy na ilości, jakie wypijamy, musi do czegoś używać butelek.

– Wallace, jeśli nie czujesz się dobrze, chętnie odprowadzę cię do domu.

– Twój mąż jest nieznośny – śmieje się mama. – Może pora pomyśleć o rozwodzie.

Finn i Maddy patrzą z niepokojem.

– Mamo!

– Och na litość boską, przecież żartuję. To był żart – mówi im moja matka. – Uwielbiam waszego ojca, a on świetnie o tym wie.

– Wasza babka zawsze była dowcipnisią – oznajmia Peter.

Biorę Finna za rękę i kucam obok.

– Wasza babcia zachowuje się jak głuptas. Wiecie, że czasami tak robi. Kochamy się z tatusiem. I zawsze będziemy.

Na trawniku od frontu kłębi się jakieś piętnaście osób – ci sami ludzie co zwykle – gawędząc, jedząc krakersy Wheat Thins z cheddarem Kraft i popijając drinki z plastikowych kubków. Na okrągłym piknikowym stoliku urządzono prowizoryczny bar, palą się świece odstraszające owady.

– No dobrze – mówi Peter. – To do boju.

Pierwszą osobą, którą spostrzegam, jest Andrea, żona Dixona. Choć minęło tyle lat, za każdym razem, kiedy ją widzę, przypomina mi się tamta gra w monopol i Dixon paradujący nago po salonie. Dixon i Andrea zeszli się trzy lata temu po tym, jak wpadli na siebie podczas aukcji rzadkich książek. Licytowali sygnowane pierwsze wydanie *Mewy* Richarda Bacha. Dixon mówi, że początkowo jej nie rozpoznał, tak się zmieniła. Burzę rudych kręconych włosów zastąpił schludny siwy bob. Zamiast afrykańskich kolczyków nosi teraz gustowne perły, a przypinkę z gołębiem Petera Maxa zastąpiła różowa wstążka. Jej syn jest bankierem inwestycyjnym. Mieszka w Kolorado i handluje czystą energią, mówi Andrea, jakby dzięki temu jego zajęcie było ekologicznie akceptowalne. Ona sama nadal wierzy w pokój na świecie. Teraz stoi zatopiona w rozmowie z Marthą Currier, byłą śpiewaczką jazzową z Nowego Orleanu, która ma modernistyczny dom wychodzący na ocean i zawsze nosi na głowie chustę w formie turbanu. Martha pali virginie slimy w bardzo długiej fifce z kości słoniowej. Andrea odgania od siebie dym, za każdym razem, kiedy Martha go wypuszcza, ona jednak nie zwraca na to uwagi, wręcz zdaje się wydychać więcej w jej stronę. Zawsze lubiłam Marthę.

Matka chowa się za mną, kiedy się zbliżamy.

– Osłaniaj mnie – mówi. – Dopóki nie miniemy Andrei. Bo inaczej mnie osaczy, zacznie pytać, jak się mam, w ten swój „zainteresowany” sposób, a potem będzie się domagała szczerej odpowiedzi. Tak jakby na cocktail party ktokolwiek miał ochotę na prawdziwe rozmowy.

Śmieję się.

– Trudno się z tobą nie zgodzić. A to rzadkość. Krótka pogawędka o niczym i przechodzimy dalej.

– Jakim cudem Dixon potrafi wytrzymać z nią dłużej niż dziesięć minut, przekracza moje pojęcie. Ta kobieta jest nudna jak worek soli.

– Tajemnicza sprawa – mówię, kierując ją z dala od Andrei.

– Dixon twierdzi, że ona wciąż ma mnóstwo pary w łóżku. Co, jak podejrzewam, oznacza, że umie dobrze robić loda.

– Mamo, to obleśne.

– Zgadzam się. Bardzo niepokojące. Zwłaszcza że ma takie małe usta.

– Nie, ty jesteś obleśna – śmieję się.

– Nie bądź taką cnotką.

– Nie chcę rozmawiać o życiu erotycznym Dixona. On ma pewnie z osiemdziesiąt lat.

Dixon macha do nas z drugiego końca trawnika. Mama mu odpowiada.

– Wciąż jest bardzo atrakcyjny. Mógłby mieć każdą kobietę.

– Każdą powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia.

– Nie bądź taka pewna. Zawsze miał bardzo dużą erotyczną charyzmę.

– No to teraz już się nie pozbędę obrazu Andrei z jego penisem w ustach.

– Przynajmniej wtedy nie gada. Bądź aniołem i przynieś mi wódki. Z lodem, bez wody. – Siada na drewnianym krześle ogrodowym w stylu Adirondack. – I może zobaczysz gdzieś orzeszki. Och, dzięki Bogu – mówi, widząc zbliżającą się Pamelę. Pamela ma na sobie długi lawendowy kaftan i duże korale z bursztynu. – Siadaj, Pamelo. – Matka klepie krzesło obok. – Uratuj mnie przed tymi ludźmi.

Pamela śmieje się z mamy na swój uroczy, dobroduszny sposób. Z jakiegoś zagadkowego powodu uważa, że moja matka jest

cudowna. Ale też należy do osób, które zawsze widzą we wszystkich to, co najlepsze. Nawet w Conradzie. W tamto lato, kiedy z nami zamieszkał, Pamela zabrała nas z Anną na smażone małże.

– A teraz – powiedziała, kiedy usadowiłyśmy się w boksie – chcę poznać wszystkie szczegóły. Leo dobrze się sprawuje? Potrafi być nieznośny. Choć to uroczy człowiek. Wasza matka wydaje się sobą, jak zawsze.

– Chyba dobrze – odparłam.

– A Conrad? Pewnie trudno wam przywyknąć do tego, że macie brata.

– Przyszywanego – poprawiłam ją.

– Wolisz prawdę czy kłamstwo? – spytała Anna.

– Wam pozostawiam decyzję. Małże w paskach czy w całości?

Ostatecznie zdecydowałyśmy się na prawdę.

Powiedziałyśmy jej, jaki jest okropny. Jak zawsze się skrada. Stoi przy lodówce i pije mleko prosto z kartonu, więc żadna z nas nie może jeść płatków na śniadanie. Opowiedziałyśmy o jego obrzydliwym młodzieńczym zaroście, którego nie chce zgolić.

– Co rano zużywa całą ciepłą wodę – oznajmiła Anna. – Wali konia pod prysznicem. To ohydne. To znaczy… – Włożyła palec do gardła, udając, że się dławi. – Wyobraź sobie, o czym myśli.

Byłam pewna, że Pamela będzie przerażona. Tymczasem ona powiedziała Annie, że współczuje, że wszystko to faktycznie wygląda paskudnie. Ale czy przypadkiem Anna nie obwinia Conrada o to, że wysłano ją do szkoły z internatem? I że zajął jej pokój?

– Bo choć jego zachowanie – powiedziała Pamela – jest odrażające, to nie jest jego wina. W rzeczywistości to ostatnia rzecz na świecie, jakiej by chciał. Jemu zależy tylko na matczynej miłości. Dlatego, jeśli możecie, postarajcie się pamiętać, że on cierpi. Bądźcie

milsze. Obie. – Wgryza się w małża, pryskając sokiem na stół. – Masz takie piękne oczy, Anno. Zawsze miałam ci to powiedzieć. Jasnoszare. Jeśli zobaczycie naszą kelnerkę, zawołajcie ją, potrzebuję pikantnego sosu.

Dixon obsługuje dwa grille w kształcie ketli, ubrany jak zawsze w białe spodnie i błękitną lnianą koszulę, bosy i opalony, ze szczypcami w jednej i martini w drugiej ręce, nigdzie nawet plamki tłuszczu. Siwe włosy, wciąż wilgotne po kąpieli w oceanie, zaczesał gładko do tyłu. Trzy poobijane deski surfingowe stoją oparte o ścianę domu, mokra pianka schnie przerzucona przez kozioł do drewna. To jedyny mężczyzna, jakiego znam, który wciąż bez wahania wypływa w morze podczas przypływu. Mama ma rację – jest przystojny, nawet teraz. Jak Robert Redford w *Szaleńczym zjeździe* albo w *Tacy byliśmy*. Przywołuje skinieniem Jacka, ściska mu pewnie dłoń i wręcza łopatkę.

Peter stoi przy barze. Patrzę, jak nalewa sobie dwa cale ginu, a do tego kapkę toniku. Dopiero na koniec dorzuca trzy smutne kostki lodu. Unoszą się w szklance niczym balaski w morzu. Anglicy uwielbiają pić, ale robią letnie, bezbarwne koktajle. Podchodzę, staję za nim i obejmuję go w pasie.

– Kto tam? – pyta.

– Ha, ha.

Odwraca się i całuje mnie w czubek nosa.

– Matka życzy sobie wódki. Z jedną kostką lodu.

– Przyjąłem. A ty?

– Ja idę do domu, żeby sprawdzić, gdzie Andrea chowa przyzwoite wino.

– Zagwiżdżę trzy razy, jak zobaczę, że się zbliża.

Wchodzę do środka przez kuchenne drzwi. Zawsze uwielbiałam kuchnię Dixona – deski na podłodze w kolorze maku, zniszczony drewniany blat, piżmowy zapach Band-Aid i kuminu, szklanki z piwem imbirowym. Za każdym razem, kiedy tam jestem, mam wielką ochotę przysunąć sobie stołek i zjeść miskę płatków kukurydzianych z mlekiem i mnóstwem cukru. Otwieram szafkę nad zlewem i wyjmuję kieliszek do wina. Wysoko na półce widzę żółknącą podstawę robota Cuisinart, której pewnie nie używano od 1995 roku. Za nią zbiera kurz stara jogurtownica Salton. Jej widok sprawia, że myślę o zsiadłym mleku, świętoszkowatości i uprawiających seks cudzych rodzicach.

W lodówce znajduję świeżo otwartą butelkę przyzwoitego sancerre. Napełniam kieliszek i idę do gabinetu Dixona. Za oknem Peter przynosi mojej mamie puszkę hiszpańskich orzeszków. Zwędził z baru butelkę wódki. Matka bierze ją bez mrugnięcia okiem i pije z gwinta. Oddaje mu. Peter się śmieje, siada na podłokietniku jej krzesła. Zapala papierosa. Szepce jej coś do ucha, a ona trzepie go po nodze. Ale też się śmieje. Nikt inny nie potrafi tego, co mój mąż – sprawić, że matka znów jest sobą. Peter stanowi idealne połączenie dobroci, złośliwego dowcipu i postawy „mam to gdzieś", które sprawia, że czuje się szczęśliwa. W pewnym sensie uratował ją po zniknięciu Leo, śmierci dziecka i znalezieniu mojego pamiętnika. Obudził się z marazmu, zapalił światła w naszym starym mieszkaniu. Dzięki niemu poczułyśmy się dość bezpiecznie, żeby znów pozwolić sobie na szczęście.

Maddy i Finn przybiegają i zaczynają się na niego wdrapywać, obsiadają go jak małe kaczuszki. Klepie się po lewej ręce i otwiera dłoń, żeby pokazać dzieciom, że faktycznie udało mu się zabić

komara. Ten drobny gest sprawia, że zalewa mnie przemożne poczucie ulgi. I wdzięczności.

Idę na górę do łazienki, mijając po drodze salon. Zgromadziło się tu kilka starszych osób. Rozsiadły się przy ogniu, pochłonięte rozmową na temat śpiewu ptaków.

– Moim zdaniem to sikory. Są takie słodkie. Jak małe skaczące ziarenka kukurydzy – mówi ktoś.

– Z naszej działki znikają całymi stadami – słyszę głos Andrei. – Jestem pewna, że to kot sąsiadów. Nie chcą mu założyć dzwonka. Telefonowałam do służby parkowej, ale twierdzą, że nic nie można zrobić.

– A moim zdaniem to modrosójka błękitna – mówi Martha Currier ze swoim głębokim, zgrzytliwym południowym akcentem. – Choć wiem, że jestem w mniejszości.

W domu Dixona są dwie klatki schodowe. Szerokie stopnie, którymi wspinam się teraz, prowadzą do części oficjalnej – dorosłej. Pomieszczenia są tu bardzo piękne, eleganckie. W każdym pokoju gościnnym ściany pokrywa staroświecka tapeta – gałązki bladych pąków róż albo konwalii na modrym tle w odcieniu jaja drozda. Główna sypialnia to mój ulubiony pokój na świecie. Jako dziecko marzyłam, że pewnego dnia będę miała identyczną. Ręcznie malowana tapeta w białe peonie opadające na jasnozielone liście, romantyczne łóżko z baldachimem, zasłony z oczkami, wytarte deski na podłodze, kominek ze stertą drewna i podpałką obok, w łazience wanna z nogami w kształcie zwierzęcych łap.

Dziecięce schody są strome, ciemne i bez poręczy – tylko ściany po obu stronach, które pozwalają zachować równowagę. Prowadzą z kuchni prosto do „dormitorium” – dużego pokoju z wysokimi oknami i piętrowymi łóżkami pod każdą ścianą. Tu się sypiało

gromadą, kiedy byliśmy dziećmi, tu mogli się zakradać chłopcy, z którymi grałyśmy w butelkę, tu się paliło goździkowe papierosy. Z dorosłej części domu można się tu było dostać tylko przez przechodnią łazienkę, którą z naszej strony dawało się zamknąć na klucz.

Łazienka dla gości jest zajęta, dlatego idę skorzystać z tej obok sypialni Dixona. Gdy otwieram drzwi, zamieram. Andrea zmieniła wystrój. Staromodną tapetę w peonie zdarto, ściany mają kolor bakłażana. Piękne łóżko z baldachimem zniknęło, zastąpiło je nowoczesne, tapicerowane beżowym lnem, drewnianą podłogę przykryto sizalową wykładziną w jodełkę. Stoją tu teraz dopasowane modernistyczne toaletki i szklane lampy Simona Pearce'a. Mam ochotę zamordować Andreę. Chce mi się tylko siku, ale kusi mnie, żeby się wysrać – po to, żeby wyrazić swoją opinię.

Zamiast tego jednak idę długim korytarzem do przechodniej łazienki, która znajduje się na jego końcu. Kiedy zamykam drzwi, otwierają się te od strony dormitorium i do środka wchodzi Gina.

– Cześć – mówi, jakby spotkanie w toalecie było czymś najzupełniej zwyczajnym. Ściąga dżinsy i siada na sedesie.

Stoję oniemiała. „Jonas jest tutaj", o niczym innym nie mogę myśleć, serce wali mi jak oszalałe, z trudem oddycham.

Gina bierze kawałek papieru i podciera się.

– Dawno przyszliście?

– Jakieś pół godziny temu – udaje mi się wykrztusić. – Na piechotę.

– Myśmy mieli sobie odpuścić, ale matka Jonasa zagroziła, że zrobi tofu z woka. – Spuszcza wodę i wstaje, żeby zapiąć spodnie. Jest całkowicie wydepilowana. Czuję nagły przypływ zawstydzenia na myśl o własnym staromodnym owłosieniu. Przeszkadzało Jonasowi?

Budziło w nim obrzydzenie? Przywykł do czegoś innego. Gładkiego jak u dziecka.

– Twoja kolej – mówi Gina.

Nie mogę na nią patrzeć. Nie mogę odwrócić wzroku.

Otwiera apteczkę, bierze tubkę maści z antybiotykiem, wyciska odrobinę na czubek palca i wyjmuje plaster z opatrunkiem z pudełka.

– Zrobiłam sobie coś w stopę – oznajmia. – To tylko małe zadrapanie, ale boli jak diabli, a teraz jeszcze pojawił się pęcherzyk z krwią. Jonas uważa, że nadepnęłam na kraba.

Patrzę, jak wciera maść w rankę starannymi okrężnymi ruchami. Odrywa osłonki i przykłada plaster do czegoś, co w ogóle nie wygląda jak zadrapanie, z czułością wygładzając końce. Jestem zafascynowana troskliwością, z jaką traktuje swoje ciało, wagą, jaką przywiązuje do każdego gestu. Jakbym patrzyła na jedną z tych kobiet, które naprawdę czyszczą zęby przez pełne dwie minuty. Czekam, aż wyjdzie, ale ona z tylnej kieszeni spodni wyjmuje błyszczyk i wychyla się do lustra. Nie mam wyboru – siadam obok stojącej dwie stopy dalej Giny i sikam z majtkami przy kostkach i pierścionkiem Jonasa, który wyczuwam w kieszeni sukienki.

– Zmusiłam Jonasa, żeby nas tu przywiózł – mówi Gina, robiąc dziobek i sprawdzając, czy dobrze umalowała usta. – Wrócił do domu akurat w porze, kiedy roi się u nas od komarów. Bóg jeden wie, gdzie go wywiało.

W moim sikaniu następuje krótka przerwa, jakby leciutki wdech. Gina odwraca się, patrzy na mnie, jakby się nad czymś zastanawiała. Nieruchomieję niczym jeleń, który wyczuwa myśliwego, ale go nie widzi.

Ona jednak się uśmiecha.

– Nie uwierzysz, i pewnie nie powinnam ci tego mówić, ale kiedyś myślałam, że chodzi o ciebie. – Wyciera ręce. – Teraz to się wydaje niedorzeczne. Raz nawet za nim poszłam. Okazało się, że całe lato szukał gniazda myszołowa. – Śmieje się.

– Kocha te lasy – mówię, sięgając po papier.

Gdy idziemy przez dormitorium do schodów z tyłu, Gina pyta:

– Widziałaś nowy wystrój sypialni? Andrea ją odnowiła. Niesamowite, prawda? W końcu udało jej się namówić Dixona, żeby pozbył się tej paskudnej tapety. Następna ma być kuchnia.

– Wychowałam się tam.

– No tak, ale czy ją widziałaś?

Nigdy się nie dowie, jak bliska była tego, że go straci.

– Ten pokój musiał być dla nastolatków prawdziwym rajem. – Wskazuje na łóżka pod ścianą. – Jonas pewnie obściskiwał się tu z jakąś dziewczyną.

– Był od nas dużo młodszy.

Idę za nią wąskimi schodami.

– Ale pewnie wiesz, czy miał jakąś dziewczynę albo coś w tym stylu – mówi Gina przez ramię.

Moje włosy wciąż pachną wodą ze stawu.

Znajduję matkę w tym samym miejscu, gdzie ją zostawiłam. Peter wciąż siedzi przycupnięty na poręczy jej krzesła. Lampy w stylu kon tiki, z citronellą przeciwko owadom, wycinają kręgi światła w zmierzchu.

– Idę po burgera – mówi Gina. – Chcesz?

Przeczesuję wzrokiem trawnik w poszukiwaniu Jonasa, czuję, że robi mi się lekko niedobrze. Dostrzegam go w cieniu za grillem. Patrzy na mnie. Czekał. Wkładam rękę do kieszeni, otaczam palcami pierścionek z zielonym szkiełkiem, uspokajam się.

– Ja chyba jeszcze zaczekam.

Gina idzie do niego przez trawnik, otacza go ręką w pasie, chowa dłoń do jego tylnej kieszeni. Właścicielka. Musiała wyczuć mój wzrok, bo szybko obraca głowę, jak puma łapiąca trop, i patrzy w ciemność. Jonas szepcze jej coś do ucha, ona uśmiecha się i z powrotem odwraca do niego.

– Hej, żono – mówi Peter. – Gdzie byłaś?

– Z Giną. Siku.

– Weź orzeszka. – Matka podaje mi puszkę.

– Byłam na górze, w dziecięcej łazience. Gina bez pukania otworzyła drzwi od strony dormitorium i wparowała do środka. Usiadła na sedesie i zaczęła przy mnie sikać.

– Wulgarna kobieta – stwierdza matka.

– Twoja matka jest dziś w bojowym nastroju.

– W jakim bojowym? – mówi mama. – Po prostu powiedziałam Andrei, że nikomu z nas nie podoba się to, co wyczynia z działką. To nie w tutejszym stylu.

– Bardzo dyplomatyczne z twojej strony, mamo.

– Jeśli nie chciała mojej opinii, to nie powinna pytać, co sądzę o jej ulepszeniach.

– Twoja matka powiedziała, że według niej to mieszczańskie – śmieje się Peter.

– Skoro chce nas pouczać o roślinach natywnych, to nie powinna była robić granicy zielnej.

Po drugiej stronie trawnika młodsze dzieci grają w półmroku w podkowę.

Jonas z Giną podchodzą do nas, trzymając papierowe talerzyki i kubki w dłoni.

– Maddy powinna się była mocniej spryskać sprejem przeciwko owadom. Komary ją uwielbiają – mówię.

Jonas przysuwa krzesło do mnie i kładzie mi rękę na ramieniu.

– Nie będzie wam przeszkadzało, jeśli się dosiądziemy? – pyta wszystkich, choć tak naprawdę kieruje te słowa do mnie.

Wstaję.

– Zostawiłam wino na górze.

Tym razem w łazience zamykam jedne i drugie drzwi i nie zapalam światła. Opieram się o parapet, słuchając szumu drzew, napływającego falami szczęku szkła i pomruku rozmów. Odkąd dorosłam na tyle, by kwestionować swoje instynkty, matka zawsze miała dla mnie tę samą radę: „Rzuć monetą, Eleanor. Jeśli odpowiedź będzie rozczarowująca, wybierz drugą opcję". Tak naprawdę znamy właściwą odpowiedź, nawet kiedy myślimy, że jej nie znamy – a w każdym razie, kiedy nam się wydaje, że nie znamy. Tylko co w sytuacji, gdy mamy do czynienia z bałamutną monetą? Co, jeśli obie strony są takie same? Skoro obie są właściwe, to znaczy, że obie są złe.

Mój kieliszek stoi na parapecie, tam, gdzie go zostawiłam. Na dole na podeście Peter i Jonas rozmawiają. Peter coś mówi, a Gina wybucha śmiechem, odrzucając do tyłu głowę. Obaj z Jonasem się uśmiechają. Co za nierzeczywisty, niezrozumiały obrazek. Zaledwie kilka godzin temu miałam wrażenie, jakby świat pogrążył się w marzeniu, zawisł na niebie. Wpatruję się w zapadający zmierzch, przypominając sobie starą opuszczoną chatę, ciszę lasu, szczere, otwarte spojrzenie Jonasa. Osuwam się po ścianie, przyciągam kolana do piersi, obejmuję się, jakby ktoś mnie walnął w żołądek. Dokonałam wyboru: postanowiłam zostawić tę pulsującą miłość, bolesne pragnienie, dla miłości innego rodzaju. Cierpliwej.

Kochającej. Ale rana jest świeża. Na zewnątrz słyszę, jak matka krzyczy do Dixona stojącego przy grillu na drugim końcu trawnika, domagając się hamburgera.

– Krwistego! – woła. – Żebym słyszała, jak muczy. I proszę, bez wykładu na temat salmonelli. Wolę umrzeć od biegunki i odwodnienia, niż jeść tekturę.

Słyszę gardłowy, niewymuszony śmiech Petera.

– Wallace, przysięgam, któregoś dnia naprawdę wsadzę cię do czubków.

Gdy schodzę na dół, Jonas stoi przy zlewie w kuchni, trzymając rękę pod zimną wodą.

– Tu jesteś. – Wyjmuje ją i unosi do góry. Ma na dłoni czerwoną pręgę, biegnący ukośnie znak po oparzeniu. – Chciałem przynieść twojej matce hamburgera. Złapałem za metalową łopatkę, która leżała na rozgrzanym grillu. – Opiera się o drewniany blat. Mam ochotę zjeść tę jego leniwą, powolną pewność siebie. Połknąć go. Pochłonąć.

– Chodź tutaj – mówi miękko.

– Potrzebne ci masło. – Idę do lodówki, znajduję osełkę i odklejam nawoskowany papier.

Jonas wyciąga rękę, a ja smaruję mu masłem spieczoną skórę. Zamyka palce na moich. Odsuwam się i chowam osełkę do lodówki.

– Elle?

– Co? – pytam odwrócona plecami. Cokolwiek powie, nie dam rady tego znieść.

– Myślę, że Dixon wolałby jutro nie mieć na toście kawałków mojej skóry.

– Słusznie. – Wyjmuję masło z powrotem, odłamuję kawałek z góry i wyrzucam do kosza. Znajduję czystą ścierkę i podaję

Jonasowi. Opanowuję się. – Na razie owiń sobie rękę tym.

– Zostawiłem ci coś w chatce – mówi. – Poszukaj, jak przyjdziesz do domu.

– Już znalazłam. Musiałam wrócić po cebulę. – Sięgam do kieszeni i wyjmuję pierścionek. – Nie miałam pojęcia, że wciąż go masz.

Bierze go ode mnie i podnosi do światła. Kawałek zielonego szkiełka jaśnieje niczym kryptonit.

– To było moje postanowienie noworoczne. Żeby dać sobie w końcu z tobą spokój. I oto nagle się zjawiłaś, obsobaczając jakiegoś biednego palanta. – Wsuwa mi pierścionek na ten sam palec, na którym noszę obrączkę.

Chcę mu powiedzieć, że jestem jego. Że zawsze byłam i będę. Ale zamiast tego zdejmuję pierścionek i kładę na blacie.

– Nie mogę.

– Należy do ciebie.

Z trudem zachowuję chłodny ton.

– Wracam do Petera i dzieci. Przyślę Ginę, żeby ci zabandażowała rękę.

Jonas jest blady, wytrącony z równowagi, jakby wyczuł przechodzącego obok ducha, leciutkie muśnięcie lodowatego rękawa.

– Włóż go. – Głos ma twardy.

Biorę go za rękę i całuję oparzenie, próbując wziąć się w garść.

– Proszę – mówię, jakbym powiedziała do Finna. – Szybciej się zagoi.

Chcę odejść, ale przygważdża moją rękę do blatu. Wygląda, jakby tonął.

– Pozwól mi odejść. – Mój głos jest ledwie słyszalnym szeptem. – Proszę.

Za nami rozlega się skrzypnięcie. W drzwiach po przeciwległej stronie stoi Peter.

– O, hej – mówię. – Jonas oparzył sobie rękę.

33

21.30

Kiedy wychodzimy od Dixona, nie oglądam się za siebie. Moja pierś jest pusta niczym balon, który pękł, zapadł się pod ciężarem martwego powietrza. Nicości. Przed nami rozciąga się ciemność. Wszystko wokół, piskliwy trel cykad, stapia się z nocą. Peter idzie z przodu, jego latarka oświetla wąski fragment drogi, pas wysokiej trawy pośrodku, blade, piaszczyste koleiny po obu stronach. Poświata obejmuje też drzewa. Z lasu wylatują zwabione przez blask ćmy – szarobrązowe cienie rozpaczliwie pragnące mocy. Nigdy nie rozumiałam tego ich samobójczego pędu. Dzieci idą za Peterem, narzekając, że bolą je nogi; zmęczone i wystraszone, trzymają się blisko światła. Może ćmy też boją się ciemności. Może to takie proste.

– Nie ma czegoś takiego jak wilkołaki – zapewnia Finna Peter.

– A wampiry? – chce wiedzieć Finn.

– Wampirów też nie ma, króliczku – mówię.

– Ale czy nie byłoby wspaniale, gdyby potwory faktycznie istniały? – pyta Peter. – Pomyśl tylko, gdyby istniały wilkołaki

i wampiry, to by oznaczało, że istnieje magia. Życie po śmierci. Fajnie, prawda?

– Chyba tak – mówi Finn. – I duchy?

– Otóż to.

– A co z seryjnymi mordercami? – pyta Maddy. – Co, jeśli ktoś się ukrywa w lesie? Co, jeśli chce nas skrzywdzić? Co, jeśli ma siekierę?

– Albo z morderczyniami – mówi Peter.

– Dobrze się bawiliście? – przerywam im, w myślach kopiąc Petera w kostkę. Teraz Maddy całą noc nie będzie mogła spać. – Moim zdaniem było bardzo miło.

– Bawiliśmy się w berka – mówi Finn. – Dostaniemy lody, jak wrócimy do domu?

Jack maszeruje koło mnie, niosąc moją słomkową torbę. W pewnym momencie bierze mnie pod rękę i idziemy tak ciemną piaszczystą drogą złączeni, każde zatopione we własnych myślach. Gdzieś na wysokiej grani szczeka kojot, gryząc noc. Z oddali odpowiada mu stado. Słucham ich głodnego nawoływania. Idą po zdobycz, kolację z myszy polnych i małych psów.

U podnóża podjazdu leży jeden ze śmietników, siedzą na nim okrakiem dwa szopy pracze. Zamierają, gdy uderza w nie snop światła z latarki Petera, małe futrzane posążki, bobsleiści, w oślepiającym blasku ich oczy świecą na czerwono. Wokół walają się kolby kukurydzy, liście sałaty, ziarna kawy i strzępy ręcznika papierowego.

Matka krzyczy poirytowana, biegnie do nich, wymachując kijem.

– Wynocha stąd! Ale już!

Patrzymy, jak chyłkiem znikają za linią drzew.

– Szkodniki – mówi matka, kopiąc przewrócony śmietnik. – Ciekawe, co za kretyn zapomniał zabezpieczyć linką klapę. – Nie

czekając na odpowiedź, pędzi jak burza do domu.

– Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby właśnie odkryła wrak RMS Rhone – mówi Peter.

– Idźcie, ja się tym zajmę – oznajmiam. – Tylko nie zjedzcie wszystkich pistacjowych. Zostawcie mi trochę. Jack, włącz światło na zewnątrz, dobrze?

Czekam, aż sobie pójdą. Nade mną w koronach drzew słyszę ostrożny ruch, czuję wzrok pary czujnych oczu. „Co, jeśli ktoś chowa się w ciemności? Co, jeśli chce nas skrzywdzić?" Przez tyle lat odsuwałam od siebie tamtą straszliwą noc. Ale teraz, w tej powodzi miłości, paniki i smutku, pozwalam, by zrobiło mi się zimno. Ciekawe, ile lat żyją szopy. Czy to mogą być te same, które widziały, jak gwałcił mnie Conrad? Czy to te maluchy, które zaglądały przez świetlik, patrząc na zalane światłem księżyca łóżko? Czy wystraszyły je moje łzy? Moje stłumione krzyki? A może nudziły się, czekając, aż będą mogły wrócić nad staw po jeszcze kilka płotek? Czy matka Conrada słyszała w snach szaleńcze bicie serca Rosemary? „Co, jeśli ma siekierę?" Wyobrażam sobie Maddy – samą, przerażoną, błagającą o litość, podczas gdy my z Peterem śpimy nieświadomi w swojej chatce. Chciałabym jej obiecać, że nic złego się nie stanie, że nikt jej nigdy nie skrzywdzi. Ale nie mogę.

Siadam na ziemi wśród starej sałaty, wilgotnych niedopałków i herbaty w torebkach. Ostre pazurki porwały na strzępy puste pudełko po bisquicku. Poprzedniej nocy Jonas podszedł do mnie w ciemności, wbił się we mnie, głowę miałam przyciśniętą do zimnego pustaka, to było nie z tej ziemi, dyszałam gwałtownie z cudownego bólu z sukienką zadartą na wysokości talii. Czułam, że moje życie staje się całością.

W stawie rechocze żaba. Gdzieś w głębokim mule czai się ogromna skorpucha. Przez okno widzę Petera w spiżarni, nakłada lody czekoladowe do trzech zupełnie różnych czarek. Podaje je dzieciom, a potem bierze pojemnik z pistacjowymi, namyśla się chwilę i wykłada całość do swojej miski.

22.00

Zebrałam w stertę kolby kukurydzy i łuski. Otwierają się tylne drzwi i Peter wychodzi z wielkim czarnym workiem na śmieci. Wbija wzrok w ciemność, próbując mnie wypatrzyć.

– Tutaj – mówię, wchodząc w krąg światła. – To katastrofa.

Peter rozwiera paszczę worka, a ja wrzucam wszystko do środka.

– Widziałem cię – mówi dziwnym, przytłumionym głosem. – Z Jonasem.

– Widziałeś mnie?

– Wiem wszystko.

Na policzki wypełza mi rumieniec, czuję gwałtowny przypływ adrenaliny. Powstrzymuję narastającą panikę, koncentrując się na zbieraniu niedopałków.

– Cholerne szopy. – Wycofuję się poza krąg światła, podnoszę rozerwany karton po jajkach i wstrzymuję oddech, czekając na to, co nastąpi.

– Pocałowałaś go.

Moje serce zwalnia odrobinę. Nie było żadnego pocałunku. Wczorajszej nocy nie pocałowałam Jonasa. Wyłonił się z ciemności, wziął mnie od tyłu. Bezgłośnie oddycham z ulgą.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Pete.

– Nie kłam. – Twarz ma twardą jak kamienie rzeczne, jest pewny swojej racji i wściekły.

– Nie kłamię. Co to znaczy, że mnie widziałeś? Gdzie? – Do mojego umysłu zakrada się okropna myśl: czyżby Peter poszedł za nami do zrujnowanego domu? Obserwował nas spomiędzy drzew? Widział nasz żywiołowy seks?

Peter potrząsa głową z obrzydzeniem.

– Niedawno. W kuchni. U Dixona.

Ocean w moim ciele się uspokaja, pojawia się strumień czystej ulgi.

– Masz na myśli to, że pocałowałam go w oparzenie? Jezu.

– Nie chodzi tylko o pocałunek. Widziałem, jak na ciebie patrzył – oznajmia Peter. – Jakby cię pragnął.

– No cóż – mówię głosem ociekającym wymuszonym sarkazmem. – Jakże by inaczej? Przecież nie sposób mi się oprzeć.

– Widziałem, jak ty na niego patrzyłaś.

– Posmarowałam mu dłoń masłem. Podałam mu ścierkę.

Peter wyjmuje mi z rąk wytłaczankę.

– Wiesz co, Elle? Mam dość. Idę do łóżka. – Wkłada worek do śmietnika, zatrzaskuje pokrywę i zabezpiecza ją linką.

– Peter, na litość boską. To Jonas. Nasz najstarszy przyjaciel.

– Twój najstarszy przyjaciel.

– Pocałowałam go jak dziecko, żeby się szybciej zagoiło. Przecież tam byłeś.

– Byłem – mówi Peter i odchodzi.

– Zaczekaj! – wołam za nim. – Naprawdę wkurzasz się na mnie, bo pocałowałam Jonasa w oparzoną rękę?

Patrzy na mnie tak, że odwracam wzrok. Jego oczy są jak zimne srebro, promień rtęci.

– Wiesz co? Pieprzyć to. Myśl sobie, co chcesz – mówię, kryjąc zdenerwowanie pod płaszczykiem urażonej dumy. – Jonas jest moim

najstarszym przyjacielem. To jasne, że mnie kocha. Ale nie w ten sposób. To by było jak kazirodztwo.

Na jego twarzy widzę błysk wahania – połączenie nadziei i wątpliwości.

Stoimy tak w impasie, Peter niepewny, rozpaczliwie chce rozwiać podejrzenia, ja przerażona, palce skrzyżowałam za plecami, nie daję się, chcę, żeby mi uwierzył, udaję złość. Zrezygnowałam z Jonasa. Wybrałam Petera. Umarłam – dla niego. Modlę się do Boga, choć wiem, że nie istnieje. Tylko to, obiecuję, żadnych więcej kłamstw.

– W porządku – mówi w końcu, nieco rozluźniając twarz. – Ale jeśli kłamiesz…

Mój głos jest równy i opanowany.

– Całe szczęście. Bo nic się nie dzieje. Ani z Jonasem, ani z nikim innym. Jesteś jedynym mężczyzną, którego kocham. Serio.

– To dobrze – mówi. Podchodzi i całuje mnie mocno. – Ale koniec z całowaniem innych facetów. Jesteś moja.

– Jestem.

– A teraz chodź do łóżka, żebym się mógł kochać ze swoją żoną.

– Dzieci wciąż nie śpią, a mama krąży nie wiadomo gdzie.

– Ćśś. – Bierze mnie za rękę i prowadzi ciemną ścieżką do naszej chatki. Popycha mnie na schodki. – Odwróć się – warczy.

Odwracam się do niego i opieram o drzwi. Wkłada mi ręce pod sukienkę, ściąga majtki. Pochyla się i liże mnie powoli chropawym płaskim językiem.

– Smakujesz jak woda morska – szepcze.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie ocean, plażę dziś, namiot, Jonasa. Dochodzę w ustach Petera, myśląc o innym mężczyźnie, którego kocham. Gdy napływają łzy, to nie za tym, co straciłam, ale za prawdą o Jonasie, której nie potrafię się pozbyć.

22.30

Leżymy razem, Peter padł na fali postkoitalnego odpływu energii, zmiętą pościel mamy skołtunioną na wysokości kostek i boków. Odwracam poduszkę na drugą stronę, przyciskam policzek do zimnej poszewki, patrzę na wznoszącą się i opadającą pierś Petera, słucham jego delikatnego pochrapywania, wdycham słodki zapach papierosowego oddechu. Jestem niespokojna, nerwowa. Chcę, żeby do mnie wrócił. Ale wiem, że z tego konkretnego snu nic go nie wybudzi. Mężczyźni zasypiają natychmiast po orgazmie. Kobiety się budzą. Przedziwna jest ta niezgodność rytmów. Może po wyczerpującej próbie zapłodnienia muszą odpocząć. A naszym zadaniem jest wstać, zamieść jaskinię, położyć dzieci na prowizorycznym posłaniu, przejrzeć im głowy w poszukiwaniu wszy, opowiedzieć historie, które pewnego dnia przekażą swoim dzieciom: o ogniu, kamiennych kołach, jaskiniach ze stalaktytami – błyszczące barwy zastygłe w czasie; o chłopcu, który ścigał wielkiego ptaka po niebie; o tym, jak przepłynąć otwarte morze. Ubieram się i wychodzę z chatki. Jest późno, ale muszę ucałować dzieci.

Wciąż pali się u nich światło.

– Gdzie byłaś? – pyta Maddy. – Miałaś wrócić po lody.

– Tatuś nie czuł się najlepiej. Musiałam poszukać mu aspiryny i zaprowadzić go do łóżka.

– Jasne – mówi Jack, nie odrywając wzroku od rozświetlonego ekranu komputera.

Maddy czytała na głos Finnowi. Leżą przytuleni na jej łóżku. Ona trzyma ciężką, obszarpaną książkę, oliwkowozielona okładka jest pokryta pleśnią i plamami czasu.

– Co czytasz?

– Znalazłam na półce z książkami w łazience – mówi, podnosząc książkę, żebym zobaczyła.

– Stała tam jeszcze przed moim urodzeniem. Podejrzewam, że nikt jej nigdy nie czytał. – Siadam na skraju łóżka. – Zróbcie mi miejsce.

Maddy przysuwa się do ściany. Finn wpuszcza mnie obok siebie i opiera mi głowę na ramieniu.

– To o wronie, która się nazywa Johnny – mówi.

– Wiem. Dlatego nikt jej nigdy nie czytał.

– Mamy pająki. – Wskazuje na sieć wysoko w kącie pokoju. Obok, tuż nad krawędzią belki nośnej, dostrzegam w tekturowym suficie małą wystrzępioną mysią dziurkę. Będę musiała powiedzieć Peterowi, żeby ją załatał. Pajęczyca na cienkich nóżkach kręci się wokół swojej sieci, oporządzając martwą muchę. Pięć ciężkich brązowych jajeczek wisi poniżej w hamaku z nici.

– Możesz ją zabić? – pyta Finn.

– Pająki są pożyteczne – mówię. – Lubimy je. Łapią komary.

– Ja ich nie lubię – oznajmia.

– Nie bądź pipą – mruczy Jack.

– To nie było miłe, Jack. – Kiedy indziej wdałabym się w sprzeczkę, ale nie dziś. Dziś wieczorem chcę być tu ze swoimi ślicznymi dziećmi – w cieple i szczęściu, wierząc, że tak będzie już zawsze. – Jak byłeś w wieku Finna, sam się bałeś pająków.

– Skoro tak mówisz.

– Nie „skoro tak mówisz”. Przeproś brata i chodź do nas. W tej chwili potrzebuję się natychmiast do was przytulić. Żadnego ale.

Jack wzdycha, zamyka komputer, podchodzi i kładzie się na wolnym wąskim skrawku łóżka.

Obejmuję go i przyciągam do siebie.

– Tak lepiej.

Leżymy we czwórkę ściśnięci jak sardynki.

– I co teraz? – pyta Jack.

– Dusicie mnie – jęczy Maddy. – Nie mogę oddychać.

– Mówiłam wam kiedyś, jak moja siostra Anna przygniotła chomika łóżkiem do ściany?

– Celowo? – chce wiedzieć Finn.

– Nie jestem pewna – mówię. – Całkiem możliwe. Z Anną nigdy nic nie było wiadomo. Ale nie sądzę, żeby chciała go zabić.

– No cóż, albo go zabiła, albo nie zabiła – stwierdza Jack.

– Słusznie. Gasimy światło. – Zabieram Maddy książkę. – *Wrona imieniem Johnny* wciąż rano tu będzie. – Zgarniam Finna z jej łóżka, kładę w jego własnym, otulam kołdrą i zasypuję pocałunkami jego słodką buzię, aż zaczyna mnie odpychać.

Maddy wyciąga ręce, żebym ją uściskała.

– Ja – woła.

Przyciągam ją do siebie.

– Nie umyłaś zębów. Czuć ci z buzi kukurydzą w śmietanie.

– Umyłam – mówi, ale obie wiemy, że to nieprawda. – Umyłam! – powtarza.

– Kukurydza jest pyszna – szepczę jej do ucha, a ona się uśmiecha.

– No dobra. Nie umyłam. Umyję jutro rano dwa razy.

– Zaraz do ciebie przyjdę – wołam do Jacka.

– Jak sobie chcesz – mówi, ale on też się uśmiecha.

23.00

Mama siedzi na werandzie po ciemku.

– Jeszcze nie śpisz? – pytam.

– To te orzeszki, które zjadłam u Dixona. Odbija mi się.

– Idę po wino. Chcesz coś?

– Zaraz się kładę. Jest otwarte rosé.

Nalewam sobie kieliszek i siadam na kanapie obok niej.

– Jestem wykończona.

– Nie wiem, jak ty to robisz. Wszyscy ci ludzie, o których się troszczysz.

– Mój mąż i dzieci? – śmieję się.

– Za bardzo ich rozpieszczasz. Ja prawie nie zwracałam na was uwagi i zobacz, jak dobrze na tym wyszłaś.

W pewnym sensie jej ślepota – całkowity brak introspekcji – jest darem.

– Nie potrafią nawet włożyć naczyń do zlewu. Ledwie przeżyłam, kiedy wy z Peterem byliście w Memphis. Choć muszę przyznać, że Finn zrobił mi bardzo miły masaż stóp.

– Poprosiłaś Finna, żeby ci zrobił masaż stóp?

– Wydaje się, że ma trochę za małe ręce jak na swój wiek.

Kręcę głową z niedowierzaniem. Matka jest, jaka jest. Ale jeden fragment od tak dawna ma w niewłaściwym miejscu, że muszę to naprawić.

– Pamiętasz, jak próbowałam z tobą wczoraj porozmawiać? O Leo?

Ziewa.

– Już mi powiedziałaś. Wrócił do swojej pierwszej żony, niech Bóg ma ją w swojej opiece. Powinnam była do niej napisać, powiedzieć, co ci zrobił.

– Mamo. – Moje serce zaczyna bić tak szybko, że widzę, jak drży mi klatka piersiowa. – To nie Leo.

– Co nie Leo?

– To nie Leo – powtarzam ledwie słyszalnym szeptem. – Tego nie zrobił Leo.

Sprawia wrażenie całkowicie zdezorientowanej. Patrzę, jak docierają do niej moje słowa, dopasowuje do siebie kawałki układanki. Rozpoznaję moment, kiedy wszystko staje się dla niej jasne: drgnienie, niedostrzegalna zmiana, nerwowe rozszerzenie źrenic.

– Conrad – mówi w końcu.

– Tak.

– To wszystko on?

– Tak.

– Nie Leo.

– Nie Leo. To był Conrad. Conrad mnie zgwałcił.

Przez długi czas się nie odzywa. W ciemnościach wyczuwam, jak wycieka z niej energia. Przygasa. Wzdycha przytłoczona ciężarem.

– Przepraszam, że pozwoliłam ci obwiniać Leo.

– Zostawił mnie. Nasze dziecko umarło.

Po jej twarzy widzę, że szykuje się na najgorsze, gdy zadaje następne pytanie.

– Conrad utonął?

– Uderzył go bom. Wypadł z łódki.

Jej ulga jest tak namacalna, że chciałabym, żeby tak już zostało.

– Ale obie wiemy, że nie był dobrym pływakiem. Nie rzuciliśmy mu koła.

– My… – Cień konsternacji. – No tak, Jonas był z tobą. Zapomniałam.

– Wiedział o wszystkim – mówię. – On jeden.

Kiwa głową.

– Byliście nierozłączni. Strasznie się w tobie durzył. Podejrzewam, że złamałaś mu serce, wychodząc za Petera.

– Tak.

Przed oczami staje mi obraz Jonasa. Nie mężczyzny, z którym się dziś kochałam, którego dziś pochłaniałam, pragnęłam, ale małego zielonookiego chłopca z ciemnymi włosami, leżącego obok w lesie na łożu z aksamitnego mchu. Jeszcze go nie znam. Ale jesteśmy razem przy strumieniu, dwoje obcych, jedno serce.

– Ja też go kochałam.

Moja matka nie należy do ciepłych osób, ale przygarnia mnie do siebie, kładzie sobie moją głowę na ramieniu i gładzi mnie po włosach tak jak wtedy, kiedy byłam mała. Czuję, jak tysiące lat goryczy i szlamu wylewają się z moich żył, mięśni i ścięgien, z najmroczniejszych zakamarków mojego ciała, i skapują jej na podołek.

– Przepraszam, mamo. Chciałam być dobra.

– Nie – mówi. – To ja wpuściłam Conrada do naszego domu. – Gdy podnosi się z sofy, coś jej strzyka. – Moje kości nie są już takie jak dawniej. Poszukam maaloxu i idę spać.

Po drodze zbiera ze stołu miski po lodach zostawione przez dzieci i zanosi do zlewu, szczękając łyżeczkami.

– To może zaczekać do rana.

Zatrzymuje się przy siatkowych drzwiach, ma na twarzy dziwny wyraz, jakby coś smakowała, trawiła, próbując zdecydować, czy to dobre, czy nie. Gdy w końcu się odzywa, głos ma stanowczy, taki jak zawsze, gdy udziela mi rady na serio.

– Czasami jednak można żałować pływania, Eleanor. Problem w tym, że to wiadomo dopiero po fakcie. Nie siedź do późna.

I pamiętaj, żeby zamknąć świetlik. Mówili, że w nocy może napadać nawet dwa cale wody.

Czekam, aż drzwi do jej chatki się zamkną, i dopiero wtedy idę w jej ślady. Wokół księżyca widać pierścień. Nareszcie nadchodzi deszcz, na który wszyscy mieliśmy nadzieję. Wyczuwam go w nabrzmiałym powietrzu, w niecierpliwym niebie. Zatrzymuję się przed chatką, którą kiedyś dzieliłyśmy z Anną, a w której teraz śpią moje dzieci. Wszystkie światła są zapalone, nawet komputer Jacka rzuca przyćmiony blask. Nasłuchuję w milczeniu, wyobrażając sobie, że słyszę ich delikatne, bezpieczne oddechy. Żadnych demonów, żadnych potworów. Gdybym tylko potrafiła uchronić je przed wszystkimi lękami, stratami, przed złamanym sercem, tobym to zrobiła.

Ze środka stawu biegnie do mnie pas księżycowego światła, im bliżej brzegu, tym szerszy. Przedzieram się przez zarośla na skraj wody. Tafla jest nisko. Na wilgotnym piasku szopy zostawiły wyraźny ślad. Rozbieram się do naga, wieszam sukienkę na gałęzi drzewa, i brodzę w jedwabistej toni. Obsydianowa powierzchnia, rechot żab, szelest ciem. Wokół wyczuwam cząsteczki, które zostawił po sobie Jonas. Łączę ręce w wodzie, podnoszę do ust i piję go razem ze stawem. W oddali błyskawica rozcina niebo.

Zatrzymuję się na ścieżce przed naszą chatką, liczę sekundy, nasłuchuję dalekiego pomruku burzy, patrzę, jak stroboskopowe światło blaknie, patrzę, jak ciemność się cofa. Moje ciało jest jak westchnienie – ulgi i żalu. Ale za którym pływaniem? Wspinam się po schodkach do domku, znając odpowiedź. Za każdym. Za obydwoma.

Peter wciąż jest pogrążony w głębokim, pełnym zadowolenia śnie. Zdejmuję haczyk i delikatnie opuszczam świetlik na miejsce. Kładę się obok Petera, obejmuję go, czepiam się jego ciała –

znajomego ciepła, pociechy, jaką daje oddech – i czekam, aż burza znad oceanu dotrze na ląd.

4.00

O czwartej rano, gdy zrywa się wiatr, budzę się wystraszona stukotem drzwi chodzących w zawiasach. Na zewnątrz sosny pochylają się na boki, ich konary wyją wściekle. Wstaję z łóżka i podchodzę do drzwi. Ręcznik plażowy odleciał ze sznurka i wylądował na dachu domku matki. Ptaki na burzowym niebie są jak spadające liście, zataczają koła bezradne wobec wiatru, jego niewstrzymanego, wirującego prądu. Strzyżyki i organki, skowronki – unoszą się w powietrzu, ale nie fruwają. Wpatruję się w oniryczne światło przedświtu. Kilka cali ponad drzwiami furkocze koliberek rubinowogardły, próbując utrzymać się w powietrzu, śpiewając na przekór fali, jego opalizujące skrzydełka poruszają się tak szybko, że ich nie widać, jest tylko błysk klejnotu na tle szarego nieba. Leci do tyłu. Nie dlatego, że odpycha go wiatr, ale celowo, rozpaczliwie, szukając schronienia w gąszczu kwitnącej na biało orszeliny przed naszą chatką. Jego skrzydełka rysują ósemki – symbole nieskończoności.

Odwracam się do Petera.

– Obudź się.

Porusza się, ale nie budzi.

– Peter! – Tym razem wołam głośniej. – Obudź się. Chcę, żebyś to zobaczył. – Ale on jest martwy dla świata.

Podchodzę do łóżka z jego strony i szturcham go.

– Co? – Głos ma półprzytomny. – Jezu. Która godzina?

– Nie wiem. Rano. Ale obudź się. Musisz to zobaczyć. Na zewnątrz panuje prawdziwe szaleństwo, coś jakby wir ptaków.

– Jest środek nocy.

– Myślę, że to może być oko huraganu.

– Nie byłoby takiego wiatru, tylko martwa cisza. Po prostu nadciąga burza. Nie ma się czym przejmować. A teraz odwal się i daj mi spać – gdera słodko.

Kilka lat po urodzeniu Maddy i Finna, długo po tym, jak Jonas i ja wpletliśmy swoje życie w inną pieśń, pewnego popołudnia, spacerując po lesie, mijaliśmy dąb opleciony kapryfolium. Wokół setki kolibrów piły nektar z jego kwiatów podobnymi do igieł dziobkami.

– Kolibry to jedyne ptaki, które potrafią latać do tyłu – powiedział Jonas. – To jeden z tych faktów, które zawsze mnie zdumiewały. Potrafią fruwać do tyłu i do przodu z taką samą prędkością. Trzydzieści mil na godzinę.

– Gdybym potrafiła latać do tyłu, tobym poleciała – odparłam. Na bezpieczną gałąź, w czas, kiedy moje serce biło dla niego jak serce kolibra: 1200 uderzeń na sekundę.

A on jak zwykle powiedział:

– Wiem.

6.30

Gdy budzę się znowu, ulewa już minęła. Na podłodze przy naszym łóżku woda utworzyła kałużę, mocząc stertę książek, które zamierzałam przeczytać. Peterowi coś się śni. Poznaję to po tym, jak drgają mu powieki, po długości urywanego oddechu. Zgarniam mu włosy z twarzy, całuję go w policzek i czoło.

Porusza się, zmienia pozycję, leciutko unosi powieki.

– Hej – szepczę. – Jesteś. – Obsypuję jego twarz pocałunkami.

– Dzień dobry, skarbie – mówi, oganiając się ode mnie. – Idziesz pływać?

– Może pójdziesz ze mną? Po deszczu woda w stawie będzie ciepła. – Wstrzymuję oddech, czekam. „Chodź ze mną. Zakończ to”.

Przekręca się na bok tyłem do mnie.

– Obiecałem Jackowi, że o dziewiątej podrzucę go do miasta. Obudź mnie, gdybym zaspał.

Przykładam dłoń do krzywizny jego ramienia, rozczapierzam palce. Lubię, jak wyglądają spomiędzy nich piegi, jakbym patrzyła na konstelacje gwiazd. Koniuszkiem rysuję serce na jego szerokich plecach.

– Ja też cię kocham – mruczy ze splątanej pościeli.

Poranne powietrze jest parne. Szczelnie owijam się starym lawendowym szlafrokiem matki, staję w drzwiach i wyglądam na zewnątrz. Powierzchnia stawu jest nieruchoma, tafla szkła, jakby nie było żadnej burzy, kwiaty lilii wodnych zamknięte, pogrążone w śnie. Spokój, świat skąpany w arbuzowym różu. Na schodkach przed naszą chatką dostrzegam pojedyncze opalizujące piórko. Podnoszę je. Obracam w palcach, trzymając za ostrą dutkę. Po drugiej stronie stawu ktoś stoi. Czeka. Ma nadzieję. Rozpoznaję jego niebieską koszulę.

Schodki uginają się pod moim ciężarem z westchnieniem, a potem odskakują z leciutkim trzaskiem, który słyszałam tysiące razy. To miejsce – każdy jego świszczący oddech, każde stęknięcie – mam w kościach. Cichy chrzęst igieł pod bosymi stopami, falowanie płotek, piżmowo-rybi zapach wilgotnego piasku i wody w stawie. Ten dom wzniesiony z papieru – z maleńkich skrawków tektury sprasowanych razem w coś tak mocnego, że potrafi stawić czoło upływowi czasu, trudnym, samotnym zimom – ciągle grozi, że obróci się w ruinę, a mimo to, gdy wracamy, wciąż tu stoi, rok po roku. Ten

dom, to miejsce zna moje wszystkie tajemnice. Ma mnie w swoich kościach.

Zamykam oczy i wdycham, wciągam w płuca to wszystko. Jonasa. Petera. Mnie. Wszystko, co mogło być. Wszystko, co będzie. Zdejmuję z palca obrączkę, trzymam ją w dłoni, rozważam, czuję jej ciężar – zniszczona, odwieczna, złota. Przyciskam ją do linii życia ostatni raz, a potem zostawiam ją za sobą na górnym schodku i idę ścieżką w stronę stawu.

Na drugim końcu żółte słońce wyłania się zza gęstej linii drzew niczym balon – powoli, dostojnie. Przez chwilę trwa w zawieszeniu, a potem zrywa się z postronka – wstaje świt. W tej właśnie chwili najlżejsza bryza porusza taflę, budząc staw, mówiąc mu, że nadszedł kolejny dzień.

Podziękowania

Gdy byłam nastolatką i poczułam pierwszą pokusę, by pisać fikcję, mój dziadek, Malcolm Cowley, dał mi radę, którą wzięłam sobie do serca: jedyną rzeczą, którą powinnaś wiedzieć, powiedział, jest to, że każda dobra historia musi mieć początek, środek i zakończenie zapowiedziane we wstępie.

Zajęło mi to całe życie, ale w końcu zastosowałam się do tej rady co do joty.

Tak wielu osobom jestem wdzięczna za to, że popychały mnie, wspomagały i podpierały w tej podróży – przede wszystkim mojej niezwykłej matce Blair Resice, która nauczyła mnie nakrywać do stołu i wychowała nas wśród bezkompromisowego piękna. A także moim ukochanym siostrom, Lizzie i Soni – jesteście moją opoką i duszą.

Mój ojciec, Robert Cowley, redaktor i niezwykły historyk, powiedział mi, gdy miałam jedenaście lat, że najlepsze pisanie to zawsze najkrótsza droga między dwoma punktami. Dziękuję mu za to, ale jeszcze bardziej za dwie wspaniałe trąby powietrzne – moje młodsze siostry: Olivię i Savannah.

Dziadkowi Jackowi Phillipsowi dziękuję za krajobraz. Mojemu cudownemu ojczymowi, Paulowi Resice, za to, że go uwiecznił. Mojej

matce chrzestnej Florence Phillips za magiczną puszkę kukurydzy, która zmieniła bieg życia małej dziewczynki.

Bezgraniczna wdzięczność należy się mojej błyskotliwej, prowokującej do myślenia redaktorce Sarah McGrath, której bystre oko nigdy niczego nie przepuści. Ogromne dziękuję całemu zespołowi Riverhead, a także walkiriom w osobach Venetii Butterfield i Mary Mount.

Dziękuję Annie Stein, mojej wspaniałej, skutecznej agentce, za to, że dzięki niej spełniły się moje marzenia i że wybrała mnie. Jestem ogromnie szczęśliwa, że w mojej drużynie znaleźli się Will Watkin z ICM, Susan Armstrong z C&W, Claire Nozieres z Curtis Brown i Jason Hendler z HJTH.

Mark Sarvas. Mój mentor i przyjaciel na całe życie. Podtrzymywałeś mnie na każdym kroku. Nigdy nie znajdę słów, by wyrazić wdzięczność, ale wciąż będę próbowała. Dziękuję Adamowi Cushmanowi za to, że uwierzył w tę książkę, jeszcze zanim wiedziałam, że powstanie. Dziękuję Jackowi Grapesowi za to, że nauczył mnie, że fikcja to poezja. Dziękuję wszystkim pisarzom i pisarkom z Novel Writers Group za wspólne warsztaty nad *Papierowym Pałacem* – między innymi Andrei Custer, Samuelowi Stackhouse'owi, Ondrei Harr, Victorii Pynchon, Catherine Ellsworth i Joelowi Villaseñor, mistrzowi słowa, który wyłapał Metrecal. Moim *compadres* z PEN America. Pozostałym członkom rady Fine Arts Work Center.

Stephie dziękuję za wszystko. Fran – za drzewa. Estelle – za mądrość i serce. Jimmy'emu – za to, że wniósł światło. Tanyi – za to, że je podtrzymywała. Nickowi – za radość od pierwszego dnia. Christinie i Olivii – za to, że dzięki nim mój świat nie wypadł z osi. Lily i Nel – za to, że wciąż potrafi wymknąć się spod kontroli.

Augustowi – za którego mocnym, czystym rytmem wszyscy mamy nadzieję podążać. Lasherowi, Calderowi i Sebastianowi – cudownym maleńkim istotom. I Georgii, och, Georgii, mojemu leśnemu duszkowi – za marzenia.

Dorastałam w świecie silnych kobiet o mocnych głosach i stałych sercach. Wszystkim wam i każdej z osobna dziękuję za waszą niezwykłą przyjaźń. To było największe błogosławieństwo. Dziękuję Margot, Angeli, Laurze, Nonny, Tory, Bushby – moim Dziewczynom na całe życie; Charlotcie, która przeczyła książkę pierwsza i powiedziała „tak”; Ninie, która siadywała koło mnie, pisząc, dzień po dniu; Kate za to, że kazała mi ruszyć tyłek i skończyć to cholerstwo; Zoe i Lucy za siostrzeństwo; wspaniałym kobietom z mojej rodziny: Antonii, Susannah, Hayden, Saskii, Cosimie, Rachel, Nicky, Frankie, Luli, Lotte, Grace, Louisie, Millie. Każda z was nadała kształt tej drodze.

Moim synom Lukasowi i Felixowi chcę powiedzieć: kocham Was jak stąd na Księżyc. Ale to już i tak wiecie.

Na koniec i przede wszystkim dziękuję Tobie, Bruno, za ścieżki, którymi kroczyliśmy razem, i za cudowną podróż.

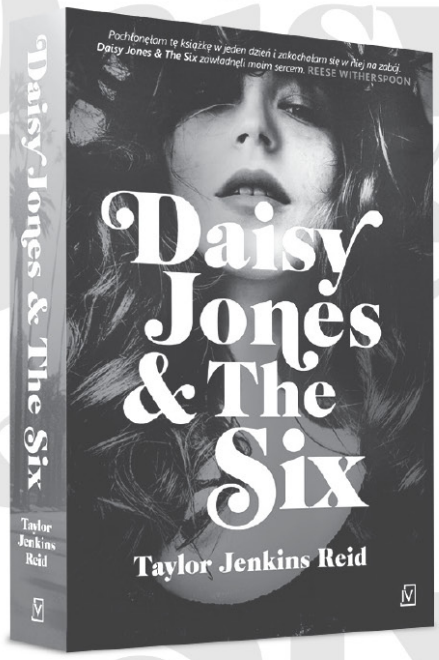
Pochłonęłam tę książkę w jeden dzień i zakochałam się w niej na zabój. Daisy Jones & The Six zawładnęli moim sercem. REESE WITHERSPOON
Daisy Jones & The Six
Taylor Jenkins Reid
Daisy Jones & The Six
Taylor Jenkins Reid

12 LIPCA 1979 ROKU. **DAISY JONES & THE SIX**, NAJSŁAWNIEJSZY ZESPÓŁ ROCK'N'ROLLOWY NA ŚWIECIE, DAJE KONCERT, NA KTÓRYM SZALEJĄ TYSIĄCE OSÓB. NIKT JESZCZE NIE WIE, ŻE TO ICH OSTATNI WSPÓLNY WYSTĘP. JAK DOSZŁO DO TEGO, ŻE KULTOWY ZESPÓŁ, KTÓREGO PIOSENKI KRÓLOWAŁY NA WSZYSTKICH POTAŃCÓWKACH, PRZESTAŁ ISTNIEĆ TAK NAGLE?

GDYBY ZESPÓŁ **DAISY JONES & THE SIX** ISTNIAŁ NAPRAWDĘ, MIELIBYŚCIE GO NA SWOJEJ PLAYLIŚCIE!

**że spodobała Ci
się ta KSIĄŻKA**

po więcej zajrzyj do księgarni

www.wydajenamsie.pl

Spis treści

Księga pierwsza. ELLE

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12

Księga druga. JONAS

13
14
15
16
17

18

Księga trzecia. PETER
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28

Księga czwarta. TO LATO
29
30
31

Księga piąta. DZIŚ 18.30–6.30
32
33

Podziękowania

Polecamy również